

Paul Feval

Kawaler de Lagardere

Paul Feval rozpoczynał karierę życiową jako prawnik, choć bynajmniej nie należał to tzw. złotoustych oratorów, a wówczas o sukcesie jurysty decydowały mowy obrończe, arcydzieła retoryki, wyciskające łzy z oczu słuchaczy, którzy wybierali się do trybunału niczym na modny melodramat.

Młody Feval wyruszył więc do Paryża i różnych imał się zawodów, zanim udało mu się umieścić w „Paryskim Przeglądzie” niewielkie opowiadanie. „Klub fok” — taki był tytuł nowelki — z miejsca podbił czytelników, otwierając debiutantowi łamy największych pism stolicy. Drukowany w 1845 roku „Biały wilk, czyli sceny z życia Bretanii” jest już prawdziwym sukcesem. Wobec tak oczywistego talentu, jakim błysnął młody pisarz, dyrektor „Kuriera Francuskiego”, Antenor Joly, zamawia u niego powieść p.t. „Tajemnice Londynu”, by zaćmić rozchwytywane wówczas „Tajemnice Paryża” Eugeniusza Sue. Feval wzdraga się, nie zna Anglii, ma skrupuły, ulega jednak namowom i oto pierwsza część „Tajemnic Londynu” okazuje się tryumfem pisarza i wydawcy. Feval wyjeżdża do Anglii, studiuje na miejscu tamtejsze obyczaje i gorączkowo spisuje nowe wrażenia. Jedenaście tomów „Tajemnic Londynu”, tłumaczone na wiele języków, rozślawia nazwisko autora daleko poza granicami Francji.

Odtąd z nie wysychającego źródła wyobraźni czerpie pisarz coraz to nowe tematy, wszystkie równie frapujące i atrakcyjne, aż przychodzi czas, kiedy Feval zwraca się ku historii, by na tle przeszłości snuć skomplikowaną akcję, motać zawiłą intrygę, krzyżować szpady bohaterów.

Ukoronowaniem tych nowych zainteresowań pisarza jest „Garbus”, wychodzący w 1857 roku w odcinkach „Wieku”, a w roku następnym wydany w książce, który do dziś jest najpopularniejszym i właściwie jedynym znanym współczesnemu czytelnikowi dziełem Fevala.

„Garbus” nie starzeje się, jak nie starzeją się piękne obrazy czy sewrska porcelana, i w dalszym ciągu przykuwa uwagę czytelnika żywością narracji, zaciekawia po mistrzowsku zagmatwaną intrygą, fascynuje postacią kawalera de Lagardere. W toku dramatycznej akcji nieraz słychać szcęk szpad i tętent galopujących koni, a także balową muzykę, jak na epokę Regencji przystało. Jest to bowiem schyłek XVII i początek XVIII wieku, ostatnie lata panowania starego Ludwika XIV, a po jego śmierci, podczas małoletniości następcy — beztronskie rządy księcia regenta, zakończone fiaskiem systemu Lawa.

Doskonała znajomość epoki i jej realiów pozwoliła autorowi ukazać barwny i jakże sugestywny obraz ówczesnej Francji, któremu dodają autentyczności postaci historyczne wplecione w tok akcji.

Nie tylko galopady i pojedynki składają się na opowieść, która dziś stanowi już swego rodzaju klasykę. Ma ona również wielkie walory moralne. Piękna miłość, gotowa do największych wyrzeczeń, bohaterstwo i poświęcenie, wysokie poczucie honoru i wierność danemu słowu — w tym przypadku przysiędze złożonej umierającemu — oto inny aspekt utworu.



Przekład i opracowanie Haliny Popławskiej



w

Tytuł oryginału francuskiego LE BOSSU OU LE PETIT PARISIEN
Obwolutę i karty tytułowe projektował MIECZYSLAW KOWALCZYK
Fotosy z filmu „Garbus” reżyserii André Hunebelle

Wydanie II

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1965 r. Nakład 30.000 + 240 egz.
Ark. wyd. 21,9. Ark. druk. 22,25 + 1,5 ark. wkładek rotoogr. Papier offsetowy
m/gł kl. V, 65 g, 61 X 86 z fabryki we Włocławku. Oddano do składania w
październiku 1964 roku. Druk ukończono w maju 1965 r. Zakłady Graficzne
„Dom Słowa Polskiego” w Warszawie. Zam. 8108/a. Cena zł 25.—. E-87.

MISTRZOWIE
SZPADY

I.DOLINA LOURON

Niegdyś było tu miasto zwane Lorre, z fortecą, amfiteatrem i pogańskimi świątyniami. Dziś jest to opustoszała dolina; leniwy pług gaskońskiego rolnika ostrożnie kraje ziemię, by nie zawadzić o resztki marmurowej kolumny. Na horyzoncie widać łańcuch Pirenejów z pokrytymi śniegiem szczytami, a szczyt przełęczy ukazuje błękit hiszpańskiego nieba. Tędy właśnie wiedzie droga przemytników. O kilka mil stąd Paryż kaszle, tańczy, śmieje się i myśli, że u wód Bagneres-de-Luchon pozbędzie się nieuleczalnego bronchitu. Nieco dalej inny Paryż, cierpiący na reumatyzm, ma nadzieję, że siarczane kąpiele Bareges-les-Bains uwolnią go od dokuczliwej podagry. Dolinę Louron odwiedza niewiele z tych rozhukanych turystów, którzy rokrocznie przybywają, by odkrywać te mało znane okolice.

Schodząc z gór po lewej stronie przełęczy, można ogarnąć jednym spojrzeniem całą dolinę. Jest to najdalej wysunięty cypel Gaskonii, rozkłada się jak wachlarz między lasami Ens i Frechet. Ziemia jest nieurodzajna, lecz krajobraz niezwykle urozmaicony.

Wszędzie szczeliny, wijące się wśród zieleni górskie potoki, których wody podmywają głęboko korzenie olbrzymich buków lub obnażają skalne podnóża.

Las Ens porasta wzgórze położone w samym środku doliny, tuż przy rzeczce Clarabide. Wschodnia ściana wzgórza kończy się stromym urwiskiem. Tu właśnie niegdyś wznosiła się twierdza miasta Lorre, od którego zapewne pochodzi nazwa całej doliny. Dziś są tam jeszcze ruiny zamku Caylus-Tarrides.

Z daleka ruiny te wyglądają imponująco, zajmują bowiem ogromną przestrzeń, a poszarpane szczyty wież strzelają ponad lasem. Z bliska zamek robi wrażenie fortecy. Na gruzach wyrosły drzewa, a tu i ówdzie jodła, pnąc się ku światłu, przebiła kamienne sklepienie. Część jednak tych ruin to resztki skromnych budowli, gdzie zamiast granitu widać drewno i ubitą ziemię.

Według tradycji, jeden z potomków rodziny Caylus-Tarrides, znanej z wielkich bogactw, wznosił wał dokoła wioski Tarrides dla obrony wasali-hugonotów, gdy król Henryk IV przeszedł na katolicyzm. Był to baron Gaston de Tarrides. Jeśli zabłąkany turysta zbliży się do ruin zamku, zobaczy dąb barona de Tarrides. Korzenie drzewa wyrastają ze skraju dawnej fosy, otaczającej zamek od zachodu. Pewnej nocy w dąb uderzył piorun. Było to już bardzo stare drzewo; upadło w poprzek fosy i tak zostało. Z powalonego pnia, trzydzieści lub czterdzieści stóp od brzegu, młody pęd wyrósł w wielki wspaniały dąb, cudem, zdawałoby się, zawieszony na tej wysokości, a na jego korze dwa tysiące pięciuset turystów zdążyło już wyryć nazwiska.

Rodzina Caylus-Tarrides wygasła w początkach osiemnastego wieku. Ostatnim jego potomkiem był Franciszek de Tarrides, markiz de Caylus. W 1699 roku miał on lat sześćdziesiąt. Młodość spędził na dworze króla Ludwika XIV, nie zrobił jednak kariery i niezadowolony wycofał się z dworskiego życia. Zamieszkał w odległym zamku wraz z jedyną córką, piękną Aurorą. W okolicy otrzymał przydomek Caylus-Rygiel.

Gdy markiz jako bezdzietny wdowiec dobiegł czterdziestki, zakochał się w córce hrabiego Sotomayor, gubernatora Pampeluny. Siedemnastoletnia Inez miała prawdziwie hiszpańskie płomienne oczy i jeszcze gorętsze serce. Wszyscy wiedzieli, że markiz nie dał szczęścia pierwszej żonie, zamkniętej w ponurym zamku, gdzie zmarła w dwudziestym piątym roku życia. Inez oświadczyła ojcu, że nie poślubi

nigdy tego człowieka. Nietrudno było jednak w Hiszpanii zmusić córkę do uległości. Pewnego wieczoru biedna Inez, ukryta za firanką, po raz ostatni wysłuchała serenady młodszego syna prokuratora, doskonale grającego na gitarze. Nazajutrz wyjechała do Francji z markizem, który brał ją bez posagu, ofiarując hrabiemu Sotomayor wiele tysięcy pistoletów. Hiszpan, dumniejszy od króla, lecz biedny jak mysz kościelna, nie oparł się tak olśniewającej propozycji.

Gdy markiz przywiózł piękna żonę, gorączka ogarnęła młodych paniczów z doliny Louron. Wskutek ciągłej wojny z Hiszpanią na granicy stały liczne oddziały partyzantów i markiz musiał dobrze się pilnować. Ale umiał to robić. Śmiałek, który by się pokusił o zdobycie serca młodej markizy, musiałby być wyposażony w oblężnicze działa. Nie było innej rady, gdyż ani czułe bileciki, ani zabójcze spojrzenia, ani nawet gitara nie zdołały przebić obronnych murów zamczyska. I nikt z okolicznej szlachty, żaden myśliwy, hreczkosiej czy kapitan nadgranicznego oddziału nie zobaczył rąbka sukni pięknej Inez.

Po trzech czy czterech latach biedna markiza wyszła nareszcie poza próg groźnego zamku, a raczej wyniesiono ją na cmentarz. Zmarła ze smutku i samotności, pozostawiając córeczkę. Urażeni sąsiedzi nadali wówczas markizowi przywisko Rygiel i nikt w całej okolicy nie nazywał go odtąd inaczej.

Po śmierci drugiej żony markiz chciał ożenić się po raz trzeci, należał bowiem do pokolenia Sinobrodych, co to nigdy się nie zniechęcają. Niestety, gubernator Pampeluny nie miał drugiej córki, a reputacja markiza de Caylus była tego rodzaju, że najodważniejsze panny na wydaniu nie przyjmowały jego względów.

Pozostał więc wdowcem, oczekując z niecierpliwością chwili, gdy córka dorośnie, by i ją odciąć od świata. W sąsiedztwie nie był lubiany i mimo bogactw często spędzał samotne dni. Wreszcie nuda wygnała go z

zamku. Zaczął bywać w Paryżu, gdzie młodzi dworacy, choć pożyczali od niego pieniądze, za plecami kpili niemiłosiernie ze starego dziwaka. Podczas nieobecności ojca, Aurorą opiekowali się sędziwy kapelan i ochmistrzyni.

Córka markiza de Caylus odziedziczyła po matce urodę. W żyłach jej płynęła hiszpańska krew. Gdy miała lat szesnaście, mieszkańcy wioski Tarrides w ciemne noce słyszeli nieraz ujadanie psów zamkowych.

W owym czasie Filip Lotaryński, książę de Nevers, jeden z najświetniejszych młodych panów na francuskim dworze, zamieszkał w zamku Buch u stóp Pirenejów. Miał zaledwie dwadzieścia lat, lecz zbyt wcześnie zaczął używać życia i ciężko był chory. Jednakże powietrze górskie robi cuda i już po kilku tygodniach widziano, jak polując zapuszczał się w dolinę Louron. Pierwszej nocy, gdy psy w Caylus ujadają, młody książę de Nevers, upadając ze zmęczenia, poprosił o gościnę drwala w lesie Ens.

Filip Lotaryński spędził rok w swym zamku. Pasterze z Tarrides utrzymywali, iż był to niezwykle hojny pan. Ci sami pasterze opowiadali o dwu nocnych zdarzeniach, które wówczas miały miejsce. Raz widziano o północy światło za witrażami starej kaplicy zamkowej. Psy nie szczekały, a ciemna jakaś postać, którą mieszkańcy wsi znali, często ją widując, opuściła się w fosę po zapadnięciu nocy. Te stare zamczyska pełne są upiórów!

Innym znowu razem, na godzinę przed północą, pani Marta, najmłodsza z dam Aurory, wyszła z zamku główną bramą i pobiegła do chaty owego drwala, gdzie książę de Nevers znalazł swego czasu gościnę. Wkrótce potem tajemnicza lektyka przesunęła się lasem Ens. Następnie krzyk kobiecy rozległ się w chacie. Nazajutrz poczciwy drwal znikł, a jego mieszkanie opustoszało. Tego samego dnia pani Marta opuściła zamek.

Od tych wydarzeń minęły dwa lata. Nigdy w okolicy nie słyszano ani o drwalu, ani o pani Marcie. Filip de Nevers wrócił do Paryża. Inny za to Filip, nie mniej wspaniały i równie wielki pan, uświetniał swą obecnością dolinę Louron. Był to Filip Mantuański, książę Gonzaga, któremu markiz de Caylus zamierzał dać córkę za żonę.

Książę Gonzaga miał trzydzieści lat, nieco zniewieściała twarz, niemniej odznaczał się wybitną urodą. Trudno było o bardziej wytworną postać. Lśniące czarne włosy wiły się miękko nad czołem białym jak u kobiety. Włosy były tak gęste, że książę nie potrzebował modnej wówczas peruki. Czarne oczy spoglądały przenikliwie, z wyrazem dumy właściwym Włochom. Był wysoki, doskonale zbudowany; chód i ruchy miały trochę teatralną godność.

Pochodził ze wspaniałego rodu. Nazwisko Gonzaga równe było w historii rodom Bouillon, Este czy Montmorency. Miał dwóch przyjaciół, prawie braci: jeden był z rodziny Burbonów, drugi z książąt Lotaryńskich; jeden był bratankiem Ludwika XIV, późniejszym księciem Orleańskim i regentem Francji, drugi — księciem de Nevers. Gonzaga, książę Orleański i książę de Nevers stanowili nierozłączną trójkę przyjaciół. Na dworze zwano ich trzema Filipami, a ich wzajemna serdeczność przywodziła na pamięć piękne przykłady przyjaźni znane z historii starożytnej.

Gonzaga był najstarszy. Przyszły regent miał wówczas lat dwadzieścia kilka, a Nevers był o rok od niego młodszy.

Można sobie wyobrazić, jak posiadanie podobnego zięcia pochlebiałoby staremu markizowi. Utrzymywano, że Gonzaga ma w Italii olbrzymie majątki. Ponadto był ciotecznym bratem i jedynym spadkobiercą młodego księcia de Nevers, którego wszyscy skazywali na wczesną śmierć, a Filip de Nevers posiadał największe dobra we Francji.

Nikt naturalnie nie przypuszczał, by księżę Gonzaga pragnął śmierci przyjaciela, jednakże nie w jego mocy było zapobiec katastrofie. Wiedziano zaś, że śmierć, kuzyna uczyniłaby go dziesięciokrotnym milionerem.

Stary markiz i przyszły jego zięć doszli do porozumienia, Aurora zaś, zgodnie z systemem nie wiedziała o niczym.

Był piękny dzień jesienny 1699 roku. Ludwik XIV zestarzał się, męczyła go wojna, podpisano więc pokój w Ryswijku. Nie ustawały jednak nadgraniczne potyczki między partyzantami, których wielu znajdowało się w dolinie Louron.

W sali jadalnej zamku Caylus z pół tuzina biesiadników siedziało przy suto zastawionym stole. Markiz miał swoje wady, lecz umiał przyjmować gości.

Oprócz pana domu, księcia Gonzagi i panny Aurory przy stole znajdowali się ludzie niższej kondycji: ksiądz Bernard — kapelan zamkowy, który sprawował pieczę nad duszami mieszkańców wioski Tarrides i miał w kaplicznej zakrystii rejestr wszystkich ślubów, chrzcin i zgonów, pani Izydora — następczyni pani Marty, i wreszcie pan de Peyrolles — szlachcic, przyboczny księcia Gonzagi.

Pan de Peyrolles, człowiek w średnim wieku, o bladej i szczupłej twarzy i rzadkich włosach, postać miał z lekka przygarbiona choć był wysokiego wzrostu — a rysy twarzy dziwnie zamazane; w oczach krótkowidza przebijała bezczelność. Księżę Gonzaga twierdził, że pan de Peyrolles doskonale włada szpadą, niezgrabnie wiszącą mu u boku. Księżę Gonzaga wychwalał pana de Peyrolles: widać bardzo go potrzebował.

Panna Aurora, zimna i milcząca, czyniła z godnością honory domu. Kobiety, nawet najpiękniejsze, mogą wydawać się brzydkie lub urocze zależnie od towarzystwa, w jakim się znajdują. Aurora należała do istot,

które podobają się mimo woli. Choć nie miała jeszcze dwudziestu lat, linie ust zdradzały gnębiący ją smutek. Usta te dawno już nie widziały uśmiechu!

Stary markiz mawiał: „Wszystko się zmieni, gdy zostanie księżną Gonzaga”.

Po drugim daniu Aurora wstała, prosząc o pozwolenie udania się do swych komnat. Pani Izydora rzuciła tęskne spojrzenie na słodkie ciasta i konfitury, które lokaje właśnie wnosili na stół, jednakże obowiązek nakazywał jej towarzyszyć młodej pani. Po odejściu córki markiz ożywił się.

— Winien mi pan rewanż w szachach — powiedział do księcia. — Czy pan gotów?

— Zawsze na pańskie rozkazy, drogi markizie — odparł Gonzaga.

Na skinienie pana domu przyniesiono stół i szachownicę. Od dwóch tygodni, odkąd Gonzaga bawił w zamku Caylus, miała to być sto pięćdziesiąta partia szachów.

W wieku i z urodą księcia ta namiętność do gry w szachy dawała wiele do myślenia. Albo młody człowiek był rzeczywiście zakochany w Aurorze, albo pragnął gorąco, by posag jej znalazł się w jego szkatule. Co dzień więc po obiedzie przynoszono szachownicę i poczciwy Rygiel, fatalny gracz, wygrywał partię za partią. W taki to sposób księżę Gonzaga zabiegał o względy panny de Caylus.

Jak zwykle, gra zaczęła się i tego wieczoru. Przegrawszy pierwszą partię Gonzaga dał znak panu de Peyrolles, który natychmiast rzucił na stół serwetę i wyszedł. Za nim opuścił salę kapelan, a powoli i reszta domowników zaczęła się rozchodzić. Stary Rygiel i Gonzaga zostali sami.

— Panie markizie — rzekł w pewnej chwili Gonzaga wybaczy pan moje roztargnienie, czy mogę zmienić posunięcie?

Przez nieuwagę zrobił taki ruch, że bez trudu wygrałby partię. Markiz dał się trochę prosić, wreszcie wspaniałomyślność zwyciężyła:

— Niech pan zmieni, książę, ale na przyszłość proszę uważać.

Szachy to nie zabawa dla dzieci. — Gonzaga westchnął głęboko. — Tak, tak — ciągnął pocziwiec drwiąco — jesteśmy zakochani.

— Do szaleństwa, panie markizie!

— Znam to, znam, książę. Proszę uważać, biorę pańskiego laufra.

— Nie dokończył mi pan wczoraj historii o szlachcicu, który co noc zakradał się do zamku — powiedział Gonzaga tonem człowieka, który pragnie oddalić przykre myśli.

— Szczwany z pana lis! — wykrzyknął Rygiel. — Chce pan odwrócić moją uwagę od gry, ale jestem jak Cezar, który dyktował jednocześnie pięć listów. On również grywał w szachy. No cóż, szlachcic dostał kilka pchnięć szpada, tam w fosie. Zresztą takie rzeczy zdarzały się kilkakrotnie. Nigdy jednak złe języki nie dotknęły żadnej z pań de Caylus.

— Czy to, co robił mąż, uczyniłby i ojciec? spytał niedbale Gonzaga.

— Naturalnie. Znam tylko jeden sposób, by upilnować córy Ewy... Szach mat, książę, jak mówią Persowie, pobiłem pana. To rzekłszy wyciągnął się wygodnie w fotelu. — Jeśli chodzi o kobiety, niech mi pan wierzy: ostry rapier i mocne mury to najlepsi stróże cnoty!

Przymknął oczy i zasnął. Gonzaga szybko opuścił salę.

O drugiej po południu pan de Peyrolles przechadzał się po korytarzach w oczekiwaniu na swego pana.

— Nasi łotrzykowie w komplecie? — spytał nadchodząc Gonzaga.

— Przybyło sześciu — odpowiedział Peyrolles.

— Gdzie są?

— W oberży „Pod Jabłkiem Adama”, po drugiej stronie fosy.

— Kogo brakuje?

— Fechtmistrzów Cocardasse'a juniora z Tarbes i brata Passepoila.

— Dwie dobre szpady!— zaklął księżę. — A druga sprawa?

— Pani Marta jest obecnie u panny de Caylus.

— Z dzieckiem?

— Z dzieckiem.

— Którędy weszła?

— Przez niskie okno łaźni, wychodzące na fosę pod mostem.

Gonzaga pomyślał chwilę — Pytałeś księdza?

— Milczy jak ściana.

— Ile dawałeś?

— Pięćset pistoli.

— Ta pani Marta musi wiedzieć, gdzie jest kościelny rejestr... Nie powinna opuścić zamku.

— Dobrze.

Gonzaga chodził wielkimi krokami po korytarzu.

— Sam z nią pogadam — mruknął. — Czy jesteś pewien, że kuzyn mój, de Nevers, otrzymał list Aurory?

— Zaniósł go nasz Niemiec.

— I Nevers przybędzie?

— Dziś wieczór.

Znajdowali się właśnie przed drzwiami apartamentu Gonzagi. Pokoje księcia położone były w zachodnim skrzydle, skąd wiodły schody do łaźni. Usłyszawszy szmer, Peyrolles i Gonzaga spieszenie wsunęli się do komnaty, zostawiając uchylone drzwi. Z pokojów panny de Caylus wyszła pani Marta i szybkim krokiem, oglądając się za siebie, podążyła korytarzem. Był jasny dzień, lecz hiszpańska moda poobiedniej sjesty przekroczyła już Pireneje. Wszyscy w zamku spali i pani Marta nie spodziewała się żadnego przykrego spotkania. Gdy mijała drzwi pokojów księcia Gonzagi, Peyrolles wyskoczył z nienacka i chwyciwszy biedną

kobietę, wtłoczył jej w gardło okrzyk przerażenia. Na pół omdlałą, bez trudu uniósł do komnaty swego pana.

II. COCARDASSE I PASSEPOIL

Jeden dosiadał starego roboczego konia o skołtunionej grzywie, koślawych i włochatych nogach, drugi jechał na ośle, modą dawnych kasztelanek, podróżujących niegdyś na grzbiecie wspaniałego rumaka.

Pierwszy niósł się dumnie, mimo że skromny wierzchowiec stąpał z głową smutnie zwieszoną między nogami. Miał kaftan z bawolej skóry, krótkie sukienne spodnie i wspaniałe długie buty, z cholewą rozszerzającą się w kształcie lejka, jakie noszono za czasów Ludwika XIII. Głowę okrywał wielki kapelusz, a u boku zwisał ogromny rapier. Był to Cocardasse junior, rodem z Tuluzy, dawny fechtmistrz ze znanej sali fechtunku w Paryżu, ostatnio osiadły w Tarbes, gdzie kiepsko mu się działo.

Drugi miał wygląd skromny i nieśmiały, strój ubogiego kancelisty: długi czarny kaftan, przypominający krojem sutannę, opadał na czarne wytarte spodnie. Na głowie miał wełnianą czapkę opuszczoną na uszy i — mimo upału — futrzane buciki.

W przeciwieństwie do Cocardasse'a juniora, obdarzonego gęstą kędzierzawą czupryną, czarną jak u Murzyna, do jego skroni lepilo się kilka spłowiałych blond kosmyków. Ten spokojny podróżny był także nauczycielem fechtunku i w razie potrzeby doskonale wywijał długą szpadę, która obijała boki osła. Nazywał się Amable Passepoil, pochodził z Normandii. Przyjaciele nazywali go bratem Passepoil, czy to z powodu klerykalnego wyglądu, czy też dlatego, że nim przypasał szpadę, służył u cyrulika i aptekarza. Był niezwykle brzydki. Mimo to sentymentalny błysk zapalał się w jego małych, niebieskich, mrugających oczkach na widok lada napotkanej spódniczki. Cocardasse, przeciwnie, mógł uchodzić za urodziwego zabijakę.

Tłukli się tak razem w słońcu południa. Koń Cocardasse'a potykał się o każdy kamień, a co kilkanaście kroków kłapouch Passepoila zatrzymywał się zniechęcony.

— Tam, do licha! — rzekł Cocardasse z wyraźnym gaskońskim akcentem — już od dwóch godzin widać ten przeklęty zamek na diabelskiej górze ciągle tak samo daleko. Chyba ucieka przed nami.

— Cierpliwości! — zaśpiewał nosowo Passepoil zgodnie z normandzką wymową — mamy czas, zdążymy do roboty.

— Do licha, bracie Passepoil! — westchnął Cocardasse — żebyśmy się dobrze sprawowali, to dziś, przy naszych zdolnościach, moglibyśmy przebierać w robocie...

— Święta prawda, przyjacielu — przytaknął Normandczyk — zgubiły nas namiętności.

— Wino, hazard...

— I kobiety — dorzucił Passepoil wznosząc w górę oczy.

Rozmawiając tak, jechali brzegiem rzeki Clarabide, środkiem doliny Louron. Przed nimi wznosił się masyw zamczyska Caylus. Widać było ciężką budowlę od fundamentów do szczytów wieżyczek, gdyż od tej strony nie zasłaniały jej mury obronne i widok rzeczywiście przedstawiał się imponująco.

Pod mchem porastającym kamienne podwaliny odgadywało się mury budowane silną ręką rzymskich żołnierzy. Reszta gmachu, w stylu lombardzkim, powstała przypuszczalnie w dziesiątym, jedenastym wieku. Od południa i północo-wschodu dwie wieże, kwadratowe i raczej przysadziste niż wysokie, strzegły głównego budynku. Okna, z których każde znajdowało się nad strzelnicą, były małe, bez ozdób, zakończone u góry łukiem podpartym prostym pilastrem. Jedyłą ozdobę stanowił rodzaj mozaiki: gładko ciosane kamienie przedzielały wystające z muru cegły.

W okolicy mawiano, że zamek był o wiele starszy niż ród hrabiów de Caylus.

Do obu lombardzkich wież dotykały ramiona fosy, niegdyś napełnionej wodą i zamkniętej murami.

Od północy, wśród buków, widać było domy wioski Tarrides, bliżej strzelała w niebo wieżyczka gotyckiej kaplicy z trzynastego wieku, błyszcząc witrażami w wysokich oknach, pokrytych wyciętą w granicie w kształt koniczyny kamienną koronką.

Zamek Caylus był rzeczywiście klejnotem architektury, rzuconym w dolinę Pirenejów. Jednakże ani Cocardasse, ani brat Passepoil nie znali się na sztuce i spojrzenie, jakim obrzucali ponurą twierdzę, mierzyło jedynie odległość dzielącą ich od zamku. Czekало ich przypuszczalnie niebezpieczne zadanie. Niestety, wolno grymasić, gdy jest co jeść, ale z pustym brzuchem i takąż sakiewką nie można przebierać.

— Nigdy nie wezmę do ręki kart ani szklanki wina! — obiecywał Cocardasse.

— Rezygnuję z miłości! — dorzuczał Passepoil.

I obaj snuli piękne marzenia o przyszłych oszczędnościach.

— Kupię konia i ekwipunek i zaciągnę się do kompanii Małego Paryżanina.

— Będę żołnierzem lub pomocnikiem felczera — dodawał Passepoil.

— Nasz Mały! — Nazywałby mnie jeszcze starym Cocardasse'em.

— I śmiałyby się, jak niegdyś, z brata Passepoil.

— Do wszystkich diabłów! — wykrzyknął Gaskończyk uderzając nędznego rumaka — nisko upadliśmy jak na wojaków, ale czuję, że gdyby tu był Mały Paryżanin, poprawiłbym się natychmiast!

Passepoil smutno pokręcił głową.

— Nie wiadomo, czy chciałby się do nas przyznać — rzekł spoglądając na swój nędzny ekwipunek.

— To nic — rzucił Cocardasse — ten chłopiec ma złote serce.

— Co za szpada, jaka szybkość! — westchnął Passepoil.

Ogarnęło ich wzruszenie.

— Do kata! krzyknął Cocardasse. — Gdyby tylko zechciał, służylibyśmy mu, nieprawdaż, Passepoil?

— I wykierowali na wielkiego pana — dokończył Normandczyk.— W ten sposób pieniądze tego de Peyrolles nie przyniosłyby nam nieszczęścia.

Znali dobrze pana de Peyrolles, a jeszcze lepiej księcia Gonzagę. Zanim zaczęli uczyć hreczkosiejów z okolic Tarbes władania bronią, mieli w Paryżu salę fechtunku przy ulicy Croix-des-Petits-Champs, dwa kroki od Luwru. I gdyby nie wspomniane już namiętności do gry i kobiet, być może doszliby do jakiej takiej fortuny, gdyż cały dwór u nich się fechtował.

Opuszczając Tarbes na wezwanie pana de Peyrolles liczyli na swe umiejętności i spodziewali się wyciągnąć korzyści ze swej sztuki.

— Możemy zarobić miliony — mówił Passepoil. — Nevers jest pierwszą szpadą po Małym Paryżaninie i jeśli o niego chodzi, muszą dobrze zapłacić!

Była druga po południu, gdy przybyli do wioski Tarrides i pierwszy napotkany chłop wskazał im oberżę „Pod Jabłkiem Adama”.

Mała niska salka wydawała się prawie pełna. Dziewczyna w czerwonej spódnicy i sznurowanym gorsecie obsługiwała gości, roznosząc dzbany wina, cynowe kubki i ogień do fajek w drewnianym sabocie: wszystko, czego może potrzebować po długiej i uciążliwej drodze sześciu dzielnych zuchów. Ze ścian zwisało sześć mocnych rapierów.

Stół najbliższy drzwi zajmowało trzech Hiszpanów, sądząc po minach. Przy następnym stoliku siedział Włoch, ze szramą przecinającą całą

twarz od czoła do brody, naprzeciw niego łotrzyk z ponurą miną, którego akcent zdradzał Niemca. Przy trzecim widać było zarosłego draba, mówiącego dialektem bretońskim.

Trzej Hiszpanie byli to Saldagne, Pinto i Pepe zwany Matadorem, trzy doskonałe szpady z Murcji, Sewilli i Pampeluny. Włoch, Józef Faenza, pochodził ze Spoleto. Niemiec nazywał się Staupitz, a Bretończyk Joel de Jugan. Zebrał ich pan de Peyrolles, który znał się na ludziach.

Gdy Cocardasse i Passepoil przestąpili próg oberży, sześć zachrypłych głosów powitało ich chóralnym okrzykiem.

Cocardasse przysłonił ręką oczy i rozglądając się zawołał:

— Todos camaradas.

— Sami starzy znajomi — dodał Passepoil nieco drżącym głosem.

Passepoil był z natury tchórzem, którego potrzeba uczyniła zabijaką. Od byle czego dostawał gęsiej skórki, ale bił się jak szatan.

Posypały się powitania; uścisk dłoni tych łotrzyków mógł zmiażdżyć kości. Obejmowano się czule, jedwabne kaftany ocierały się o wytarte sukno i wyłysiały aksamit. W malowniczych strojach zabijaków było wszystko z wyjątkiem czystej bielizny. Widać było wyraźnie, że goście oberży „Pod Jabłkiem Adama” przeżywali niegdyś dobre dni, jednakże słońce dobrobytu zgasło już i siekła ich ta sama zawierucha.

Do przybycia Cocardasse'a i Passepoila sześciu łotrzyków trzymało się grupkami, nie nawiązując znajomości. Jednakże paryscy fecht mistrze znali wszystkie szpady w Europie i dzięki nim lody zostały przełamane: zsunięto stoły, zaczęły gęsto krążyć dzbany wina i według obowiązujących form dokonano prezentacji. Włosy mogły powstać na głowie z przerażenia! Sześć zawieszonych na ścianie rapierów narąbało więcej ciał niż karzący miecz sprawiedliwości razem wziętych katów Francji i Nawarry. Mogli z łatwością utopić się we krwi swych ofiar!

Gdy ugaszono pragnienie i gwar nieco przycichł, Cocardasse zwrócił się do zebranych:

A teraz, moje aniołki, pogadajmy o interesach. Ani brat Passepoil, ani ja nie spodziewaliśmy się zastać tak szanownej kompanii daleko od miasta, daleko od skupiska ludzi, gdzie zazwyczaj próbujecie swych talentów...

— Ojej! — jęknął zbir ze Spoleto — czy znasz jakie miasto, caro mio, gdzie byłaby przyzwoita robota?

Wszyscy ponuro pokiwali głowami, jak ludzie, których cnota nie jest dostatecznie oceniona.

— Czy nie wiesz, dlaczego tu jesteśmy? — spytał Saldagne.

Cocardasse otwierał już usta, by dać odpowiedź, gdy poczuł, że stopa brata Passepoil opiera się na jego bucie. Choć Cocardasse junior był głową spółki, miał jednakże zwyczaj słuchać dobrych rad ostrożnego Normandczyka.

— Zwołano nas... — zaczął.

— Ja was wezwałem — przerwał Staupitz.

— Zazwyczaj my dwaj — dokończył Cocardasse — wystarczamy w takich wypadkach.

— Carajo! — wrzasnął Hiszpan — tam gdzie ja jestem, nie potrzeba innych!

Każdy z obecnych podjął pochwałę swego męstwa, wreszcie Cocardasse zawołał:

— Czyż będziemy się bić z całą armią?

— Z jednym rycerzem odpowiedział Staupitz (był przybocznym pana de Peyrolles).

Gromki wybuch śmiechu przywitał te słowa. Cocardasse i Passepoil śmiali się najgłośniej, ale stopa Normandczyka deptała but Cocardasse'a. Miało to oznaczać: „Pozwól mi działać”.

— Imię tego olbrzyma, co ma walczyć przeciw ośmiu? — spytał Passepoil z niewinną miną.

— Książę Filip de Nevers — odpowiedział Staupitz.

— Mówią, że jest konający! — zawołał Saldagne.

— Astmatyk, suchotnik z sił opadły! — dokończyli inni.

Cocardasse i Passepoil milczeli. Passepoil potrząsnął głową, następnie powoli odsunął szklankę. Gaskończyk uczynił to samo. Ta nagle powaga zadziwiła obecnych.

— Co wam się stało? — padły zewsząd pytania. Cocardasse i Passepoil spojrzeli po sobie, milcząc.

— Co to, u diabła, znaczy? — krzyknął Saldagne.

— Wygląda, jakbyście chcieli wycofać się z gry — dodał Faenza.

— Jesteście blisko prawdy, moje aniołki — odpowiedział poważnie Cocardasse.

Grzmot pytań zagłuszył jego słowa.

— Widzieliśmy w Paryżu Filipa de Nevers — odparł łagodnie Passepoil — przychodził do naszej sali fechtunku. Być może jest umierający, ale ten zdechłak poodrzyna wam kupry!

— Nam! — zawołali obecni, wzruszając pogardliwie ramionami.

— Widzę — zaczął Cocardasse wodząc wzrokiem po zebranych — że nigdy nie słyszeliście o pchnięciu księcia de Nevers.

Wszyscy otworzyli szeroko oczy.

— Bzdury! Nie wierzę w te nadzwyczajne pchnięcia! — wykrzyknął jeden z Hiszpanów.

— Dobre oko, mocne nogi, doskonała szpada, to jest ważne — dodał Bretończyk. — Kpię sobie z niezwykłych pchnięć jak z zeszłorocznego śniegu!

— Do licha! — rzekł z dumą Cocardasse — ja także mam dobre oko i mocne nogi, moi aniołkowie, a jednak pchnięcie księcia de Nevers nie wydaje mi się bzdurą. Dotknął mnie w mojej własnej sali, o tak.

— I mnie — dorzucił Passepoil.

— W sam środek czoła, między oczami, trzy razy z rzędu...

— I mnie trzy razy, między oczami, w sam środek czoła.

— Trzy razy, nie dając odparować ciosu.

Sześciu zbirów słuchało z uwagą, nikt już się nie śmiał.

— W takim razie — powiedział żegnając się Saldagne — to nie pchnięcie, to czary.

— Słusznie, że zebrano nas wszystkich, moi aniołkowie — podjął Cocardasse uroczyście. — Mówiliście o armii; wolałbym mieć z armią do czynienia. Wierzcie mi, jeden tylko człowiek mógłby stawić czoło Filipowi de Nevers ze szpadą w ręku.

— Któż to? — padło pytanie z sześciu ust.

— Mały Paryżanin — odparł Cocardasse.

— To wcielony diabeł! — zawołał Passepoil z entuzjazmem.

— Mały Paryżanin? — pytano. — Jakże on się nazywa?

— Znacie go wszyscy, to kawaler de Lagardere.

Istotnie, imię to nie było obce opryszkom, gdyż zapadło głębokie milczenie.

— Nigdy go nie spotkałem — rzekł wreszcie Saldagne.

— Tym lepiej dla ciebie — odparł Gaskończyk — nie lubi ludzi twego typu.

— Czy to jego nazywają pięknym Lagardere'em? — spytał Pinto.

— Czy to on zabił trzech flamandzkich fechtmistrzów pod murami Senlis? — dodał Faenza zniżając głos.

— Czy to on... — chciał pytać Joel de Jugan, ale Cocardasse przerwał mówiąc z emfazą: — Nie ma dwóch Lagardere'ów!

III. TRZECH FILIPÓW

Jedyne okno parterowej izby oberży wychodziło na pochyłe zbocze porośnięte bukami, zstępujące w głąb zamkowej fosy. Wąska droga wiodła przez las do drewnianego mostu, przerzuconego przez głęboką i bardzo szeroką fosę. Odkąd zwalono mury, w których niegdyś, jak w cembrowinie studni, stała woda, trawa porośnięła dno i zbocze fosy i dwa razy do roku wspinała kośba dostarczała siano do pańskich stajen. Właśnie zakończono drugie sianokosy i z okna oberży widać było, jak chłopcy grabili siano i układali w kopy pod mostem.

Mimo braku wody fosa zamkowa zachowała dawny wygląd i strome ściany. Wiodła do niej jedna tylko droga, którą jeździły wozy z sianem i która łączyła się z drogą przechodzącą pod oknem oberży.

W obronnym wale było wiele strzelnic i jedno wąskie okno, które mogłaby przecisnąć się ludzka istota. Okno to znajdowało się nisko nad ziemią, pod samym mostem, który od dawna już zastępował most zwodzony; zamykała je krata i zewnętrzna okiennica. Tędy wchodziło światło i powietrze do łaźni zamkowej, wielkiej podziemnej sali, która zachowała jeszcze resztki dawnej świetności. W średniowieczu, szczególnie na Południu, urządzano łaźnie z niesłychanym przepychem.

Trzecia godzina biła na wieżowym zegarze, gdy Staupitz, spojrzawszy w okna, krzyknął:

— Jedzie pan de Peyrolles, totumfacki księcia Gonzagi!

Rzeczywiście, od strony zbocza zbliżał się jeździec.

— Dużo było gadania, ale nic nie uradziliśmy — rzekł szybko Passepoil. — Nevers i jego pchnięcie warte worka złota. Czy chcecie

wzbogacić się za jednym zamachem? Jeśli tak, pozwólcie nam działać, memu przyjacielowi i mnie. Cokolwiek byśmy mówili, potakujcie.

— Zgoda! — wrzasnęli zebrani.

W tej chwili wszedł pan de Peyrolles. Passepoil pierwszy zerwał z szacunkiem czapkę. Reszta pokłoniła się nowo przybyłemu. Peyrolles trzymał pod pachą worek z pieniędzmi; rzucił go z brzękiem na stół, mówiąc:

— Macie, zuchy, oto wasza zdobycz! — Następnie policzył ich wzrokiem. — Wszyscy w komplecie, doskonale. A teraz w paru słowach powiem, o co chodzi. — Tu przybrał pozę mówcy. — Dziś, o ósmej wieczór, przybędzie pewien człowiek drogą, która biegnie pod samym oknem oberży. Przywiąże konia do mostowego filaru. Czy widzicie pod mostem okno zasłonięte dębową okiennicą?

— Naturalnie, panie de Peyrolles, nie jesteśmy ślepi — odpowiedział za wszystkich Cocardasse.

— Człowiek podejdzie do okna...

— A my go wtedy zaczepimy?

— Powoli i grzecznie — przerwał Peyrolles ze złowrogim uśmiechem — i tak zarobicie te pieniądze.

— Do licha! — wykrzyknął Cocardasse — ten dobry pan de Peyrolles zawsze potrafi nas rozśmieszyć!

— Czy wszystko jasne?

— Tak, ale chyba pan jeszcze nie wychodzi?

— Spieszno mi — rzekł Peyrolles kierując się do wyjścia.

— Jak to? — krzyknął Gaskończyk — nie powie pan, kogo mamy... zaczepić?

— To nie wasz interes.

Cocardasse mrugnął okiem i szmer niezadowolenia rozległ się w sali.

— Nie powie pan — ciągnął Cocardasse — dla jakiego szlachetnego pana pracujemy?

Peyrolles zatrzymał się, jego długa twarz wyrażała niepokój.

— Co was to obchodzi? — powiedział starając się przybrać wyniosłą minę.

Bardzo nas to obchodzi, drogi panie de Peyrolles.

— Przecież dobrze wam płacę.

— Może nie tak dobrze, jak się panu zdaje.

— Czego chcesz, przyjacielu?

Cocardasse wstał, a z nim reszta zabijaków.

— Do kata, mój aniołku — rzekł Gaskończyk zmieniając ton — mówmy szczerze. Wszyscy my zawodowi fecht mistrze, a co za tym idzie szlachcice. Nasze rapiery — tu uderzył się po boku — chcą wiedzieć, dla kogo pracują.

Obecni przytaknęli. Peyrolles wahał się chwilę.

— Moje zuchy — rzekł wreszcie — jeśli już koniecznie chcecie wiedzieć, łatwo odgadnąć. Czyj to zamek?

— Markiza de Caylus, dobrego pana, którego żony nie mają czasu się zestarzeć. I cóż z tego?

— No więc pracujecie dla pana de Caylus — rzekł dobrodusznie Peyrolles.

— Wierzycie w to? — spytał zuchwale Cocardasse.

— Nie — odparł Passepoil.

— Nie! — wrzasnęła banda.

Zapadłe policzki pana de Peyrolles zaróżowiły się.

— Jak to, łotry?! — krzyknął.

— Powoli — przerwał Gaskończyk. — Moi szlachetni towarzysze sarkają... proszę uważać! Pomówmy spokojnie, jak ludzie dobrze wychowani. Jeżeli wszystko zrozumiałem, sprawa przedstawia się

następująco: doszło do uszu markiza de Caylus, że jakiś szlachcic, młody i piękny, przekradał się od czasu do czasu do zamku, nocą, tym oto oknem. Czy tak?

— Tak — odpowiedział Peyrolles.

— Markiz wie, że córka jego, panna Aurora, kocha tego szlachcica...

— Święta prawda — potwierdził Peyrolles.

— Może dla pana. Ludzie też mogliby w to uwierzyć, ja nie, mam ku temu powody. Nie powiedział pan prawdy, panie de Peyrolles.

— Do diabła, za wiele sobie pozwalasz!

Krzyki zabijaków zagłuszyły jego słowa.

— Mów, Cocardasse, mów!

Gaskończyk nie dał się prosić.

— Ja i moi towarzysze wiemy dobrze, że ten nocny gość to ni mniej, ni więcej, tylko księżę...

— Księżę! — wykrzyknął Peyrolles wzruszając ramionami.

— Filip Lotaryński, księżę de Nevers.

— Wiecie więcej ode mnie — rzekł Peyrolles.

— To nie wszystko, do kata! Jest coś jeszcze, o czym nie wiedzą, być może, moi szlachetni przyjaciele. Panna Aurora de Caylus nie jest kochanką księcia de Nevers.

— Ach! — wykrzyknął Peyrolles.

— Jest jego żoną! — powiedział stanowczo Gaskończyk.

— Skąd wiesz? — wyjąkał poblady Peyrolles.

— Wiem, a skąd, nie twój interes. Wiem coś jeszcze. Przed trzema laty w kaplicy zamkowej zawarli potajemne małżeństwo i jeśli się nie mylę, ty, panie de Peyrolles, i twój szlachetny pan... urwał i skłonił się ironicznie kapeluszem — byliście świadkami.

— Do czego zmierzasz powtarzając plotki? — spytał powiernik Gonzagi.

— Do wykrycia osoby, dla której mamy pracować tej nocy.

— Nevers poślubił córkę wbrew woli ojca, pan de Caylus mści się.

Cóż prostrzego?

— Nic prostrzego, jeśli stary Rygiel zna prawdę. Ale on nie wie o niczym; ty i twój pan byliście dyskretni... Do kata, stary lis nie wypuściłby z rąk najświetniejszej partii we Francji. Wszystko byłoby dobrze, gdyby książę de Nevers powiedział pocziwcowi: „Król Ludwik pragnie mnie ożenić z księżniczką Sabaudzką, a ja potajemnie poślubiłem pańską córkę”. Niestety, biedny młodzieniec przestraszył się groźnej reputacji starego, obawia się o swą żonę, którą kocha do szaleństwa...

— No więc? — przerwał Peyrolles.

— Więc z tego wniosek, że nie pracujemy dla pana de Caylus.

— Jasne! — rzekł Passepoil.

— Jak słońce! — dodał chór.

— Dla kogo więc pracujecie?

— Dla kogo? Do kata, tak, dla kogo? Czy znasz dzieje trzech Filipów? Nie? Opowiem w dwóch słowach. Są to trzej możni panowie. Jeden: Filip Mantuański, książę Gonzagą, twój pan, panie de Peyrolles, zrujnowany magnat, ścigany za długi, który sprzedałby się samemu diabłu; drugi: Filip de Nevers, na którego czekamy; trzeci to bratanek królewski. Wszyscy trzej piękni, młodzi i świetni. Najwierniejsza i najszczerza przyjaźń łączy tych trzech Filipów. Zostawmy teraz królewskiego bratanka, nic tu po nim, a zajmijmy się księciem Gonzagą i panem de Nevers, czyli Phintiasem i Damonem.

— Oskarżasz Damona o chęć zabicia Phintiasa? — krzyknął Peyrolles.

— Skądże — odparł Gaskończyk — starożytny Damon był bogaty, a prawdziwy Phintias nie miał sześciuset tysięcy dochodu.

— Które posiada nasz Phintias — dodał Passepoil — a nasz Damon jest jego przypuszczalnym spadkobiercą.

— Widzi pan, dobry panie de Peyrolles — kończył Cocardasse — to rzecz całą zmienia. Dodam, że prawdziwy Phintias nie miał tak uroczej kochanki jak panna Aurora, a prawdziwy Damon nie kochał się w niej, a raczej w jej posagu. — Cocardasse napełnił szklanę.

— Panowie! Zdrowie Damona, czyli księcia Gonzagi, który jutro odziedziczy sześćset tysięcy dochodu, pannę de Caylus i jej posag, jeżeli Phintias... chcę powiedzieć: Nevers przeniesie się tej nocy na tamten świat!

— Książę Filip Gonzagą jest wyższy ponad podłe oszczerstwa — wyrecytował Peyrolles.

— Siadaj pan, dobry panie de Peyrolles — przerwał Gaskończyk i siłą przygniótł go do stołka — usłyszysz gorsze oszczerstwa. Passepoil!

— Cocardasse! — odpowiedział Normandczyk.

— Twoja kolej, pan de Peyrolles nie chce się poddać.

— Pan de Peyrolles słusznie uważa księcia Gonzagę za szlachetnego człowieka. Dowiedziałem się co prawda pewnych rzeczy i choć nie widzę w tym nic złego, ludzka zawiść sądzi inaczej. Gdy trzech Filipów pędziło w Paryżu wesoły żywot, tak wesoły, że król Ludwik zagroził bratankowi wygnaniem... Działo się to dwa lub trzy lata temu, byłem wtedy na służbie u pewnego włoskiego lekarza, ucznia mędrca Exili, nazwiskiem Piotr Garba.

— Pietro Garba z Gaety! — przerwał Faenza — znałem go, był to podły łajdak!

— Spokojny człowiek — uśmiechnął się łagodnie — brat Passepoil — uchodził za pobożnisia, a uczony jak najgrubsze księgi. Zajmował się przyrządzaniem skutecznych mikstur, które nazywał eliksirem długowieczności.

Zebrani ryknęli śmiechem. Pan de Peyrolles otarł zroszone potem czoło.

— Książę Filip Gonzaga — ciągnął Passepoil — często odwiedzał Piotra Garbę.

— Ciszej! — przerwał konfident jakby mimo woli.

— Głośniej! — wrzasnęli obecni.

Gadanina ta bawiła zgraję, tym bardziej że w perspektywie widzieli podwyższenie zapłaty.

— Przykro mi — ciągnął Passepoil — powtarzać to, co nie podoba się panu de Peyrolles, faktem jednak jest, że książę Gonzaga często bywał u doktora Garby, pewnie, by się czegoś nauczyć. W owym czasie młody pan de Nevers nagle zachorował...

— Kalumnie! — krzyknął Peyrolles. — Podłe kalumnie!

— Czy ja kogo oskarżam? — spytał niewinnie Passepoil.

A gdy konfident Gonzagi przygryzał do krwi wargi, Cocardasse dodał:

— Ten dobry pan de Peyrolles już nie jest taki pewny siebie, o, nie! Peyrolles zerwał się gwałtownie.

— Mam nadzieję, że pozwolicie mi odejść — powiedział z powstrzymywaną wściekłością.

— Naturalnie — odparł śmiejąc się Gaskończyk — ponadto wróci pan do zamku pod eskortą. Pewnie stary Rygiel obudził się już z poobiedniej drzemki, mamy z nim do pogadania.

Peyrolles opadł na stół, twarz jego przybrała zielonawy odcień. Niemiłosierny Cocardasse podał mu szklankę.

— Proszę wypić, to pana wzmocni. Nie chce pan? W takim razie proszę nie przerywać, niech gada Passepoil, mówi lepiej niż niejeden adwokat.

— Zaczęto szeptać: „Biedny książę de Nevers umiera” — podjął Passepoil. Zaniepokoił się dwór, a z nim cały Paryż. Książęta Lotaryńscy

to możny ród. Król pytał o zdrowie, a bratanek królewski był niepokieszony...

— Bardziej niepokieszony był książę Gonzaga — wtrącił Peyrolles.

— Niech Bóg broni, bym miał zaprzeczać! — rzekł Passepoil, którego spokoju nic nie mogło naruszyć. — Myślę, że książę Gonzaga bardzo się martwił, gdyż co wieczór, przebrany za lokaja, przychodził do doktora Garby i powtarzał zniechęcony: „To długo trwa, doktorze, bardzo długo”.

Każdy z zabijaków siedzących w niskiej izbie oberży „Pod Jabłkiem Adama” miał na sumieniu morderstwo, niemniej jednak wszyscy zadrżeli, mróz przeszedł po kościach. Pięść Cocardasse'a opadła na stół, Peyrolles schylił głowę, milcząc.

— Pewnego wieczoru — ciągnął Passepoil zniżając głos — książę Gonzaga przyszedł wcześniej niż zwykle. Garba dotknął jego pulsu; książę miał gorączkę. „Wygrał pan dużo w karty” — rzekł Garba, który znał go dobrze. Gonzaga zaśmiał się i odpowiedział: „Przegrałem dwa tysiące pistołów. — A po chwili dodał: — Nevers był dziś w sali fechtunku, nie ma już siły, by utrzymać szpadę”. „W takim razie — szepnął doktor — to koniec. Może już jutro...” Tymczasem — dodał radośnie Passepoil — nazajutrz królewski bratanek zabrał Neversa do Turenii, a ponieważ nie było tam doktora Garby, Nevers ozdrowiał. Stamtąd ruszyli do Neapolu, po ciepło, po słońce, po życie. Filip Gonzaga kazał memu panu udać się w tamte strony.

Pakowałem bagaże, gdy pewnej nocy pękł alembik i doktor zmarł, gdyż przez chwilę wdychał parę uchodzącą z eliksiru długowieczności! Szczerze go żałowałem. Nevers spędził półtora roku poza granicami Francji. Wrócił nie do poznania: silny, zdrów, kwitnący! Odmłodził o lat dziesięć! Musicie wiedzieć, że po pięknym Lagardrze Nevers jest pierwszą szpadą na świecie.

Passepoil zamilkł, skromnie spuszczał oczy.

— Wtedy księżę Gonzaga wynajął ośmiu fechtistrzów, by go pokonać... Nieźle! — dokończył Cocardasse.

Zapadło milczenie, które przerwał pan de Peyrolles.

— Jaki cel ma ta gadanina? — spytał. — Podwyższenie stawki?

— I to znaczne — odparł Gaskończyk. — Nie można żądać tej samej ceny od ojca, który chce pomścić zbezczeszczony honor córki, i od Damona, który przed czasem pragnie dziedziczyć po Phintiasie.

— Czego chcecie?

— Potroić sumę.

— Dobrze — odparł Peyrolles bez wahania.

— Ponadto chcemy wejść w służbę Gonzagi.

— Dobrze — raz jeszcze powiedział Peyrolles.

— Po trzecie...

— Za wiele żądacie... — zaczął Peyrolles.

— Do kata! — krzyknął Cocardasse. — Uważa, że za wiele żądamy.

— Bądźmy sprawiedliwi — rzekł Passepoil. — Być może, bratanek królewski zechce pomścić przyjaciela, wówczas...

— Wówczas — odparł Peyrolles — przechodzimy granicę, Gonzaga wykupuje dobra w Italii i siedzimy bezpiecznie.

Cocardasse powiódł wzrokiem po swych akolitach.

— Dobiliśmy targu — powiedział.

Peyrolles wyciągnął rękę, ale Gaskończyk trzasnął się po szpadzie wiszącej u boku i rzekł:

— Oto świadek, który odpowie za pana, dobry panie de Peyrolles. Nigdy mnie pan nie oszuka.

— Jeżeli go chybiecie, nic z zapłaty — powiedział Peyrolles od progu.

— To się wie, niech pan śpi spokojnie!

Głośny wybuch śmiechu towarzyszył wyjściu konfidenta Gonzagi, następnie wesołe głosy wrzasnęły: — Wina! Wina!

IV. Mały Paryżanin

Była czwarta, gdy od strony lasu rozległ się tętent kopyt końskich i po chwili pijąca wesoło kompania usłyszała krzyki z fosy; krzyczeli kosiarze, uciekający przed bandą partyzantów, która na prawo i lewo grzmociła płazem szpady. Przybyli po furaz i doprawdy nigdzie nie znaleźliby lepszej paszy.

Fechtmistrze rzucili się do okna oberży.

— Zuchwali hultaje — powiedział Cocardasse.

— Pod samymi oknami markiza de Caylus! — dodał Passepoil.

— Ilu ich tam jest? Trzech, sześciu, ośmiu...

— Tylu, ilu nas.

Partyzanci spokojnie zabierali siano, śmiejąc się i żartując.

Umunduowanie ich było niejednolite; w tym małym szwadronie można było rozpoznać zniszczone uniformy wielu regularnych korpusów: byli dwaj szaserzy, flandryjski kanonier, muszkieter spoza Pirenejów, stary kusznik, pamiętający jeszcze czasy Frondy. Całość sprawiała wrażenie bandy rzezimieszków. Awanturnicy, zwący się dumnie królewskimi wolontariuszami, niewiele więcej byli warci od zwykłych bandytów.

Gdy załadowali siano, brygadier rozejrzał się i wskazując palcem oberżę krzyknął:

Tędy panowie, oto, czego nam potrzeba!

— Brawo! — ryknęła banda.

— Towarzysze — szepnął Cocardasse — radzę przygotować szpady.

W mgnieniu oka zapięto pasy i fechtmistrze rozsiedli się swobodnie przy stołach.

— Hola! — zawołał szef maruderów, wsadzając brodatą twarz w drzwi oberży — sala zajęta, dzieci!

— Trzeba ją opróżnić! — zakrzyknęli postępujący za nim wolontariusze.

— Fora ze dwora! — wrzasnął brygadier. — Tu jest miejsce tylko dla królewskich wolontariuszy!

Odpowiedziało mu milczenie. Ludzie królewscy tłoczyli się w drzwiach.

— Na co czekacie? — spytał bragadier.

Fechtmistrze wstali i skłonili się grzecznie.

— Możecie wyjść przez okno — rzekł flandryjski kanonier, chwytając pełną szklankę Cocardasse'a i podnosząc do ust.

— Nie widzicie, chamy, że potrzebujemy waszych stołów, stołków i dzbanów? — spytał brygadier.

W tej chwili Cocardasse rozbił dzban na głowie kanoniera, a Passepoil trafił ciężkim stołkiem w pierś dowódcy, Carrigue'a. Szesnaście szpad jednocześnie wyrwano z pochew. Wszystko to były solidne zabijaki, do walki szli jak w taniec. Nad szczękiem żelaza górował tenorowy głos Cocardasse'a, zagrzewający towarzyszy. Grupa napastników natarła z okrzykiem: — Naprzód! Lagardere! Lagardere!

Usłyszawszy to, Cocardasse i Passepoil cofnęli się, przedzielając dwie walczące strony ciężkim stołem.

— Do kata! — wrzasnął Gaskończyk — złożyć broń! — A zwracając się do poturbowanych żołnierzy, spytał: — Dlaczego wołaliście Lagardere'a?

— To nasz dowódca — odparł Carrigue.

— Kawaler Henryk de Lagardere?

— Tak.

— Nasz Mały Paryżanin, nasze złotko! — zagruchał Passepoil.

— Chwileczkę — przerwał Cocardasse. — Zostawiliśmy kawalera de Lagardere'a w Paryżu, był szwoleżerem.

— Znudził się służbą — odpowiedział Carrigue. — Nosi dawny mundur, ale dowodzi kompanią królewskich wolontariuszy w tej dolinie.

— Broń do pochew! — krzyknął Cocardasse. — Przyjaciele Lagardere'a są naszymi przyjaciółmi. Wypijmy zdrowie najlepszej szpady!

Królewscy żołnierze skwapliwie usłuchali rozkazu, radzi, że udało im się wyjść cało z opresji.

W izbie było za ciasno, by mogła się zmieścić cała kompania, wyniesiono więc stoły i stołki na trawę i wszyscy ulokowali się wygodnie.

— Mówmy o Lagardrze! — krzyknął Cocardasse. — To ja dałem mu pierwszą lekcję fechtunku. Nie miał wówczas szesnastu lat, ale zapowiadał się wspaniale.

— Dziś ma niewiele więcej niż osiemnaście — odparł Carrigue — i na Boga, spełnił pokładane w nim nadzieje!

— Prawda? — ciągnął ożywiając się Cocardasse. — I zawsze piękny, zawsze dzielny jak lew!

— Zawsze ma szczęście u płci słabej! — westchnął Passepoil rumieniąc się aż po czubki długich uszu.

— Zawsze ten sam wiatrogłów? — pytał Cocardasse.

— Zabijaka, ale jaki dobry dla słabszych!

— Dalej wyrzuca złoto za okno? Do licha, ma wszystkie wady!

— Ale i wszystkie zalety!

— Nieopatrzny szaleniec!

— Ale złote serce!

— Niech żyje Mały Paryżanin! Zdrowie kawalera de Lagardere'a!
Wypili stojąc.

— Do diabła! — zaklął Bretończyk Joel de Jugan stawiając szklanke po spełnieniu toastu — powiedzcie wreszcie, któż to taki, ten wasz Lagardere?

— Mój drogi — odparł Cocardasse — jest równie dobrym szlachcicem, jak sam król, pochodzi zaś z ulicy Croix-des-Petits-Champs. Jeżeli chcesz więcej wiedzieć, nalej wina.

Passepoil napełnił szklanke towarzysza i Cocardasse po chwili namysłu zaczął:

— Nie ma nic cudownego w tej historii. Jak już powiedziałem, jest szlachetniej urodzony niż sam król — nigdy twierdzić tego nie przestanę — choć nikt nie znał jego ojca ani matki. Zobaczyłem go po raz pierwszy przed Palais-Royal; miał dwanaście lat. Bił się z chłopcami starszymi od siebie i brał tęgie cięgi. Młodociani złodziejaskowie chcieli ograbić staruszkę sprzedającą serniki w bramie pałacu Montesquieu. Zapytałem, jak się nazywa. „Mały Lagardere” — odpowiedziano mi. „A jego rodzice?” „Nie ma rodziców”.

„Kto się nim opiekuje?” „Nikt”. „Gdzie mieszka?” „W ruinach starego pałacu Lagardere, na rogu ulicy Świętego Honoriusza”. „Z czego żyje?” „Zarabia w rozmaity sposób: nurkuje pod Nowym Mostem pokazuje sztuki akrobatyczne przed Palais—Royal, „Rzeczywiście, dwa wspaniałe zawody!” Nie wiecie pewnie, — ciągnął Gaskończyk — na czym polega zawód nurka pod Nowym Mostem. Paryscy gapie rzucają z mostu do rzeki srebrne monety, a odważne dzieciaki, dla zarobku, z narażeniem życia wyławiają z Sekwany te pieniądze. To bawi gawieź.

Sztukmistrzów też widzi się wszędzie. Czego ten mały Lagardere nie potrafił z siebie zrobić! Jakby zupełnie nie miał kości; skręcał się i rozkręcał: raz nogi były ramionami, to znów ramiona nogami. Wydaje mi się, że to było wczoraj, gdy malec małpował starego zakrystiana z kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois, który miał garb z przodu i z tyłu.

Bardzo mi się spodobał ten jasnowłosy chłopczyzna o różowych policzkach. Wydarłem go z rąk wrogów i spytałem: „Pójdiesz ze mną?” A on na to: „Nie mogę, muszę pilnować matki Bernard”. Była to stara żebraczka mieszkająca w tych samych ruinach pałacu. Mały Lagardere co wieczór oddawał jej swój dzienny zarobek. Gdy zaprosiłem go do mojej sali fechtunku, oczy mu zabłyśły, ale odrzekł z głębokim westchnieniem: „Przyjdę, jak matka Bernard wyzdrowieje”. I odszedł, a ja zapomniałem o nim. Po trzech latach zjawił się u nas nieśmiały i zakłopotany wyrostek. „Jestem Lagardere, matka Bernard umarła”. Po upływie roku fechtował się lepiej od nas, więc zaciągnął się do wojska. Zdezerterował, gdyż w pojedynku zabił kapitana. Potem poszedł na kampanię niemiecką. Pewnego dnia wyruszył sam jeden, bez rozkazu i przywiódł czterech żołnierzy, powiązanych jak barany. Pan de Villars mianował go chorążym. Zabił w pojedynku pułkownika; pozbawiono go stopnia. Do licha! Co za chłopiec! Ale pan de Villars kochał go, bo i któż by nie kochał Lagardere'a? Wysłał go więc do króla z nowiną o pobiciu księcia Badeńskiego. Zobaczył go książę Andegaweński i uczynił paziem. Wtedy zaczęły się nowe historie. Wszystkie damy żony Delfina potraciły głowy z miłości i wzięły się za czuby. Zwolniono go. Wreszcie los się do niego uśmiechnął, został szwoleżerem. A potem nagle opuścił dwór; nie wiem, kto był powodem, kobieta czy mężczyzna. Jeżeli uczynił to dla kobiety, tym lepiej dla niej, ale jeżeli powodem był mężczyzna — de profundis! — Cocardasse zamilkł i pociągnął ze szklancy.

Słońce zachodziło za drzewa pobliskiego lasu. Carrigue i jego ludzie szykowali się do odwrotu. Zamierzano wypić po raz ostatni, gdy Saldagne spostrzegł chłopca, który spuszczał się do fosy ostrożnie, by go nie zauważono. Był to mały, trzynasto— lub czternastoletni chłopiec z wystraszoną twarzą, w stroju pazia; skórzany pas kuriera otaczał mu biodra. Saldagne pokazał chłopca towarzyszom.

— Do diabła! — zawołał Carrigue — oto zwierzyna, za którą dobrześmy się nauganiali. Wygląda na hiszpańskiego szpiega, trzeba go schwycić.

— Zgoda — odparł Cocardasse, — nie sędzę jednak, by malec był szpiegiem. To pachnie czymś zupełnie innym. Nie obrażając was, nasza to będzie zdobycz.

Podzielili się na dwie grupy i otoczyli chłopca. Gdy malec ujrzał, że jest osaczony, nie starał się uciec, w oczach stanęły mu łzy. Szybko wsunął rękę pod kaftan.

— Szlachetni panowie, nie zabijajcie mnie! Nic nie mam!

Brał całą kompanię za rabusiów, mieli co prawda taki wygląd.

— Nie kłam — rzekł Carrigue. — Dziś rano przeszedłeś góry? Co?

— Góry? Ja? — To mówiąc patrzył na okno pod mostem.

— Do licha! — wtrącił się Cocardasse. — nie mamy zamiaru obłupić cię ze skóry, chłopcze. Komu niesiesz ten miłosny liścik?

— Miłosny liścik? — powtórzył paż.

— Należy go obszukać — zawyrokował Carrigue.

— Szlachetni panowie! — krzyknął chłopiec padając na kolana — nie róbcie mi krzywdy!

— Jak się nazywasz? — spytał Cocardasse.

— Berrichon.

— Komu służysz?

Paż milczał. Goście oberży zaczęli już tracić cierpliwość. Saldagne chwycił malca za kołnierz, pytając groźnie:

— Komu służysz? Mów!

— Czy myślisz, nędzny wymoczku, że mamy czas na zabawę? — spytał Cocardasse. — Obszukajcie go, aniołki, dość tego dobrego.

Paż, dotąd bojaźliwy, wyrwał się z rąk opryszka, wyciągnął mały sztylet, podobny raczej do zabawki, i zanim ktokolwiek mu przeszkodził,

jednym skokiem rzucił się między Faenzę i Staupitza, biegnąc co sił ku wschodniej ścianie fosy. Passepoil kilkoma skokami dopadł pazia, który bronił się dzielnie: skaleczył Saldagne'a, ugryzł Carrigue'a i z całej siły kopnął Staupitza. Walka jednak była nierówna i biedny Berrichon czuł już na swej piersi ciężką rękę brygadiera, gdy piorun padł w grono napastników. Tak, piorun.

Carrigue potoczył się o kilka kroków z nogami w powietrzu; Saldagne okręcił się dookoła siebie i walnął głową o mur obronny; Staupitz jęknął i runął jak powalony byk; nawet Cocardasse fiknął kozła i wylądował na ziemi. Sprawił to jeden człowiek.

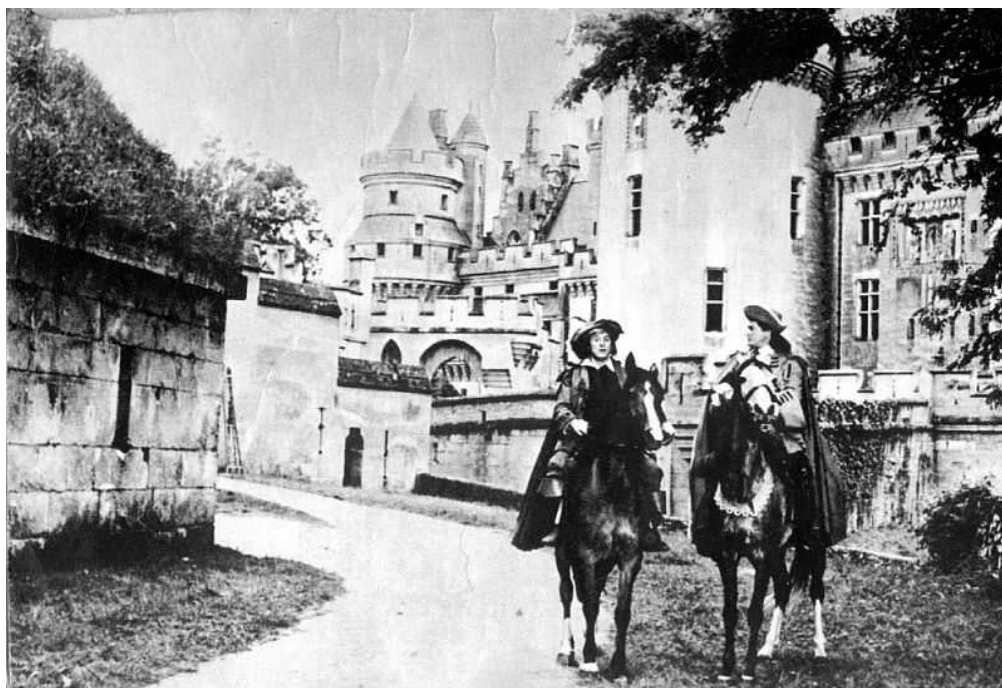
Paź był wolny. Ani jedna szpada nie wysunęła się z pochwy.

— A to szelma! — mruczał Cocardasse podnosząc się i rozcierając boki.

Był wściekły, lecz uśmiechał się pod wąsem.

— Mały Paryżanin! — szepnął Passepoil drżąc ze wzruszenia czy ze strachu.

— Kapitan Lagardere! — królewscy żołnierze z szacunkiem dotknęli kapeluszy.



V. PCHNIĘCIE KSIĘCIA DE NEVERS

Był to Lagardere, piękny Lagardere, zabijaka i pożeracz serc. Miał przed sobą szesnaście szpad wytrawnych fecht mistrzów — szesnastu opryszków przeciwko młodzieńcowi, który stał uśmiechając się, ze skrzyżowanymi rękami. Ale był to Lagardere!

Pełne entuzjazmu słowa Cocardasse'a i Passepoila nie potrafiły odmalować należycie uroku młodości, jaki bił od niego.

Henryk de Lagardere był wzrostu wyższego niż średni, szczupły i zgrabny; czuło się w nim jakąś prężną i pełną wdzięku siłę. Miał jasne, lekko wijące się włosy; wysokie czoło znamionowało inteligencję i szlachetność; czarne brwi i takiż wąsik nad górną wargą oraz czarne roześmiane oczy dziwnie kontrastowały z jasnymi włosami i niezwykle bladą, matową twarzą.

Nosił podniszczony nieco, lecz wytworny mundur królewskiego szwoleżera; okrywał go bogaty aksamitny płaszcz, niedbale zwieszający się z ramienia. Czerwona jedwabna szarfa ze złotą frędzlą wskazywała rangę kapitana. Pod wpływem energicznej interwencji w sprawy bandy ledwie zaróżowiły mu się blade policzki.

— Nie wstyd wam dręczyć dziecko! — rzekł z powagą.

— Kapitanie... — zaczął Carrigue.

— Milcz! Co to za junaki?

Cocardasse i Passepoil stali blisko, z kapeluszami w ręku.

— Ho, ho! — rzekł ujrawszy ich, a twarz mu się wypogodziła — moi opiekunowie! Co, u diabła, robicie z dala od ulicy Croix-des-Petits-Champs?

Wyciągnął rękę gestem władcy podającego końce palców do ucałowania. Cocardasse i Passepoil z nabożeństwem dotknęli ręki, która

nieraz otwarta się dla nich pełna złota; opiekunowie nie mieli powodu skarżyć się na pupila.

— A ci inni? — podjął Lagardere. — Widziałem ich kiedyś. Skąd cię znam? — zwrócił się do Staupitza.

— Z Kolonii — odparł Niemiec zmieszany.

— A wy — ciągnął spoglądając na Saldagne'a i Pinto — zabijaki z Madrytu... dobre szpady!

— Ekscelencjo! — wykrzyknęli Hiszpanie — to był zakład. Nie mamy zwyczaju napadać we dwóch na jednego człowieka.

— Panowie... — przerwał Lagardere — widzę, że prawie z każdym z was kiedyś się spotkałem. A oto zuch, któremu rozplatałem czaszkę.

Joel de Jugan pomacał skroń.

— Znak jest do dzisiaj — mruknął.

— Nie mieliście do mnie szczęścia, moi mili. Zbliź się, dziecko.

Berrichon usłuchał. Cocardasse i Carrigue chcieli wyjaśnić, ale Lagardere nakazał milczenie.

— Co tu robisz? — zwrócił się do chłopca.

— Powiem panu prawdę — odrzekł Berrichon. — Niosę list.

— Do kogo?

Berrichon zawahał się i spojrzeniem pobiegł ku niskiemu oknu zamkowej łaźni.

— Do pana.

— Daj.

Chłopiec wyjął kartkę zza kaftana. Następnie, wspinając się na palce, szepnął do ucha Lagardere'a:

— Mam jeszcze jeden list.

— Dla kogo?

— Dla pewnej damy.

Lagardere rzucił mu sakiewkę.

— Idź — powiedział. — Nikt ci nic nie zrobi. Chłopiec pomknął i znikł wkrótce za zakrętem fosy.

Lagardere rozwinął list.

— Nie tak blisko — rozkazał widząc, że fechtmistrze i wolontariusze otoczyli go ciasnym kołem. — Lubię sam odczytywać moje listy.

Ciekawscy odsunęli się.

— Bravo! — krzyknął Lagardere skończywszy czytanie. — Tego mi było potrzeba! Przyjemny to list, a książę de Nevers grzeczny pan.

— Nevers? — powtórzyli zdumieni fechtmistrze.

— Wina! — zawołał Lagardere podchodząc do stołu. — Jestem w dobrym humorze. Wygnano mnie, opuszczam Francję...

— Wygnano? Jak to? — spyтали zdumieni Cocardasse i Passepoil.

— Znacie wielkiego Belissena?

— Barona Belissena?

— Świętej pamięci barona Belissena — poprawił Lagardere.

— Więc nie żyje? — spytało kilka głosów.

— Zabiłem go. Król uczynił mnie szlachcicem, bym mógł wstąpić do szwoleżerów. Obiecałem, że będę grzeczny jak panienka, i przez sześć miesięcy dotrzymałem słowa. Prawie już o mnie zapomniano, gdy łotr Belissen zaczął zabawiać się kosztem pewnego biednego kadeta z prowincji, żółtodzioba bez jednego włosa na brodzie.

— Zawsze ten sam — rozrzewnił się Passepoil — prawdziwy błędny rycerz!

— Podeszedłem do barona — ciągnął Lagardere — a ponieważ obiecałem Jego Królewskiej Mości, gdy raczył uczynić mnie kawalerem de Lagardere, że nie będę używał obelżywych słów, wytargałem go tylko za uszy, jak to się czyni z niesfornym uczniem. To mu się jednak nie podobało.

— Jasne! — zakrzyknęli słuchacze.

— Zbyt głośno protestował, więc za Arsenalem dałem mu lepszą nauczkę, na którą od dawna zasłużył: pchnięcie prosto w serce. Wart był nagrody za zabicie wilka, ale gdzie tu sprawiedliwość, skazują mnie na wygnanie! Jestem posłuszny rozkazom dworu i wyjeżdżam; świat jest wielki. Zanim jednak przekroczę granicę, chcę zaspokoić dwa kaprysy: pojedynek i miłosne spotkanie. W ten sposób pożegnam piękną Francję.

Fechtmistrze i wolontariusze z zaciekawieniem skupili się wokół kawalera.

— Powiedźcie mi, moje zuchy — podjął Lagardere — czy słyszeliście o pchnięciu księcia de Nevers?

— Do licha! — zawołali obecni.

— Niedawno była o tym mowa — odpowiedział Passepoil.

— A co mówiliście?

— Zdania były podzielone. Jedni utrzymywali, że to bzdura, drudzy twierdzili, że stary mistrz Delapalme sprzedał księciu sekret pewnego pchnięcia, a raczej serii pchnięć... że książę jest zawsze pewien wyniku walki, każdego przeciwnika trafi w sam środek czoła, między oczy.

— A co myślicie o tego rodzaju pchnięciach, wy, znawcy szermierki i mistrzowie szpady?

Ogólne przekonanie było, że wszelkie nadzwyczajne pchnięcia są wierutnym kłamstwem, bajką dla dzieci.

— Tak i ja myślałem — rzekł Lagardere — zanim spotkał mnie zaszczyt skrzyżowania szpady z księciem de Nevers.

— A teraz? — spytano z ciekawością.

— Teraz zmieniłem zdanie. Spać nie mogłem myśląc o tym pchnięciu, poza tym zbyt dużo mówiono o panu de Nevers. Wszędzie słyszałem: Nevers i Nevers. Nevers najpiękniejszy, Nevers najdzielniejszy! Konie Neversa, broń Neversa, dowcipy Neversa, kochanki Neversa... a nade

wszystko pchnięcie Neversa! Do stu diabłów, miałem tego dość!
Pewnego dnia gospodyni podała mi kotlety a la Nevers! Wyrzuciłem półmisek przez okno i wypadłem z domu. Na schodach natknąłem się na szewca, który odnosił mi buty szyte według ostatniej mody, buty a la Nevers. Zbiłem biedaka. Kosztowało mnie to dziesięć ludwików; gdy mu je rzuciłem w twarz, powiedział: „Od pana de Nevers dostałem za to sto pistolów”.

— Tego już za wiele — powiedział poważnie Cocardasse.

— Czuję, że ogarnia mnie szaleństwo — ciągnął Lagardere.

Siadłem na konia i pojechałem pod bramę Luwru, by czekać na pana de Nevers. Gdy zjawił się, zawołałem go po nazwisku.

— „O co chodzi?” — spytał.

— „Mam do pana prośbę, książę, proszę nauczyć mnie swego pchnięcia przy świetle księżyca”.

Spojrzał na mnie jak na wariata.

— „Kim pan jest?” — spytał.

— „Kawaler Henryk de Lagardere odpowiedziałem — z królewskich szwoleżerów, były chorąży z pułku pana de la Ferte, następnie księcia Conti, były kapitan pułku Nawarry, stale degradowany z braku rozumu...”

— „To pana nazywają pięknym Lagardere'em? — przerwał zsiadając z konia — ciągle słyszę o panu, mam tego dość”.

Szliśmy obok siebie w stronę kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois.

— „Jeżeli nie uważa pan, że zbyt niski ze mnie szlachcic, by się ze mną zmierzyć...” zacząłem.

Muszę przyznać, że okazał się czarujący. Zamiast odpowiedzi dotknął mnie rapierem między brwi, tak mocno i niespodziewanie, że padłbym, gdybym nie uskoczył co najmniej na trzy sążnie.

— „Oto moje pchnięcie” — powiedział.

Do licha, podziękowałem mu z całego serca. Cóż innego mogłem zrobić?

— „Proszę o jeszcze jedną lekcję, jeśli łaska” — powiedziałem.

— „Jestem na pańskie usługi”.

Do wszystkich diabłów! Tym razem ukłuł mnie w czoło, mnie, Lagardere'a!

Fechtmistrze zamienili niespokojne spojrzenia. — A jaki był koniec tej przygody?

— Przeszkodziła nam straż nocna. Rozstaliśmy się jak przyjaciele, obiecując sobie nowe spotkanie.

— A co z pchnięciem księcia de Navers? — spytał Cocardasse.

— Przystudiowałem je w ciszy i spokoju; to fraszka.

Fechtmistrze odetchnęli z ulgą. Cocardasse wstał.

— Panie kawalerze — powiedział. — Jeśli zachował pan w pamięci lekcje, które kiedyś panu dawałem, nie odmówi pan mojej prośbie.

— Czego chcesz? — spytał Lagardere.

— Chcę odparł Gaskończyk — aby mnie pan nauczył pchnięcia księcia de Navers.

Lagardere zerwał się.

— Słusznie, to przecież należy do twego zawodu. Stanęli naprzeciwko siebie, ze szpadami w ręku.

Reszta kompanii otoczyła ich ciasnym kołem.

— Do licha, mój stary! — zawołał Lagardere skrzyżowawszy szpadę ze szpadą przeciwnika — bardzoś zniedołężniał! A teraz uważaj! Zaczynij tercją, paruj prima i ripostuj! Wymiń i pchnij między oczy!

— Do stu par beczek! — wrzasnął Cocardasse uskakując w bok. — Zobaczyłem gwiazdy! A jak odparować? — spytał stając w pozycji.

— Bardzo prosto. Widzisz? Tercja! Czekaj na rimesę... dwa razy prima! Wymiń! Aretuj, no i wszystko! — po czym włożył szpadę do pochwy.

— Przyda się — rzekł Cocardasse siadając.

— I to niedługo — odparł Lagardere nalewając wina. Obecni spojrzeli pytająco.

— Mówiłem wam, że ksiązę de Nevers obiecał mi rewanż?

— Tak, ale...

— Musiałem z tym skończyć, nim opuścę Francję. Napisałem do pana de Nevers, który przebywa w okolicy. A oto odpowiedź.

Szmer zdziwienia powitał te słowa.

— Książę jest jak zwykle uroczy — podjął Lagardere. — Gdy będę miał dość walki, gotów jestem pokochać go jak brata. Zgadza się na moje warunki, godzinę spotkania, miejsce...

— Na kiedy spotkanie? — spytał z niepokojem Cocardasse.

— Z zapadnięciem nocy.

— Dziś wieczór?

— Dziś wieczór.

— A miejsce?

— Fosa otaczająca zamek Caylus.

Zapadło milczenie. Passepoil położył palec na ustach. Zabijaki nadrabiali miną.

— Dlaczego fosa? — spytał Cocardasse.

— To inna historia — odparł śmiejąc się Lagardere. — Odkąd mam zaszczyt dowodzić dzielnymi wolontariuszami, dowiedziałem się, chcąc zabić nudę, że markiz de Caylus był doskonałym dozorcą więziennym, przez co zasłużył na wspaniałe przezwisko Rygiel. W ubiegłym miesiącu, podczas uroczystości w Tarbes, ujrzałem jego córkę, Aurorę.

Przepiękna, słowo daję! Po rozmowie więc z panem de Nevers chcę nieco pocieszyć tę uroczą pustelnicę.

— Ma pan klucz od więzienia, kapitanie? — spytał Carrigue wskazując zamek.

— Zdobywałem nie takie fortece! — odparł Lagardere. — Wejść drzwiami, oknem, kominem, ale wejść!

Słońce już dawno skryło się za lasem, noc nadchodziła. W kilku oknach zamku zabłysło światło. Jakiś cień przesunął się w mroku zalegającym fosę. Był to Berrichon, mały paź. Z daleka przesłał obrońcy gest podziękowania.

— Dlaczego nie śmiejecie się, moje zuchy? Czy przygoda nie jest zabawna?

— Zbyt zabawna — odparł Passepoil.

— Chciałbym wiedzieć — spytał z powagą Cocardasse — czy w liście do księcia de Nevers wspomniał pan o panie de Caylus?

— Naturalnie! Musiałem wyjaśnić, dlaczego wybrałem na pojedynek to właśnie miejsce.

Fechtyniście zamienili spojrzenia.

— Co wam się stało? — spytał Lagardere.

— Cieszymy się, że mamy okazję oddać panu usługę — odparł Passepoil.

— Służymy pomocą — dodał Cocardasse.

Lagardere wybuchnął śmiechem.

— Przestanie się pan śmiać, proszę wysłuchać nowiny.

— Jakiej nowiny?

— Nevers nie przyjdzie sam na spotkanie.

— Dlaczego?

— Po pańskim liście to już nie zabawa; jeden z was musi zginąć. Nevers jest mężem panny de Caylus.

Cocardasse mylił się sądząc, że uśmierzy wesołość Lagardere'a. Młody szaleniec trzymał się za boki.

— A to dopiero! — wykrzyknął. Tajemne małżeństwo, jak w hiszpańskim romansie. Jestem zachwycony, nie spodziewałem się podobnej gratki.

— Do licha! — zaklął Passepoil. — Takich ludzi skazywać na wygnanie!



VI. OKNO ZAMKOWEJ ŁAŻNI

Noc zapowiadała się ciemna. Czarna sylwetka zamku lekko rysowała się na niebie.

— Kawalerze — zaczął Cocardasse, gdy Lagardere wstał przypasując szpadę — Bez fałszywego wstydu proszę przyjąć nasze usługi, walka będzie nierówna.

— Do licha, moi mili! — krzyknął Lagardere. — Mam zwyczaj załatwiać swoje sprawy bez pomocy, dobrze o tym wiecie. Ściemnia się, jeszcze jeden łyk i was tu nie ma!

Wolontariusze poszli po konie, lecz fecht mistrze nie ruszyli się z miejsca. Cocardasse odprowadził na bok Lagardere'a.

— Dam się zabić za pana jak pies — rzekł zakłopotany — ale...

— Ale co?

Każdy wykonuje swój zawód. Nie wolno nam opuścić tego miejsca.

— Dlaczego?

— Czekamy na kogoś.

— Doprawdy? A na kogo czekacie?

— Proszę wybaczyć, czekamy na Filipa de Nevers.

Lagardere drgnął.

— No, a czemu czekacie na pana de Nevers?

— Z polecenia pewnego szlachcica...

Nie dokończył. Palce Lagardere'a jak stalowe kleszcze ścisnęły ramię fechtinistrza.

— Zasadzka! — krzyknął młody kapitan. — I śmiesz mnie o tym mówić? Zabraniam, słyszysz, zabraniam dotknąć jednego włosa z głowy pana de Nevers! On do mnie należy. Jeżeli zginie, to z mojej ręki, w uczciwej walce. Póki ja żyję, wam od niego wara! Zrozumiałeś? Inaczej

będziesz miał ze mną do czynienia. Więc dlatego byliście ciekawi pchnięcia pana de Nevers! Boże, i to ja... Carrigue!

Brygadier stawiał się natychmiast; żołnierze, gotowi do drogi, trzymali za uzdy obładowane sianem konie.

— Wstyd pić z takimi opryszkami! — krzyknął Lagardere. — Na koń i galopem! — rozkazał. — Nie jesteście mi potrzebni, sam rozprawię się z tymi łajdakami! A wy — dodał zwracając się do Cocardasse'a i Passepoila — precz stąd, gdyż na Boga, dam wam lekcję fechtunku tym razem na dobre! — To mówiąc wyciągnął szpadę.

— Cóż mamy począć — szepnął Passepoil — jeżeli on chce koniecznie wykonać naszą robotę?

— Do licha, kawalerze! — rzekł Cocardasse, przeżuwając wszelkie znane sobie gaskońskie przekleństwa — nie boimy się i ustępujemy...

— Żeby zrobić panu przyjemność — dodał Passepoil z ukłonem.

— Idźcie do diabła — odpowiedział Lagardere odwracając się do nich plecami.

Wolontariusze odjechali galopem, fechtmistrze znikli za murem oberży.

— Hej, ty! — rzekł Lagardere do służebnej dziewczki — pozamykaj okiennice i zarygluj drzwi. Cokolwiek będzie się działo tej nocy w fosie zamkowej, niech wszyscy w tym domu śpią na oba uszy. To was nic nie obchodzi.

Dziewczyna uczyniła posłusznie, jak rozkazał.

Noc była zupełna, noc bezksiężycowa i bezgwiezdna. Dymiący ogarek zawieszony u wejścia na drewniany most, tuż pod figurą Matki Boskiej, świecił mdłym, żółtawym blaskiem, rozpraszając ciemności najwyżej na dziesięć kroków. Kadłub mostu rzucał cień w głąb fosy.

Lagardere został sam. Tętent koni ścichł w oddaleniu. Dolina Luron pograżyła się w mroku; gdzieniegdzie błyszczało słabe światelko z chaty wieśniaka lub szałas pasterza.

— Ośmiu na jednego, nędznicy! — mruknął Lagardere kierując się ścieżką w głąb fosy. — Morderczy napad, bandyci! — potknął się o rozwalony przez wolontariuszy stóg siana.

Jednego tylko się obawiam — myślał otrzepując płaszcz. — Paż uprzedził Neversa o zasadzce i księżę nie przyjdzie. Do licha, jeśli tak się stanie, jutro zginie ośmiu łajdaków!

Gdy znalazł się pod mostem, wzrok jego powoli zaczął przyzwyczajać się do ciemności. Wolontariusze zbierając siano oczyścili szeroki pas łąki tuż pod niskim oknem zamkowej łaźni. Lagardere spojrzał z zadowoleniem na doskonały teren do walki. Myślał jeszcze o czymś innym; nie poniechał zamiaru zdobycia niepokonanej fortecy.

Stał u stóp wielkiego muru. Zamek wznosił się wysoko nad nim, stromą, wyniosłą masą, most odcinał się czarniejszym łukiem na niebie. Ręka Lagardere'a sunąc po chropawej powierzchni muru, natrafiła na okno zamkowej łaźni.

Raptem usłyszał jakiś dźwięk. Na brzegu fosy rozległy się kroki, którym towarzyszyło pobrzękiwanie ostróg.

No, no — pomyślał — czyżby Cocardasse miał rację i księżę de Nevers zjawia się w asyście?

Kroki ucichły. Mostowa latarnia oświetliła dwie owinięte w długie płaszcze nieruchome postacie. Nieznajomi wzrokiem usiłowali przebić ciemności zalegające dno fosy.

— Nie widzę nikogo — odezwał się cichy głos.

— Jest, tam przy oknie. Drugi głos zawołał ostrożnie: — Cocardasse! Lagardere znieruchomiał.

— Faenza! — zawołał ten sam głos. — To ja... pan de Peyrolles.

Nazwisko tego łajdaka nie jest mi obce — pomyślał Lagardere.

— Passepoil! Staupitz! — zawołał Peyrolles po raz trzeci.

— Może to ktoś obcy? — zaszemrał pierwszy głos.

— Niemożliwe — odparł Peyrolles — kazałem wystawić wartę. To Saldagne, poznaję go... Saldagne!

— Jestem! — odpowiedział Lagardere akcentując z hiszpańska.

— Widzi pan — rzekł Peyrolles — byłem pewien, że to on. Zejdźmy tędy, tu są stopnie...

Do diabła, jeśli nie zagram jakiejś roli w tej komedii! — pomyślał Lagardere.

Dwaj nowo przybyli zeszli do fosy. Towarzysz pana de Peyrolles był postawnym mężczyzną i Lagardere w głosie jego uchwycił jak gdyby lekki włoski akcent.

— Mówmy ciszej — rzekł nieznajomy spuszcżając się w głąb fosy.

— Nie trzeba, książę — odparł Peyrolles.

Dobrze — pomyślał Lagardere — więc to książę.

— Nie trzeba — powtórzył Peyrolles — łobuzy wiedzą, kto im płaci.

Ja nie wiem — pomyślał Lagardere — a chciałbym się dowiedzieć.

— Mimo wysiłków nie udało mi się ich przekonać, że pracują dla markiza de Caylus.

Cenna wskazówka — pomyślał Lagardere. — Jedno jest jasne: to skończone łajdaki.

— Byłeś w kaplicy? — spytał pierwszy głos.

— Przyszedłem za późno — odparł Peyrolles ze skruchą.

Nieznajomy tupnął gniewnie.

— Niezdaro! — wykrzyknął.

— Zrobiłem, co mogłem, panie. Odnalazłem rejestr, w którym ksiądz Bernard zapisał akt ślubny panny de Caylus z księciem de Nevers oraz narodziny ich córki...

— A więc?

— Strony z wyżej wymienionymi aktami zostały wydarte.

Lagardere słuchał wstrzymując oddech.

— Ktoś nas uprzedził, ale kto? — rzekł pierwszy głos. — Czyżby Aurora? Tak, chyba ona: chce tej nocy widzieć się z Neversem i oddać mu dziecko i dokumenty. Pani Marta chyba nie wiedziała o tym, ale ja zgaduję prawdę.

— To nie ma znaczenia — powiedział Peyrolles. — Gdy Nevers zginie...

— Gdy Nevers zginie — przerwał mu pan — jego majątek przypadnie dziecku.

Zapadło milczenie. Lagardere zamienił się w słuch.

— Dziecko... — zaczął Peyrolles.

— Dziecko zniknie — przerwał pan. — Wolałbym uniknąć tej ostateczności, ale nic mnie nie powstrzyma. Co to za człowiek ten Saldagne?

— Łotrzyk gotowy na wszystko.

— Można mu zaufać?

— Tak, jeżeli się dobrze zapłaci.

— Wolałbym nie wtajemniczać nikogo, ale żaden z nas nie jest podobny z postawy do Neverosa.

— Pan jest wyższy, a ja za chudy — odparł Peyrolles.

— Ciemno jak w piekle; ten Saldagne wydaje się tego samego wzrostu co książę. Zawołaj go.

— Saldagne! — krzyknął Peyrolles.

— Jestem — raz jeszcze odpowiedział Lagardere.

— Zbliź się!

Lagardere zbliżył się. Podniósł kołnierz płaszcza, a szerokie skrzydła kapelusza zakrywały mu twarz.

— Chcesz zarobić dodatkowe pięćdziesiąt pistolów? — spytał nieznajomy.

— Pięćdziesiąt pistolów? — powtórzył Lagardere. — Co mam robić?

To mówiąc usiłował dostrzec twarz nieznajomego; towarzysz pana de Peyrolles był jednak dobrze zasłonięty.

— Domyślasz się? — pierwszy głos zapytał pana de Peyrolles.

— Tak.

— I aprobujesz?

— Tak, ale książkę ma hasło.

— Pani Marta powtórzyła mi, to dewiza Neversa.

— Adsum? — spytał Peyrolles.

— Ma zwyczaj mówić po francusku: obecny.

— Obecny! — powtórzył Lagardere.

— Powiesz to cicho pod oknem łaźni — szepnął nieznajomy pochylając się do młodego kapitana. — Otworzy się okiennica i rozsunie krata. Zobaczysz kobietę. Przemówi do ciebie. Ty się nie odzywaj, tylko połóż palec na ustach. Zrozumiałeś?

— Aby pokazać, że nas szpiegują, tak? Zrozumiałem.

— Inteligentny z ciebie chłopiec — mruknął pan, a po chwili dodał: — Kobieta poda ci zawiniątko, weźmiesz je w milczeniu, przyniesiesz do mnie...

A pan wypłaci mi pięćdziesiąt pistolów?

— Tak.

— Jestem na rozkazy.

— Cicho! — szepnął Peyrolles. Zaczęli nasłuchiwać.

— Rozstańmy się— powiedział pan. — Gdzie twoi towarzysze?

— Ukryci w sianie — odparł Lagardere wskazując ciemną otchłań fosy.

— Dobrze; pamiętasz hasło?

— Obecny!

— Życzę szczęścia!

— Dziękuję.

Peyrolles i jego towarzysz oddalili się i wspięli po stopniach wiodących z fosy. Lagardere śledził ich wzrokiem. Czoło miał zroszone potem.

Drogo mnie kosztowało — myślał — by nie wsadzić szpady w brzuch tego nędznika. W godzinę śmierci Bóg policzy mi ten wysiłek. Trzeba wytrwać do końca; muszę wiedzieć prawdę.

Lagardere zapomniał i o pojedynku, i o miłosnej schadzce.

Co robić? — myślał gorączkowo. — Porwać dziecko? Zawiniątko to z pewnością dziecko. Komu je powierzyć? Nie znam nikogo w tej okolicy oprócz moich zuchów. A jednak muszę je mieć, to dziecko, muszę! Zginie, jeśli go nie uratuję, zbrodniarze zabiją je bez litości, jak i ojca. Do licha, przyszedłem tu w zupełnie innych celach!

Wzburzony do najwyższego stopnia, chodził wielkimi krokami między kopami siana. Co chwila spoglądał na niskie okno wychodzące na fosę. Wkrótce posłyszał szmer: ktoś otwierał kratę.

— Adsum? — zaszemrał drżący głos kobiety. Lagardere jednym skokiem przesadził przestrzeń dzielącą go od muru i odpowiedział tuż przy oknie:

— Obecny!

— Bogu dzięki! — westchnęła kobieta. Okiennica otwarła się na oścież.

Noc była ciemna, lecz oczy Lagardere'a dawno przywykły do mroku. W kobiecie wychylonej z okna wyraźnie poznał Aurorę de Caylus, zawsze piękną, choć bladą i pełną przerażenia.

Gdyby ktoś mu teraz przypomniał o jego zamiarach zdobycia tej kobiety, zaprzeczyłby najgoręcej i najszczerzej. Być może, w tej właśnie chwili rodził się w nim nowy człowiek.

— Filipie, gdzie jesteś! Nie widzę cię — odezwała się Aurora.

Lagardere podał jej rękę, którą przycisnęła do serca. Młody człowiek zachwiał się.

— Filipie — podjęła panna de Caylus — czy jesteś pewien, że nikt cię nie śledził? Sprzedano nas, jesteście zdradzeni...

— Nie trać, pani, odwagi — wykrztusił Lagardere.

— Czy to ty, Filipie?! wykrzyknęła, — Boże, tracę głowę, nie poznaję twego głosu!

Jedną ręką trzymała zawiniątko, o którym wspomniał Peyrolles, drugą podniosła do czoła gestem rozpaczony.

— Mam ci tyle do powiedzenia — rzekła — nie wiem, od czego zacząć.

— Nie ma na to czasu — szepnął Lagardere, wstydząc się wdziierać w cudze tajemnice. — Spieszmy się, pani.

— Skąd ten lodowaty ton? Dlaczego nie nazywasz mnie Aurorą? Gniewasz się na mnie?

— Nie traćmy czasu, Auroro, śpieszmy się!

— Jestem ci posłuszna, najdroższy mój Filipie, zawsze będę ci posłuszna! Oto nasze maleństwo, weź ją, przy mnie nie jest już bezpieczna. List mój wszystko ci objaśnił. Coś strasznego knuje się dokoła nas.

Podawała mu dziecko, uśpione i zawinięte w jedwabny kaftan podbity futrem. Lagardere wziął małą nie wymówiwszy słowa.

— Niech raz jeszcze ucałuję moje biedactwo! — szepnęła nieszczęśliwa matka wybuchając łkaniem. — Myślałam, że będę silniejsza. Kto wie, kiedy ją zobaczę!

łyzy nie pozwoliły jej mówić dalej. Po chwili podała mu biały przedmiot.

— Co to jest? — spytał.

— Wiesz przecież... biedny mój Filipie, jesteś równie wzruszony jak ja. To karty wydarte z kaplicznego rejestru, cała przyszłość naszej córeczki!

Lagardere w milczeniu wziął papiery. Obawiał się mówić. Dokumenty znajdowały się w grubej kopercie opatrzonej pieczęcią kaplicy parafialnej w Caylus. Gdy brał je do ręki, przeciągły i płaczliwy dźwięk rogu rozległ się w dolinie.

— To pewnie sygnał! — krzyknęła panna de Caylus. — Uciekaj, Filipie, uciekaj!

— Żegnaj — powiedział Lagardere, do końca grając swą rolę, by nie złamać serca biednej matki. — Bądź spokojna, Auroro, dziecko jest bezpieczne. Pochwyliła jego rękę i przycisnęła do ust.

— Kocham cię — szepnęła przez łyzy, po czym zatrzaskała okiennicę.

VII. DWÓCH PRZECIW DWUDZIESTU

Był to rzeczywiście sygnał. Trzech ludzi zaopatrzonych w pasterskie rogi ustawiono wzdłuż gościńca z Argeles, którym musiał przejeżdżać książę de Nevers udając się do zamku Caylus, wezwany dwoma listami: prośbą żony i wyzwaniem Lagardere'a.

Pierwszy z tych ludzi miał dać sygnał w chwili, gdy książę przejedzie rzeczkę Clarabide; drugi — gdy zagłębi się w las; trzeci — gdy dosięgnie pierwszych domów wioski Tarrides.

Wśród drogi wiele było miejsc dogodnych do popełnienia mordu, lecz Filip Gonzaga nie miał zwyczaju atakować wprost. Pragnął tak wyreżyserować zbrodnię, by wyglądała na zemstę, którą każdy przypisze staremu markizowi de Caylus.

Oto więc piękny Lagardere, zabijaka i pożeracz serc, pierwsza szpada Francji i Nawarry, z dwuletnią dziewczynką na ręku! Trzymał ją niezdarnie i miał jedno tylko pragnienie, by nie obudzić śpiącej.

Drugi sygnał, bliższy i wyraźniejszy, rozległ się w ciszy nocnej przeciągłą nutą.

Lagardere przyglądał się małej Aurorze. Było to śliczne maleństwo, białe i różowe; długie jedwabiste rzęsy, odziedziczone po matce, ocieniały opuszczone powieki. Lagardere nasłuchiwał równego oddechu dziecka, podziwiając spokój tego snu w takiej chwili.

Tak — mówił sobie — powierzono cię temu szaleńcowi Lagardere... Dobrze, by cię ocalić, rozum mu powróci.

Tysiąc szaleńczych myśli przelatywało mu przez głowę, tysiąc czułych słów, które wywołałyby uśmiech na twarzy mężczyzny, a łyzy

rozrzewnienia w oczach każdej matki. Stwierdził ze zdumieniem, że nigdy nie trzymał w ramionach żadnego dziecka!

W tej samej chwili trzeci sygnał zabrzmiał zza chat wioski. Lagardere drgnął i obudził się z zamyślenia. Szybkie kroki rozległy się od strony oberży; widocznie Nevers zostawił konia na skraju lasu. Wysoka sylwetka księcia zarysowała się w mdłym świetle mostowej latarni. Lagardere ujrzał przez sekundę piękną głowę młodzieńca, który schodził właśnie do fosy. Następnie usłyszał szcęk wysuwanej z pochwy szpady i mruknięcie:

— Do licha, przydałoby się dwóch ludzi z pochodniami.

Księżę potknął się o rozsypane siano. Po chwili zawołał:

— Hola, jest tam kto?

— Ja tu jestem — odezwał się Lagardere.

Nevers skierował się żywo w stronę, skąd głos dochodził, mówiąc:

— Do roboty, kawalerze! Proszę wysunąć szpadę, bym wiedział, gdzie pana szukać. Śpieszy mi się.

— Musi mnie pan wysłuchać — odparł Lagardere kołysząc śpiące dziecko.

— Po pańskim liście nie mamy sobie nic do powiedzenia — przerwał niecierpliwie księżę. — Broń się, kawalerze!

Lagardere nie dobył nawet szpady.

— Wysyłając list nie znałem późniejszych wydarzeń.

— No, no — odparł drwiąco księżę — nie lubimy bić się w ciemności, co? — I postąpił krok naprzód.

Lagardere dobył szpady.

— Proszę posłuchać!

— Obrażliwych słów o pannie de Caylus, co? — głos młodego księcia drżał z gniewu.

— Na honor, wszystko panu wyjaśnię! Diabeł nie człowiek! — krzyknął Lagardere odparowując wściekłe ciosy przeciwnika. — Proszę uważać.

Nevers, zaślepiiony gniewem, sądząc, że Lagardere kpi sobie z niego, natarł z całym impetem, otaczając kapitana młyńcem ciosów. Lagardere bronił się, powtarzając:

— Niechże pan posłucha!

— Nie chcę — odpowiedział Nevers akcentując każde przeczenie energiczniejszym natarciem.

Lagardere cofał się ciągle, aż poczuł za plecami mur wałów obronnych. W uszach mu huczało, tętna waliły w skroniach. Doprawdy, tak długo opierać się pokusie i nie ukarać napastnika było prawdziwym bohaterstwem dla młodego kapitana.

— Wysłucha mnie pan? — spytał po raz ostatni.

— Nie! — odparł Nevers.

— Nie mam gdzie się cofnąć — rzekł strapiony.

— Tym lepiej.

— Do wszystkich diabłów! — krzyknął zniecierpliwiony. — Czy mam panu rozplatać czaszkę, by ratować twoje dziecko?

Piorun spadł na młodego księcia, szpada, wysunęła mu się z ręki.

— Moje dziecko? Pan ma moją córkę?

Lagardere owinął dziecko płaszczem i w ciemnościach Nevers sądził, że młody kapitan osłania się lewym ramieniem jak puklerzem. Taki był bowiem zwyczaj. Krew zastygła mu w żyłach, gdy przypomniał sobie, jakimi wściekłymi ciosami zasypał przeciwnika. Przecież mógł...

— Kawalerze! — zawołał — jesteś szaleńcem honoru i odwagi! Gdyby mi powiedziano, że sprzedałeś się markizowi de Caylus, słowo szlacheckie, nigdy bym nie uwierzył.

— Dziękuję — odparł Lagardere dysząc jak koń wyścigowy. — Co za atak! Wywija pan szpadą jak wiatrak.

— Proszę mi oddać córkę.

Książę de Nevers chciał podnieść róg płaszcza okrywającego dziecko, lecz Lagardere uderzył go lekko po ręku.

— Ostrożnie powiedział — obudzi ją pan.

— Chcę wiedzieć...

— Do licha, przed chwilą nie dał mi pan dojść do słowa, a teraz chce wszystko wiedzieć. No, ojczulku, pocałujże swą pociechę, tylko delikatnie.

Nevers pochylił się posłusznie.

— Widział pan kiedyś coś podobnego — spytał Lagardere. — Odpierać atak Neversa, i to Neversa wściekłego z gniewu, bez jednej riposty, ze śpiącym dzieckiem na ręku, i nie obudzić dziecka!

— Na Boga! — jęknął książę.

Lagardere troskliwie otulił małą płaszczem, jak dobra niańka, następnie złożył dziecko na sianie tuż pod mostem, przy obronnym murze.

— Cokolwiek by się stało — rzekł poważnie — życiem moim ręczę za bezpieczeństwo dziecka. Jednocześnie wyznaję ze skruchą, że zawiniłem odzywając się lekko o jego matce; jest to szlachetna, święta kobieta.

— Mówże pan! — krzyknął Nevers. — Widziałeś Aurorę?

— Widziałem.

— Gdzie?

— W tym oknie.

— Dała panu dziecko?

— Sądziła, że daje je panu w opiekę.

— Można stracić głowę!

— Dzieją się tu dziwne rzeczy, książę. Dobrze, że jest pan w bojowym nastroju, wkrótce będzie okazja do walki.

— Napaść? — spytał Nevers.

Lagardere schylił się nagle i przyłożył ucho do ziemi.

— Myślałem, że już idą — szepnął podnosząc się.

— O kim pan mówi?

— O łotrzykach wynajętych, by pana sprzątnąć.

W kilku słowach opowiedział o podsłuchanej rozmowie, o spotkaniu z panem de Peyrolles i z nieznanym, o ukazaniu się w oknie Aurory i o tym, co z tego wynikło.

Nevers słuchał osłupiały.

— I bez trudu zarobiłem pięćdziesiąt pistolów — zakończył Lagardere.

— Ten Peyrolles — powiedział pan de Nevers — to zaufany Filipa Gonzagi, mojego najlepszego przyjaciela, nieomal brata, który obecnie w mojej sprawie bawi w zamku Caylus.

— Nie miałem zaszczytu poznać księcia Gonzagi — odparł Lagardere

— toteż nie wiem, czy to był on.

— On! — wykrzyknął Nevers — niemożliwe! Ten Peyrolles ma twarz zbrojaka, pewnie dał się przekupić staremu markizowi.

— To nie markiz — odparł Lagardere — to młody mężczyzna. Nie traćmy czasu, książę. Kimkolwiek by był ten nędznik, jest on doskonale poinformowany, zna nawet hasło. Dzięki temu udało mi się podejść Aurorę de Caylus. Jakże pana kocha! Pragnąłbym całować ziemię pod jej stopami, by przeprosić za moje szaleństwa... To wszystko, co mam panu do powiedzenia. Aha, jest jeszcze zapieczętowany pakiet, przekazany wraz z dzieckiem; to dokumenty: metryka urodzenia i akt ślubu.

Nevers pochwycił go za rękę.

— Lagardere — powiedział wzruszony — nie znałem pana, ma pan szlachetne serce.

— Ja? — zawołał śmiejąc się Lagardere — mam tylko jedno życzenie: ożenić się jak najszybciej, by mieć takiego aniołka do kochania. Ale cicho! — Znowu przyklęknął. Tym razem nie myłę się — powiedział.

— Gdybym mógł powiadomić Gonzagę, w jakich jestem opałach — rzekł Nevers — mielibyśmy o jedną dobią szpadę więcej do obrony. Lagardere potrząsnął głową.

— Wolałbym Carrigue'a i moich ludzi — powiedział. — Czy przybył pan sam?



— Z małym paziem, Berrichonem.

— Znam go, jest zmyślny i szybki. — Gdyby można było go sprowadzić...

Nevers przyłożył palce do ust i gwizdnął przeciągle. Podobny gwizd odpowiedział od strony oberży.

— Nie wiadomo, czy do nas dojdzie — mruknął Lagardere.

— Przesunie się przez dziurkę od klucza — odparł Nevers.

Po chwili paż ukazał się na szczycie wału.

— Odważny chłopiec! — zawołał Lagardere. — Skacz!

Chłopiec usłuchał i skoczył w objęcia kapitana.

— Śpieszcie się, panowie — rzekł — są już blisko, za chwilę odwrót będzie odcięty.

— Sądziłem, że są w dole — rzekł zdziwiony Lagardere.

— Wszędzie ich pełno.

— Jest ich przecież ośmiu?

— Co najmniej dwudziestu. Gdy zobaczyli, że panów jest dwóch, wezwali do pomocy przemytników z Mialhat.

— No cóż — powiedział Lagardere — ośmiu czy dwudziestu, bez różnicy. Siądziesz na konia; moi ludzie stoją w wiosce Gau. Za pół godziny musisz być z powrotem z odsieczą. Jazda!

Podsadził chłopca, który pomagając sobie rękami, wdrapał się na szczyt wału. Po chwili usłyszeli gwizd z lasu.

— Do diabła! — zawołał Lagardere — utrzymamy się przez pół godziny, trzeba tylko wznieść odpowiednie fortyfikacje.

— Patrz pan — młody książę pokazał jakiś przedmiot błyszczący po drugiej stronie mostu.

— To szpada brata Passepoil, dobrego łotryka, co nigdy nie da zardzewieć swojemu rapierowi. Z nim musi być i Cocardasse. Ci dwaj mnie nie zaatakują. Proszę o pomoc, książę, dopóki mamy jeszcze trochę czasu.

Na dnie fosy, obok porozrzucanych stogów siana, leżały deski, suche gałęzie, drewniane kołki. Był również wóz, na pół naładowany sianem, pozostawiony przez kosiarzy. Książę i Lagardere zaimprovizowali dokoła śpiącego dziecka system barykad, który pozwoliłby trzymać nieprzyjaciela w należytej odległości. Chodziło przecież, by zyskać na czasie nie więcej niż pół godziny.

— Doprawdy, kawalerze — mówił Nevers znosząc gałęzie — chce się pan bić dla mnie?

— I to dobrze, książę! Dla pana troszeczkę, ale dużo dla maleństwa.

— Nigdy tego nie zapomnę. Między nami na śmierć i życie!

Lagardere wyciągnął rękę. Książę uścisnął go serdecznie.

— Bracie — powiedział — jeśli żyć będę, wszystko, co mam, będzie twoje. Jeśli umrę...

— Nie umrze pan, książę! — przerwał Lagardere.

— Jeśli umrę... — powtórzył Nevers.

— Jeśli tak — wykrzyknął Lagardere — przysięgam na zbawienie duszy, że będę jej ojcem!

Uściskali się.

— Do broni! Idą! — szepnął Lagardere.

Głuche jakieś głosy rozległy się w ciemności. Lagardere i książę stali gotowi do odparcia ataku, z gołymi szpadami w prawym ręku, podczas gdy lewe dłonie mieli złączone uściskiem.

Nagle usłyszeli straszny krzyk. Zdawało się, że ciemności ożyły.

Mordercy z wrzaskiem zaatakowali ze wszystkich stron jednocześnie.



VIII. BITWA

Paź mówił prawdę; było ich co najmniej dwudziestu. Pan de Peyrolles spotkał zaczajonych opryszków i zdziwił się ogromnie na widok Saldagne'a.

— Dlaczego nie jesteś na posterunku? — spytał.

— Na jakim posterunku?

— Czyż nie rozmawiałem z tobą w fosie?

— Ze mną?

— Nie obiecałem ci pięćdziesięciu pistolów? — Nastąpiły wyjaśnienia.

Gdy Peyrolles dowiedział się o swej omyłce, gdy poznał nazwisko człowieka, któremu wydał sekret, ogarnęło go przerażenie. Na próżno opryszkowie uspokajali go, że Lagardere znajdował się w fosie, by walczyć z księciem, którego uważał za wroga. Nic nie mogło uspokoić pana de Peyrolles.

Staupitz, Pinto, Matador i Saldagne zostali wysłani na pobór rekruta. Peyrolles postanowił uprzedzić Gonzagę i pilnować Aurory. W owych czasach, szczególnie w okolicach przygranicznych, zawsze znajdowały się jakieś rapiery do wynajęcia. Czterej towarzysze wrócili więc w godnej kompanii.

Któż jednak zdoła opisać rozterkę dwóch przyjaciół, Cocardasse'a i Passepoila. Byli łajdakami, to prawda, zabijali za pieniądze i szpada ich nie różniła się od noża bandyty lub sztyletu najemnego zbira. Jednakże nie mieli w sobie złości; po prostu zarabiali w ten sposób na życie. Ponadto kochali Małego Paryżanina jak własne dziecko. Gdy w takich sercach rodzi się miłość, jest ona mocna i trwała. Dla Lagardere chętnie oddaliby życie, a oto fatalność postawiła ich przeciwko niemu, i do tego bez możliwości odwrotu. Szpady ich należały do pana de Peyrolles,

zapłacił im za to. Uciec więc lub w inny sposób nie dotrzymać umowy było wręcz niehonorowe, a praw honoru przestrzegali jak najściślej.

Godzinę przesiedzieli w milczeniu, ciężko wzdychając. Od czasu do czasu spoglądali na siebie smutnie. Gdy zbirowie poszli do ataku, uścisnęli sobie dłonie, a Passepoil powiedział:

— No cóż, postaramy się, żeby było jak, najlepiej.

— Niemożliwe, bracie Passepoil, niemożliwe — westchnął Cocardasse. — Rób tak jak ja.

To mówiąc wyjął z kieszeni stalową gałkę i nadział na koniec szpady, jak to było w zwyczaju w ich dawnej sali fechtunku. Passepoil uczynił to sarno. Obydwaj odetchnęli.

Napastnicy podzielili się na trzy grupy. Pierwsza obeszła fosę, by zaatakować od zachodu; druga stała na moście; trzecia, pod wodzą Saldagne'a, miała nacierać wprost. Lagardere i księżę wyraźnie widzieli napastników spuszcających się po stopniach w głąb fosy.

— Uwaga! — rzekł Lagardere — stójmy do siebie plecami. Dziecku nic nie grozi. Przyjdzie nam dobrze wywijać szpadą! Uprzedzam pana, księżę, że znają pchnięcie księcia de Nevers; gotowi przypomnieć je panu. I to ja — warknął wściekle — popełniłem to głupstwo, ja sam pokazałem, na czym sekret polega!

Pierwszy atak. był straszliwy. Napastnicy rzucili się naprzód z pochyloną głową, krzyząc:

— Na Neversa! Na Neversa!

Barykada, wzniesiona pośpiesznie przez napadniętych, okazała się niezmiernie przydatna. Napastnicy, nie spodziewając się przeszkody, potykali się i przewracali o nagromadzone deski, siano, suche gałęzie. Tylko kilku dotarło do oblężonych, odnosząc dotkliwe rany. Gdy opryszkowie zaczęli się cofać, oblężeni przystąpili do ataku i rozpoczęli ofensywę.

— Obecny! Obecny! — z hasłem Neversa rzucili się na wrogów.

Lagardere dokazywał cudów, rżnąc, bijąc, siekąc, roztrzaskując czaszki głownią szpady. Jednym z pierwszych, którzy padli pod jego ciosami, był Niemiec Staupitz.

Nevers nie ustępował przyjacielowi: Matador i Joel de Jugan upadli ciężko ranieni jego ręką. Gdy siekł Joela, ujrzał dwa cienie sunące wzdłuż muru w kierunku mostu.

— Do mnie, kawalerze! — zawołał zawracając pośpiesznie.

Obecny! Obecny!

Lagardere zdążył jeszcze natrzeć na Pinto, któremu odtąd pozostało tylko jedno ucho.

Dwa cienie znikły. Głęboka cisza zapanowała w fosie. Atak trwał kwadrans.

— Proszę odpocząć, książę — rzekł Lagardere. — Opryszki nie zostawią pana długo w spokoju. Czy pan ranny?

— Drobnostka.

— Gdzie?

— W czoło.

Lagardere zacisnął pięści. Był to rezultat jego lekcji.

Po kilku minutach bandyci natarli znowu, tym razem koncentrując wszystkie siły.

— Nadeszła godzina ciężkiej walki, książę — rzekł półgłosem Lagardere — proszę uważać na siebie, ja pilnuję dziecka!

Milczące koło wrogów zaciskało się dokoła nich coraz ciaśniej. Dziesięć szpad wysunęło się do przodu.

— Obecny! — zawołał Lagardere dając susa w sam środek napastników.

Matador krzyknął i padł na ciała dwóch towarzyszy.

Bandyci cofnęli się. Następujący za nimi kamraci krzyczeli ciągle:

— Na Neversa! Na Neversa!

— Obecny, towarzysze, obecny! — odpowiadał Nevers rozgrzany walką.

I za każdym razem szpada jego wracała ociekająca krwią. Dwaj oblężeni walczyli wspaniale. Kosili napastników jak trawę. Wkrótce oczyścili plac przed sobą.

Za kratą niskiego okna łaźni dwóch ludzi nasłuchiwało odgłosów bitwy. Byli to Peyrolles i jego pan; okryci zimnym potem, drżeli z przerażenia.

— Łotry — mówił pan. — Za mało ich dziesięciu na jednego! Czyż mam pójść na pomoc?

— Proszę uważać, książę.

— Żaden z nich dwóch nie może zostać przy życiu! — rzekł pan.

Lagardere i książę de Nevers oczekiwali lada chwila odsieczy. Lagardere nie miał nawet zadrapania, Nevers tylko draśnięcie na czole. Obaj mogli jeszcze machać szpadą co najmniej godzinę. Zaczęła ich upajać gorączka tryumfu. Co jakiś czas oddalali się od siebie, by zaczepić któregoś z napastników. W takiej chwili sytuacja ich stawała się naprawdę groźna. Nie zdawali sobie sprawy, że otaczający ich szerokim kołem pas trupów i rannych działał na korzyść wroga: ta pierwsza fala atakujących miała na celu wyczerpać siły oblężonych. Fechtmistrze stali z boku, z wyjątkiem zemdlonego Staupitza, oczekując na swoją kolej.

— Rozdzielmy ich — powiedzieli sobie — a jeśli są z krwi i z ciała, muszą paść.

Manewr polegał na tym, by jak najdalej odciągnąć jednego z walczących, podczas gdy drugi zostanie przyparty do muru. Joel de Jugan, dwa razy ranny, Faenza, Cocardasse i Passepoil mieli zająć się Lagardere'em, trzech Hiszpanów — Neversem.

Cocardasse i Passepoil trzymali się w tyle. Joel i Włoch oberwali po szturchańcu, a Lagardere przejechał szpadą po twarzy Matadora nacierającego na księcia. Młody kapitan w mgnieniu oka zmiotł przeciwników i znalazł się pod przeciwległą ścianą fosy.

Księżę natomiast natknął się na mur z żelaza. Nie prosił o pomoc, pracował szpadą doskonale i trzech Hiszpanie uwijali się, z trudem naddążając odparowywać jego ciosy. Pinto i Saldagne byli już ranni.

Nagle krata zamykająca okno zamkowej łaźni rozsunęła się cicho. Nevers znajdował się zaledwie o trzy sążnie od muru, lecz ogłuszony szczękiem żelaza, nie usłyszał skrzypu otwieranej okiennicy. Dwóch ludzi wskoczyło do fosy. Nevers, pochłonięty walką, nic nie zauważył. Obaj mieli w ręku obnażone szpady. Twarz wyższego zakrywała maska.

— Zwycięstwo! — krzyknął Lagardere oczyściwszy teren przed sobą.

Odpowiedział mu krzyk agonii. Jeden z nowo przybyłych, wyższy, z zamaskowaną twarzą, pchnął z tyłu księcia de Nevers i przeszył go szpadą. Młody człowiek padł. Cios zadany był tak zwany modą włoską, to znaczy uczenie i tak trafnie jak przy operacji chirurgicznej. Następne ciosy były już niepotrzebne.

Padając Nevers obrócił się twarzą do mordercy; gdy konający wzrok księcia napotkał człowieka w masce, straszliwy ból wykrzywił jego rysy. Księżyc w ostatniej kwadrze wznosił się właśnie nad wieżyczkami zamku i słabe jego światło rozproszyło ciemności.

— Ty! Więc to ty! — szepnął umierający. — Ty, Gonzaga, mój przyjaciel, za którego w potrzebie oddałbym sto razy życie!

— Wystarczy raz — odparł zimno człowiek w masce. Głowa księcia, bez kropli krwi, opadła na ziemię.

— Nie żyje — rzekł Gonzaga. — Teraz do drugiego.

Drugi sam zbliżał się do mordercy. Gdy Lagardere usłyszał przedśmiertny krzyk młodego księcia, ryk wydobył się z jego piersi.

Rzucił się jak lew w stronę przyjaciela, kładąc dwóch przeciwników, którzy zagradzali mu drogę. Gdy dopadł umierającego, Nevers podniósł głowę i gasnącym głosem wyszeptał:

— Pamiętaj, bracie, i pomścij mnie!



— Przysięgam na Boga! — krzyknął Lagardere. — Wszyscy tu obecni zginą z mojej ręki!

W tej chwili spod mostu dobiegło kwilenie dziecka; szczęśliwie w zgiełku walki nikt nie usłyszał głosu sieroty.

— Bić go! — krzyknął człowiek w masce.

— Ciebie jeszcze nie znam — powiedział Lagardere podnosząc się z kolan. — Przysięgłem i odnajdę cię, gdy nadejdzie godzina.

Między człowiekiem w masce i Lagardere'em stało pięciu fechtmistrzów i Peyrolles, ale nie zaczęli ataku. Lagardere chwycił wiązkę siana i posługując się nią jak tarczą, natarł na przeciwników. Wkrótce od mordercy księcia de Nevers dzielili go tylko Saldagne i Peyrolles. Szpada Lagardere'a wsunęła się między dwóch bandytów i cięła rękę Gonzagi.

— Naznaczyłem cię! — krzyknął cofając się młody kapitan.

On jeden usłyszał słaby płacz dziecka. W trzech susach znalazł się pod mostem. Księżyc przesunął się właśnie nad wieżyczkami zamku i wszyscy ujrzeli, że podnosi z ziemi zawiniątko.

— Brać go! — powtórzył Gonzaga dusząc się z wściekłości. — To córka Neversa! Za wszelką cenę brać córkę Neversa!

Lagardere trzymał już dziecko w ramionach. Fechtmistrze odstępowali z minami obitych psów. Cocardasse umyślnie zniechęcał towarzyszy, mrużąc:

— Szatan, wykończy nas, jak amen w pacierzu!

Aby dotrzeć do stopni wiodących z fosy, Lagardere szedł wywijając szpadą.

— Z drogi, łajdaki!

Rozstąpili się bez słowa. Lagardere przebiegł schody i jednym skokiem znalazł się na górze. Z daleka dobiegał tętent galopującej odsieczy. Księżyc oświetlił piękną twarz młodego kapitana, który wysoko podniósł dziecko.

— Tak! — krzyknął. — Oto córka Neversa! Chodź tu po nią, zbrodniarzu, tchórze, który uderzasz w plecy! Kimkolwiek jesteś, ręka twoja zachowa mój znak. Poznam cię, a gdy nadejdzie czas, jeśli ty nie przyjdiesz do Lagardere'a, to Lagardere cię poszuka!



PAŁAC
KSIAŻĄT DE NEVERS

I. ZŁOTY DOM

Minęły dwa lata od śmierci Ludwika XIV. Jeszcze za życia starego króla zgasły dwa pokolenia dziedziców korony: zmarli Delfin i książę Burgundii. Na tronie Francji zasiadł prawnuk królewski, Ludwik XV, dziecko jeszcze.

Za panowania wielkiego stryja Filip Orleański jak starożytny Brutus udawał błązna, choć czynił to w innym celu. Zaledwie na progu śmiertelnej komnaty rozległ się okrzyk: „Król umarł, niech żyje król!”, Filip zrzucił maskę. Rada regencyjna ustanowiona przez Ludwika XIV rozpadła się w proch: zostawszy regentem książę Orleański nie potrzebował doradców. I mimo gwałtu, jaki podnieśli członkowie królewskiej rodziny, mimo spisku Cellamare'a, który książę Filip stłumił, jak na wielkiego polityka przystało, regencja była epoką spokoju. Dziwna to epoka, gdy Bogiem było złoto, a uczyty nie miały końca.

Był wrzesień 1717 roku. Minęło dziewiętnaście lat od poprzednio opisanych wydarzeń. Założyciel banku Luizjany, syn złotnika, Jan Law, znajdował się u szczytu powodzenia i potęgi. Wprowadzenie banknotów, założenie banku i Towarzystwa Zachodniego, które wkrótce przemianowano na Towarzystwo Indyjskie, uczyniły z pana Lawa prawdziwego ministra finansów Francji, mimo że pan d'Argenson piastował tekę.

Regent, którego głęboką przenikliwość i wybitną inteligencję osłabiło początkowe wychowanie i późniejsze ekscesy, dał się złapać na lep tego

finansowego mirażu. Law nie potrzebował złota, by jak twierdził — wszystko zamienić w złoto.

Nadeszła więc chwila, gdy bogaty jak Midas spekulant mógł zostać bez chleba, choć kufry miał wypchane papierem wartości miliona.

We wrześniu 1717 roku nowe akcje Towarzystwa Indyjskiego, zwane „Córkami” dla odróżnienia od dawniejszych „Matek”, sprzedawano z premią pięciuset od sta. „Wnuczki”, wypuszczone kilka dni później, miały równe powodzenie. Jednakże po paru latach setka tych dumnych niegdyś świstków warta była tylko trzy franki. Używano ich na papiloty i niejedna modnisia z głową w lokach ukrywała pod nocnym czepkiem pięćset lub sześćset tysięcy.

Był chłodny jesienny ranek. Gromada stolarzy i cieśli, z narzędziami na ramieniu, podążała ulicą Świętego Dionizego. Rzemieślnicy skręcali w małą uliczkę Saint-Magloire, gdzie naprzeciwko kościoła otwierał się wspaniały, bogato rzeźbiony portal pałacu, ujęty w zębate mury ogrodzenia. Przez główną bramę robotnicy wchodzili na brukowany dziedziniec, otoczony z trzech stron szlachetnymi w rysunku budowlami. Był to dawny pałac książąt Lotaryńskich, który od czasów Ludwika XIII nosił nazwę pałacu książąt de Nevers. Obecnie zwano go pałacem Gonzagi, gdyż zamieszkiwał w nim Filip Mantuański, książę Gonzaga.

Po regencie i panu Lawie był to bezsprzecznie najbogatszy i najbardziej wpływowy człowiek we Francji. Korzystał z majątku rodziny de Nevers jako krewny i domniemany spadkobierca oraz jako mąż wdowy po ostatnim potomku tego rodu, panny Aurory de Caylus. Dzięki małżeństwu posiadał olbrzymią fortunę starego markiza, który śladem dwóch żon przeniósł się do wieczności.

Od osiemnastu lat wdowa po księciu de Nevers nosiła nazwisko Gonzagi. Przez ten cały czas ani na jeden dzień nie zdjęła żałoby. Zniewolona przez ojca, poszła do ślubu w żałobnej sukni. Gdy w wieczór

weselny Gonzaga zjawił się w jej sypialni, pokazała mu drzwi, kierując jednocześnie sztylet ku swej piersi. — Żyję dla córki księcia de Nevers — powiedziała lecz ludzkie poświęcenie ma swoje granice. Jeden krok, a zginę!

Gonzaga potrzebował żony, by wejść w posiadanie spadku po starym markizie, skłonił się więc głęboko i opuścił komnatę.

Od tego wieczoru księżna ani jednym słowem nie odezwała się do małżonka. Gonzaga okazywał żonie najwyższy szacunek, był nadskakujący, nawet serdeczny. Ona jednak pozostała zimna i milcząca. Co dzień w godzinie posiłków Gonzaga wysyłał marszałka dworu do księżnej. Nie siadłby inaczej do stołu; był prawdziwie wielkim panem. Co dzień pierwsza pokojowa księżnej odpowiadała niezmiennie, że pani jest cierpiąca i nie opuszcza sypialni. Powtarzało się to przez osiemnaście lat, trzysta sześćdziesiąt pięć razy w roku.

Gonzaga często mówił o żonie w jak najczulszych słowach. Lubił na przykład takie zwroty: „Właśnie wspomniała mi księżna...” lub: „Mówiłem już księżnej...” Nie oszukał jednak nikogo, choć wszyscy udawali, że wierzą w dobre stosunki między małżonkami.

Gonzaga odznaczał się zimną krwią, odwagą i zręcznością. W manierach miał nieco teatralną godność, właściwą ludziom jego kraju; kłamał z bezczelnością bliską bohaterstwa i choć był najbardziej bezwstydnym rozpustnikiem dworu, każde jego słowo wymówione publicznie cechowała surowa przyzwoitość. Regent nazywał go najlepszym przyjacielem, a wysiłki, jakich nie szczędził, by odnaleźć córkę nieszczęśliwego księcia de Nevers, trzeciego Filipa, przyjaciela regenta z lat dziecinnych, zjednały mu wszystkie serca. Dziecka jednak nie udało się odszukać; póki więc nie stwierdzono zgonu dziedziczki, Gonzaga pozostawał opiekunem dziewczynki, która przypuszczalnie już

nie żyła. Z tego tytułu korzystał z dochodów, jakie przynosiła olbrzymia fortuna książąt de Nevers.

Śmierć dziecka uczyniłaby go spadkobiercą księcia Filipa. Wdowa jednak, mimo że uległa ojcowskiej presji i poślubiła Gonzagę, okazała się nieugięta, gdy w grę wchodziły interesy córki. Wychodząc za mąż wyjawiała, że jest wdową po księciu Filipie, i w intercyzie zaznaczyła urodzenie dziecka. Gonzaga musiał zgodzić się na wszystko. Od osiemnastu lat każde z małżonków na własną rękę prowadziło poszukiwania, choć różnymi kierowali się pobudkami. Wysiłki ich pozostawały jednak bezowocne.

Gonzaga zapragnął wreszcie położyć kres niejasnej sytuacji i zwołać radę familijną, by uporządkować sprawy majątkowe. Chwilowo jednak zajmowały go rozliczne interesy.

Wszyscy ci rzemieślnicy, murarze i ślusarze, stolarze i cieśle, byli tu z jego rozkazu: mieli przewrócić do góry nogami magnacką siedzibę. Pałac rodziny de Nevers należał do najwspanialszych w Paryżu. Sam Gonzaga jeszcze go upiększył i wewnątrz, odświeżone z całą znajomością sztuki, przedstawiało szereg bogato urządzonych salonów. Gonzaga znał się na rzeczy, był artystą, a duma jego nie iniała granic. Aby więc zakłócić harmonię otoczonego arkadami dziedzińca, trzeba było nie lada przyczyny.

Podczas pewnej wesołej kolacji regent zezwolił księciu de Carignan założyć w swoim domu biuro agenta giełdowego. Gonzaga pozazdrościł łatwego sposobu zarobienia pieniędzy. Regent więc, przy następnej kolacji, przyznał przyjacielowi monopol wymiany akcji na towary. Był to królewski podarunek, który obdarowanemu miał przynieść góry złota.

Należało przygotować pomieszczenie dla kupców i na towary. Nazajutrz zjawiała się armia robotników, a pierwszą ofiarą padł ogród.

Posągi zajmowały miejsce, a nie przynosiły dochodu — usunięto posągi. Drzewa nie płaciły za zajmowaną przestrzeń — zwalono więc drzewa.

Z okna pierwszego piętra kobieta w żałobie przyglądała się dziełu zniszczenia. Była piękna, lecz tak blada, że robotnicy porównywali ją do widma. Długo tak stała. Tuż przed jej oknem rósł odwieczny wiąz, gdzie co rano śpiewały gromady ptaków. Gdy wiąz padł pod toporem, kobieta w żałobie zasunęła ciemne draperie. Więcej jej nie widziano.

Znikły cieniste ogrodowe aleje, znikły klomby krzewów różanych, znikły marmurowe wazy pełne kwiecica. Drzewa ścięto, wydarto z ziemi krzaki róż, a marmurowe wazy wrzucono między rupiecie. Wszystko to zajmowało miejsce, a miejsce warte było wiele złota. Gorączka ażio mogła zaprowadzić daleko i każda z łóż budowanych przez Gonzagę miała przynieść kolosalny dochód. Wszyscy chcieli grać na giełdzie i za najmniejszą drewnianą klitkę na dziedzińcu pałacu płacono jak za książęcą rezydencję.

Osobom, które dziwiły się dokonywanemu zniszczeniu, Gonzaga odpowiadał:

— Za pięć lat będę miał dwa lub trzy miliardy. Kupię wówczas Tuilerie od Jego Królewskiej Mości Ludwika XV, który choć król, będzie zrujnowany.

Owego wrześniowego ranka dzieło zniszczenia było prawie dokonane. Trzy piętra pozbijanych z desek klatek otaczały główny dziedziniec pałacu. Westybule przemieniono na biura, a murarze kończyli właśnie zabudowę ogrodu. Tłum kupców i spekulantów zalegał dziedziniec. Dziś miało nastąpić otwarcie kantorów Złotego Domu, jak już nazywano pałac Gonzagi.

Każdy wchodził, jak chciał, przez główną bramę. Cały parter i pierwsze piętro, z wyjątkiem apartamentów księżnej, przygotowano na przyjęcie kupców i towarów. Ostry zapach świeżo heblowanego drzewa

napełniał powietrze, uszy raził stuk młotów. Lokaje biegali nie wiedząc, kogo słuchać, a klienci tracili głowy w tym rozgardiaszu.

U głównego wejścia, otoczony tłumem kupców, stał szlachcic, ubrany w jedwab, aksamit i koronki, z pierścieniami na palcach i złotym łańcuchem na szyi. Był to pan de Peyrolles, powiernik, doradca i faktotum księcia. Mało się postarzał. Był jak zawsze chudy, przygarbiony, o żółtej cerze, a wystraszone oczy krótkowidza potrzebowały okularów. Miał swych pochlebców, gdyż Gonzaga dobrze go opłacał.

Okolo dziewiątej rano, gdy ruch panujący na dziedzińcu trochę się uspokoił, w bramie ukazali się dwaj ludzie, których wygląd w niczym nie przypominał finansistów. Choć każdy, kto chciał, mógł wejść na dziedziniec, przybysze mieli niepewne miny. Obaj nosili przy boku długie szpady i na milę poznać w nich można było zabijaków.

Wmieszali się w tłum, jeden rozpychając łokciami stojących na drodze, drugi wślizgując się jak kot między grupki. Pierwszy nosił kapelusz bez denka, opuszczony nisko na oczy, kaftan z bawolej skóry i spodnie, których koloru nie sposób było odgadnąć. Długi rapier podnosił wystrzępiony brzeg płaszcza, godnego don Cezara de Bazan. Widać było, że przybywa z Madrytu.

Drugi, nieśmiały, z pokorną miną, o blond włosach, które przykrywał pozbawiony brzegów kapelusz, podobny kształtem do gasidła, miał stary kubrak spięty rzemykami, łatanie spodnie i dziurawe buty. Zawadiacko zawieszona szpada objęła chude łydki.

Przeszedłszy dziedziniec, prawie jednocześnie znaleźli się u drzwi westybulu.

Oto biedak — pomyślał każdy z nich mierząc spojrzeniem przeciwnika — który z pewnością nie kupi Złotego Domu.

II. DWA UPIORY

Obaj mieli rację.

Na progu stanął dumny lokaj z impertynencką miną. Nie wpuszczą tego nędzarza — pomyśleli jednocześnie przybysze.

Nieznajomy w kapeluszu bez denka pierwszy dopadł lokaja.

— Czego pan sobie życzy? — spytał fagas.

— Przychodzę kupować, hultaju! — odparł przybysz i wyprostował się dumnie, z ręką na gardzie rapiera.

— Kupować? Co?

— Co mi się spodoba, łajdaku! Przypatrz mi się dobrze. Jestem przyjacielem twego pana i nie brak mi, do licha, pieniędzy!

Uchwycił lokaja za ucho, okręcił nim dokoła i przeszedł dodając:

— Do diabła, to chyba widać!

Lokaj, okręciwszy się na pięcie, znalazł się naprzeciwko drugiego przybysza, który zdjął z ukłonem kapelusz z okrojonym rondem.

— Przyjacielu — rzekł ów człowiek poufnym tonem — jestem bliskim znajomym księcia; przychodzę w interesach... finansowych.

Oszołomiony lokaj przepuścił go bez słowa. Obaj nieznajomi znaleźli się na przeciwległych krańcach sali i dopiero wówczas spostrzegli swoją tu obecność.

Do licha — wzruszył ramionami pierwszy. — Nie do wiary! Wpuszczono tego biedaka? Co za mina! I wybuchnął śmiechem.

Na honor! — pomyślał drugi. — Kpi ze mnie czy co?

Ostatecznie — myślał pierwszy jesteśmy na targowisku i może tu wejść każdy, kto ma pieniądze. Ten obwieś mógł zakatrupić bogatego poborcę i ma pełne kieszenie złota. Warto nawiązać znajomość.

Kto wie — rozmyślał drugi. — Spotkać tu można różne typy. Habit nie czyni mnicha. Może temu opryszkowi trafiła się nie lada gratka i kieszenie oberwanego kubraka kryją nowiutkie pistole? A gdyby tak poznać się... — Powoli zbliżał się do nieznanego.

— Panie .. — skłonił się do ziemi.

— Panie... — sztywno odkłonił się nieznanym. Wyprostowali się jednocześnie. Śpiewny akcent pierwszego i nosowa wymowa drugiego zwróciły ich uwagę.

— Do licha! — wykrzyknął pierwszy — to chyba ten łajdak Passepoil!

— Cocardasse! Cocardasse junior! — zawołał Normandczyk. —

Tyżeś to?

— Ja sam, z krwi i kości, uściskaj mnie, aniołku.

I Passepoil padł w otwarte ramiona dawnego towarzysza. Tak złączeni, stanowili prawdziwą kupę łachmanów. Ich wzruszenie było szczere i głębokie.

— No, dosyć tego — rzekł wreszcie Cocardasse. — Powiedz coś, niech usłyszę twój głos.

— Dziewiętnaście lat rozłąki! — westchnął Passepoil ocierając oczy rękawem.

— Dziewiętnaście lat — zawtórował Gaskończyk. — Byliśmy wtedy młodzi!

Spojrzeli na siebie badawczo.

— Słuchaj, Cocardasse — zaczął Passepoil — lata jakoś wcale cię nie upiększyły.

— Szczerze powiem, mój stary — odparł Gaskończyk — przykro mi, ale jesteś brzydszy niż kiedykolwiek.

— Za to — dodał Passepoil — zachowałeś wspaniałą postawę; widząc cię przed chwilą, mówiłem sobie: Do licha, oto szlachcic całą gębą!

— Jak ty, mój stary — przerwał Cocardasse. — Skoro cię ujrzałem, pomyślałem: No, no, bardzo elegancki kawaler, jaka pańska mina!

Passepoil skromnie spuścił oczy.

— Co się z tobą działo, mój gołąbku, po tych wydarzeniach?

— Po wydarzeniach w fosie zamku Caylus? — spytał Passepoil zniżając głos. — Nie mów o tym, mam ciągle przed oczami pałający wzrok Małego Paryżanina.

— Jakże on walczył!

— Ośmiu położył trupem!

— Nie licząc rannych.

— Lawina ciosów! Przyjemnie było patrzeć. I gdybyśmy postąpili jak prawdziwi ludzie, gdybyśmy rzucili w twarz panu de Peyrolles pieniądze, gdybyśmy stanęli obok Lagardere'a, Nevers żyłby, a my opływalibyśmy we wszystko!

— Tak — westchnął ciężko Passepoil. — Tak powinniśmy byli postąpić.

— Co się stało, to się nie odstanie — rzekł sentencjonalnie Cocardasse. — Nie wiem, jak ci się wiodło, ale ja nie zaznałem szczęścia. Gdy żołnierze Carrigue'a ruszyli do ataku, wycofałem się do zamku. Ciebie nie mogłem odszukać. Peyrolles nie dotrzymał obietnicy i nazajutrz kazał opuścić Caylus, mówiąc, że nasza obecność wzbudziłaby podejrzenia. Trochę nam zapłacił i odjechaliśmy. Przekroczyłem granicę rozpytując wszędzie o ciebie. I nic! Najpierw osiadłem w Pampelunie, potem w Burgos, następnie w Salamance. W końcu udałem się do Madrytu...

— Ładny kraj.

— Ładny, ale jak i w Italii, sztylet cenią wyżej niż szpadę; inaczej czułbym się jak w raju. Z Madrytu pociągnąłem do Toledo, z Toledo do Ciudad-Real.

Wreszcie, znudzony Kastylią, gdzie miałem na pieńku z alkadami, przenieśliem się do Walencji. Zakosztowałem dobrego wina, do licha! Musiałem uciekać, gdyż pomogłem pewnemu uczoneму pozbyć się krewniaka. Katalonia też niczego... Na drogach między Tortozą, Tarragoną a Barceloną co krok spotykasz szlachcica... Cóż, kiedy mają oni puste sakiewki i długie rapiery. W końcu przekroczyłem Pireneje bez grosza w kieszeni. Wzywał mnie głos ojczyzny. Ot i cała moja historia, gołąbeczku. A co u ciebie?

— Mnie ścigali ludzie Carrigue'a do Bagneres-de-Luchon. Ja również postanowiłem uciec do Hiszpanii. Natknąłem się jednak na pewnego benedyktyna, który ujrawszy mą skromną minę, przyjął mnie do służby. Udawał się do miasta Kehl nad Renem, by podjąć spadek w imieniu klasztoru. Wydaje mi się, że odjechałem zabierając kufer mnicha i, być może, pieniądze.

— Łajdaku! — rzucił rozrzewniony Cocardasse.

— Znalazłem się w Niemczech. Co za podły kraj! Mówiłeś o sztylcie, ale to przynajmniej stal. W Niemczech biją się kuflami piwa. Żona oberżysty w Moguncji okradła mnie z dukatów benedyktyna. Była ładna i zakochana! Tak jak ty, jeździłem od miasta do miasta, a wszędzie równiny i okropna nuda, surowe mięso i piwo zamiast wina. Zwiedziłem Kolonię, Frankfurt, Wiedeń, Berlin, Monachium i wiele innych miast, ciemnych i ponurych. Potem, jak ty, zatęskniłem za Francją i wróciłem.

— Nie ma jak Francja! — wykrzyknął Cocardasse.

— Szlachetny kraj!

— Ojczyzna wina!

— Mój kochany — zaczął po chwili Passepoil — czy tylko puste kieszenie i miłość ojczyzny zmusiły cię do powrotu?

— A ty, czy wiodła cię tylko tęsknota za krajem?

Passepoil potrząsnął głową, a Cocardasse spuścił wzrok.

— Było jeszcze coś innego — powiedział. — Pewnego wieczoru na zakręcie ulicy natknąłem się... zgadnij, na kogo?

— Zgaduję — odparł Passepoil. — Z tego samego powodu opuściłem Brukselę, i to z pośpiechem.

— Ujrzawszy go — ciągnął Cocardasse — zrozumiałem, że powietrze Katalonii bardzo dla mnie niezdrowe. Do licha, to nie wstyd uciekać przed Lagardere'em.

— Wstyd, nie wstyd, ale tak nakazuje ostrożność. Czy znasz dzieje naszych towarzyszy z fosy zamku Caylus?

Passepoil zadał to pytanie zniżonym głosem.

— Tak — odparł Gaskończyk. — Znam. Lagardere powiedział: „Zginiecie wszyscy z mojej ręki!”

— Prawda. Było nas dziewięciu, licząc i kapitana Lorrain, dowódcę przemytników.

— Dziewięć dobrych szpad — rzekł zamyślony Cocardasse. — Tam, w fosie, podnieśli się wszyscy: pokrajani, porąbani, pokrwawieni, ale żywi.

— Z tych dziewięciu Staupitz i kapitan Lorrain poszli na pierwszy ogień. Król hiszpański powierzył dowództwo pułku kapitanowi Lorrain. Staupitz, choć z wyglądu nieokrzesianiec, pochodził z dobrej rodziny. Zginął pod murami swego zamku, koło Norymbergii; ostrze szpady trafiło go tu, między oczy! — Passepoil dotknął palcem czoła.

— Kapitan Lorrain — dodał Cocardasse — zginął w Neapolu od ciosu szpadą między brwi. Do licha, dla tych, co wiedzą i pamiętają, to jakby piętno mściciela!

— Inni zrobili karierę — podjął Passepoil. — Nas tylko ominęła hojność księcia Gonzagi. Pinto poślubił pewną damę z Turynu, Matador założył akademię fechtunku w Szkocji, a Joel de Jugan kupił w Bretanii majątek.

— Tak, tak — odparł Cocardasse — byli spokojni i bogaci. Ale Pinta zabito w Turynie, a Matador zginął w Glasgow.

— Joel de Jugan został zabity w Morlaix — dodał Passepoil. —
Wszyscy zginęli w ten sam sposób!

— Do diabła, pchnięcie księcia de Nevers!

— Tak, straszliwe pchnięcie księcia de Nevers.

Zapadło milczenie. Cocardasse podniósł sfatygowany kapelusz, by
otrzeć pot z czoła.

— Został jeszcze Faenza — powiedział po chwili.

— I Saldagne — dodał Passepoil.

— Gonzaga dużo dla nich zrobił. Faenza jest kawalerem.

— A Saldagne został baronem. I na nich przyjdzie kolej.

— Wcześniej czy później, ale przyjdzie — szepnął Gaskończyk — tak
samo jak na nas!

— I na nas też! — powtórzył drżąc Passepoil.

— Do licha! — wykrzyknął Cocardasse prostując się — gdy mnie już
położy z dziurą między brwiami, bo wiem, że nikt mu się nie oprze,
powiem jak niegdyś: „Ha, mój mały, podaj mi tylko rękę i żebym umarł
spokojnie, przebacz staremu Cocardasse'owi". Do diabła, tak to i będzie!

— Poproszę go o wybaczenie — rzekł krzywiąc się Passepoil — ale
trochę wcześniej.

— Doskonale, mój gołąbku! Tymczasem Lagardere jest na wygnaniu i
nie ma go we Francji; przynajmniej w Paryżu możemy być spokojni.

— Spokojni! — powtórzył niepewnie Normandczyk.

— Tak, jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie najtrudniej byłoby go
spotkać. Dlatego tu przybyłem.

— Ja również.

— A także, by przypomnieć się księciu Gonzadze.

— Ostatecznie jest nam coś winien.

— Saldagne i Faenza udzielą nam poparcia.

— Aż do czasu, gdy i my staniemy się wielkimi panami.

— Gdy przyszedłem do domu Faenzy, lokaj powiedział: „Pan kawaler nie przyjmuje”. Pan kawaler! — powtórzył Cocardasse wzruszając ramionami. — Nie przyjmuje! Był czas, gdy robił, co mu kazałem.

— Kiedy stanąłem u drzwi Saldagne'a — dodał Passepoil — wspaniały lokaj zmierzył mnie bezczelnie od stóp do głów i rzekł: „Pana barona nie ma w domu”.

— Słuchaj — wykrzyknął Cocardasse — gdy dorobimy się lokai, chcę, aby mój fagas był równie zuchwały jak katowski pacholek!

— Ach — westchnął Passepoil — gdybym miał kiedy choć gospodynię!

— Będziesz miał. Jeśli dobrze zrozumiałem, nie widziałeś jeszcze pana de Peyrolles?

— Nie; zwrócę się do samego księcia.

— Mówią, że dorobił się milionowej fortuny.

— Ma miliardy! Dom jego przecież nazywają złotym. Nie jestem dumny i chętnie zostanę finansistą.

— Fe! Ty, mistrz szpady, finansistą? Chyba że zrobisz fortunę, gołąbeczku...

— Wszystko możliwe, dzieją się tu cuda. Czy słyszałeś o garbusku z ulicy Quincampoix...?

— O tym, co wynajmuje garb żyrantom?

— Mówią, że w ciągu dwóch lat zarobił na tym interesie półtora miliona.

— Niemożliwe! — zawołał Gaskończyk wybuchając śmiechem.

— Tym możliwe, że ma podobno poślubić hrabinę.

— Półtora miliona! — powtórzył Cocardasse — i to przez zwykły garb! Do licha!

— Tak, przyjacielu, straciliśmy najpiękniejsze lata, ale i teraz można coś niecoś zarobić.

— Ciekaw jestem — powiedział Cocardasse — ile może być warta dobra szpada, co? To mówiąc stanął w pozycji, wysuwając prawą stopę.

— Cicho — szepnął Passepoil — ktoś nadchodzi. — A schylając się do ucha dawnego towarzysza, dodał: — Wydaje mi się, że ten towar ma i dziś jeszcze dobrą cenę. Nim minie godzina, mam nadzieję usłyszeć to z ust samego księcia Gonzagi.

III. LICYTACJA

Sala, w której rozmawiali, znajdowała się w środku głównego budynku. Okna, przysłonięte ciężkimi flamandzkimi draperiami, wychodziły na wąski pas trawnika zamknięty sztachetą, zwany odtąd pompatycznie „prywatnym ogrodem księżnej”.

W odróżnieniu od innych części parteru i pierwszego piętra nic tu jeszcze nie uległo zmianie. Był to wystawny salon, umeblowany z książęcym przepychem, a pokryta tureckim dywanem estrada, naprzeciw olbrzymiego kominka z czarnego marmuru, upodabniała tę komnatę do sali sądowej. Nie lada zamieszanie musiało panować w pałacu, jeśli dawni towarzysze znaleźli się w tym salonie.

Był to ostatni dzień świetności dawnej balowej sali. Dziś jeszcze miało się tu odbyć uroczyste zebranie rodzinne i dopiero nazajutrz rozkazano cieślom instalować kantory.

— Jeszcze słówko o Lagarderze — rzekł szybko Cocardasse, gdy umilkł odgłos zbliżających vsię kroków. — Czy był sam, gdy spotkałeś go w Brukseli?

— Nie — odparł Passepoil. — A gdy widziałeś go w Barcelonie?

— Także nie był sam.

— Z kim był?

— Z młodą dziewczyną.

— Ładną?

— Piękną.

— To dziwne. Gdy spotkałem go we Flandrii, była z nim również bardzo piękna młoda dziewczyna. Czy przypominasz sobie twarz tej dziewczyny, jej strój, postać?

— Tak — odparł Cocardasse — pamiętam. Miała twarz, wygląd i strój hiszpańskiej Cyganki. A ty kogo widziałeś?

— Śliczną skromną panienkę szlacheckiego rodu.

— Dziwne — rzekł z kolei Cocardasse. — Ile mogła mieć lat?

Tyle, ile miałoby dziś dziecko.

— Ta druga była w tym samym wieku. Tak, mój gołąbeczku, teraz każdy niech czeka na swoją kolej: po nas, po kawalerze Faenza i po baronie de Saldagne są jeszcze pan de Peyrolles i księżę Gonzaga. O nich zapomnieliśmy.

— Ten zobaczy, kto dożyje! — ledwie zdążył wyszeptać Passepoil, gdy otworzyły się drzwi i wszedł wygalowany lokaj z dwoma robotnikami. Nie spojrzał nawet w stronę przyjaciół, którzy wśliznęli się w głęboką framugę okna.

— Prędko — rzekł lokaj — wymierzcie, co potrzeba, wszędzie ma być cztery stopy kwadratowe.

Robotnicy zabrali się żwawo do roboty. Jeden przykładał miarę do podłogi, drugi kredą znaczył linie, według których miano nazajutrz wzniesć drewniane przepierzenia oddzielające poszczególne kantory, i wypisywał numer porządkowy. Pierwszym numerem było 927.

— Co oni robią, u diabła? — spytał szeptem Gaskończyk.

— Jak to, nie wiesz? — odparł Passepoil. — Na oznaczonych liniach wzniosą ścianki, a numery wskazują, że w domu księcia Gonzagi jest już prawie tysiąc kantorków.

— Do czegoż one służą? — Do robienia złota.

Cocardasse szeroko otworzył oczy, a Passepoil cierpliwie tłumaczył znaczenie wspaniałego podarunku regenta. Robotnicy mierzyli pisząc numery. Lokaj dyktował:

— 935, 936, 937. Hola, nie tak szeroko! Nie zapominajcie, że najmniejszy kawałek jest na wagę złota.

— Święty Boże! — westchnął Cocardasse.

— Numer 941 — powiedział lokaj.

— Zostało tylko dwie i pół stopy — rzekł jeden z robotników. —
Niedobrze.

— Dla chudzielca wystarczy — zauważył szeptem Cocardasse.

— Natychmiast po zebraniu przyślecie tu stolarzy.

— Trzeba się dowiedzieć, co to za zebranie — odszepnął Passepoil.

Po wyjściu służby od strony westybulu dał się słyszeć gwar licznych
głosów. Można było odróżnić słowa:

— Ja pierwszy, jestem już zapisany! Ja pierwszy!

— Spokój, na Boga, proszę zachować spokój! — zawołał rozkazujący
głos na progu sali.

— Pan de Peyrolles — szepnął Passepoil. — Nie pokazujmy się.

Głębiej wsunęli się we framugę, okrywając grubą firanką. Pan de
Peyrolles wchodził do sali otoczony podnieconym tłumem klientów.
Ubrany był niezwykle bogato. Na suchych rękach, wyłaniających się z
piany koronek, połyskiwały diamenty.

— Panowie! — zaczął, strącając ziarnka hiszpańskiej tabaki z
cennych koronek żabotu. — Więcej godności! Czyżby namiętność
zysku...?

Uczył przy tym wspaniały gest, który omal nie wywołał oklasków
ukrytych za firanką fechtmistrzów. Zgromadzeni w sali kupcy
zareagowali inaczej.

— Ja byłem pierwszy! Ja! Ja! — krzyczano zewsząd.

— Panowie! — zawołał Peyrolles. — Proszę o chwilę ciszy.
Reprezentuję osobę księcia Gonzagi, jestem jego intendentem. Widzę
gdzieniegdzie przykryte głowy.

Kapelusze opadły jak na komendę.

— Nareszcie — zaczął Peyrolles. — Chcę wam coś zakomunikować.

— Cicho! Cicho! — zaszemrano w tłumie.

— Kantory w tej sali będą gotowe jutro.

— Brawo!

— Jest to jedyna sala, jaka pozostała, ostatnie miejsca, z wyjątkiem prywatnych apartamentów księcia i księżnej.

— Ja pierwszy! Ja byłem zapisany! Nie dam się oszukać —
zagrzmiało ze wszystkich stron.

Tłum runął do środka, tratując się wśród wrzasku i przekleństw. Cocardasse i Passepoil wysunęli głowy, by lepiej widzieć zamieszanie, gdy nagle ukryte za estradą drzwi otwarły się na oścież.

— Gonzaga! — mruknął Gaskończyk.

— Miliarder! — dodał Passepoil.

I obaj odkryli głowy. Na estradzie ukazał się Gonzaga w towarzystwie dwóch młodych paniczów. Był zawsze piękny, mimo że zbliżał się już do pięćdziesiątki. Wysoka postać zachowała giętkość młodości, na czole nie było ani jednej zmarszczki. Na aksamitny kołnierz czarnego fraka opadały pukle kruczych lśniących włosów.

Wytworność stroju w niczym nie przypominała elegancji intendenta. Koronki żabotu warte były pięćdziesiąt tysięcy, a ponad milion diamenty zdobiące wspaniały łańcuch, którego tylko jedno ogniwo wysuwało się zza białej kamizelki.

Towarzyszący mu młodzieńcy byli to markiz de Chaverny, kuzyn księcia de Nevers, i pan de Navailles, uroczy młodzi ludzie, ubrani w jedwab i aksamit, o trochę zniewieściałej urodzie, pudrowanych głowach i muszkach zdobiących policzki. Mimo wczesnej godziny humor mieli doskonały dzięki kilku szklankom szampana. Na widok rozgorączkowanego tłumu wybuchnęli śmiechem.

— Panowie! — zawołał Peyrolles zdejmując kapelusz — trochę szacunku dla księcia!

Tłum, gotów do bójki, znieruchomiał jakby na skutek czarów. Nabywcy kantorków pochylili się w ukłonie. Gonzaga kiwnął niedbale ręką i postępując naprzód, rzekł:

— Śpiesz się, Peyrolles, potrzebuję tej sali.

— Rozgrzani są do białości — szepnął Peyrolles podchodząc do księcia. — Zapłacą, ile zażądamy.

— Licytacja! — krzyknął Chaverny. — To dopiero zabawa!

Myśl ta spodobała się księciu, gdyż spytał:

— A jaka cena wywoławcza?

— Pięćset franków za miesiąc — odparł Navailles.

— Tysiąc za tydzień — poprawił Chaverny.

— Niech będzie półtora — sprostował Gonzaga. — No, Peyrolles, zaczynamy.

— Panowie! — krzyknął totumfacki księcia — są to już ostatnie miejsca, i to najlepsze... Dostanie ten, kto da więcej. Numer 927 — półtora tysiąca franków.

Tłum zaszemrał, ale nie znalazł się ani jeden nabywca.

— Do licha, kuzynie! — powiedział Chaverny — zaraz ci pomogę. — I wystąpił na środek sali.

— Dwa tysiące! — krzyknął.

Ludzie spoglądali na siebie skonsternowani.

— Dwa tysiące pięćset! — zawołał Navailles.

— Trzy tysiące! — zabrzmiał zduszony głos grubego kupca.

— Przyznane — rzekł Peyrolles pośpiesznie.

Gonzaga rzucił mu wściekłe spojrzenie.

— Numer 928 — podjął intendent.

— Cztery tysiące — powiedział niedbale Gonzaga.

— Pięć tysięcy!

— Sześć!

— Przyznane — rzekł Peyrolles. — Numer 929... — i pod wpływem wzroku Gonzagi dodał: — dziesięć tysięcy!

— Za cztery stopy kwadratowe! — szepnął ze zgrozą Passepoil.

— Dwie trzecie mogiły — dodał poważnie Cocardasse.

Licytacja toczyła się dalej, z coraz większą zajadłością. Walczono dosłownie o każdy numer, ludzi ogarnęło szaleństwo. Gdy za kantor 930 Gonzaga zażądał piętnastu tysięcy, nikogo to nie zdziwiło. Płacono naturalnie gotówką, nowiutkim złotem lub banknotami.

Jeden z sekretarzy pana de Peyrolles przyjmował pieniądze, drugi zapisywał nazwiska nabywców. Chaverny i Navailles przestali się śmiać, pełni byli podziwu.

— Tak, panowie, Francja to piękny kraj — rzekł Gonzaga z drwiącym uśmiechem. — Czas kończyć, reszta jest po dwadzieścia tysięcy.

— Prawie darmo! — krzyknął Chaverny.

Zamieszanie wzrosło, złoto płynęło strugą po stopniach estrady służącej za kontuar. Przyjemnie było patrzeć, z jaką radością opróżniano wypchane kieszenie.

Wrzask wzmagął się, ludzie tracili przytomność. Przy ostatnich numerach na parkiet połała się krew. Ostatni kącik, numer 942, o niepełnych wymiarach dwóch i pół stóp, zakupiono za dwadzieścia osiem tysięcy.

— Panowie — rzekł Peyrolles zamykając karnet — licytacja skończona.

W tej samej chwili w drzwiach westybulu ukazał się strojny tłum dworaków, przybyłych złożyć księciu uszanowanie. Zatrzymali się w progu, niezdecydowani.

— Proszę, proszę, panowie — powiedział Gonzaga — zaraz pozbędziemy się tych natrętów.

— Chodźcie — dodał Chaverny — ci poczciwcy gotowi są odstąpić wam swe prawa, naturalnie ze stuprocentowym zarobkiem.

— Źle by na tym wyszli — zaopiniował Navailles. — Witaj, grubasie — zwrócił się do Oriola, młodego dzierżawcy podatków.

Gromada paniczów weszła do salonu.

— Udała się sprzedaż? — spytał Oriol.

— Nie — odparł zimno Gonzaga.

— Niemożliwe! — zawołał Oriol. — Niepowodzenie w interesach, u pana?

— Sam pan osądzi. Oddałem ostatnie udziały po dwadzieścia trzy tysiące.

— Na rok?

— Na osiem dni.

Nowo przybyli spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

— Trzeba było zacząć od tej sumy — powiedział Gonzaga. — Miałem około tysiąca numerów wartości dwudziestu trzech milionów.

— Ależ to szaleństwo!

— Szaleństwo. Będzie jeszcze gorzej. Z początku wynająłem dziedziniec, potem ogród, westybul, schody, stajnie, remizy. Zbliżam się do apartamentów i, do licha, chętnie przeniósłbym się do oberży!

— Kuzynie — przerwał Chaverny — wynajmę ci na dzień moją sypialnię.

— Im mniej miejsca — ciągnął Gonzaga — tym bardziej wzrasta gorączka złota. Nie mam już nic do wynajęcia. A po chwili namysłu dodał: Owszem, mam coś jeszcze.

— Co takiego? — zakrzyknięto.

— Psią budę.

Dworacy wybuchnęli śmiechem, lecz kupcy zachowali powagę; namyślali się.

— Panowie! — zawołał Gonzaga — czy myślicie, że kpię? Idę o zakład, że jeśli zechcę, dostanę za nią trzydzieści tysięcy!

— Trzydzieści tysięcy! Za psią budę! — Śmiech rósł.

Nagle z tłumu dworaków wynurzyła się dziwna postać, która śmiała się głośniej od innych: pokraczna figurka garbusa ze śmiesznie rozczochranymi włosami. Usłyszano piskliwy i drżący głos:

— Biorę psią budę za trzydzieści tysięcy.



IV. SZEROKI GEST KSIĘCIA GONZAGI

Mądry musiał być ten garbus mimo pomysłu z psią budą! Oczy miał bystre i nos orli. Pod nastroszoną groteskowo peruką rysowało się szerokie czoło, a lekki uśmiech błakający się na wargach zwiastował przebiegłość.

Garb pośrodku pleców sięgał karku; z przodu broda dotykała piersi; dziwnie powykręcane nogi nie odznaczały się jednak przeraźliwą chudością, która zazwyczaj towarzyszy temu kalectwu.

Niezwykła istota ubrana była na czarno, a muślinowe plisowane mankiety i żabot olśniewały białością. Mimo, że zwrócił na siebie wzrok obecnych, nie wydawał się onieśmielony.

— Brawo, mądry Ezopie! — wykrzyknął Chaverny. — Wydajesz się zręcznym i odważnym człowiekiem interesów.

— Odważny, owszem — odparł Ezop patrząc przenikliwie na młodego markiza. Czy zaś zręczny, to się okaże.

Piskliwy głosik skrzeczał jak dziecinna grzechotka.

— Czy nie znaleźliśmy żadnego garbusa? — spytał szeptem Cocardasse przyjaciela.

— Nie przypominam sobie.

— Do licha! Wydaje mi się, że widziałem już te oczy.

Gonzaga również przyglądał się garbuskowi niezwykle badawczo.

— Przyjacielu — odezwał się po chwili — czy wiesz, że płaci się gotówką?

— Wiem — odparł Ezop, do którego przylgnęło imię nadane mu przez pana de Chaverny. Po czym wyjął z kieszeni portfel i odliczył na ręce pana de Peyrolles sześćdziesiąt banknotów po pięćset franków każdy.

Obecni oczekiwali prawie, że pieniądze, jak w bajce, zamienią się w rękach intendenta w zeszcłe liście, tak cała osoba małego człowieczka wydawała się fantastyczna. Nic podobnego jednak nie nastąpiło.

— Poproszę o pokwitowanie — powiedział karzeł.

Peyrolles wydał żądany kwit. Ezop złożył papier i wsunął do portfela na miejsce pieniędzy. Następnie, uderzając się po kieszeni, powiedział:

— Dobry interes, panowie! Żegnam. — I skłonił się obecnym.

Wszyscy rozstąpili się, by go przepuścić. Śmiech słabł, jakiś chłód powiał po zebranych, nawet Gonzaga stał zamyślony.

— Panowie — powiedział wreszcie książę — podczas gdy służba przygotowuje salę, proszę za mną.

— Chodźmy! — szepnął za draperią Cocardasse — teraz albo nigdy, chodźmy!

— Boję się — odparł nieśmiało Passepoil.

— Co tam, pójdę pierwszy. — I Cocardasse, wzięwszy towarzysza pod rękę, wystąpił na środek sali.

— Do diabła! — wykrzyknął Chaverny. — Kuzyn chciał nas dziś uraczyć teatrem! Prawdziwa maskarada. Garbus był doskonały, ale oto najlepsza para rzezimieszków, jaką widziałem!

Ujrawszy ich Gonzaga drgnął.

— Czegóż chcą te zuchy? — zapytał.

Cocardasse skłonił się szarmancko.

— Ten szlachcic — wskazał towarzysza — i ja pragniemy przypomnieć się księciu i złożyć mu swe uszanowanie.

— Ach! — powiedział Gonzaga.

— Jeśli książę pan teraz zajęty — Gaskończyk skłonił się znowu — przyjdziemy kiedy indziej, proszę nam naznaczyć dzień i godzinę.

Skłonili się obaj, następnie wyprostowali z ręką na gardzie.

— Peyrolles! — zawołał Gonzaga. — Poznajesz tych chłopców? Nakarmisz ich i napoisz, dasz nowe ubrania i niech czekają na moje rozkazy!

— Szlachetny panie! — zawołał Cocardasse.

— Szczodry panie — zawtórował Passepoil.

— Idźcie! — rozkazał Gonzaga.

Oddalili się tyłem, w ukłonach, zamiatając parkiet wyskubanymi piórami u kapeluszy. Stanąwszy wobec roześmianych gości, Cocardasse pierwszy wsadził kapelusz na ucho i końcem rapiera podniósł wystrzępiony brzeg płaszcza. Passepoil naśladował wiernie towarzysza. Dumni, wspaniali, z zadartą głową i ręką na biodrze, piorunując wzrokiem kpiarzy, przeszli przez salę za panem de Peyrolles.

Apetyt ich zadziwił całą służbę.

— No, mój drogi — mówił Cocardasse junior z pełnymi ustami — nasza fortuna gotowa.

— Dałby to Bóg! — odpowiadał jedząc Passepoil.

— Doprawdy, kuzynie — mówił w salonie Chaverny — od kiedy to posługujesz się podobnymi narzędziami?

Gonzaga powiódł dokoła niewidzącym wzrokiem i nic nie odpowiedział.

Dworacy prześcigali się w pochwałach na cześć księcia, tak by Gonzaga mógł ich usłyszeć. Byli to ludzie szlachetnego rodu, niektórzy zrujnowani. Wszyscy potrzebowali poparcia lub pomocy Gonzagi. Książę miał ich w ręku, znając dobrze niezdrowe ambicje, wady czy występki każdego. Jedynym, który zachował część niezależności, był młody markiz de Chaverny, zbyt szalony, by spekulować, zbyt beztroski, by ubiegać się o łaski.

— Panowie — powiedział książę budząc się jak gdyby z zamyślenia — zechciejcie przejść ze mną dalej, musimy zwolnić salę.

Gdy znaleźli się w gabinecie, spytał obecnych:

— Czy wiecie, dlaczego was dziś wezwałem?

— Słyszałem o radzie rodzinnej — odparł Navailles.

— Będzie to coś znacznie ważniejszego, coś w rodzaju rodzinnego trybunału, na którym jego Królewską Wysokość regenta będą reprezentowali trzej najwyżsi dygnitarze państwowi.

— Do licha! zaklął Chaverny. — Czy chodzi o następstwo tronu?

— Markizie — sucho odpowiedział książę — mamy mówić o rzeczach poważnych.

— Daj mi, kuzynie, ryciny do oglądania — rzekł ziewając Chaverny — bym się nie nudził, gdy wy będziecie poważni.

Gonzaga uśmiechnął się z przymusem.

— O co chodzi, książę? — spytał pan de Montaubert.

— Chodzi o to, byście mi, panowie, okazali swe przywiązanie — odparł Gonzaga.

— Jesteśmy gotowi! — zawołali chórem zebrani.

Gonzaga skłonił się z uśmiechem.

— Wezwałem was, a szczególnie panów de Navailles, Gironne, Chaverny, Noce, Montaubert, Choisy i Lavallade, jako krewnych rodziny de Nevers. Należy powziąć decyzję co do dóbr tej rodziny oraz omówić inne jeszcze sprawy.

— Po diabła ci, kuzynie, dobra rodziny de Nevers, skoro każda godzina przynosi miliony?

— Czyż chodzi tylko o mnie? — spytał Gonzaga. — Czyż nie obiecywałem zająć się i waszą fortuną?

Szmer wdzięczności rozległ się wśród zebranych.

— Zawsze możesz, książę, na mnie liczyć — rzekł Navailles.

— I na mnie! — krzyknął Gironne.

— Na mnie też, i na mnie! — posypały się zapewnienia.

— Na mnie również, do licha! — powiedział wreszcie Chaverny. — Chciałbym tylko wiedzieć...

— Jesteś zbyt ciekawy, kuzynku — przerwał wyniośle Gonzaga. — Nie zmuszam nikogo, lecz jeśli ktoś dobrowolnie złamie nasz pakt, przestanę go znać. Ci zaś, co pójdą za mną, muszą patrzeć moimi oczami, słuchać moimi uszami, myśleć jak ja. Oni będą ramieniem, gdy ja — głową. Słyszysz, markizie, nie potrzebuję innych przyjaciół!

— Chcemy tylko, by szanowny krewniak wskazał nam drogę — dodał Navailles.

— Potężny kuzynie — zaczął Chaverny — czy wolno zadać ci pokorne pytanie? Co mam robić?

— Milczeć i głosować na mnie podczas rady familijnej.

— Choćbym miał zranić wzruszające oddanie naszych przyjaciół, powiem, że głos mój tyle wart, co pusta szklanka po szampanie, ale...

— Żadnego ale — przerwał Gonzaga.

— Bez ale! — zakrzyknęli obecni.

— Księżę zawsze pamięta o tych, co mu dobrze służą — dodał finansista Taranne.

— Zaufanie, jakim darzy mnie Taranne, najlepiej mi się podoba — rzekł Gonzaga z lekką pogardą w głosie. — Taranne, mój przyjacielu, ofiaruję ci dobra d'Epernay.

— Księżę! — zdołał tylko wyjąkać Taranne.

— Bez podziękowań — przerwał Gonzaga. — Montaubert, proszę cię, otwórz okno, słabo mi.

Rzucono się do okien. Gonzaga zbladł; krople potu błyszcząły u nasady włosów. Chaverny zbliżył się, szczerze zaniepokojony.

— To nic... — wyszeptał księżę — to tylko zmęczenie... Noc spędziłem u regenta, a rano musiałem być przy wstawaniu króla.

— Po cóż, u licha, zabijasz się tak, kuzynie? — wykrzyknął Chaverny.

— Na co ci król? Nie potrzebujesz chyba samego Pana Boga!

— Niewdzięczny! — szepnął Gonzaga. — Czyż myślę o sobie?

Dworacy omal nie poklękali z wdzięczności. Odpowiedź księcia zamknęła usta panu de Chaverny.

— Tak, panowie — ciągnął Gonzaga — nasz młody król to urocze dziecko! Zna was z nazwiska i pyta zawsze o moich przyjaciół.

Powiedział dziś rano: „Witaj, książę, parę dni temu widziałem cię na spacerze wśród dworaków. Pan de Gironne wspaniale jeździ konno, musisz mi go dać...”.

Gironne skłonił się z ręką na sercu. Pozostali ściągnęli usta.

— „Pan de Noce też mi się podoba — ciągnął Gonzaga. — A pan de Saldagne w bitwie musi być jak piorun”.

— Po co to? — szepnął Chaverny. — Saldagne przecież nieobecny.

Rzeczywiście, od poprzedniego wieczoru w salonach Gonzagi nie było widać ani barona de Saldagne, ani kawalera Faenzy.

— Jego Królewska Mość — ciągnął Gonzaga — mówił mi o tobie, Montaubert, o tobie, Choisy, i o innych.

— A czy Jego Królewska Mość raczył zauważyć szlachetną postać pana de Peyrolles? — przerwał Chaverny.

— Jego Królewska Mość nie zapomniał o nikim z wyjątkiem pana — odparł sucho Gonzaga.

— Dostałem za swoje! — wykrzyknął młody markiz.

— Oriol — zwrócił się Gonzaga do grubego dzierżawcy podatków — jesteś szlachcicem; zapoznaj się z herbarzem Hoziera i wybierz sobie odpowiedni herb.

Mały gruby poborca nadał się, jak gdyby miał pęknać.

— Otrzymałeś pensję, Navailles, a ty, Montaubert, masz dyplom królewski. Co otrzymałem dla ciebie, Gironne, powiem, gdy będziemy sami.

Nikt nie został pominięty, na każdego spłynęła królewska łaska za pośrednictwem Gonzagi.

— Chodź tu, kuzynie — rzekł wreszcie książę do markiza de Chaverny.

— Ja? — spytał Chaverny.

— No, chodźże, ty niegrzeczny chłopcze!

— Kuzynie, wiem, że zasłużyłem na karę co najmniej o chlebie i wodzie — dodał Chaverny bijąc się w piersi.

— Pan de Fleury, guwerner króla, był w sypialni Jego Królewskiej Mości — powiedział Gonzaga a wiesz, jaki jest surowy.

— To jego obowiązek.

— Pan de Fleury dowiedział się o twej przygodzie z panną de Clermont.

— Aj! — jęknęli obecni.

— Czy ty, kuzynie, obroniłeś mnie przed wygnaniem? — spytał Chaverny. — Bardzo dziękuję!

— Nie było mowy o wygnaniu, markizie.

— A o czym?

— O Bastylii.

— I dzięki tobie uniknąłem Bastylii?

— Zrobiłem coś więcej.

— Coś więcej? Czy mam paść na kolana?

— Twoje dobra Chaneilles zostały skonfiskowane za życia starego króla?

— Tak, w związku z odwołaniem edyktu nantejskiego.

— Ziemia ta przynosiła niezły dochód, co?

— Dwadzieścia tysięcy, kuzynie, za połowę sprzedałbym się diabłu.

— Zwrócono ci dobra Chaneilles.

— Doprawdy?! — wykrzyknął markiz. Następnie, wyciągając rękę, dodał poważnie: Sprzedaję się diabłu, załatwione.

Gonzaga zmarszczył brwi. Obecni czekali znaku, by okazać oburzenie. Chaverny popatrzył pogardliwie na zebranych i powiedział cicho:

— Kuzynie, życzę szczęścia. Jeśli nadejdą złe dni, tłum dworaków stopnieje; tak zwykle bywa. Może zostanę przy tobie sam, ale na pewno zostanę.

V. WYJAŚNIA SIĘ NIEOBECNOŚĆ FAENZY I SALDAGNE'A

Rozdział łask został dokonany. Noce obmyślał strój, w jakim wsiądzie nazajutrz do dworskiej karocy, Oriol, świeżo upieczony szlachcic, poszukiwał w myśli przodków z czasów Świętego Ludwika. Wszyscy byli zadowoleni; ksiązę Gonzaga nie na próżno trudił się, by zdążyć na poranne wstawanie króla.

— Kuzynie — powiedział młody markiz — mimo wspaniałego podarku mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

— Czegóż ci potrzeba?

— Nie wiem, dlaczego pan Bois-Rose odmówił mi zaproszenia na dzisiejszy bal u regenta. Tłumaczył się, że wszystkie już rozdał.

— Ja myślę, że nie ma zaproszeń! — wykrzyknął Oriol. — Dziś rano sprzedawano je po dziesięć ludwików na ulicy Quincampoix. Pan Bois-Rose musiał dobrze zarobić.

— Ludzie wyrywają je sobie — dodał Taranne.

— Płacą zawrotne sumy!

— Nic dziwnego, panowie — wtrącił Gonzaga — bal zapowiada się wspaniale. Goście będą mogli pochłubić się albo wielkim nazwiskiem, albo fortuną. Nie sądzę, by regent chciał spekulować na zaproszeniach, choć to niestety choroba naszego wieku! Nie widzę jednak nic złego, jeśli Bois-Rose tą bagatelką podreperuje swe finanse.

Bal wydawał Szkot, pan Law, który też pokrywał olbrzymie koszty całej imprezy. Miał to być symboliczny tryumf systemu Lawa, jak wówczas mówiono, oficjalne uznanie przewagi kredytu nad monetą. By uświetnić uroczystość, regent oddał na tę noc salony i ogrody Palais-Royal. Ponadto zaproszenia wydano w imieniu księcia Filipa

Orleańskiego, przez co tryumf papierowego pieniądza stawał się czymś w rodzaju narodowego święta.

Mówiono, że bal miał kosztować zawrotne sumy, ale Law nie żałował pieniędzy, by olśnić paryżan. Szczególne zainteresowanie budziły sztuczne ognie i balet. Fajerwerk, przygotowany przez kawalera Gioja, miał przedstawiać pałac, który Law zamierzał wznieść nad brzegami Missisipi.

Regent ustalił listę gości na trzy tysiące osób, ale Bois-Rose, mistrz ceremonii, skrycie podwoił liczbę zaproszonych.

— Wydaje mi się, że Peyrolles mówił, iż za paczkę zaproszeń, które mi przesłał regent, ofiarowywano mu dwa czy trzy tysiące ludwików — powiedział księżę sięgając po teczkę. — Naturalnie zachowałem je dla przyjaciół.

Słowa te powitano hucznymi brawami. Wielu z obecnych miało co prawda w kieszeni różowy kartonik, ale od przybytku głowa nie boli, tym bardziej, że każda z tych kart warta była co najmniej sto pistolów. Czyż istniał człowiek milszy nad Gonzagę!

Księżę wyjął z teczki i rzucił na stół gruby pakiet różowych kartoników, ozdobionych prześliczną winietą, która wśród amorków i kwiatów przedstawiała kredyt, bożyszczce dnia, z rogiem obfitości w ręku. Obecni rzucili się na zdobycz: brano dla siebie i przyjaciół. Młody markiz de Chaverny był wyjątkiem: wziął tylko jedno zaproszenie; nie odsprzedawał jeszcze tego, co mu ofiarowywano.

— Zechciejcie, panowie, zostawić dwa zaproszenia dla Faenzy i Saldagne'a powiedział Gonzaga. Dziwię się, że ich dotąd nie ma.

Dwa różowe kartoniki zostały na siole.

— Rad jestem — ciągnął pan domu — że mogłem załatwić wam i tę drobnostkę. Pamiętajcie, tam gdzie ja przejdę i dla was otwarta droga. W waszym interesie — iść za mną, w moim — wywyższyć was ponad tłum.

Choć będą działy się rzeczy dziwne i niezrozumiałe, nie szukajcie wyjaśnień i nie sądźcie mego postępowania. Bądźcie posłuszni i spełniajcie rozkazy. Droga będzie długa i ciężka, ale, na honor, u kresu czeka was fortuna.

Zebrani słuchali w skupieniu.

— Idziemy za panem, książę! — krzyknął Navailles.

— Choćby do piekła! — dorzucił gruby Oriol.

— Do licha, kuzynie — zaczął Chaverny — gorliwych masz przyjaciół! Założyłbym się, że...

Przerwał mu okrzyk zdumienia i podziwu. W drzwiach sypialni księcia ukazała się młoda i piękna dziewczyna. Wbiegła uśmiechnięta, a na widok zebranych zatrzymała się spłoszona, szybko opuszczając na twarz gęsty koronkowy szal. Stała nieruchomo, podobna do ślicznego posągu. Chaverny pożerał ją po prostu wzrokiem. Gonzaga nie potrafił opanować gestu zniecierpliwienia. Podeszedł do nieznajomej, wziął jej rękę i podniósł do ust z wielkim szacunkiem. Młoda dziewczyna nie rzekła słowa.

— Więc to jest piękna pustelnica! — szepnął Chaverny.

— Hiszpanka — dodał Navailles.

— To ona mieszka teraz w małym pałacyku księcia, za kościołem Saint-Magloire.

Obecni z podziwem oglądali smukłą figurkę i czarne jak heban włosy nieznajomej. Dziewczyna ubrana była w skromną suknię, której wytworność znamionowała wielką damę.

— Panowie zaczął Gonzaga mieliście dziś poznać to drogie i kochane dziecko. Nie liczyłem, że nastąpi to tak wcześnie. Chwilowo was nie przedstawiam, jeszcze na to nie czas. Poczekajcie, zaraz wracam.

Wziął dziewczynę za rękę i wprowadził do swoich apartamentów, zamykając starannie drzwi.

— Jaka piękna! powiedział rozmarzony Chaverny.

— Przychodzi mi na myśl, czy przypadkiem nie zwołano rady rodzinnej dla rozwodu.

Posypały się protesty. Wkrótce jednak zebrani doszli zgodnie do wniosku, znając stosunki panujące między małżonkami, że wszystko jest możliwe.

— Gonzaga chytry jak lis — powiedział Taranne — Gotów rzucić żonę, a zatrzymać posag.

— Do tego pewnie potrzebne mu nasze głosy — dodał Gironne.

— Co ty na to, Chaverny? — spytał gruby Oriol,

— Myślę — odparł markiz — że gdyby nie wasza głupota, byłibyście nikczemni.

— Na Boga — kuzynku! — wykrzyknął Noce' — należy ci się nauczka!

— Cicho, cicho — uspokoił Oriol.

— Jaka piękna! — po raz drugi powiedział markiz.

— Chaverny zakochał się! — zawołali obecni.

— Przebaczam mu — dodał Noce.

— Właściwie — zaczął Gironne — co wiecie o tej dziewczynie?

— Nic — odparł Navailles. — Księżę starannie ją ukrywa, a Peyrolles z niewolniczą uległością spełnia najmniejsze kaprysy tej pięknej panny.

— Peyrolles nic nie mówił?

— Peyrolles nigdy nic nie mówi.

— Dlatego księżę go trzyma.

— Prawdopodobnie jest ona w Paryżu od niedawna, tydzień lub dwa — powiedział Noce. — W zeszłym miesiącu w pałacyku księcia królowała piękna Nivelles i — Od tego czasu ani razu nie byliśmy tam na kolacji — dodał Oriol.

— Ogród pilnie jest strzeżony — rzekł Montaubert. — Faenza i Saldagne pilnują dziewczyny.

— Tajemnica! Tajemnica!

— Cierpliwości, panowie, dziś dowiemy się rozwiązania zagadki. Hola, Chaverny!

Młody markiz drgnął, jak gdyby obudzony z głębokiego snu.

— Chaverny, milczysz? Marzysz? Mów coś, nawet obelgi, byłeś mówił!

— Panowie — powiedział Chaverny opierając brodę na rękę — co dzień sprzedajecie dusze za kilka banknotów; ja dla tej dziewczyny uczyniłbym to samo, ale tylko raz.

Pozostawiwszy Cocardasse'a i Passepoila przed suto zastawionym stołem, pan de Peyrolles ogrodową furtką wydostał się z pałacu księcia Gonzagi na ulicę Świętego Dionizego. Uliczka na tyłach kościoła Saint-Magloire doprowadziła intendenta do ogrodowego muru, który zasłaniały zwieszające się prawie do ziemi gałęzie starych wiązów. Pan de Peyrolles wyjął z kieszeni klucz, otworzył ukrytą w murze furtkę i wszedł do ogrodu. W głębi, na końcu cienistej alei, biał się nowiutki pałacyk w greckim stylu. Cacko, nie pałacyk! Ostatnie dzieło architekta Oppenorta. Pan de Peyrolles wszedł do zapełnionego służbą westybulu.

— Gdzie Saldagne?

— Od wczorajszego wieczoru nikt nie widział pana barona.

— A Faenza?

Odpowiedź brzmiała tak samo. Na chudej twarzy intendenta odbił się niepokój. Po chwili spytał, czy może zobaczyć panienkę. Pierwsza pokojowa oznajmiła, że panienka oczekuje pana de Peyrolles w buduarze.

— Całą noc nie zmrużyłam oka! — wykrzyknęła ujrawszy intendenta młoda piękna dziewczyna, która nieco później tak niespodziewanie

zjawiła się w gabinecie Gonzagi. — Nie zostanę dłużej w tym domu, pod oknami mordują ludzi!

— Donia Cruz — rzekł intendent — księżę pragnie widzieć panią w pałacu.

— Co za cud! — krzyknęła dziewczyna — nareszcie wyjdę z więzienia, zobaczę ulice, ludzi. Czy pan się nie myli, panie de Peyrolles? — Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, zaśmiała się i okręciła się w tańcu.

— Księżę życzy sobie — dodał Peyrolles — by włożyła pani odpowiednią toaletę.

Donia Cruz podbiegła do lustra, zaśmiała się do swego odbicia, a następnie, żywa jak iskra, zawołała:

— Anżeliko! Justyno! Pani Langlois! Jakie one powolne, te Francuzki! Pani Langlois! Justyno! Anżeliko! Niech się pan wynosi — dodała zwracając się do intendenta. — Spełnił pan polecenie; będę gotowa. A teraz proszę iść.

— Mam panią zaprowadzić — dokończył flegmatycznie Peyrolles.

— Święta Mario! Co za nuda! — westchnęła. — Tak chciałabym zobaczyć inną twarz, a ciągle muszę patrzeć na pana, panie de Peyrolles.

W tej chwili weszły trzy pokojowe, ale donia Cruz już o nich zapomniała.

— Nie chcę, by ci dwaj ludzie przebywali nocą w moim domu — powiedziała — boję się ich.

Miała na myśli Faenzę i Saldagne'a.

— Księżę tak kazał — odparł Peyrolles.

— Czy jestem w niewoli? — krzyknęła dziewczyna czerwona z gniewu. — Czy to ja chciałam tu przyjechać? Jeśli mam być więźniem,

niech mi będzie wolno wybierać strażników. Zawiadomi pan księcia, że jeżeli nie usunie tych ludzi, nie pójdę do pałacu.

Pani Langlois, pierwsza pokojowa, zbliżyła się do intendenta szepecząc mu do ucha. Błada twarz pana de Peyrolles posiniała.

— Widziała pani? — spytał drżącym głosem.

— Przed chwilą, właśnie ich znaleziono.

— Gdzie?

— Przy bramie, w uliczce za domem.

— Nie lubię, gdy szepczą w mojej obecności — rzekła wyniośle donia Cruz.

— Przepraszam — odparł pokornie intendent — nie zobaczy pani więcej tych ludzi, którzy tak się pani nie podobali.

— W takim razie proszę mnie ubrać — zwróciła się do pokojówek.

— Jedli wczoraj razem kolację — opowiadała pani Langlois odprowadzając Peyrollesa. — Saldagne miał dyżur i poszedł do bramy z panem Faenzą. Usłyszeliśmy w uliczce szczęk broni.

— Mówiła o tym donia Cruz — przerwał Peyrolles.

— Nie trwało to długo — ciągnęła pokojowa. — Dziś rano wychodzący tamtędy lokaj natknął się na dwa trupy.

— Langlois! Langlois! — rozległ się głos doni Cruz.

— Proszę zobaczyć! — rzuciła pokojowa wbiegając na schody — leżą tam, na końcu ogrodu.

Donia Cruz uśmiechała się do swego odbicia w wielkim zwierciadle. Od chwili przybycia do Paryża nie była jeszcze tak szczęśliwa. Widziała dotąd tylko ponure ulice w ciemną noc jesienną, z okna karety.

— Nareszcie — mówiła sobie — mój piękny książę spełni, co obiecał. Zobaczę ludzi, Paryż! Ach, co za radość!

I wyrywając się z rąk pokojowych, zaczęła tańczyć jak szalona.

Tymczasem pan de Peyrolles znalazł się we wskazanej części ogrodu. Na kupie zeschniętych liści, w cieniu stuletnich drzew, leżały dwa ciała przykryte płaszczami. Peyrolles podniósł brzeg jednego płaszcza i zadrżał; potem zajrzał pod drugi. Pod pierwszym ujrział Faenzę, pod drugim Saldagne'a. Obaj mieli jednakową ranę na czole, między brwiami. Intendentowi zjeżyły się włosy.

VI. DONIA CRUZ

Istnieje taki romansowy wątek, który wszyscy powieściopisarze poruszyli przynajmniej raz w życiu: historia biednego dziecka wysokiego rodu, porwanego przez Cyganów. Nie wiadomo, czy piękna donia Cruz była skradzioną córką wielkiej damy czy też prawdziwym cygańskim dzieckiem. W każdym razie spędziła życie w cygańskim obozie, wędrując z miasta do miasta, od wsi do wsi, tańcząc na placach za jednego maravedi.

Wytwornie ubrana, młoda Cyganka z biciem serca znalazła się we wspaniałym pałacu książąt de Nevers.

— Dlaczego nie przyprowadził pani Peyrolles? — spytał księżę.

— Ten Peyrolles zupełnie zgłupiał. Gdy mnie ubierano, wyszedł na chwilę do ogrodu, a po powrocie trudno go było poznać. Wyglądał, jak gdyby dostał obuchem po głowie. Ale mam nadzieję — przerwała pieszczotliwym tonem — że nie po to tu jestem, by rozmawiać o panu de Peyrolles.

— Nie — dodał śmiejąc się Gonzaga — nie po to.

— A po co? — wykrzyknęła donia Cruz — jestem bardzo ciekawa.

Tak — myślał Gonzaga przypatrując się uważnie młodej dziewczynie — długo szukałem, czyż jednak mogłem lepiej trafić? Słowo honoru, podobna!

— Dlaczego pan milczy?

— Usiądź, drogie dziecko.

— Czy wrócę do więzienia?

— Nie na długo.

— Ach — westchnęła — więc wrócę! Pierwszy dziś raz zobaczyłam Paryż w słońcu. Jaki piękny! Będzie mi teraz jeszcze smutniej.

— To nie Madryt — zauważył Gonzaga — trzeba zachować ostrożność.

— Po co? Czy robię coś złego, że muszę się ukrywać?

— Nie, donia Cruz, ale...

— Doprawdy, książę — przerwała z ogniem — powiem wszystko, co mi leży na sercu. Wiem, że to nie Madryt, gdzie choć biedna i sierota, byłam wolna jak ptak, wolna, słyszy pan? Obiecał mi pan wiele.

— Dotrzymam więcej, niż obiecywałem.

— To znowu obietnica, zaczynam już wątpić. — Oczy jej zamglili smutek. — Tam znali mnie wszyscy, ubodzy i bogaci, wszyscy mnie lubili. Gdy zjawiałam się, wołali: „Chodźcie, Cyganka zatańczy bamboleo z Kseresu”. Gdy tańczyłam, na Plaza-Santa za Alkazarem gromadził się tłum. Pamięta pan? — spytała po chwili. Było to wieczorem, wyszedł pan nagle z ciemnej uliczki i stanął przy mnie. Przestraszyłam się, a potem wstąpiła we mnie nadzieja. Gdy pan przemówił, głos pana poruszył mi serce: „Jak się nazywasz?” — spytał pan. „Gdy byłam jeszcze z mymi braćmi Cyganami w Grenadzie, nazywano mnie Flor; na chrzcie ksiądz nadał mi imię Maria de la Santa Cruz”. Może już pan tego nie pamięta?

— Niczego nie zapomniałem — odparł z roztargnieniem Gonzaga.

— Tę godzinę pamiętać będę całe życie — ciągnęła donia Cruz. — Już wtedy kochałam pana, choć mógł pan być moim ojcem. Gdzie znalazłabym piękniejszego, wspanialszego wielbiciela? — Znowu westchnęła. — Powiedział pan: „Jesteś zbyt piękna, moje dziecko, by tańczyć na miejskim placu. Chodź ze mną”. I poszłam za panem do pałacu Alberoni. Tam dowiedziałam że jest pan ambasadorem regenta Francji na hiszpańskim dworze. Nic mnie to nie obchodziło. Nazajutrz wyjechaliśmy do Paryża. Rzadko pana widywałam, smutno mi ciągle samej.

— Tak, księżę — ciągnęła żałośnie — widziałam w pańskim ogrodzie nasze piękne hiszpańskie kwiaty: marne są i smutne, umierają. Czy i mnie chce pan zabić? O, nie! — krzyknęła prostując się i odrzucając do tyłu wspaniałe włosy. — Nie jestem niewolnicą. Ja kocham tłum, a boję się samotności! Lubię gwar, cisza napawa mnie przerażeniem.

Potrzebuję światła, ruchu, śmiechu, piosenki!

— Szalone dziecko! — szepnął Gonzaga ojcowskim tonem.

— Pójdę sobie stąd.

— Donia Gruz! — wykrzyknął księżę.

Rozpłakała się, wycierając oczy pięknie haftowaną chusteczką.

— Kto inny mnie pokocha — powiedziała dumnie. — Pan mnie oszukał; obiecywał raj, a dał więzienie, cóż z tego, że wspaniałe jak pałac z bajki? Milczące pokojówki, dyskretni lokaje, straż przyboczna i ten okropny Peyrolles!

— Czy uskarża się pani na pana de Peyrolles? — spytał Gonzaga.

— Och, nie! Spełnia każde moje życzenie, jest pełen szacunku, gdy zbliża się, zamiata podłogę piórem kapelusza.

— A więc?

— Pan żartuje, księżę! Żyję zamknięta jak niewolnica w seraju!

— Przesada, donia Cruz.

— Złapany ptaszek nie patrzy na złocone pręty klatki. Źle mi tu, nie chcę tak żyć dłużej, proszę zwrócić mi wolność!

Gonzaga spoglądał na Cygankę z uśmiechem.

— Nie kocha mnie pan — ciągnęła rumieniąc się — więc nie jest pan zazdrosny.

Księżę ujął jej rękę i podniósł do ust.

— Myślałam... — zaczęła spuszczać oczy — mówił pan, że jest nieżonaty. Nikt nie chciał powiedzieć mi prawdy. Dał mi pan

nauczycieli... myślałam, że mnie pan kocha. Jeśli nie, czego chce pan ode mnie?

— Chcę pani szczęścia, donia Cruz — odparł Gonzaga łagodnie. — Chcę uczynić panią możną i szczęśliwą.

— Niech będę wolna! — krzyknęła namiętnie. — Wolna, wolna, nie chcę nic więcej! Zobaczyć Paryż, operę, bale...

— Dziś wieczór — przerwał Gonzaga — włoży pani najpiękniejszą toaletę i pójdzie ze mną na bal do regenta.

Donia Cruz znieruchomiła.

— Czy to prawda? — spytała po chwili, jakby nie wierząc uszom.

— Prawda — odparł Gonzaga.

— Zrobi to pan?! — wykrzyknęła. — Wszystko panu wybaczę — rzuciła się księciu na szyję. Następnie zaczęła tańczyć nucąc: — Bal u regenta! Pójdę na bal do regenta! — Po chwili spoważniała. — Jaką włożę toaletę?

— Na francuskim dworze — odparł książę — nie tylko strojna suknia zdobi piękną twarz.

— Uśmiech, prawda? — spytała Cyganka.

— Nie — odrzekł Gonzaga.

— Wdzięk, zgadłam?

— Nie, donia Cruz; ma pani wdzięk i piękny uśmiech, ale...

— Czegoś mi brak. Czego?

Ponieważ Gonzaga zwlekał z odpowiedzią, dodała niecierpliwie:

— Da mi pan to?

— Dam.

— Ale czego mi brak? — rzuciła pełne kokieterii spojrzenie w stronę zwierciadła.

— Nazwiska — odparł Gonzaga.

Donia Cruz, przed chwilą najszcześniejsza dziewczyna pod słońcem, pogrążyła się w otchłani smutku. Tak, nie miała nazwiska! Pałac regenta to nie Plaza-Santa za Alkazarem...!

— Gdyby nie miała pani nazwiska, drogie dziecko — rzekł Gonzaga — całe moje serdeczne przywiązanie nic by nie pomogło; na szczęście nosi pani jedno z najwspanialszych nazwisk Francji.

— Co pan mówi?! — krzyknęła olśniona.

— Ma pani rodzinę — ciągnął uroczyście Gonzaga — potężną, spokrewnioną z królewskim domem. Ojciec pani był księciem.

— Mój ojciec — powtórzyła donia Cruz. — Mówi pan, że był księciem; czy nie żyje?

Gonzaga schylił głowę.

— A matka? — głos biednej dziewczyny drżał ze wzruszenia.

— Matka pani jest księżną — rzekł Gonzaga.

— Żyje! Moja matka żyje! — krzyknęła donia Cruz. — Jest księżną, sam pan to powiedział! Och, proszę mi mówić o matce!

Gonzaga położył palec na ustach.

— Nie teraz — szepnął.

Ale donii Cruz nie zadowoliła tajemnicza mina księcia.

— Proszę mówić o matce — krzyknęła chwytając obie ręce Gonzagi — i to zaraz! Mój Boże, jakże ją będę kochać! Jest bardzo dobra, prawda? I piękna. Dziwne — dodała po chwili poważnie — zawsze to śniłam, jakiś głos mówił mi, że jestem księżniczką.

Gonzaga z trudem zachowywał powagę.

— Wszystkie jednakowe — myślał.

— Tak — ciągnęła donia Cruz — zawsze widziałam we śnie moją matkę. Ma wspaniałe czarne włosy, naszyjnik z pereł, w uszach diamenty i łagodne spojrzenie. Jak się nazywa?

— Dowie się pani później, donia Cruz.

— Dlaczego?

— Wielkie niebezpieczeństwo...

— Rozumiem, rozumiem —~ przerwała — widziałam komedię w teatrze w Madrycie; zawsze tak bywało: odnaleziona córka nie od razu dowiadywała się prawdy.

Tak — potwierdził Gonzaga.

— Wielkie niebezpieczeństwo podjęła donia Cruz. Ale ja umiem milczeć; umrę raczej, niż zdradzę tajemnicę.

Nie wątpię — odpowiedział Gonzaga. — Niedługo, za kilka godzin, dowie się pani prawdy. Tak, drogie dziecko, nie nazywasz się donia Cruz.

— Jakże się więc nazywam?

— Na chrzcie dano ci imię twojej matki, Hiszpanki z pochodzenia. Nazywasz się Aurora!

— Aurora! — powtórzyła dziewczyna i zadrżała. — Co za dziwny zbieg okoliczności — powiedziała po chwili milczenia.

— Dlaczego? — Gonzaga nie spuszczał oka z Cyganki i czekał, co powie dalej.

— Bo to rzadkie imię — odparła donia Cruz — i przypomina mi...

— Przypomina ci...? — spytał zaniepokojony Gonzaga.

— Biedna mała Aurora! — szepnęła Cyganka. — Taka dobra i śliczna, jakże ją kochałam.

Gonzaga czynił nadludzkie wysiłki, by ukryć miotającą nim gorączkową ciekawość. Donia Cruz, pogrążona we wspomnieniach, nie zauważyła stanu księcia.

— Znałaś dziewczynę imieniem Aurora? — spytał wreszcie, udając obojętność.

— Tak.

— Ile miała lat?

— Tyle co ja; znałyśmy się dobrze jako małe dziewczynki, choć ona była szczęśliwa, a ja bardzo biedna.

— Kiedy to było?

— Wiele lat temu. — Następnie, patrząc uważnie w twarz Gonzagi, spytała: — Tak bardzo to pana interesuje, książę?

— Interesuje mnie wszystko, co kochasz, moje dziecko — rzekł Gonzaga dobrotliwie, biorąc rękę donii Cruz. — Opowiedz mi o twej dawnej przyjaciółce Aurorze.

VII. KSIĄŻĘ GONZAGA

Do sypialni Gonzagi, urządzonej z przepychem jak cały pałac, przylegał z jednej strony buduar, łączący się z salonem, w którym oczekiwali przyjaciele, z drugiej biblioteka, bogata w najwspanialsze zbiory, nie mające sobie równych w Paryżu.

Gonzaga był uczonym humanistą, czytającym w autorach Grecji i Rzymu, gdy potrzeba - subtelnym teologiem i głębokim znawcą nauk filozoficznych. Gdyby przy tym był uczciwym człowiekiem, nikt by mu się nie oparł. Lecz brakło mu prawości. Im mądrzejszy jest człowiek bez zasad, tym więcej popełnia nadużyć.

Piękny, bogaty, dziedzic wspaniałego nazwiska, odważny do szaleństwa, wykształcony, świetny mówca, doskonały dyplomata, który wszystkich potrafił trzymać pod swym urokiem, książę Gonzaga był człowiekiem bez czci i wiary, nie znał, co to wyrzuty sumienia. Przeszłe życie ciążyło już nad obecną chwilą i książę nie mógł zatrzymać się na pochyłości, po której staczał się od najmłodszych lat. Musiał źle czynić, by kryć dawne występki. Potrafiłby dokazać cudów męstwa; niezmordowany, po dwudziestu pięciu latach walki nie czuł zmęczenia.

Donia Cruz była zręcznie wybranym narzędziem, które według wszelkich przypuszczeń powinno działać bez zarzutu. Nie wybrał jej przez przypadek; długo wahał się, nim zdecydował. W Cygance było ledwie uchwytnie, jednakże widoczne podobieństwo do księcia de Nevers, wystarczające, by obcy ludzie mogli mówić o „rysach rodzinnych”. Dzięki temu cały plan wydawał się możliwy. Na przeszkodzie stawała teraz wiadomość o tajemniczej przyjaciółce dziewczyny. Gonzaga potrzebował całej zimnej krwi, by ukryć wzruszenie, i mimo zdolności dyplomatycznych nie udało mu się

oszukać Cyganki. Kobiety często nie potrzebują rozumieć, by mieć się na baczności. Co właściwie poruszyło Gonzagę? Imię, rzadkie imię Aurora. Przez dziewiętnaście lat poszukiwał dziewczynki o tym imieniu! By pokryć wzburzenie, wstał i pod pretekstem hałasu w ogrodzie wyjrzał oknem.

Sypialnia Gonzagi położona była w bocznym skrzydle pałacu, naprzeciwko apartamentów księżnej. Grube zasłony kryły zamknięte okna pokojów Aurory de Caylus. Donia Cruz zerwała się i zbliżyła do księcia.

— Nie podchodź! — rzekł Gonzaga. — Nie trzeba, by cię widziano, moje dziecko.

Zamyślony i ponury wzrok księcia zawisł na oknach apartamentów żony.

— Czy przyjdzie? — zadał sobie po raz setny pytanie.

Wydawało mu się, że wśród tłumu zapelniającego dziedziniec poznaje małą figurkę dziwnego człowieka, który rankiem wywołał sensację wynajmując budę Medora. Garbusek trzymał w ręku modlitewnik i również patrzył w okna księżnej. W innej chwili fakt ten zatrzymałby uwagę Gonzagi, który zazwyczaj nie lekceważył niczego, obecnie jednak chciał wybadać Cygankę. Gdyby pozostał dłużej przy oknie, ujrzalby, że z lewego skrzydła pałacu wyszła kobieta, pokojowa księżnej, i zbliżyła się do garbusa, który coś do niej powiedział oddając modlitewnik. Następnie pokojowa weszła do pałacu, a garbus znikł.

— To moi nowi lokatorzy tak hałasują — powiedział książę odwracając się od okna — O czym mówiliśmy, drogie dziecko?

— O moim nazwisku.

— Coś nam przeszkodziło. Co to było?

— Już pan zapomniał? — rzekła donia Cruz z szelmowskim uśmiechem.

Gonzaga udał, że zastanawia się głęboko.

— Już wiem! — wykrzyknął po chwili. — Mówiliśmy o dziewczynce, którą lubiłaś. Na imię jej było także Aurora.

— Śliczna dziewczynka i sierota jak ja.

— Doprawdy? I to było w Madrycie?

— Tak.

— Dziewczynka była Hiszpanką?

— Nie, Francuzką.

— Francuzką?

Gonzaga doskonale udał obojętne zdziwienie. Jednakże mimo całej sztuki nie uspił podejrzeń donii Cruz, z której ust nie schodził swawolny uśmiech.

— Kto się nią opiekował? — spytał z udanym roztargnieniem.

— Stara służąca.

— Rozumiem, ale kto ją opłacał?

— Pewien szlachcic.

— Francuz?

— Tak.

— Młody czy stary?

— Młody i piękny.

Donia Cruz spojrzała prosto w oczy księciu, który w tej właśnie chwili udawał, że tłumy ziewanie.

— Dlaczego pan pyta o tak nudne rzeczy? — wykrzyknęła śmiejąc się. — Nie zna pan ani dziewczynki, ani szlachcica. Nie posądzałam pana o taką ciekawość.

— Nie jestem ciekawy, dziecko — odparł zmieniając ton — nie znasz mnie jeszcze. Osobiście nie interesuje mnie ani ta dziewczynka, ani szlachcic, choć znam wiele osób w Madrycie. Jeśli pytam,, mam po temu swe racje. Czy zechcesz powiedzieć mi nazwisko szlachcica?

Tym razem piękne oczy donii Cruz wyraziły prawdziwą nieufność.

— Zapomniałam — odparła sucho.

— Ale gdybyś zechciała... — nalegał z uśmiechem Gonzaga.

— Zapomniałam.

— Przypomnij sobie... A może znajdziemy razem?

— Po co to panu?

— Zobaczysz. Czy nie jest to...?

— Nie pamiętam — przerwała — nie mogę sobie przypomnieć.

Powiedziała to tak stanowczo, że dalsze naleganie stało się niemożliwe.

— Nie mówmy o tym — rzekł Gonzaga — szkoda, ale cóż robić. A teraz wyjaśnię ci moją ciekawość: francuski szlachcic osiadły w Hiszpanii może być tylko wygnańcem. Wielu jest takich biedaków. Ty, moje dziecko, nie masz tu żadnej towarzyszki w twoim wieku, a przecież nie można obdarzyć przyjaźnią byle kogo. Sądziłem więc, że przy moich stosunkach potrafiłbym wyjednać łaskę dla nieszczęśliwego banity, który wróciłby do ojczyzny wraz z dziewczynką i moja droga mała donia Cruz nie byłaby już taka samotna. Gonzaga wypowiedział te słowa z taką prostotą, z takim akcentem prawdy, że do głębi wzruszył biedną Cygankę.

— Jaki pan dobry! — zawołała.

— Nie chowam urazy — odparł z uśmiechem. — Czas jeszcze na poprawę.

— Co za radość, spełniłyby się moje marzenia! Nie potrzebuje pan znać nazwiska szlachcica ni pisać do Madrytu; widziałam moją przyjaciółkę.

— Kiedy?

— Niedawno.

— Gdzie?

— W Paryżu.

— W Paryżu?! — wykrzyknął Gonzaga.

Donia Cruz odzyskała dawne zaufanie. Gonzaga uśmiechał się, ale był bardzo blady.

— Tak — ciągnęła Cyganka — w dniu mego przybycia. Gdy mineliśmy bramę Świętego Honoriusza, kłóciłam się z panem de Peyrolles, który nie pozwalał odchylić firanki w oknie karety, przez co nie widziałam Palais-Royal i nigdy mu tego nie daruję. W pewnej chwili skręciliśmy w tak wąską uliczkę, że karoca ocierała się prawie o domy. Nagle posłyszałam śpiew dolatujący z jednego z okien parteru. Pan de Peyrolles przytrzymał firankę, ale musiał usunąć rękę, gdy uderzyłam go wachlarzem. Poznałam głos mojej Aurory i zobaczyłam ją w oknie, piękniejszą niż dawniej. Krzyknęłam, chciałam wysiąść, ale konie ruszyły z kopyta. Byłam tak wściekła, że omal nie udusiłam pańskiego Peyrollesa!

— Więc było to w okolicy Palais-Royal? — przerwał Gonzaga wyjmując z kieszeni notatnik.

— Bliziotko.

— Czy poznasz tę uliczkę?

— Wiem, jak się nazywa. Natychmiast zapytałam pana de Peyrolles.

— Jakaż to ulica?

— Nazywa się ulica du Chantre. Co pan pisze, książę?

— To, co trzeba, byś mogła zobaczyć się z przyjaciółką.

Donia Cruz zerwała się zarumieniona z radości, z płonącymi oczami.

— Pan jest naprawdę dobry! — zawołała.

— Drogie dziecko, wkrótce to osądzisz. Teraz musimy się rozstać. Weźmiesz udział w uroczystej ceremonii. Nie obawiaj się okazać zmieszania czy nieśmiałości, to zupełnie zrozumiałe i wszystkim się spodoba. Za pół godziny ujrzysz matkę.

— Co jej powiem?

— Nie trzeba ukrywać smutnego dzieciństwa; powiesz jej wszystko, całą prawdę, rozumiesz, tylko prawdę!

Następnie podniósł kotarę kryjącą drzwi sąsiedniego buduaru.

— Wejdź tu — rzekł.

— Dobrze — odparła Cyganka — będę się modlić za moją matkę.

— Módl się, donia Cruz, ta godzina wiele znaczy, to najważniejsza godzina w twoim życiu.

Gonzaga pocałował ją w rękę. Cyganka weszła do buduaru i gruba kotara opadła za dziewczyną. Księżę, zostawszy sam, siadł ciężko przy biurku, opierając głowę na rękach. Musiał się skupić, huczało mu pod czaszką.

Po chwili zadzwonił, ale nikt nie zjawił się na wezwanie. Zawołał pana de Peyrolles, ale odpowiedziało mu milczenie. Księżę wstał i przeszedł do biblioteki, gdzie zazwyczaj faktotum oczekiwał na rozkazy. Komnata była pusta, tylko na stole leżał list zaadresowany do księcia. Pisany był ręką pana de Peyroiteś i brzmiał:

„Przyszedłem, by oznajmić ważne nowiny. W pałacyku dzieją się dziwne rzeczy. Kardynał de Bissy jest u księżnej. Czuwam.”

Gonzaga zmiął bilecik.

Tak — myślał — będą ją namawiali, by wzięła udział w radzie, ale ona uprze się i nie przyjdzie. Jedyna kobieta, którą bym kochał, gdybym mógł kochać jakąkolwiek kobietę!

Zasiadł przy biurku, by raz jeszcze przejrzeć przygotowane zawczasu notatki. Czoło jego zachmurzyło się, jak gdyby pod wpływem ponurej jakiejś myśli.

Nie ma co się łudzić, zemsta regenta byłaby straszna! Choć płochy i lekkomyślny, dobrze pamięta Filipa de Nevers, którego kochał jak brata; widziałem łzy w jego oczach, gdy patrzył na wdowę w żałobie. Ale mam

szczęście. Mija dziewiętnaście lat i ani jeden głos nie podniósł się przeciwko mnie. Na wszystko znajdę radę, znajdę winnego, a gdy ten zostanie ukarany, będę mógł spać spokojnie.

Wśród rozrzuconych na biurku papierów, przeważnie pokrytych cyframi, leżała kartka z następującą uwagą: „Dowiedzieć się, czy księżna wierzy, że córka jej żyje”. A pod spodem: „Dowiedzieć się, czy posiada metrykę urodzenia córki”.

Dałbym sto tysięcy za tę pewność. Jeśli metryka istnieje, będę ją miał. Jeżeli bezdomne sieroty sądzą, że są córkami księżniczek, być może i matki w każdej sierocie widzą utracone dziecko. Bynajmniej nie wierzę w nieomylność macierzyńskiego instynku. Kto wie?

Może i księżna otworzy ramiona mojej małej Cygance... Wtedy zwycięstwo! Uroczystości, dziękczynne nabożeństwa, Te Deum, bale! Witaj, dziedziczko książąt de Nevers! — Zaczął śmiać się. Następnie myśl snuła się dalej: — Po jakimś czasie młoda i piękna księżniczka może umrzeć; umiera tyle młodych dziewcząt! Ogólna żałoba, arcybiskup wygłosi mowę pogrzebową, a dla mnie olbrzymi spadek, na który, do licha, uczciwie zarobiłem!

Zegar na kościele Saint-Magloire wydzwonił drugą. Była to godzina otwarcia rady familijnej.

VIII. WDOVA PO KSIĘCIU DE NEVERS

O zmarłym garbusie Ezopie I mówiono przez dwadzieścia cztery godziny. Były żołnierz z gwardii królewskiej, Gruel, przezwany Wielorybem, usiłował zająć jego miejsce. Niestety, Wieloryb miał sześć i pół stopy wzrostu, co stanowiło wielką przeszkodę. Na próżno schylał się; plecy jego zawsze znajdowały się za wysoko jak na wygodny pulpit. Wieloryb jednak oświadczył, że pożre każdego Jonasza, który wszedłby mu w paradę i groźba ta powstrzymywała wielu paryskich garbusków. Żołnierz nie był złym człowiekiem, ale wypijał sześć do ośmiu dzbanków wina dziennie, a w roku 1717 wino było drogie i Wieloryb musiał na nie zapracować.

Dużo było śmiechu w ogrodach pałacu de Nevers, gdy nowy właściciel objął w posiadanie budę Medora. Cała ulica Qumcampoix zbiegła się na to widowisko, Garbuska nazwano Ezopem II, a garb jego od razu zdobył ogromne powodzenie. Warczeli tylko Medor i Wieloryb.

Obaj pokrzywdzeni złączyli się sojuszem; Wieloryb otoczył opieką Medora, który na widok nowego właściciela psiej budy pokazywał długie kły. Wszyscy byli pewni, że prędzej czy później garbusek padnie ofiarą Wieloryba, toteż zgodnie z tradycją biblijną dano mu drugie przezwisko i nazwano Jonaszem.

Zwycięski rywal nie wydawał się zaniepokojony oczekującym go losem. Urządził się wygodnie w psiej budzie: ustawił niewielką ławkę i kufer, owiązał biodra sznurem, u którego końca zwisał worek z grubego płótna. Kupił deskę, kałamarz i pióra. Gdy widział, że dwaj kupcy dobijali targu, zbliżał się dyskretnie, jak Ezop I, jego nieodżałowany poprzednik. Maczał pióro w kałamarzu i czekał. Gdy dobito targu, podstawiał garb z umieszczoną na nim deską, jak pulpit, i klienci spisywali akta kupna lub

sprzedaży równie wygodnie jak w budce ulicznego skryby. Następnie Ezop II jedną ręką odbierał pióro, drugą podawał deskę, na którą rzucano należność, po czym pieniądze znikwały w głębi płóciennego worka. Ezop II, podobnie jak i poprzednik, nie ustalił żadnej taryfy za usługi: brał wszystko z wyjątkiem miedziaków.

Tego dnia już od dziesiątej rano garbus był na posterunku. Około pierwszej zawołał jednego z licznych sprzedawców, jacy kręcili się na tym papierowym targowisku; kupił bułkę z pięknie przyrumienioną skórką, wspaniałą pularde i butelkę chambertina. Interes, widać, dobrze prosperował.

Siadłszy na ławie, rozłożył zapasy na kuferku i pożywiał się solidnie na oczach czekających spekulantów. Żywe pulpity mają tę złą stronę, że muszą niestety jeść. Przed budą klienci ustawili się w ogonku i nikomu nie przyszło na myśl posłużyć się plecami Wieloryba. Olbrzym pomrukiwał ze złości, zmuszony pić na kredyt, wobec czego pił podwójnie, Medor zaś warczał obnażając potężne kły.

— Hola, Jonaszu! — wołano ze wszystkich stron — prędko skończysz śniadanie?

Ezop II wspaniałomyślnie odsyłał klientów do Wieloryba, ale wszyscy chcieli Jonasza; tak przyjemnie było kłaść podpis na jego plecach. Ponadto Jonasz nie był mrukiem, sypał dowcipami i powtarzano już różne jego udane powiedzonka. Wieloryb pękał ze złości.

Gdy Jonasz skończył jeść, zawołał skrzeczącym głosem:

— Żołnierzu, mój przyjacielu, chcesz kawałek kurczęcia?

Wieloryb był głodny, ale dławiała go zawiść.

— Łajdaku — odpowiedział przy wtórze wycia Medora — czy myślisz, że zjadam resztki?

— Przyślij psa —, odparł spokojnie Jonasz — i nie używaj obelżywych słów.

— Chcesz psa? — ryknął Wieloryb. — Dobrze. Gwizdnął i zawołał:

— Bierz, Medor, bierz!

Od pięciu czy sześciu dni szkolił psa w ogrodach pałacu, Medor więc, wydawszy ochryply ryk, rzucił się na przeciwnika.

— Uważaj, Jonaszu, uważaj! — wrzasnęli spekulanci.

W chwili gdy pies miał wpaść do swej dawnej budy, Jonasz, chwytając kurczę, za nogi, stuknął go w pysk smakowitym kąskiem. O cudzie! Medor, zamiast rozgniewać się, zaczął oblizywać wargi i wysuwał daleko język w poszukiwaniu okruchów mięsa osiadłych na sierści.

Głośny wybuch śmiechu powitał to wspaniałe posunięcie strategiczne. Medor zdradził pana; Ezop II przekupił psa udkiem kurczęcia. Widząc to olbrzym nie potrafił pohamować furii i runął w stronę budy.

Jonasz stanął naprzeciwko wroga, przyglądając się żołnierzowi z uśmiechem. Wieloryb chwycił karła za kark i podniósł wysoko w górę. Jonasz nie przestał się uśmiechać. W chwili gdy olbrzym miał rzucić swą ofiarą o ziemię, Jonasz wyprężył się i postawił stopę na kolanie kolosa, przy czym wykonał prawdziwie koci skok. Nikt nie mógł dobrze zrozumieć, co się stało, wszystko trwało mgnienie oka; nagle ujrzano Jonasza konno na grubym karku Wieloryba. W tłumie rozległ się szmer podziwu. Ezop II powiedział spokojnie:

— Żołnierzu, proś o łaskę, bo cię zaduszę.

Ryczący olbrzym, oblany potem, tocząc pianę z ust, na próżno usiłował zrzucić dziwnego jeźdźca. Ezop II, nie doczekawszy się prośby o łaskę, ścisnął kolanami szyję biedaka. Olbrzym wywiesił język, twarz mu spurpurowiała, następnie pokryła się sinością. Dobre muskuły musiał mieć garbusek! Po kilku sekundach Wieloryb wypluł ostatnie przekleństwo i zduszonym głosem poprosił o łaskę. Wśród obecnych

zaszemrało. Jonasz puścił ofiarę, zgrabnie zeskokczył na ziemię, rzucił złotą monetę pobitemu i pobiegł po kałamarz i pióra wołając:

— Do roboty, panowie klienci, do roboty!

Aurora de Caylus, wdowa po księciu de Nevers, siedziała w pięknym fotelu o wysokim oparciu z hebanowego drzewa, jak wszystkie meble znajdujące się w jej domowej kaplicy. Nosila jak zwykle żałobę, a strój jej, prosty i surowy, harmonizował z prostotą i surowością wnętrza.

Była to obszerna komnata o ścianach pokrytych boazerią z czarnego dębu, bez odrobiny złocień, obwieszona wspaniałymi dywanami, które przedstawiały sceny religijne. Między wysokimi oknami stał ołtarz okryty kirem, jak gdyby ostatnie odprawione przy nim nabożeństwo było mszą żałobną. Naprzeciwko ołtarza wisiał piękny portret młodziutkiego księcia Filipa de Nevers, naturalnej wielkości, pędzla Mignarda. Na ramie obrazu drapowała się żałobna krepka.

Od osiemnastu lat Aurora była żoną Gonzagi, nie znała jednak męża, nie chciała bowiem nigdy widzieć go ni wysłuchać.

Gonzaga dałby wiele za chwilę rozmowy z żoną. Starał się o to na próżno. Kochał ją niegdyś i, być może, kochał ją jeszcze na swój sposób. Wierzył, że potrafiłby przekonać ją swoją wymową. Księżna jednakże pozostała nieugięta: zamknęła się w rozpacz, nie pragnąc pociechy. Była sama, nie miała ni przyjaciela, ni powiernicy, a spowiednik słuchał tylko jej przewinień. Była dumna i w cierpieniu zobojętniała na wszystko. Żyło w niej jedno uczucie: miłość macierzyńska. Poza tym wydawała się umarłą.

Każdego ranka o dziewiątej kapelan pałacowy odprawiał mszę żałobną. Resztę dnia spędzała siedząc nieruchomo, samotna, i obojętna. Od czasu poślubienia Gonzagi ani razu nie wyszła z pałacu. Mówiono, że postradała zmysły, i byli tacy, którzy uważali Gonzagę za wzór

małżeńskiego poświęcenia, nigdy bowiem ani jedna skarga nie wyszła z ust księcia.

Pewnego razu księżna powiedziała spowiednikowi, którego zdziwiły jej zaczerwienione płaczem oczy:

— Śniłam, że odnalazłam córkę; nie była godna nazywać się panną de Nevers.

— I co pani zrobiła we śnie? — spytał ksiądz.

— To, co uczyniłabym w rzeczywistości: odepchnęłam ją — odparła księżna blada jak śmierć.

Od tego dnia jeszcze posmutniała. Przez te wszystkie lata ani na chwilę nie zaprzestała poszukiwań we Francji i za granicą. Kasa Gonzagi stała dla żony otworem; ksiązę starał się tylko, by wszyscy wiedzieli o jego hojności.

Spowiednik umieścił przy księżnej kobietę w jej wieku, wdowę, która wzbudziła sympatię pani. Nazywała się Magdalena Giraud, była łagodna i oddana.

Tego ranka Magdalena Giraud miała dużo roboty. Wbrew zwyczajowi wiele osób pragnęło widzieć się z księżną. Byli to wszystko ludzie poważni, wielkiego nazwiska i znaczenia. A więc pan de Lamoignon, kanclerz d'Aguesseau, kardynał de Bissy i inni. Chcieli ją widzieć z okazji uroczystego posiedzenia rady familijnej, której byli członkami. Księżna nie przyjęła gości, z wyjątkiem starego kardynała, który przybywał w imieniu regenta. Filip Orleański kazał powiedzieć wdowie, że pamięć o księciu de Nevers żyje w nim zawsze i wszystko, co może zrobić dla wdowy po przyjacielu, zrobi z ochotą.

— Proszę, niech pani powie swe życzenia — zakończył kardynał. — Regent uczyni, co w jego mocy, by je spełnić.

— Niczego nie pragnę — odparła Aurora de Caylus.

Kardynał usiłował ją wybadać, czy nie ma skarg przeciwko małżonkowi, ona jednak uparcie milczała. Kardynał wyszedł pod wrażeniem, że jest na pół obłąkana, pełen współczucia dla biednego Gonzagi.

Po wyjściu kardynała do oratorium wsunęła się Magdalena Giraud, podeszła do klęcznika i złożyła na oparciu modlitewnik wyjęty spod mantyli. Następnie stanęła przed panią ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, oczekując rozkazów.

— Gdzie byłaś, Magdaleno? — spytała księżna.

— W moim pokoju — odparła kobieta.

Księżna spuściła oczy. Gdy podniosła się na powitanie kardynała, ujrzała przez okno Magdalenę w ogrodzie, wśród tłumu spekulantów. Ten drobny fakt wystarczył, by obudzić nieufność.

— Czy mogę coś powiedzieć? — szepnęła nieśmiało służebna.

— Mów — odparła księżna z gorzkim uśmiechem, myśląc, że oto jeszcze jedna osoba, którą opłacono, by kłamała.

— Mam dziecko, syna, to całe moje życie — zaczęła kobieta — oddałabym wszystko, by księżna pani mogła być równie szczęśliwą matką.

Księżna milczała.

— Jestem biedna i zanim weszłam na służbę do księżnej pani, mój mały Karolek często bywał głodny. Ach, gdybym mogła odplacić się za wszystko dobro, co księżna pani dla mnie zrobiła!

— Potrzebujesz czego, Magdaleno?

— Ja? Nie, och, nie! Chodzi mi o księżną panią. Ta rada familijna...

— Zabraniam ci o tym mówić.

— Pani moja! — krzyknęła Magdalena — najdroższa moja pani, nawet gdyby mnie pani chciała wypędzić...

— Wypędzę cię, Magdaleno.

— Muszę spełnić obowiązek! Czyż księżna pani nie pragnie odnaleźć córki?

Księżna, blada i drżąca, uniosła się z fotela zrzucając chusteczkę. Magdalena pochyliła się szybko i przy tym ruchu coś zabrzączało w kieszeni jej fartucha. Księżna przeszła służebną zimnym spojrzeniem.

— Złoto — wyszeptała.

Następnie zanurzyła rękę w kieszeni służącej i wyciągnęła garść złotych monet: dziesięć lub dwanaście hiszpańskich dublonów.

— Książę Gonzaga wraca z Hiszpanii — szepnęła księżna.

Magdalena padła na kolana.

— Łaski, pani, łaski! — krzyknęła łkając. — Za to złoto mój Karolek będzie mógł uczyć się. Ten, co mi je dał, także przybywa z Hiszpanii. Na litość boską, wysłuchaj mnie, pani!

— Wyjdź — rozkazała księżna.

Po wyjściu służącej padła na fotel, kryjąc twarz w białych wychudłych dłoniach.

— Lubiłam tę kobietę, mogłam ją kochać! — szepnęła wzdrygając się ze zgrozy.

— W modlitewniku, który Magdalena Giraud położyła na oparciu klęcznika, było francuskie tłumaczenie psalmu „Miserere mei, Domine”. Księżna wiele razy dziennie odmawiała ten psalm i od częstego używania książka otwierała się sama na stronie ulubionej modlitwy. Po kwadransie bolesnej zadumy księżna wyciągnęła rękę i ujęła modlitewnik. Książka, jak zwykle, otwarła się na karcie wybranego psalmu. Wzrok księżnej błędził po zadrukowanej stronicy. Nagle drgnęła tłumiąc okrzyk.

— Książki nikt stąd nie ruszał — szepnęła ze strachem. (Na szczęście nie widziała modlitewnika w rękach służącej).

Zerwała się na równe nogi, z błyskiem w oku, piękna jak za dawnych lat. Uklękła przed otwartą książką i po raz dziesiąty przeczytała słowa nakreślone nieznana ręką na marginesie psalmu:

„Bóg zmiłuje się, jeśli będziesz wierzyć. Musisz być silna, by bronić dziecka. Bądź na radzie familijnej, nawet gdybyś była chora lub umierająca... i pamiętaj o haśle księcia de Nevers”.

— Obecny, to jego dewiza! Moje dziecko! Moja córka! — szeptała ze łzami. — Starczy mi sił, by cię bronić, o tak, obronię cię, obronię!

IX. MOWA OBROŃCZA

Wielka sala pałacu książąt de Nevers, zbezczeszczona tego ranka ohydną licytacją i wydana w ręce handlarzy, zdawała się jaśnieć ostatnim wspaniałym blaskiem. Od niepamiętnych czasów świetniejsze zgromadzenie nie zasiadało pod jej sklepieniem.

Gonzaga miał powody, by mająca się odbyć ceremonia zaćmiła wspaniałością podobne zebrania. Zaproszenia wystosowano w imieniu króla, wyglądało więc, jak gdyby rada zbierała się dla spraw państwa, jakby była posiedzeniem parlamentu, na którym rozstrzygać się miały losy wielkiego narodu. Obok prezydenta de Lamoignon, marszałka de Villeroy i wicekanclerza d'Argenson, reprezentującego osobę regenta, na miejscach honorowych zasiedli kardynał de Bissy i wielu innych dostojników.

To szlachetne zgromadzenie dzieliło się na dwa jak gdyby obozy: zwolenników Gonzagi i niezależnych.

Przed otwarciem obrad rozmawiano swobodnie. Nikt dobrze nie wiedział, dlaczego został tu dziś zaproszony. Wiele osób myślało, że chodzi o arbitraż między małżonkami co do majątku pozostałego po księciu de Nevers.

Po widzeniu się z księżną kardynał nie obwijał w bawełnę wrażenia, jakie zrobiła na nim Aurora de Caylus, i powiedział najbliższemu: „Biedna kobieta, jest w trzech czwartych wariatką”. Wobec tego rozeszły się słuchy, jakoby chodziło o ubezwłasnowolnienie.

Ogólnie mniemano, że księżna nie zjawi się na posiedzeniu rady. Gonzaga jednak zażądał, by czekano na jej przybycie. O pół do trzeciej pan de Lamoignon zajął miejsce w przydzielonym fotelu, a sam główny pisarz parlamentu wystąpił w roli sekretarza i ujął pióro w asyście

czterech notariuszy królewskich. Wszystkich pięciu zaprzysiężone. Następnie pisarz odczytał akt otwarcia rady familijnej.

Akt głosił, że Filip książę Orleański, regent Francji, pragnąłby osobiście przewodzić radzie, zarówno z przyjaźni, jaką żywi dla księcia Gonzagi, jak i dla braterskiej miłości łączącej go ze zmarłym księciem de Nevers. Jednakże ciężar rządów spoczywających na jego barkach nie pozwolił mu dla dobra jednostki oderwać się od spraw dotyczących ogółu. Na swoje więc miejsce posyła panów de Lamoignon, de Villeroy i d'Argenson, jako wysokich komisarzy królewskich, oraz prosi kardynała de Bissy, by służył za kuratora księżnie Gonzaga. Rada familijna otrzymała prawa najwyższego trybunału i mogła traktować bez apelacji wszelkie sprawy związane z olbrzymią sukcesją domu książąt de Nevers i w potrzebie przyznać spuściznę, komu prawnie należy.

W religijnym skupieniu wysłuchano tego aktu; następnie kardynał spytał prezydenta de Lamoignon:

— Czy księżna Gonzaga ma pełnomocnika?

Prezydent powtórzył głośno pytanie. W chwili gdy Gonzaga miał prosić, by trybunał wyznaczył takowego z urzędu, wielkie drzwi sali otwarły się na oścież, a lokaje ustawili się po obu stronach przejścia.

Obecni wstali. Na progu ukazała się księżna, jak zwykle w żałobie, ale tak majestatyczna i piękna, że szmer podziwu wionął po sali. Nikt się jej nie spodziewał, nikt nie spodziewał się ujrzeć ją taką.

— Panowie — rzekła od progu — nie trzeba pełnomocnika, oto jestem.

Gonzaga poskoczył ku żonie i pełen uszanowania, z galanterią, poprowadził ją na miejsce. Gdy ręka męża dotknęła jej dłoni, blade policzki księżny zaróżowiły się.

Po prawej stronie wzniesienia, na którym zasiadali przedstawiciele regenta, przygotowano fotel dla księżny. Stał on z boku, blisko fotela

kardynała. Po prawej ręce zwisała kotara zakrywająca drzwi. Gdy wszyscy usiedli, prezydent kazał raz jeszcze odczytać akt królewski, następnie rzekł:

— Książę Gonzaga ma głos.

Gonzaga wstał, skłonił się głęboko żonie, sędziom królewskim i reszcie zebranych. Księżna, obrzuciwszy wzrokiem zgromadzenie, spuściła oczy powracając do nieruchomości posągu.

Gonzaga był doskonałym mówcą: z wysoko podniesioną piękną głową, z ożywioną twarzą i błyszczącymi oczami, dźwięcznym głosem, jakim obdarzeni są mieszkańcy północnej Italii, zaczął prawie nieśmiało:

— Pragnę podziękować wszystkim, którzy raczyli zaszczyścić naszą rodzinę życzliwością i przyjaźnią, a więc Jego Królewskiej Wysokości Regentowi, wspaniałemu i szlachetnemu księciu, który zawsze przewodzi każdej godnej szacunku akcji...

— Jak doskonałym adwokatem byłby nasz kuzyn! — szepnął Chaverny do ucha sąsiada.

— Filip Lotaryński, książę de Nevers, był moim kuzynem przez węzły krwi, ale sercem był mi bratem. Wspólnie spędziliśmy młodość i mogę powiedzieć, że dusze nasze stanowiły doskonałą jedność, tak ściśle byliśmy ze sobą związani. Śmierć jego to najcięższy cios, jaki spadł na mnie w życiu. Osiemnaście lat już minęło od owej fatalnej nocy, ale nic nie złagodziło naszego bólu... Pamięć jego żyje wśród nas i żyć będzie wiecznie, jak żałoba tej szlachetnej kobiety, która choć wdowa po księciu de Nevers, nie pogardziła moim nazwiskiem.

Wszystkie oczy skierowały się na księżnę, której twarz oblał krwawy rumieniec, a wzruszenie wykrzywiło piękne rysy.

— Proszę o tym nie mówić — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Osiemnaście lat żyję we łzach i odosobnieniu.

Zebrani nadstawili uszu, ale przyjaciele i poplecznicy Gonzagi zaczęli głośno szemrać. Kardynał de Bissy podniósł się i zażądał uspokojenia zebranych.

— Słów księżnej pani należy wysłuchać równie uważnie jak słów jej małżonka — powiedział.

— Przepraszam Waszą Eminencję — wtrącił Gonzaga — pozwolę sobie zaprzeczyć: słów księżnej słuchać należy z większą uwagą, gdyż jest ona wdową po księciu de Nevers. Dziwię się, że znalazł się wśród nas ktoś, kto przez chwilę zapomniał o głębokim szacunku należnym księżnej!

— Gdyby diabeł miał swych świętych — zaśmiał się cicho Chdverny— pierwszy głosowałbym za kanonizacją mego kuzyna.

Gdy zapadła cisza, Gonzaga ciągnął dalej:

— Filip de Nevers padł ofiarą zemsty czy też zdrady. Nie mogę rozwodzić się nad tajemnicą owej tragicznej nocy; markiz de Caylus, ojciec księżnej, dawno nie żyje, a szacunek zamyka mi usta.

Księżna poruszyła się w fotelu. Gonzaga przerwał i zwrócił się do żony:

— Jeśli pani ma coś do powiedzenia, oddaję jej głos.

Aurora de Caylus usiłowała odezwać się, ale zaciśnięte konwulsyjnie gardło nie przepuściło żadnego dźwięku. Gonzaga poczekał chwilę, po czym ciągnął:

— Śmierć markiza de Caylus, który mógłby dostarczyć cennych wyjaśnień, odległość miejsca zbrodni, ucieczka zabójców i inne znane wszystkim powody nie pozwoliły dokładnie zbadać tej krwawej tajemnicy. A jednak, panowie, Filip de Nevers miał oprócz mnie drugiego, o wiele możniejszego przyjaciela. Wszyscy wiemy, że to książę Filip Orleański, regent Francji. Któż więc ośmielił się powiedzieć, że zamordowanemu księciu zabrakło mścicieli?

Aurora de Caylus przyciskała do ust chusteczkę, a oburzenie tamowało jej oddech.

— Panowie podjął Gonzaga — zbliżam się do wyjaśnienia przyczyny dzisiejszego zebrania. Poślubiając mnie księżna wyjawiała swe tajemne, lecz legalnie zawarte małżeństwo ze zmarłym księciem de Nevers oraz prawnie skonstatowała istnienie córki zrodzonej z tego związku. Brakło pisanych dowodów, rejestr kościelny, rozdarty w dwóch miejscach, nie zawierał żadnej wzmianki, i muszę znów dodać, że jedynie pan de Caylus mógłby nas w tej materii oświecić. Ale pan de Caylus milczał za życia, dziś grób jego nic nam nie powie. Stwierdził to jednak pod przysięgą ksiądz Bernard, kapelan zamkowy, i na marginesie mego aktu ślubnego wpisał uwagę o pierwszym małżeństwie mojej żony i o narodzeniu panny de Nevers. Pragnąłbym, by księżna raczyła potwierdzić moje słowa.

Aurora de Caylus milczała. Kardynał de Bissy pochylił się ku niej, po czym wstał i oświadczył: Księżna pani nie zaprzecza.

Gonzaga skłonił się i ciągnął dalej:

— Dziecko znikło w noc zabójstwa. Od tego czasu, przez osiemnaście lat, jedyną troską księżnej jest odszukanie zaginionej córki. Jak dotąd, wysiłki jej okazały się całkowicie bezowocne. Nie natrafiono na żaden ślad, na najmniejszą wskazówkę. Księżna nic nie wie, tak samo jak pierwszego dnia. Mimo przykrości, jaką mi sprawia mówienie o sobie, muszę zaznaczyć, że po ślubie moim, za panowania zmarłego króla, parlament miasta Paryża za namową nieżyjącego już księcia d'Elboeuf, stryja naszego nieodżałowanego krewniaka i przyjaciela, wydał wyrok zawieszający w nieskończoność moje prawa do sukcesji po księciu de Nevers. Chodziło o obronę interesów młodziutkiej Aurory de Nevers, jeśli jeszcze żyła. Byłem wówczas młody, bogaty, dobrze widziany u dworu, miałem za żonę kobietę niezwyklej urody i

szlachetności serca. Jednakże krzywdzący wyrok parlamentu uczynił moją pozycję fałszywą: ludzie o niskiej duszy, powodowani wyłącznie korzyścią, mniemali, że powinienem pragnąć śmierci biednego dziecka. Tak, panowie, świat jest właśnie taki i nie zmienimy go. Śmierć ta była dla mnie korzystna, przypuszczano więc, że jej pragnę. Cóż po życiu bez skazy, jeśli kalumnia chwyciła je w swe szpony? Posądzono mnie o najniższe, najniegodniejsze intencje, wzniecono nieufność, prawie wrogość w sercu księżnej, przeciwstawiono żyjącego małżonka zmarłemu i by użyć trywialnego słowa, zniszczono moje małżeńskie pożycie i spokój rodzinny. Przysięgam, oddałbym wszystko, co mam, nazwisko i fortunę, za szczęście maluczkich, za ko chające serce oddanej żony, za dzieci, jednym słowem za rodzinę...

Zebranych poruszyło do głębi wyznanie księcia; poczuli pełną szacunku litość dla wielkiego .pana, który odsłonił przed nimi straszliwą ranę swego życia. Większość zasiadających w trybunale była ojcami rodzin.

Dwie tylko osoby pozostały nieczułe na łzawy głos księcia: księżna i markiz de Chaverny. Księżna siedziała nieporuszona, opuściwszy powieki, a jej postawa zdawała się przemawiać przeciwko niej. Młody zaś markiz bujał się w fotelu i mruczał:

— Mój kuzyn jest niezrównanym łajdakiem!

Zachowanie księżnej jasno pokazywało obecnym, co biedny Gonzaga musiał wycierpieć.

Tego już za wiele — szepnął pan de Mortemart kardynałowi — doprawdy, bądźmy sprawiedliwi!

— Mówiłem już panu — odparł kardynał — dowiemy się ładnych rzeczy! Ale słuchajmy, Gonzaga jeszcze nie skończył.

— Bóg mi świadkiem, panowie — podjął Gonzaga blady ze wzruszenia — nie chowam urazy do nieszczęśliwej matki; jeśli ja

cierpiałem, cóż musiała wycierpieć ta biedna kobieta! Powiedziano jej, że jestem wrogiem dziecka, że czyham na majątek córki, ja, ksiązę Gonzaga, najbogatszy po panu Lawie człowiek we Francji! Powiedziano jej, że moi emisariusze przebiegają Francję, Włochy i Hiszpanię w poszukiwaniu zaginionej... — A zwracając się do księżnej spytał: — Powiedziano to pani, prawda?

— Powiedziano — odparła księżna nie ruszając się i nie podnosząc oczu.

— Widzicie, panowie! — zawołał Gonzaga w stronę trybunału. Powiedziano też pani — ciągnął: — „Poszukiwania twoje pozostały bezskuteczne, gdyż perfidna ręka Gonzagi z ukrycia przeszkadza twym ludziom, kieruje ich na fałszywy trop”. Powiedziano tak pani, nieprawda?

— Powiedziano — odparła znowu księżna.

— Widzicie, panowie! Czyż nie powiedziano pani innych jeszcze okropności? Czyż nie mówiono, że zbrodnicza ręka jest ręka pani małżonka, że dziecko już nie żyje, że znaleźli się dość podli złoczyńcy, by targnąć się na życie dziecka? Wszystko to pani mówiono.

— Mówiono — odpowiedziała po raz trzeci księżna, blada jak ściana.

— A pani wierzyła? — spytał głosem zmienionym oburzeniem.

— Wierzyłam — odparła chłodno księżna.

Szmer przeszedł po sali.

— Gubi się pani — szepnął kardynał — przegrała pani sprawę.

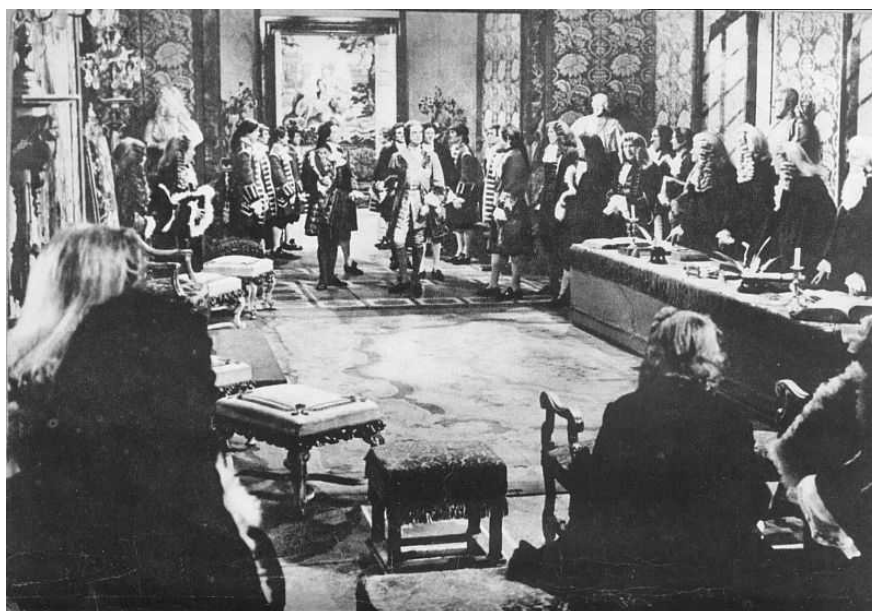
Księżna siedziała w milczeniu, bez jednego gestu. Pan de Lamoignon otwierał już usta, by ją skarcić, gdy Gonzaga powstrzymał go z szacunkiem.

— Proszę, panie prezydencie, panowie! Wziąłem na siebie brzemię, które będę nosił do końca. Bóg mi to policzy. Jeśli mam powiedzieć całą prawdę, to wyznam, że uroczysta rada familijna po to została zwołana, by zmusić księżnę do wysłuchania mnie jeden raz w życiu. Przez

osiemnaście lat nie udzieliła mi tej łaski. Chciałem się pokazać takim, jakim jestem; nie zna mnie, wygnańca od dnia ślubu. Dzięki wam powiodło mi się, ale proszę, nie stawajcie teraz między nami; mam talizman, który jej nareszcie otworzy oczy. — A zwracając się do księżnej dodał: — I powiedziano pani prawdę: więcej moich agentów niż, pani ludzi przetrząsało Francję, Włochy i Hiszpanię i podczas gdy ty, pani, słuchałaś niecnych kalumnii, ja pracowałem dla ciebie. Szukałem bez chwili wytchnienia, w poszukiwaniu te włożyłem całe moje serce, wszystko złoto, jakie posiadam, całą moją potęgę. I dziś doczekałem się nagrody za tyle lat męki i przychodzę do ciebie, pani, która mną pogardzasz i nienawidzisz mnie, przychodzę i mówię: „Szczęśliwa rnatko, otwórz ramiona i uściśnij córkę!”

Po tych słowach zwrócił się do pana de Peyrolles, oczekującego na rozkazy:

— Niech wprowadzą pannę Aurorę de Nevers! — powiedział głośno.



X. OBECNY!

Wielcy panowie zebrani na sali, wzruszeni rycerskością Gonzagi, żalowali, że kiedykolwiek mogli wątpić w jego szczerość. Przekonała ich miłość do żony i przebaczenie doznanych od niej krzywd. Pan de Lamoignon ocierał oczy, stary marszałek de Villeroy wykrzyknął:

— Do licha, książę, szlachetny z pana człowiek!

Ale największym zwycięstwem było nawrócenie sceptycznego markiza de Chaverny. Po ostatnich słowach Gonzagi młody markiz otworzył usta ze zdumienia.

— Jeżeli to zrobił — szepnął sąsiadowi — przebaczam mu wszystko.

Aurora de Caylus zerwała się blada, drżąca, podobna do zjawy z tamtego świata. Kardynał de Bissy musiał ją podtrzymać, by nie upadła. Stała ze wzrokiem wbitym w drzwi, za którymi zniknął Peyrolles, a na twarzy jej malowały się na przemian nadzieja i przerażenie. Czekala i cała sala czekała z nią razem.

Po krótkiej chwili w drzwiach wiodących do apartamentów księcia ukazał się Peyrolles prowadząc za rękę donię Cruz. Gonzaga wyszedł naprzeciw dziewczynie. Na sali rozległ się szmer: „Jaka piękna”, a popiecznicy księcia wołali: „Jak podobna do ojca!”

Znaleźli się ludzie, wśród nich prezydent, marszałek i kardynał, którzy w dobrej wierze, spoglądając kolejno na księżnę i na dziewczynę, mówili:

— Podobna do matki!

Księżna patrzyła z nieopisanym niepokojem na piękną dziewczynę. Nie tak wyobrażała sobie córkę. Była bardzo piękna, lecz inna niż w marzeniach. Dziwny chłód spłynął na serce, napełniając je obawą. Czyż była złą matką? Do lęku dołączył się jeszcze nowy niepokój: jakaż była

przeszłość tej ślicznej dziewczyny o błyszczących oczach i śmiałym uśmiechu, z której postaci wiał niepokojący urok, jakiego nie posiadają surowo wychowane księżęce dziedziczki?

Chaverny ochłonął ze wzruszenia i żałował, że uwierzył. Patrząc na donię Cruz odezwał się do przyjaciela:

— Jest urocza, ale nie pasuje do niej nazwisko de Nevers; przytłacza ją wielkość.

Donia Cruz, z rumieńcem na policzkach, skromnie spuszczając, oczy, choć miała chęć przyjrzeć się świetnemu zgromadzeniu, stała u stóp wzniesienia.

— Panno de Nevers — zawołał Gonzaga — proszę uściskać matkę!

Donia Cruz ucieszyła się. Radość jej była szczera; wierzyła, że odnalazła matkę, i w tym przejawiała się zręczność Gonzagi.

Dziewczyna zwróciła się w stronę księżnej, ale chłód matki przykuł ją do miejsca.

— Cóż uczyniono z córką Neversa? — szepnęła księżna, a podnosząc głos dodała: — Bóg mi świadkiem, jestem matką, ale jeśli córka moja choć na chwilę zapomniała o honorze, o czci, jaką winna swemu nazwisku, zakryję twarz i powiem: Nevers nie zostawił dziedziczki.

W tej chwili po jej prawej ręce, za kotarą, dał się słyszeć szmer jak gdyby otwieranych drzwi.

— Czy tak przemawia pani serce? — spytał Gonzaga składając dłonie

— panna de Nevers jest czysta jak łza.

Kardynał pochylił się ku księżnej.

— Czy ma pani jakieś namacalne dowody... — zaczął.

— Dowody! — przerwała gwałtownie księżna. — Czyż nie wystarczy, że moje serce pozostało zimne, oczy suche, czyż tego jeszcze mało?

— Nie omyliłem się — szepnął kardynał do ucha księciu de Mortemart — jest szalona!

— Panowie! — zawołała z rozpaczą księżna — czy już mnie osądziliście?

— Proszę się uspokoić, księżno — odparł pan de Lamoignon. — Wszyscy tu obecni mają dla pani najgłębszy szacunek i chcą pani dobra, w pierwszym rzędzie małżonek...

Księżna spuściła głowę.

— Proszę postępować zgodnie z sumieniem i niczego się nie obawiać — ciągnął pan de Lamoignon z odcieniem surowości w głosie. — Nasz trybunał powołano nie po to, by karać, a omyłka jest nieszczęściem, nie zaś zbrodnią. Krewni i przyjaciele będą współczuć, jeżeli pani dała się oszukać.

— Często mnie oszukiwano — odparła księżna podnosząc głowę — jeśli więc nikt mnie nie broni, będę się bronić sama. Córka moja musi posiadać dowód urodzenia.

— Jaki dowód? — spytał pan de Lamoignon.

— Dowód, o którym wspomniał książę Gonzaga, kartę wydartą z rejestru kaplicy w Caylus, wydartą moją własną ręką, tak, panowie! — dodała prostując się.

Chciałem to wiedzieć! — pomyślał Gonzaga, a głośno dodał: — Córka pani będzie rniała ten dowód.

— A więc go nie ma? — spytała księżna.

W sali zaszemrano.

— Proszę mnie stąd zabrać! Wyprowadźcie mnie! — załkała donia Cruz.

Rozpaczliwy szloch biednej dziewczyny poruszył serce księżnej.

— Mój Boże! — krzyknęła wnosząc ręce ku niebu. — Boże, oświeć mnie! Jakąż straszną zbrodnię popełniłabym odpychając własne dziecko!

Nagle przebiegło ją drżenie, twarz zajaśniała. Głos, którego nie słyszał nikt z obecnych, tajemniczy głos dochodzący zza kotary wymówił dewizę rodu de Nevers: „Obecny!”

Księżna wyciągnęła rękę w stronę kardynała; nie miała odwagi obejrzeć się za siebie.

— Pani — zawołał Gonzaga — nie odpychaj szczęścia, zapomnij, czyja ręka oddaje ci skarb utracony! O nic nie proszę dla siebie, proszę tylko, spójrz na swe dziecko, spójrz, jak drży złamana chłodnym przyjęciem. Posłuchaj głosu twego serca, pani. W imię Boże, odpowiedz czy to nie twoja córka?

Księżna nie odpowiedziała od razu. Bezwiednie zwróciła się w stronę kotary, skąd usłyszała wyraźnie:

— Nie.

— Nie! — powlórzyła zdecydowanie.

Ogarnęła wzrokiem zebranych, już się nie bała. Ufała tajemniczemu doradcy, gdyż zwalczał i przychodził z dewizą Neversa na ustach.

W sali zawrzało. Oburzenie popleczników księcia nie miało granic.

— Tego już za wiele — rzekł Gonzaga uciszając zebranych — ludzka cierpliwość ma swoje granice. Po raz ostatni zwracam się do pani: trzeba mieć powody, i to poważne, by odrzucić prawdę bijącą w oczy.

— Niestety — westchnął kardynał — gdy kobiety wbijają sobie coś do głowy...

— Proszę o dowody — zakończył Gonzaga. — Czy pani je posiada?

— Tak — odparł tajemniczy głos.

— Tak — odrzekła z kolei księżna.

Gonzaga zbladł, wargi zaczęły mu drżeć. Czuł jakieś wrogie, choć nieuchwytnie działanie w kręgu oddanych mu ludzi. Czuł je, ale na próżno szukał, skąd by mogło pochodzić. Otarł pot spływający po twarzy.

— Więc pani ma wieści od córki? — spytał starannie ukrywając niepokój.

Księżna milczała.

— Jest wielu oszustów — ciągnął Gonzaga — fortuna rodu de Nevers to łakomy kąsek. — Czy przedstawiono pani inną dziewczynę?

Księżna nie odpowiedziała. Milczenie tajemniczego głosu było mądrym posunięciem. Księżna nie wiedziała, co odpowiedzieć, a Gonzaga tracił ostrożność i cierpliwość. W bladej twarzy księcia gorzały krwią nalane oczy.

— Powiedziano pani — ciągnął przez zaciśnięte zęby — że ona gdzieś tu jest, blisko, żywa, tak, żywa? Proszę, odpowiedz, pani.

Księżna wsparła się o poręcz fotela, drżąc i blada. Dałaby pół życia, by móc odsłonić draperię, za którą ukrywał się tajemniczy, milczący teraz głos.

— Odpowiedz, pani — powtórzył Gonzaga.

— Odpowiedz — zawtórowali sędziowie.

Aurora de Caylus wytężyła słuch.

— Litości! — szepnęła w stronę kotary.

Fałdy draperii zafalowały leciutko.

— Żywa? — szepnęła ledwie dosłyszalnym tchnieniem.

— Żywa — odpowiedział głos.

— Tak, żywa, żywa! — zerwała się pijana szczęściem, nieprzytomna — żywa wbrew panu, dzięki opiece Bożej!

Obecni powstali z miejsc, zapanowało nieopisane wrzenie.

— Nie wiemy wszystkiego — rzekł kardynał. — Zaczynam wierzyć, że księżna nie jest szalona.

W gwarze panującym na sali głos zza draperii powiedział:

— Dziś wieczór na balu u regenta posłyszysz pani dewizę Neversa.

— Zobaczę córkę? — szepnęła ledwie żywa ze wzruszenia.

Doszedł jej uszu cichy odgłos zamykanych za kotarą drzwi i odpowiedziała cisza. Chaverny, ciekawy jak kobieta, tknięty niejasnym podejrzeniem, wsunął się za plecy kardynała i gwałtownie podniósł kotarę. Księżna lekko krzyknęła. To wystarczyło, by podejrzenie młodego człowieka zmienić w pewność. Otworzył drzwi i puścił się w pogoń korytarzem.

Było ciemno, gdyż zapadał wieczór. Chaverny zobaczył u wylotu pokraczną sylwetkę małego garbusa o pokręconych nogach, który zniknął na zakręcie schodów.

Tymczasem w sali obrad na znak pana de Lamoignon obecni wracali na miejsca. Gonzaga opanował się straszliwym wysiłkiem i z pozornym spokojem rzekł kłaniając się:

— Panowie, nic więcej nie powiem. Zdecydujcie, kto z nas ma rację, księżna czy ja.

Pan de Lamoignon wstał i nakrył głowę kapeluszem.

— Komisarze królewscy — rzekł — wysłuchawszy jego Eminencję kardynała reprezentującego księżną oświadczyli, że na sąd nie ma miejsca. Ponieważ księżna wie, gdzie znajduje się córka, niechże nam ją pokaże. Panna de Nevers ma metrykę urodzenia. Gdy zostanie okazana karta wydarta z rejestru kaplicy w Caylus, sprawa będzie prosta. W imieniu króla odraczam posiedzenie rady na trzy dni.

— Zgadzam się — powiedział skwapliwie Gonzaga — za trzy dni przedstawię dowód.

— Przyjmuję — rzekła księżna — będę miała dowód i córkę.

— A ty, biedne dziecko... — zwrócił się Gonzaga do Cyganki oddając ją w ręce pana de Peyrolles. — Zrobiłem, co mogłem. Tylko Bóg może przemienić serce matki.

Nim opuściła salę, donia Cruz podbiegła do księżnej i całując jej rękę wykrzyknęła:

— Czy pani jest, czy nie jest moją matką, kocham panią i szanuję!
Księżna musnęła wargami czoło Cyganki.

— Wiem, że nie jesteś współniczką, moje dziecko — rzekła — i nie mam do ciebie żalu. Ja również cię kocham.

Peyrolles pociągnął donię Cruz. Zapadł już wieczór. Gonzaga, odprowadziwszy sędziów królewskich, wracał w chwili, gdy księżna opuszczała salę. Zbliżył się do żony ze zwykłą kurtuazją i pochylając się do jej ręki powiedział lekko:

— A więc wojna między nami?

— Ja nie atakuję — odparła księżna — bronię się tylko.

— Rzecz niewarta dyskusji, pragnę oszczędzić pani niepotrzebnego trudu. Widzę, że ma pani tajemniczych opiekunów?

— Łaska niebios jest oparciem matek — odparła księżna.

Uśmiech przemknął po twarzy Gonzagi.

— Magdaleno — rzekła księżna do służebnej — każ przygotować lektykę.

— Jest wieczorne nabożeństwo w kościele Saint-Magloire? — spytał zdumiony Gonzaga.

— Nie wiem, panie — odparła spokojnie księżna — nie udaję się do kościoła. Felicjo, przygotuj moje klejnoty.

— Wkłada pani diamenty? — spytał drwiąco Gonzaga. — Czyż dwór, tyle czasu pozbawiony pani widoku, będzie miał nareszcie szczęście ujrzeć panią?

— Jadę dziś wieczór na bal do regenta — odpowiedziała księżna.

— Pani? — wyszeptał zdumiony Gonzaga.

— Tak, ja — odparła wyniośle, prostując się.

Gonzaga mimo woli spuścił oczy. — Z dniem dzisiejszym skończyła się moja żaloba, książę, może pan występować przeciwko mnie, już się pana nie boję.

XI. GARBUSEK ZDOBYWA ZAPROSZENIE NA BAL DO REGENTA

Po wyjściu księżnej Gonzaga stał chwilę zamyślony. Zmartwychwstała! Nie poznaję jej! — mówił sobie. — Nie mam chwili do stracenia. Po co jedzie na bal do regenta? Wie, gdzie jest córka, ale ja wiem także.

Zadzwoił i wbiegającemu lokajowi rozkazał:

— Szukać pana de Peyrolles.

— Nareszcie pana widzę, książę! — zawołał Peyroltes. — Złe nowiny. Kardynał de Bissy odjeżdżając mówił do królewskich komisarzy: „Coś się za tym kryje niedobrego...”

— Zostaw w spokoju kardynała — przerwał Gonzaga.

— Donia Cruz buntuje się. Krzyczy, że kazano jej odegrać niegodną rolę, chce opuścić Paryż.

— Do licha z donią Cruz, niech robi, co chce. Posłuchaj teraz, co mówię.

— Wpierw muszę donieść księciu panu, co się dzieje. Lagardere jest w Paryżu.

— Tak myślałem. Od kiedy?

— Co najmniej od wczoraj.

Księżna musiała go widzieć — pomyślał Gonzaga, a głośno dodał: — Skąd wiesz?

— Saldagne i Faenza nie żyją — odpowiedział Peyrolles zniżając głos.

Gonzaga nie spodziewał się takiej wiadomości. Twarz mu zadrgała, ale wzruszenie trwało sekundę. Gdy po chwili Peyrolles spojrzął na pana, księżę był spokojny.

— Dwóch naraz — powiedział — to wcielony diabeł. Gdzie znaleziono zwłoki?

— W uliczce za domem — odparł drżąc Peyrolles.

— Obaj razem?

— Saldagne leżał koło furtki, Faenza piętnaście kroków dalej.

Saldagne zginał od ciosu...

— Tu, nieprawdaż? — przerwał Gonzaga dotykając czoła między brwiami.

— Tak, Faenza tak samo — Peyrolles powtórzył gest księcia.

— Nie mają innych ran?

— Nie mają. Pchnięcie księcia de Nevers jest zawsze śmiertelne.

— Dobrze — rzekł Gonzaga układając przed lustrem koronki żabotu.

— Kawaler de Lagardere dwakroć zostawił bilet wizytowy u moich drzwi. Rad jestem, że spotykamy się w Paryżu; każę go powiesić.

— Sznur, na którym zginie... — zaczął Peyrolles

— Chciałeś powiedzieć: jeszcze nie upleciony, co? Czas najwyższy, przyjacielu; ze wszystkich spacerujących przy księżycu w fosie zamku Caylus pozostało nas już tylko czterech.

— Tak — potwierdził dygocąc Peyrolles — czas najwyższy.

— Dla niego to na dwa razy — podjął Gonzaga poprawiając pas — my dwaj raz, a tamci biedacy drugi.

— Cocardasse i Passepoil — przerwał Peyrolles — boją się Lagardere'a.

— Tak samo jak ty. Nie mamy więc wyboru. Idź, zawołaj ich.

Cocardasse i Possepoil siedzieli przy obiedzie od południa do zmroku. Cocardasse był czerwony jak resztkę wina na dnie szklanki, a

Passepoil miał twarz ziemistą i szarą. Ubrano ich od stóp do głów w nowe szatki; puszyli się więc i pobrzękiwali rapierami.

— Prędko — rzekł wchodząc Peyrolles — książę pan was potrzebuje!

— Wydaje mi się, że ten łajdak do nas mówi — powiedział

Cocardasse.

— Co? Ten lokajczyk... — odparł Passepoil chwytając obiema rękami dzbanek.

Gaskończyk ujął pana de Peyrolles za jedno ucho i pchnął w stronę przyjaciela, który chwytając drugie ucho nieszczęśnika, odesłał go towarzyszowi. Trzykrotnie pan de Peyrolles odbył tę przykrą podróż, wreszcie Gaskończyk rzekł z powagą, puszcżając książęcego doradcę:

— Uważaj, zapomniałeś, że masz do czynienia ze szlachtą; na przyszłość o tym pamiętaj.

— Pijani jak bele — zamruczał Peyrolles doprowadzając do porządku toaletę, po czym szybko podążył do księcia.

Gonzaga kazał milczeć o tragicznym końcu Saldagne'a i Faenzy. Po chwili brzęk rapierów oznajmił zbliżanie się towarzyszy. Weszli dumnie, z brzegiem płaszcza uniesionym końcem szpady.

— Czy mocno trzymacie się na nogach? — spytał Gonzaga.

— Wypiłem tylko szklaneczkę za zdrowie księcia pana — odparł bezczelnie Cocardasse.

— A ja — dodał skromnie Passepoil — pijam tylko wodę z odrobiną wina dla koloru.

— Czy wasze rapiery zawsze tak doskonałe?

— Jeszcze lepsze — odparł Gaskończyk.

— I zawsze na usługi księcia Pana — dodał Normandczyk z ukłonem.

— Dobrze rzekł książę obracając się do nich plecami.

Następnie skinął na pana de Peyrolles i obaj odeszli w stronę drzwi, w drugi kąt komnaty. Gonzaga wydarł kartkę z informacją uzyskaną od

Cyganki; gdy wręczył papier słudze, w uchylonych drzwiach mignęła dziwna postać garbusa. Nikt nie zauważył intruza. Oczy Ezopa II błyszczą inteligencją, a cała twarz zdawała się przemieniona. Widząc Gonzagę i pana de Peyrolles o dwa kroki od progu, garbus cofnął się gwałtownie, przykładając ucho do szpary w uchylonych drzwiach.

— Ulica du Chantre, dziewczyna imieniem Aurora... Peyrolles z trudem odczytywał nakreślone ręką księcia słowa.

Twarc garbuska przybrała zastraszający wyraz, w oczach zapaliły się ponure błyski.

— Rozumiesz? — spytał Gonzaga.

— Rozumiem odparł Peyrolles — mamy szczęście. Gdzie umieścić dziewczynę?

— W pawilonie donii Cruz.

— Porwać ją? — spytał Peyrolles.

— Tylko bez rozgłosu — odparł Gonzaga. — Nie możemy mieć dodatkowych kłopotów, bądź ostrożny i zręczny. Trochę chytrłości, przyjacielu, ty to potrafisz. Lagardere mieszka tam z pewnością.

— Lagardere! — szepnął przerażony Peyrolles.

— Unikaj spotkania z tym zabijaką; musisz dowiedzieć się, kiedy wychodzi, głowę dałbym, że teraz nie siedzi w domu.

— Dawniej lubił wypić.

— Jeśli więc nie ma go w domu, oto plan: weźmiesz tę kartkę... — przy tych słowach Gonzaga podał mu jedno z dwóch zaproszeń na bal do regenta, przeznaczonych dla Saldagne'a i Faenzy — zabierzesz piękną toaletę balową, podobną do sukni donii Cruz, zostawisz na ulicy lektykę, a sam, w imieniu Lagardere'a, zjawisz się u dziewczyny.

— Mam leżeć w paszczę lwa!

— Dziewczyna oszaleje z radości na sam widok sukni; wystarczy, jak jej powiesz: „Lagardere to przysłała i czeka”.

— Zły sposób — odezwał się tuż obok skrzekliwy głosik — dziewczyna nie usłucha.

Peyrolles odskoczył od drzwi, Gonzaga chwycił szpadę.

— Do diabła — szepnął Cocardasse — widzisz, bracie, tego człowieczka?

Peyrolles, jak wszyscy tchórze, wybuchnął śmiechem na widok garbusa.

— Ezop II, czyli Jonasz — zawołał z ulgą.

— Jeszcze ta pokraka! — powiedział z gniewem Gonzaga. — Czy sądzisz, że wynajmując psią budę, kupiłeś prawo wałęsania się po pałacu? Co tu robisz?

— A panowie — odparł bezczelnie garbus — jaki macie interes na ulicy du Chantre?

— Mój panie Ezopie — zaczął Peyrolles — wiedz, że niebezpiecznie wtrącać się w cudze sprawy.

Karzeł bezceremonialnie wyjął z ręki książęcego powiernika zaproszenie na bal do regenta.

— Co robisz, hultaju! — krzyknął Gonzaga.

Garbusek spokojnie wydobył pióro i kałamarz.

— Zwariował! — rzekł Peyrolles.

— Niezupełnie, niezupełnie — odparł Ezop II, przyklękając, by znaleźć się w jak najdogodniejszej pozycji do pisania. Po chwili podniósł się, podając księciu zapisany arkusik. Proszę przeczytać rzekł z tryumfem.

Gonzaga przeczytał, co następuje:

Drogie dziecko, posyłam ci strój balowy, ubierz się pięknie. Lektyka z dwoma lokajami zawiezie cię na bal. Do zobaczenia.

Henryk de Lagardere

Cocardasse i Passepoil stali zbyt daleko, by słyszeć, byli więc niemymi świadkami rozgrywającej się sceny, nic z niej nie rozumiejąc.

— Na honor — powiedział Gaskończyk — księżę ma minę, jak gdyby zobaczył ducha.

— Spójrz na garbuska — odparł Passepoil — mówię ci, gdzieś już widziałem te oczy.

Rzeczywiście, księżę Gonzaga wyglądał na człowieka, u którego stóp padł piorun.

— Co to znaczy? — spytał po chwili, odzyskawszy zimną krew.

— To znaczy — odparł dobrodusznie karzeł — że dzięki temu bilecikowi dziewczyna usłucha bez wahania.

— Przejrzałeś nasze plany?

— Zrozumiałem, że zależy panu na dziewczynie.

— A wiesz ty, czym się ryzykuje podsłuchując?

— Można grubo zarobić — rzekł garbus zacierając ręce.

Gonzaga i Peyrolles wymienili spojrzenia.

— Ale to pismo... — zaczął cicho Gonzaga.

— Mam takie zdolności — odparł Ezop II — zaręczam, doskonała imitacja. Gdy raz zobaczę czyjeś pismo...

— Możesz zająć daleko. A człowiek...

— Och, człowiek — garbus zaśmiał się — jest zbyt duży, a ja zbyt mały, jego naśladować nie potrafię.

— Znasz go?

— Nieźle.

— Skąd ta znajomość?

— Interesy.

— Możesz coś o nim powiedzieć?

— Tylko tyle: wczoraj zabił dwóch, jutro zabije dwóch innych.

Peyrolles zadrżał.

— W moim pałacu są dobre lochy — powiedział Ganzaga.

— Strata miejsca. Radzę wynająć je kupcom wina na piwnice —
odparł garbus nie zwracając uwagi na ukrytą groźbę.

— Coś mi się wydaje, że jesteś szpiegiem.

— Pomyłka. Człowiek, o którym mowa, jest bez grosza, a pan ma miliony. Mogę go wydać. Proszę dać mi kartę — powiedział wskazując na ostatnie zaproszenie, które Gonzaga trzymał dotąd w ręku.

— Na co ci?

— Potrzebne. Dam człowiekowi, a ten dotrzyma przyrzeczenia, które składam w jego imieniu, i przybędzie na bal do regenta.

— Na Boga, przyjacielu — wykrzyknął Gonzaga — ale z ciebie łajdak!

— No, no — odparł skromnie garbus — są więksi łajdacy ode mnie.

— Skąd ten zapach?

— Taki już jestem oddany, gdy mi się ktoś spodoba.

— Mam szczęście podobać ci się?

— O tak, bardzo!

— Dlatego zapłaciłeś trzydzieści tysięcy za psią budę?

— O, nie, nie — przerwał garbus — tam co innego, spekulacja,
kopalnia złota!

Gonzaga dał znak dwom zabijakom, którzy zbliżyli się pobrzękując rapierami.

— Któż są ci dwaj? — spytał Jonasz.

— Ludzie, którzy pójdą za tobą, jeśli przyjmę twą pomoc.

— Sługa księcia pana — rzekł garbus kłaniając się ceremonialnie —
proszę nie przyjmować mojej pomocy. Panowie — dodał zwracając się
do dwóch przyjaciół — nie trudźcie się, nie skorzystam z waszego
towarzystwa.

— Ale... — zaczął Gonzaga groźnie.

— Nie ma żadnego ale. Do licha, zna pan człowieka równie dobrze jak ja; jest gwałtowny, szalenie gwałtowny, nawet brutalny. Gdy ujrzy za moimi plecami tych dwóch o wyglądzie szubieniczników...

— Do diabła! — rzucił zgorszony Cocardasse.

— Działać będę sam albo nie będę działać wcale — dokończył Ezop II stanowczo.

Gonzaga i Peyrolles naradzali się chwilę.

— Dobrze — zaczął księżę — służ mi wiernie, a nagroda cię nie minie. W przeciwnym razie...

Nie dokończył i podał garbusowi zaproszenie. Karzeł wziął kartonik i tyłem zaczął cofać się ku drzwiom, kłaniając się co trzy kroki.

— Zaufanie księcia pana jest dla mnie zaszczytem. Jeszcze tej nocy dam znać o sobie.

Na ukradkowe skinięcie księcia Gonzagi Cocardasse i Passepoil zaczęli szykować się do wyjścia, co widząc garbus zawołał:

— Powoli, panowie, a nasza umowa?

Odsunął zabijaków jedną ręką, która wydała im się dziwnie mocna, raz jeszcze złożył ukłon i wyszedł. Cocardasse i Passepoil puścili się za nim, lecz pchnął im drzwi w twarz. Gdy wpadli w korytarz, nie spostrzegli nikogo.

— Prędko — rzekł Gonzaga do powiernika — otoczyć natychmiast dom przy ulicy du Chantre, a resztę wykonać, jak zostało ustalone.

Wyludnioną o tej porze ulicą Quincampoix dreptał garbusek mruczając:

— Kasa była pusta. Do licha, nie wiedziałem, skąd wziąć zaproszenie i balową suknię!

PAMIĘTNIK AURORY

I. DOM O DWÓCH WEJŚCIACH

U zbiegu ulic du Chantre i Świętego Honoriusza stał skromny, niewielki dom, tak schludny i czysty, że wyglądał jak nowy. Od ulicy du Chantre małe sklepione drzwi prowadziły do wnętrza. Od kilku dni dom zajmowała nieznana rodzina, budząc zaciekawienie sąsiadów. Nowy mieszkaniec był młodym mężczyzną, a przynajmniej tak wyglądał, sądząc po młodzieńczej urodzie twarzy, blasku oczu i bogactwie jasnych włosów ocieniających gładkie, szerokie czoło. Rzeźbił gardy szpad, a nazywano go mistrzem Ludwikiem. Mieszkała z nim piękna dziewczyna, której imienia nikt nie znał. Ciekawi sąsiedzi wiedzieli tylko, że nowi przybysze nie żyli ze sobą jak mąż z żoną. Do posługi mieli starą, milczącą kobietę i chłopca lat szesnastu, siedemnastu, który starał się, jak mógł, zachować dyskrecję. Młoda dziewczyna nigdy nie opuszczała domu i można by uważać ją za więźnia, gdyby nie świeży głosik, który o każdej porze wyśpiewywał pieśni nabożne lub wesołe piosenki.

Mistrz Ludwik wychodził bardzo często, a wracał nieraz nocą. Do domu przy ulicy du Chantre można było wejść przez sąsiednią kamienicę; mieszkanie mistrza Ludwika miało dwa wejścia i gdy młody człowiek wracał późno, nie wchodził głównymi drzwiami, lecz kierował się na schody przyległego domu.

Odkąd tu osiedli, nikt obcy nie przestąpił progu ich mieszkania z wyjątkiem małego garbusa o poważnej twarzy, który wchodził i wychodził nic nikomu nie mówiąc, zawsze schodami sąsiadów. Był widocznie dobrym znajomym mistrza Ludwika, choć nigdy nie widziano go w dolnej salce, gdzie zazwyczaj przebywała dziewczyna ze służącą i chłopcem. Zanim zamieszkali na ulicy du Chantre, garbuska nie znano w tej

dzielnicy, toteż jego pokraczna postać, nie mniej niż piękny i milczący mistrz Ludwik, podniecała ciekawość sąsiadów.

Dom był niewielki: na dole duża niska salka, obok kuchnia, wychodząca na podwórze, i pokój dziewczyny, z oknem na ulicę Świętego Honoriusza; w kuchni dwie antresole, gdzie spali stara Franciszka Berrichon i jej wnuk Janek. Do pomieszczeń parteru dostać się można było tylko głównym wejściem. W głębi salki kręte schody prowadziły na piętro, do pokoju mistrza Ludwika, skąd wiodły tajemnicze, stale zamknięte na klucz drzwi do drugiej izby. Ani stara Franciszka, ani mały Berrichon, ani młoda dziewczyna nie mieli prawa wstępu do tajemniczego pokoju. Pod tym względem mistrz Ludwik, najłagodniejszy człowiek pod słońcem, okazał się nieugięty.

Młoda dziewczyna gorąco pragnęła zajrzeć za zamknięte drzwi, stara Franciszka umierała z ciekawości, mimo że była kobietą ostrożną i małomówną, mały Berrichon dałby sobie uciąć dwa palce u ręki, by choć oko przyłożyć do dziurki od klucza. Jednakże metalowa płytką zasłaniała od wewnątrz otwór zamka. Jedną tylko istotą znała sekret mistrza Ludwika: widziano, jak garbusek wchodził lub wychodził z tajemniczego pokoju. Za każdym razem, gdy znikał za drzwiami, pojawiał się mistrz Ludwik i odwrotnie: gdy mistrz Ludwik przekraczał próg tajemniczej izby, wkrótce wychodził garbus. Dwóch przyjaciół nigdy nie widziano jednocześnie.

Tego dnia, o zmroku, gdy w pałacu księcia Gonzagi odbywało się uroczyste posiedzenie rady familijnej, młoda dziewczyna w domku mistrza Ludwika siedziała przy stole nad kartką papieru, zajęta pisaniem.

Ostatnie blaski gasnącego dnia oświetlały jej śliczną twarz o wielkich ciemnoniebieskich oczach, ocienionych długimi rzęsami. Była wysoka i bardzo szczupła, czarnowłosa, a mała jej główka zdawała się ugiąć pod ciężarem gęstych, opadających puklami na szyję i ramiona włosów.

Nazywała się Aurora, choć nikt nie słyszał, by ją tak wołano. Od przyjazdu do Paryża Franciszce i Jankowi nie wolno było wymówić jej imienia.

Gdy mrok tak zgęstniał, że trudno było dojrzeć koniec pióra, dziewczyna przerwała pisanie i zatonęła w myślach.

— Jak on się spóźnia! — szepnęła.

Zebrała rozsypane kartki, włożyła do małej szkatułki i ukryła za wezgłowiem łóżka.

— Do jutra — powiedziała, jak gdyby żegnając się z przyjacielem.

Wzięła następnie gitarę i wydobywając z instrumentu żalosne tony, czekała. Odczytała dziś wszystkie zamknięte w szkatułce kartki. Zawierały całe jej dzieje, to, co o sobie wiedziała, jej wrażenia, odczucia, jej serce.

Dlaczego pisała? Odpowiedź znajdowała się w rękopisie:

Piszę zawsze wieczorem, gdy jestem sama, czekając, aż wróci. Nie piszę dla niego, nie chcę, by czytał te słowa, i choć będę mówić tylko o nim, nie dla niego przeznaczam ten pamiętnik.

Szczęśliwe dziewczęta mają towarzystwo, ja jestem zawsze sama, nie mam przyjaciółki, mam tylko jego. Gdy go widzę, milczę. Co mu powiem? On o nic nie pyta.

Piszę z nadzieją, że kiedyś, po mojej śmierci, przeczyta te słowa. Jeśli umrę, będzie mnie żałował, a ja wtedy zajrzę w głąb jego serca. Gdy o tym myślę, chciałabym umrzeć.

Powiedział kiedyś, że mój ojciec umarł, lecz matka żyje. Matko, piszę dla ciebie. Serce moje należy do niego i do ciebie. Czy myślisz o mnie czasem? Czy wspominasz w codziennych modlitwach? Czy, jak ja, widzisz mnie w snach?

...Urodziłam się we Francji, ale nie powiedziano mi gdzie. Nie wiem dokładnie, ile mam lat, przypuszczalnie około dwudziestu. Wydaje mi się,

że pamiętam jakąś twarz kobiecą, pochyloną nad moją kołyską. Czy to jednak sen czy rzeczywistość?

...Potem jak przez mgłę słyszę szcęk broni, ktoś niósł mnie, biegliśmy, było zimno, głos podobny do gromu napełnił mnie przerażeniem.

Wszystko takie niejasne! Gdy pytam go o dzieciństwo, uśmiecha się smutnie i milczy.

Pierwszy raz widzę siebie wyraźnie w ubraniu chłopca w Hiszpanii, w Pirenejach. Pasłam kozy u górala, który nas przygarnął. Henryk był chory, słyszałam, jak mówiono, że pewnie umrze. Nazywałam go wówczas ojcem. Gdy wracałam wieczorem, kazał mi klękać przy swym posłaniu, złożyć ręce i mówił po francusku:

— Auroro, prosz Boga, bym żył.

Pewnej nocy był u niego ksiądz. Henryk spowiadał się i płakał.

Słyszałam, jak powiedział:

— Moja biedna córeczka zostanie sama.

— Myśl o Bogu, synu — napomniał ksiądz.

— Tak, ojczy, tak, myślę o Bogu. Bóg dobry, nie martwię się o siebie, lecz o moje biedactwo, które zostanie samo na ziemi. Czy będzie to wielki grzech, jeśli zabiorę ją z sobą?

— Chcesz zabić dziecko?! — wykrzyknął przerażony ksiądz. — Mój synu, jesteś nieprzytomny!

Henryk potrząsnął głową i nic nie odpowiedział, a gdy zbliżyłam się do niego, objął mnie rozpalonymi od gorączki ramionami, powtarzając:

— Zostawić ją samą, Boże, zostawić ją samą! Zasnął trzymając mnie w objęciach. Żadna siła nie oderwałaby mnie od opiekuna, musiano by mnie chyba zabić.

Jeśli umrze, zabiorą mnie z nim razem — myślałam.

Obudził się po kilku godzinach. Byłam złana jego potem.

— Nie umrę — oznajmił, a przyciskając mnie do piersi, dodał: — uratowałaś mi życie.

Opuściliśmy fermę udając się w głąb kraju. Henryk odzyskał siły i pracował w polu jako najemnik. Dowiedziałam się później, że robił to, bym nie umarła z głodu. Potem byliśmy u bogatego gospodarza, który nie tylko uprawiał ziemię, ale sprzedawał trunki przemytnikom.

Henryk nie pozwalał mi wchodzić do ogólnej izby ani opuszczać zagrody. Pewnego popołudnia przyjechali z Francji wielcy panowie. Bawiłam się w ogródku, a gdy dzieci pobiegły zobaczyć przyjezdnych, udałam się za nimi niepomna zakazu. Dwóch panów siedziało przy stole w otoczeniu pięciu rycerzy. Gdy weszłam, jeden z nich przywołał mnie i pogłaskał po głowie, drugi zaś rozmawiał z gospodarzem. Po chwili powiedział:

— To ona.

— Na koń! — rozkazał pierwszy pan, rzucając na stół kiesę pełną złota, a do mnie rzekł: — Chodź, maleńka, w pole, poszukamy ojca.

Byłam tak ucieszona, że dałam się posadzić na konia. Nie znałam drogi prowadzącej na pole, gdzie pracował Henryk. Przez pół godziny byłam wesoła i szczęśliwa, śmiałam się i śpiewałam. Gdy zapadł wieczór, chciałam wracać, ale pierwszy pan rozkazał:

— Galopem!

Zaczęłam krzyczeć, a jeden z rycerzy ręką zatkał mi usta. Nagle ujrzeliśmy jeźdźca, jak pędził polami, siedząc na oklep na roboczym koniu! I koń, i jeździec ociekali wodą, gdyż przebyli wpław dzielącą nas rzeczkę. Jeździec był coraz bliżej. Koń ostatnim wysiłkiem przesadził rów i padł. Henryk trzymał w ręku lemiesz od pługa.

— Strzelajcie! — krzyknął jeden z panów.

Lecz Henryk był szybszy: zawinął młynka lemieszem i dwóch zbrojnych legło we krwi. Za każdym ciosem Henryk wołał:

— Obecny! Obecny! Lagardere! Lagardere!

Trzymający mnie człowiek miał zamiar rzucić się do ucieczki, lecz Henryk przeskoczył ciała zabitych i lemieszem grzmotnął rycerza w głowę.



Nie wiem, czy cała walka trwała minutę. W chwilę potem znalazłam się w ramionach opiekuna. Pędziliśmy dalej na koniu jednego z zabitych. Nie wróciliśmy na fermę. Henryk powiedział, że gospodarz nas zdradził.

— Ukryć się można jedynie w mieście — dodał. Musieliśmy się więc ukrywać. Nigdy przedtem o tym nie myślałam. Obudziła się we mnie ciekawość, chciałam wiedzieć, ale Henryk powiedział:

— Później, później.

O dzieciństwie myślę ze łzami w oczach. Był dla mnie tak dobry, tak serdeczny! Ale w bitwie potrafi być straszny! Kochałabyś go, matko!

II. WSPOMNIENIA DZIECIŃSTWA

Nigdy nie widziałam miasta, toteż gdy ukazały się przed nami dzwonnice Pampeluny, spytałam, co to takiego.

— To kościoły — odpowiedział Henryk. — Zobaczysz wiele ludzi, pięknych panów i panie, ale nie będziesz miała ogródka.

Gdy przejechaliśmy bramę miejską, dwa rzędy wysokich ciemnych domów zakryły niebo. Henryk wynajął mały pokoik i zostałam więźniem.

W górach miałam towarzystwo dzieci i byłam cały dzień na powietrzu, tu otaczały mnie cztery ściany i samotność. Henryk wychodził rano, a wracał wieczorem, brudny i spocony. Był smutny i tylko moje pieszczoty wywoływały dawny uśmiech na jego twarzy. Mieliśmy mało pieniędzy i jedliśmy bardzo skromnie, niemniej od czasu do czasu Henryk przynosił mi hiszpański przysmak: czekoladę. Tego dnia bywał zawsze wesóły i uśmiechnięty.

— Auroro — powiedział pewnego wieczoru — nazywam się teraz don Luis, jeśli zaś kto zapyta o twe imię, odpowiedz: Mariquita.

Wiedziałałam, że opiekunowi mojemu na imię Henryk, lecz nie znałam jego nazwiska. On sam nigdy nie powiedział, kim jest. O kawalerze de Lagardere dowiedziałam się przypadkiem.

Znacznie później też zrozumiałam, co dla mnie zrobił; sądzę, że nie chciał, bym wiedziała, ile mu zawdzięczam.

Taki właśnie jest Henryk: szlachetny, bezinteresowny, odważny do szaleństwa. Kto go raz zobaczy, musi go pokochać.

Pewnego wieczoru usłyszałam pukanie. Nakrywałam stół do skromnego posiłku i myślałam, że to Henryk wraca do domu. W otwartych drzwiach stało dwóch nieznanomych. Przestraszyłam się

bardzo, gdyż nikt nie odwiedzał nas od przybycia do Pampeluny. Było to dwóch chudych szlachciców, z zakreconymi zawadiacko wąsami. Długie rapiery podnosiły brzeg czarnego płaszcza. Jeden był stary i gadatliwy, drugi - młody i milczący.

— Witaj, dziecino — rzekł starszy. — Chyba się nie mylę, tu mieszka don Henryk?

— Nie, panie — odpowiedziałam.

Przybyli spojrzeli po sobie, wzruszając ramionami. Młody mruknął:

— Don Luis.

— O, tak, don Luis, tak chciałem powiedzieć! — wykrzyknął stary, a widząc moje wahanie, dodał: — Wejdźmy, don Sancho, wejdźmy, poczekamy na powrót don Luisa. Nie obawiaj się, dziecko. Siądź, don Sancho, siądź, mój bratanku.

Bratanek nie odpowiedział ani słowa. Wuj, don Miguel, mówił bez przerwy, a ja umierałam ze strachu, bojąc się gniewu Henryka.

Gdy usłyszałam na schodach jego kroki, chciałam wybiec na spotkanie, ale don Miguel miał dłuższe nogi i mnie wyprzedził. Wołał już od drzwi:

— Od pół godziny czekamy na pana, don Luis, ja i mój bratanek don Sancho. Jestem don Miguel de la Crencha z Santiago, a to mój bratanek, don Sancho, również z Santiago. Jakże się cieszę, że pana widzę, don Luis, sługa pański, sługa.

Henryk stanął ze zmarszczonymi brwiami, z niepokojem wypisanym na twarzy.

— Czego panowie sobie życzą? — spytał. Niechże pan wejdzie don Miguel odsunął się od drzwi.

— Czego, panowie, chcecie? — powtórzył Henryk.

— Pozwoli pan, że przedstawię bratanka.

— Do diabła! — krzyknął Henryk — czego chcecie? Wuj Miguel cofnął się, przestraszony wyrazem twarzy gospodarza..

— Nie jest pan w dobrym humorze — zaczął. — Oto, z czym przychodzimy: nasz kuzyn, Carlos z Burgos, który w roku dziewięćdziesiątym piątym znajdował się przy hiszpańskiej ambasadzie we Francji, poznał pana u rusznikarza Cuenza. Pan jest kawaler Henryk de Lagardere.

Henryk zbladł i spuścił oczy. Myślałam, że zaprzeczy.

— Jest pan pierwszą szpadą na świecie — ciągnął wuj — człowiekiem, któremu nikt się nie oprze. Proszę nie negować, kawalerze, wiem, co mówię.

Nie neguję — odparł ponuro Henryk. Ale panów drogo może kosztować to odkrycie. Po tych słowach zamknął drzwi.

Do licha — zawołał don Miguel — niech to nas kosztuje, ile chce, mamy pełne kieszenie!

Po czym rzucili na stół kilka garści złota. Henryk patrzył ze zdumieniem, a ja ukryłam się w alkowie.

Tak, tak — zaczął wuj — nie zarobi pan tyle szlifując gardy szpad u mistrza Cuenza, co? Niech się pan nie gniewa, nie zdradzimy tajemnicy, nie obchodzi nas, dlaczego świetny kawaler de Lagardere wykonuje ciężką pracę, która niszczy ręce. Chcemy z panem pomówić o interesach rodzinnych.

— Słucham — rzeki Henryk.

— Musi pan wiedzieć, że wszyscy w naszej rodzinie są dzielni jak Cyd. A ja sam... No, ale nie o mnie teraz mowa, chodzi o mego bratanka, don Sancho. Don Sancho ubiegał się o względy pewnej panny z Salvatierra, która obdarzyła łaskami innego. Wie pan, jak to jest, gdy dwa koguty biją się o jedną kurę. Miasteczko niewielkie, a rywale spotykali się co krok. Mój bratanek, krewki młodzian, podniósł już rękę,

niestety, tamten go uprzedził i uderzył w policzek. Czy pan wie, co to znaczy dla członka rodu de la Crencha? Tylko krew może zmyć podobną obrazę.

— Więc czego pan chce? — spytał Henryk, którego oczy mimo woli zwracały się kilkakrotnie ku rozsypanemu na stole złotu. Byliśmy bardzo biedni.

— Jak to czego? — odparł wuj Miguel. — Jasne jak słońce. Żaden Crencha nie darował policzka, a wszyscy z tego rodu to lwy, szczególnie zaś mój bratanek don Sancho, tylko...

Twarz Henryka rozjaśniła się, spojrzenie pobiegło znowu w stronę złotych dublonów.

— Rozumiem — powiedział — gotów jestem panom służyć.

— Nareszcie! — wykrzyknął don Miguel. — Na świętego Jakuba, godny z pana kawaler! Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. Łotr nazywa się don Ramiro Nuniez Tornadilla z San Jose, jest niski, brodaty, ma podniesione ramiona.

— Te wiadomości nie są mi potrzebne — przerwał Henryk

— Ależ tak, inaczej mógłby się pan pomylić, do diabła! W zeszłym roku udałem się do dentysty w Fontarabii, dałem mu dublona, by wyrwał mi bolący ząb; łajdak wziął dublona i wyrwał zdrowiuteńki kieł zamiast chorego zęba.

Henryk zmarszczył brwi.

— Płacimy i chcemy, by robotę wykonano, jak należy. Don Ramiro jest rudy i nosi szary kapelusz z czarnym piórem. Co wieczór koło siódmej spotkać go można przed oberżą „Pod Trzema Maurami”, między San Jose a Roncevaux.

— Dość — przerwał Henryk — nie rozumiemy się.

— Jak to — wykrzyknął wuj.

— Sądziłem, że trzeba nauczyć don Sancho władać szpadą.

— Święta Trójco! — krzyknął don Miguel. — Wszyscy z rodu de la Crencha są mistrzami szpady i bratanek mój bije się jak sam święty Michał Archanioł. Zdarzają się jednak wypadki. Wolimy, by pan spotkał don Ramira i pomścił honor mego bratanka.

Henryk nic nie odpowiedział ale twarz jego wyrażała taką pogardę, że goście wymienili zakłopotane spojrzenia. Pokazał ręką stół i rozsypane złoto, a potem drzwi. Hiszpanie bez słowa zagarnęli dublony i wyszli.

Tego dnia jedliśmy suchy chleb. Henryk nie przyniósł ani grosza.

Podczas pobytu w Pampelunie zaczęła się moja edukacja. Opiekun mało miał czasu, brakło pieniędzy na zakup książek. Pracował wówczas jako czeladnik, ucząc się trudnej sztuki cyzelowania gard rapierów, sztuki, w której później zasłynął w całej Hiszpanii pod imieniem el Cincelador. Praca ta kosztowała go wiele trudu, a mistrz, u którego praktykował, nie traktował go, jak należy.

I ten świetny kawaler, niegdyś oficer królewski, dumny młodzieniec, co potrafił zabić za jedno słowo czy spojrzenie, znosił cierpliwie obelgi hiszpańskiego rzemieślnika!

Lagardere miał jedną tylko książkę. Był to „Traktat o szermierce” mistrza Franciszka Delapalme z Paryża, dyplomowanego nauczyciela fechtunku w Paryżu, Parmie i Florencji, członka licznych Akademii, fechtmistrza Jego Królewskiej Wysokości Delfina, itd. itd. wraz z „Opisem różnych pchnięć używanych w walce” przez Jana Marie Ventura, z wyżej wymienionej Akademii delia Scrima w Neapolu, Paryż 1667.

Nie należy dziwić się mojej pamięci; były to pierwsze zdania, jakie nauczyłam się czytać, pamiętam je jak katechizm i choć nigdy nie miałam szpady w rękę, w teorii jestem bardzo mocna.

Czytałam siedząc na kolanach Henryka i wodząc słomką po literach. Był bardzo cierpliwy, a dla mnie nauka stanowiła największą radość.

Zastępował mi matkę i choć jego kurtka wystrzępiła się i podarła, ja zawsze miałam całą sukienkę. Kiedyś zastałam go z igłą w ręku, gdy usiłował scerować rozdartą spódniczkę. I robił to kawaler Henryk de Lagardere, pierwsza szpada Francji!

W niedzielę szliśmy na mszę do kościoła Dominikanów, a potem wychodziliśmy za miasto. Jakże było przyjemnie odetchnąć świeżym powietrzem, jak cieszyło słońce i zieleń! Zmęczona, usypiałam u stóp drzewa.

Czasem pytałam go o moją rodzinę, o matkę. Stawał się wtedy smutny i milczał. Raz powiedział:

— Auroro, obiecuję ci, że poznasz matkę.

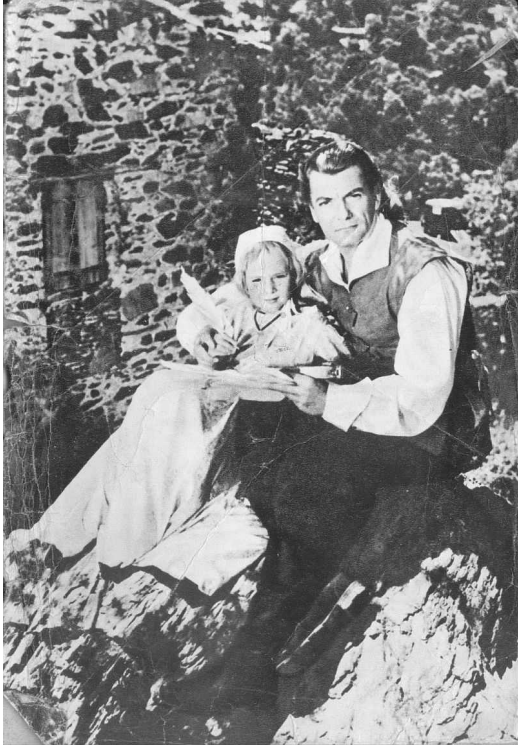
Gdy wreszcie przezwyciężył trudności w ciężkiej pracy, gdy objawił się wspaniały jego talent, a każdy grand hiszpański pragnął za cenę złota mieć szpadę z gardą cyzelowaną ręką don Luisa, Henryk tak rzekł pewnego dnia:

— Moje dziecko, w Madrycie są doskonale pensje dla dziewcząt, gdzie panienki uczą się wielu mądrych rzeczy.

— Chcę, żebyś ty mnie uczył — odparłam.

— Nauczyłem cię wszystkiego, co sam umiem — odrzekł z uśmiechem.

— W takim razie nie potrzebuję wiedzieć nic więcej.



III. CYGANECZKA

Gdy miałam dziesięć lat, musieliśmy nagle opuścić Pampelunę, gdzie zaczynało lepiej nam się powodzić. Henryk zaoszczędził nawet drobną sumkę.

Pewnego wieczoru wrócił zmartwiony i niespokojny. Jeszcze bardziej zmartwiłam go wiadomością, że cały dzień jakiś człowiek owinięty czarnym płaszczem stał pod naszymi oknami. Henryk nie siadł do stołu, tylko opatrzył broń i ubrał się jak do drogi. Gdy noc zapadła, kazał ubrać się i mnie. Potem wziął szpadę i wyszedł. Umierałam ze strachu, nigdy bowiem nie widziałam, by był tak poruszony. Gdy wrócił, zapakował trochę naszych rzeczy.

— Wyjeżdżamy, Auroro — powiedział.

— Na długo? — spytałam.

— Na zawsze.

— Jak to — wykrzyknęłam spoglądając na nasze ubogie gospodarstwo — zostawimy wszystko?

— Tak — odparł ze smutnym uśmiechem — chodziłem do pewnego biedaka, który odziedziczy nasze rzeczy. Rad jest jak król.

— Dokąd pojedziemy?

— Bóg raczy wiedzieć — odpowiedział z udaną wesołością. — W drogę, dziecino, czas na nas!

Na bruku ulicy leżało coś ciemnego. Henryk pociągnął mnie w przeciwną stronę, ale zajęty pakunkami, nie zdołał mnie zatrzymać; wyrwałam się z jego ręki i podbiegłam do ciemnego przedmiotu. Pierwszy raz byłam nieposłuszna. Nakryty czarnym płaszczem, na bruku leżał człowiek. Podniosłam brzeg płaszcza i poznałam tajemniczego nieznajomego, który cały dzień warował pod naszym oknem. Zalany był

krwią i nie żył. A więc przed chwilą, gdy Henryk wychodził, rozegrała się walka; raz jeszcze ryzykował dla mnie życie.

...Obudziłam się w środku nocy. Zdawało mi się, że jestem sama. Znajdowałam się w ubogiej sypialni na pierwszym piętrze domu biednego hidalgo. Z dolnej izby dochodził słaby szmer rozmowy.

Leżałam w dużym łożu o spróchniałych kolumnach, na sienniku przykrytym podartą derką. Przez wybite szyby świecił księżyc, a delikatne liście karkowych dębów chwiały się leciutko na wietrze. Po cichu zawołałam Henryka, ale nikt mi nie odpowiedział. Po chwili cień jakiś przesunął się po podłodze i Henryk pochylił się nade mną. Dał znak, bym milczała, i szepnął ledwie dosłyszalnie:

— Odkryli nas, są na dole.

— Kto? — spytałam.

— Towarzysze tego, co leżał pod płaszczem. Przed chwilą byli na górze i usiłowali otworzyć drzwi. Użyłem ramienia zamiast żelaznej sztaby. Teraz zeszli po łom by wyważyć drzwi. Zaraz tu będą.

— Co im zrobiłeś, że cię tak zaciekle tropią?

— Wydarłem wilkom zdobycz.

Chodziło więc o mnie, ja byłam przyczyną wszystkich nieszczęść Henryka, ja zламаłam mu życie! Ten człowiek, tak piękny, tak szlachetny, tak wspaniały, musiał ukrywać się jak złoczyńca. Oddał mi samego siebie. Smutek ścisnął mi serce. Dlaczego to zrobił?

— Tatusiu, najdroższy tatusiu — zawołałam szeptem — zostaw mnie i uciekaj!

— Głuptasku — szepnął kładąc mi rękę na ustach — gdy mnie zabiją, będę musiał cię opuścić, ale jeszcze mnie nie dostali. Wstawaj!

Zerwałam się szybko.

Dopiero potem dowiedziałam się, że Henryk, upadając ze zmęczenia, gdyż niósł mnie prawie nieprzytomną całą drogę z Pampeluny, zatrzymał

się w tym domu prosząc o nocleg. Mieszkańcy byli biedni i odstąpili nam pokój na górze. Henryk miał się właśnie położyć, gdy usłyszał tętent koni. Jeźdźcy zatrzymali się przed naszym schronieniem. Henryk domyślił się, kim byli nocni podróżni, otworzył bezszelestnie drzwi i zszedł kilka stopni, by posłuchać, o czym rozmawiano na dole.

— Jestem szlachcicem — mówił nasz gospodarz w łachmanach — nie wydam gości.

Henryk usłyszał brzęk złota, które rzucano na stół. W ten sposób zamknięto gospodarzowi usta.

— A teraz do roboty, uwijać się szybko! — rozkazał znajomy głos.

Henryk wrócił do pokoju i jak mógł, zabezpieczył drzwi. Następnie podbiegł do okna, by upewnić się, czy droga ta nadaje się do ucieczki. Gałęzie dwóch korkowych dębów dotykały okna, w dole był mały ogródek otoczony płotem, dalej ciągnęły się pola aż do rzeki Argi, połyskującej w świetle księżyca.

Na schodach rozległy się kroki. Henryk użył ramienia jak żelaznej sztaby, by zabarykadować drzwi. Napastnikom nie udało się wtargnąć do pokoju,— ramię Henryka miało moc stali.

— Bledziutka jesteś, Auroro powiedział, gdy wstałam — ale dzielna z ciebie dziewczynka, musisz mi pomóc. — I pociągnął mnie w stronę okna.

— Czy potrafisz zejść po takich schodach? — wskazał gałęzie i pień dębu.

— O tak, tatusiu, jeśli zejdziesz ze mną.

— Zejdę zaraz za tobą albo nie zejdę nigdy — dodał cicho, biorąc mnie na rękę.

Gdy Henryk otwierał pustą ramę okienną, na schodach znowu posłyszeliśmy kroki. Uczepiłam się gałęzi, Henryk zaś posunął się w stronę drzwi.

— Gdy znajdziesz się na dole — zdążył jeszcze szepnąć — rzuć kamyczek do pokoju; to będzie sygnał. Potem pobiegiesz ku rzece.

Nim zeszałam, usłyszałam jakieś skrzywienie: podważano drzwi żelaznym drągiem. Chciałam zobaczyć, co się stanie.

— Prędeż! Prędeż! — szepnął niecierpliwie. Posłuchałam. Rzuciłam kamyczek, jak rozkazał. Zaraz potem rozległ się głuchy łomot; pewnie upadły wyłamane drzwi. Stałam jak przybita do miejsca, nie mając siły biec. Huknęły dwa strzały i w oknie ukazał się Henryk. Jednym skokiem, bez pomocy gałęzi, znalazł się na dole.

— Dziecko! — wykrzyknął ujrzawszy mnie — myślałem, że jesteś daleko, będą strzelać!

Chwycił mnie na rękę. Posypały się kule. Henryk drgnął.

— Czy zraniono cię?! — krzyknęłam.

Byliśmy w środku ogródka. Zatrzymał się w pełnym świetle księżycy i zwrócony twarzą do bandytów, którzy stojąc w oknie nabijali broń, dwakroć zawołał:

— Lagardere! Lagardere!

Następnie przesadził płot i pobiegł ku rzece. Za nami pędziła pogoń. Arga w tym miejscu płynie wartko i jest głęboka. Szukałam wzrokiem łodzi, lecz Henryk, nie zwalniając biegu, rzucił się w sam środek rzeki. Jedną ręką podtrzymał mnie nad głową, drugą pruł fale. W kilka minut znaleźliśmy się na drugim brzegu. Nasi prześladowcy zostali daleko.

— Będą szukali brodu — powiedział — jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Ogrzewał mnie własnym ciałem, gdyż dygotałam z zimna. Po chwili tętent koni obwieścił, że wrogowie szukają brodu, by przeprowadzić się na drugą stronę. Byli pewni, że nas dostaną. Gdy odgłos kopyt ucichł w oddali, Henryk wszedł do wody i popłynął z powrotem.

— Jesteśmy bezpieczni powiedział wychodząc na brzeg w tym prawie miejscu, skąd rzucił się wplaw przez Argę. — Musisz osuszyć się i opatrzeć mi ramię.

— Wiedziałam, że cię zraniono! — krzyknęłam.

— Bagatelka, chodź.

Wróciliśmy do domu, gdzie nas zdradzono. Gospodarz i jego żona rozmawiali śmiejąc się przy sutym ogniu. Obezwładnić gospodarza i związać go wraz z żoną w jeden tłumok było dla Henryka kwestią kilku minut.

— Milczcie! — rozkazał, gdyż sądząc, że ich zabije, wydawali głośnie okrzyki. — Był czas, że podpaliłbym waszą chałupę, jak na to zasługujecie. Dziś nie zrobię wam nic złego: oto anioł, któremu winniście ocalenie. — Mówiąc to przesunął ręką po moich mokrych włosach.

Chciałam sama przewiązać zranione ramię, które obficie krwawiło. Podczas gdy moje ubranie schło przy ogniu, grzałam się zawinięta w płaszcz Henryka. Gdy opatrzyłam ranę, powiedział z uśmiechem:

— Już nie boli, wyleczyłaś mnie.

Gospodarze leżeli cicho, jak nieżywi. Henryk poszedł na górę i zniósł nasz skromny bagaż. Około trzeciej nad ranem opuściliśmy dom na grzbiecie znalezionej w stajni starej mulicy, za którą Henryk zostawił dwie sztuki złota. Na pożegnanie powiedział:

— Jeśli wrócą, kłaniajcie się im w imieniu kawalera de Lagardere i powiedzcie, że Bóg i Święta Jego Matka strzegą sieroty. Chwilowo Lagardere nie ma czasu, ale i na nich przyjdzie kolej.

Stara mulica okazała się lepsza, niż mogliśmy przypuszczać. O świcie przybyliśmy do Estrella, gdzie Henryk kupił u mulnika świeżego wierzchowca, by dojechać do Burgos, po drugiej stronie gór. Trzeba było oddalić się od granic Francji, Francuzi bowiem prześladowali Henryka. Celem naszym był Madryt.

Musisz, być znaczną i bogatą damą, moja matko, i mieć potężnych wrogów, jeśli tak zażarcie mnie ścigają!

W drodze do Burgos mieliśmy wiele przygód, nie spotkaliśmy jednak ani razu naszych prześladowców. Henryk wybrał tę drogę, by ominąć góry Starej Kastylii. Gdy pozostawiliśmy w tyle koronkę saraceńskiej dzwonnicy w Valladolid, dzieliła nas od Madrytu mniej niż połowa drogi.

Był wieczór. Jechaliśmy na jednym mule wzdłuż granicy Leonu, kierując się do Segowii. Po drodze mieliśmy napotkać oberżę. Słońce zachodziło za rzadkimi drzewami, a dotąd nie było widać śladu ludzkiej siedziby. Droga była piękna, ale spotykaliśmy coraz mniej mulników, nocna pora bowiem sprzyjała bandyckim napadom. Wtedy znaleźliśmy małą, kochaną Flor, Cyganeczkę, moją pierwszą i jedyną przyjaciółkę.

Dawno jej nie widziałam, ale pewna jestem, że o mnie pamięta. W kilka dni po naszym przybyciu do Paryża siedziałam w dolnej izbie, gdy nagle usłyszałam krzyk na ulicy; wydało mi się, że poznaję głos Flor. Podbiegłam do okna: wielka podróżna karetka bez herbów przejeżdżała właśnie ulicą z zazdrośnie opuszczonymi firankami. Musiałam się pomylić. Skąd Flor wzięłaby się w Paryżu...?

Droga prowadziła skrajem przepaści. Na samym brzegu leżało śpiące dziecko. Spojrzałam je pierwsza i poprosiłam Henryka, by zatrzymał muła. Zeskoczyłam na ziemię i zbliżyłam się do śpiącej. Była to Cyganeczka, dziewczynka w moim wieku, a jaka ładna! Gdy ją ucałowałam, obudziła się przestraszona naszym widokiem.

— Nie bój się — powiedziałam — jak się nazywasz?

— Flor. A ty?

— Aurora.

Gdy Henryk nas zawołał, Flor przyłożyła rękę do brzuszka i wykrzyknęła:

— Jestem taka głodna!

Henryk zsiadł z muła i Flor opowiedziała, że od wczorajszego dnia nie miała nic w ustach. Daliśmy jej trochę chleba z winem, resztki naszych zapasów. Jadła chciwie. Gdy zaspokoila głód, przyjrzała się nam ciekawie, po czym pocałowała Henryka w rękę mówiąc:

— Dziękuję, panie rycerzu, i proszę, nie zostawiaj mnie samej w nocy.

Henryk zawahał się. Znał Cyganów i wiedział, że dziecko pozostawione na drodze mogło być pułapką, ale tak prosiłam, że zgodził się zabrać małą Flor.

Byłam bardzo zadowolona, choć biedna mulica niosła większy ciężar.

W drodze Flor opowiedziała nam swoje dzieje. Należała do bandy Cyganów przybywających z Leonu, którzy jak my, kierowali się do Madrytu. Poprzedniego dnia rano bandę tropił oddział Świętej Hermandad. Podczas gdy towarzysze uciekali, Flor ukryła się w krzakach. Gdy niebezpieczeństwo minęło, nie udało jej się odnaleźć bandy. Na próżno biegła drogą nawołując, nie spotkała nikogo. Noc spędziła w stogu siana. Nazajutrz cały dzień była w drodze nic nie jedząc. Psy z napotykanych domostw szczekały na nią, a dzieci obrzucały ją kamieniami. Od czasu do czasu spostrzegała ślad cygańskiego sandała i to dodawało jej sił.

Cyganie zazwyczaj mają ustalone miejsce zbiórki i Flor wiedziała, że jej gromada miała zebrać się daleko, daleko, w wąwozie góry Baladron, naprzeciw Eskurialu, siedem mil od Madrytu.

Ponieważ udawaliśmy się w tym kierunku, uprosiłam Henryka, by odwieźć małą Flor na miejsce jej przeznaczenia. Od tej chwili droga stała się mniej monotonna. Flor zabawiała nas historyjkami ze swego życia. Umiała tańczyć i śpiewać. Spędziliśmy razem osiem dni.

Gdy zarysował się przed nami ciemny masyw góry Baladron, mieliśmy się rozstać z moją małą przyjaciółką; zrobiło mi się bardzo smutno.

Było tak duszno i gorąco, że nie mieliśmy czym oddychać; niebo zasnuły ciężkie chmury, jak przed burzą. Zaczął padać deszcz i Henryk okrył nas płaszczem. Posuwaliśmy się w potokach ulewy. Flor w imieniu swoich obiecała nam jak najserdeczniejszą gościnę.

Nagle oślepiająca błyskawica przecięła niebo, huknął piorun tak blisko, że biedna mulica zachwiała się na nogach.

— To dziwne! — zawołałam — w świetle błyskawicy zdawało mi się, że na szczycie tej skały ujrzałam dwóch ludzi, jak gdyby wykutych w kamieniu.

— Nic nie widzę — rzekł Henryk obracając się żywo we wskazanym kierunku.

— Już ich nie ma — powiedziała cicho Flor.

— Byli więc rzeczywiście? — spytał Henryk.

Lęk mnie przejął, spotęgowany jeszcze odpowiedzią Flor.

— Nie dwóch, lecz co najmniej dziesięciu.

— Uzbrojonych?

— Tak.

— To nie twoi bracia?

— Z pewnością nie.

— Czy śledzą nas od dawna?

— Od wczoraj rano.

Henryk spojrzał nieufnie na dziewczynkę, mnie również zrobiło się nieprzyjemnie. Dlaczego nas nie uprzedziła?

— Myślałam, że to zwykli podróżni — powiedziała Flor, jak gdyby zgadując nasze myśli. — Dopiero w górach wydali mi się podejrzani. Nie uprzedziłam was, gdyż są oni znacznie przed nami i nie spotkamy ich na naszej drodze.

Po czym wyjaśniła, że stara, dawno nie używana droga, którą jechali nieznanymi, prowadziła północnym zboczem góry Baladron, podczas gdy

nasza kierowała się bardziej ku południowi. Drogi te krzyżowały się w jedynym możliwym przejściu, zwanym Przejściem Postrzygaczy, ponad obozowiskiem Cyganów.

Zagłębiając się dalej w góry, nie spotkaliśmy nic podejrzanego. Jak okiem sięgnąć, w świetle błyskawic widzieliśmy tylko nagie skały lub czuby buków wstrząsane wicherą.

IV. FLOR RZUCA UROK

Noc zapadała. Zapomnieliśmy już o nieznanym wólczech, zresztą dzieliły nas od nich głębokie wąwozy i nieprzebyte przepaście. Całą naszą uwagę pochłaniała biedna mulica, z trudem pnąca się po drodze pełnej przeszkód.

Była już ciemna noc, gdy radosny okrzyk Flor obwieścił koniec mordęgi. Przed nami roztoczył się wspaniały widok. Deszcz ustał, północno—zachodni wiatr wymiół chmury jak zwykle po burzy, księżyc lał potoki srebrnego blasku.

Naprzeciwko nas otwierała się dolina z wąskim gardłem przesmyku. Dokoła wielkiego ogniska siedzieli mężczyźni i kobiety o wychudłych i mizernych twarzach. Płomień oblewał czerwienią sąsiednie skały, podczas gdy księżyc srebrzył mokre jeszcze od deszczu głązy i kamienie.

Zaledwie wyjechaliśmy z wąwozu, gdy zauważono naszą obecność. Cyganie przy ognisku nie przerwali palenia fajek ani kolacji, lecz dwóch zwiadowców bezszelestnie skoczyło na dwie strony. Po chwili Flor pokazała, jak czołgali się doliną. Wydała wtedy szczególny okrzyk i zwiadowcy stanęli. Flor krzyknęła raz jeszcze i dwaj Cyganie spokojnie wrócili do ogniska.

Byliśmy dość daleko od obozującej grupy, gdy od ognia podniósł się wielki drab o smagłej twarzy, z niezmiernie długą strzelbą w rękę. Krzyknął w swoim języku, na co Flor odpowiedziała.

— Bywajcie — rzekł człowiek — dostaniecie chleba i soli, gdyż przywodzi was nasza siostra.

Gdy obiecano nam chleb i sól, zgodnie z powszechną wiarą nie mieliśmy się czego obawiać; Cyganie są gościnni. Zbliżyliśmy się ufnie,

przywitano nas serdecznie. Flor ucałowała kolana herszta, który uroczyście położył jej ręce na głowie, następnie nalał wódki do rzeźbionego w drzewie kubka i z wielką ceremonią podał Henrykowi. Wszyscy ciasno skupili się dokoła ogniska. Jakaś Cyganka zaczęła śpiewać i tańczyć, igrając z płomieniem. Po dziesięciu minutach usłyszałam zmieniony, ochryply głos Henryka:

— Łajdaku, co dałeś mi do picia?

Chciał wstać, ale nogi ugięły się pod nim i ciężko padł na ziemię. Serce przestało mi bić. Henryk walczył z ogarniającym go bezwładem. Cyganie śmieli się cicho. Z tyłu, za nimi, ujrzałam kilka czarnych cieni: pięciu czy sześciu ludzi owiniętych w płaszcze, z twarzami ukrytymi pod szerokim rondem kapelusza. To nie byli Cyganie.

Henryk leżał jak martwy. Jeden z ludzi w czarnym płaszczu rzucił ciężką sakiewkę w środek koła, mówiąc:

— Skończcie z nim, a dam dwa razy tyle. Głos człowieka nie był mi znany.

— Trzeba czasu i odległości — odparł herszt Cyganów. — Dwanaście godzin i dwanaście mil. Nie można zadać śmierci tego samego dnia i w tym samym miejscu, gdzie się udzieliło gościny.

— Bzdury! — odparł człowiek w płaszczu, wzruszając ramionami. — Do roboty albo zostawcie go nam.

Jednocześnie zbliżył się do leżącego. Cygan zagroził mu drogę.

— Póki nie minie dwanaście godzin — rzekł zdecydowanie — póki nie oddzieli nas od tego miejsca dwanaście mil, będziemy bronić naszego gościa choćby przeciw królowi!

— Uratuję was oboje lub zginę — szepnęła Flor.

...Było już po północy. Leżałam na worku wypchanym suchym mchem, w namiocie herszta, który spał opodal z fuzją tuż przy jednym boku, z szablą przy drugim. U stóp jego chrapał młody Cygan. Nie

wiedziałam, gdzie zamknięto Henryka. Pilnowała mnie stara Cyganka,— leżała koło mnie z głową opartą o moje ramię, z moją prawą ręką w dłoniach. Przed namiotem rozlegały się kroki strażnika. W pewnej chwili usłyszałam leciutki szmer u wejścia. Obróciłam głowę, co wystarczyło, by obudzić pilnującą mnie staruchę. Szmer ucichł, a Cyganka mrużąc zasnęła. Wkrótce zamilkły kroki straży i zapadła nie zmałona niczym cisza.

Wówczas uniosło się płótno namiotu i ukazała się twarzyczka Flor. Dała mi znak głową. Nie mogłam powstrzymać odruchu zdumienia i moja strażniczka obudziła się znowu. Flor zastygła w bezruchu, z palcem na ustach, a starucha po chwili zachrapała.

Trzeba być czarodziejką — pomyślałam — by uwolnić mnie od starej Cyganki Ale okazało się, że Flor była czarodziejką. Posunęła się ostrożnie w stronę posłania i pochyliła się nad hersztem, utkwivszy wzrok w twarzy śpiącego. Gdy oddech Cygana stał się wolniejszy, Flor dotknęła leciutko jego skroni, po czym spojrzała na mnie tryumfująco.

— Jeden! — szepnęła.

Następnie podeszła do śpiącego u stóp herszta Cygana i dotknęła jego głowy, nie spuszczając oczu z twarzy chłopca. Cygan potoczył się jak martwy.

— Drugi!

Pozostawała stara Cyganka; Flor zbliżyła się, hipnotyzując staruchę wzrokiem, jak wąż biednego ptaka. Wyciągnęła rękę, trzymając ją na wysokości oczu Cyganki,— ciało śpiącej przebiegło drżenie, uczyniła ruch, jakby miała wstać.

— Nie chcę — powiedziała Flor.

Starucha westchnęła głęboko. Ręka Flor zniżyła się i dotknęła brzucha śpiącej, po czym powędrowała do czoła, godząc jak gdyby

palcami w oczy. Ciało starej zwiotczało, poczułam, że ciąży mi bardziej na ramieniu.

— Spisz, Mabel? — spytała cicho dziewczynka.

— Tak, śpię — odparła Cyganka.

Na krótko przed rozstaniem Flor poprosiła nas o pukle włosów, które umieściła na pamiątkę w małym medalionie na szyi. Otworzyła teraz medalion i wyjęła kosmyk włosów Henryka, dotykając nimi ręki śpiącej.

— Chcę wiedzieć, gdzie on jest — powiedziała. Stara poruszyła się niespokojnie, mrużąc. Obawiałam się, że się obudzi, ale Flor kopnęła ją silnie, by pokazać, jak głęboko jest uśpiona, po czym powtórzyła:

— Słyszysz, Mabel, chcę wiedzieć, gdzie on jest.

— Słyszę — odrzekła Cyganka — i szukam. Czy to jaskinia czy jakieś podziemie? Zdjęto z niego płaszcz i kurtkę. Ach — wstrząsnęła się — już widzę, to grób!

Złodowaciałam z przerażenia.

— Ale on żyje? — spytała Flor.

— Żyje, śpi.

— A gdzie ten grób?

— Na północy obozowiska. Przed dwoma laty pogrzebano tam starego Hadji. Człowiek leży z głową opartą o kości Hadjiego.

— Chcę tam pójść.

— Na północy obozowiska — powtórzyła starucha — pierwsza szczelina w skałach, trzeba podnieść kamień i zejść trzy stopnie.

— Jak go obudzić?

— Masz sztylet.

— Chodź — rzekła do mnie Flor i zsunęła z mego ramienia głowę Cyganki, która ciężko opadła na worek z mchem. Cyganka spała z szeroko otwartymi oczami. Wyszliśmy z namiotu. Dokoła wygasającego

ogniska spali pokotem Cyganie. Flor wzięła palącą się lampkę, osłaniając mantylą blady płomyczek.

— Tam są chrześcijanie — wskazała stojący w oddaleniu namiot.

Poszliśmy na północ obozu, zabierając po drodze trzy galicyjskie koniki, które objadały nisko rosnące gałęzie drzew. (Cyganie nie posługują się nigdy mułami). Wreszcie znalazłyśmy szczelinę. Trzy stopnie drażone w granicie wiodły do grotty, a wielki kamień zamykał wejście. Odwaliłyśmy go z trudem i w słabym świetle lampki ujrzaliśmy Henryka, półnagiego, pogrążonego w letargicznym śnie. Leżał na wilgotnej ziemi, z głową opartą o bielejący szkielet. Rzuciłam się ku śpiącemu, objęłam za szyję, wołałam. Nic z tego.

— Obudź go, obudź, na litość boską ! — krzyknęłam.

— Nic na to nie poradzę — odparła Flor stawiając na ziemi lampkę. — Wypił psaw szkockich Cyganów i będzie spać, póki gorące żelazo nie dotknie jego dłoni i podeszew. Spieszmy się, chodzi i o moje życie. — To mówiąc uniosła spódniczkę, której brzeg, obszyty kawałkami ołowiu, ciężko opadał ku dołowi, i ze spodniej kieszeni wyjęła mały sztylet z rogową rękojeścią. — Zdejm mu buty — rozkazała.

Uśluchałam.

— Spiesz się — popędzała Flor, która tymczasem trzymała ostrze sztyletu nad płomykiem lampki.

Drżenie przebiegło ciało śpiącego, gdy rozpalone żelazo dotknęło jego dłoni, ale się nie przebudził.

— Teraz stopy, prędko, trzeba, by poczuł ból w czterech miejscach jednocześnie.

Rozgrzane ostrze sztyletu dotknęło stóp Henryka. Wargi śpiącego zacisnęły się kurczowo. Flor zaczęła nucić dziwną pieśń w nieznanym języku.

— Byłam mu to winna, temu szlachetnemu panu, i tobie, droga Auroro. Bez was umarłabym z głodu. Gdyby zaś nie ja, nie byłibyście w obozie Cyganów,— przeze mnie wpadliście w pułapkę.

Wreszcie Henryk otworzył oczy. Spojrzał dokoła nieprzytomnym wzrokiem, ale po chwili już uśmiechał się do nas. Gdy ujrzał szkielet, powiedział:

— Ho, ho, jakiego dano mi towarzysza! Po miesiącu stanowilibyśmy parę.

— W drogę! — krzyknęła Flor. — O wschodzie słońca musimy być daleko.

Koniki czekały u wejścia do grobowca. Flor prowadziła, gdyż dobrze знаła góry. O wschodzie słońca stanęliśmy naprzeciw Eskurialu, a wieczorem wjeżdżaliśmy do Madrytu.

Byłam bardzo szczęśliwa, że Flor pozostanie z nami; po tym, co zaszło, nie mogła wrócić do Cyganów. — Będiesz miała siostrzyczkę — powiedział Henryk.

Tak trwało miesiąc. Flor została ochrzczona i razem przystąpiłyśmy do pierwszej komunii. Nazywała się teraz Maria de la Santa Cruz. Pewnego ranka włożyła jednak cygański strój. Ach, jakże płakałam, ale było to silniejsze od niej. Obiecała, że wróci. Wieczorem widziałam, jak tańczyła na placu wśród tłumu, a potem wróżyła z ręki.

Zamieszkaliśmy w cichej bocznej uliczce. Żyliśmy dość dostatnio, gdyż Henryk, choć nie miał jeszcze tej sławy, jaką cieszy się obecnie, znalazł bez trudu pracę u płatnerzy, którzy docenili jego talent. Było bardzo dobrze. Flor przychodziła rankami, żałowała, że nie jest ze mną stale, ale gdy prosiłam, by została, uciekała ze śmiechem. Raz Henryk powiedział: — Auroro, Flor nie jest odpowiednią dla ciebie przyjaciółką!

Nie wiem, co zaszło, ale Flor zaczęła przychodzić coraz rzadziej. Nasza dawna serdeczność nieco ostygła.

Wkrótce doświadczyłam największego bólu w moim życiu: Henryk wyjechał. Nie było go dwa długie lata, a czas ten wydał mi się wiecznością.

Wiedziałam, że Henryk zbiera pieniądze na podróż; miał zwiedzić Niemcy i Italię. Z nie znanych mi powodów Francja była dla niego zamknięta. Nie znałam też celu tej podróży.

Pewnego ranka, po jego wyjściu, weszłam, by sprzątnąć pokój. Sekretarzyk był otwarty, choć Henryk zawsze nosił klucz przy sobie. Ujrzałam pożółkłą kopertę, na której pieczęciach odciśnięty był nie znany mi herb z łacińską dewizą: Adsum. Spowiednik wyjaśnił mi, że to znaczy: obecny. Pamiętałam, jak Henryk wołał: „Obecny! Obecny!”, gdy w Pirenejach ratował mnie z rąk napastników.

Była jeszcze trzecia pieczęć, jak gdyby kościelna. Gdy uciekaliśmy z domu nad rzeką Argą po opuszczeniu Pampeluny, Henryk wrócił po tę kopertę, zostawioną na fermie. Gdy znalazł ją nietkniętą, twarz jego rozpromieniła się. Wszystko to pamiętam.

Obok pakietu znalazłam rodzaj listy, sporządzonej ręką Henryka. Wiem, że źle zrobiłam czytając, ale tak bardzo chciałam poznać powód jego wyjazdu. Niczego się jednak nie dowiedziałam; był to spis nazwisk i miejscowości. Nie znałam żadnego z tych ludzi. Widać Henryk miał ich odwiedzić w podróży.

Oto lista, przepisałam ją wiernie:

1. Kapitan Lorrain — Neapol.
2. Staupitz — Norymberga.
3. Pinto — Turyn.
4. El Matador — Glasgow.
5. Joel de Jugan — Morlaix.
6. Faenza — Paryż.
7. Saldagne — Paryż.

Następowały dwa numery: 8 i 9, przy których nie było nazwiska.

V. AURORA INTERESUJE SIĘ MAŁYM MARKIZEM

Gdy po dwóch latach Henryk wrócił do Madrytu, udało mi się znowu zajrzeć do tej listy. Dwa nowe nazwiska wypełniły puste miejsca. Z poprzednich pięć wykreślono czerwonym atramentem, z wyjątkiem Saldagne'a i Faenzy. Pod numerem 8 przybyło nazwisko Peyrolles, a pod 9 — Gonzaga, obaj w Paryżu.

Dwa lata nieobecności wydały mi się wiekiem. Nie rozumiem, jak mogłam żyć tak długo bez mego przyjaciela. Gdyby teraz oderwano mnie od niego, wiem, że nie przeżyłabym rozłąki. Spędziłam te lata w klasztorze. Co za szczęście, gdy wrócił. Po pierwszym pocałunku przyjrzał mi się uważnie, z dziwnym wyrazem twarzy.

— Jesteś dorosła, Auroro — powiedział. — Nie sądziłem, że wyrośniesz na tak piękną pannę.

Byłam piękna! Miałam wówczas szesnaście czy siedemnaście lat. O, jakże czułam się szczęśliwa. Tego samego dnia opuściłam klasztor i, jak niegdyś, zamieszkaliśmy w naszym dawnym domu. Wszystko się jednak zmieniło. Byłam dorosła i nie mogliśmy mieszkać sami. W domu oczekiwała stara, poczciwa kobiecina, Franciszka Berrichon, z wnukiem Jankiem.

Gdy Franciszka ujrzała mnie po raz pierwszy, powiedziała:

— Podobna do niego.

Do kogo byłam podobna? Nie udało mi się dowiedzieć. Wciąż tajemnice!

Od razu domyśliłam się, że Franciszka była dawną służącą mojej rodziny, musiała znać mego ojca i ciebie, matko. Wszystkie jednak usiłowania, by wydobyć z niej choć słowo, okazały się bezskuteczne i

mimo że gadatliwa, milczy jak grób. Janek młodszy jest ode mnie i nie wie o niczym.

Po wyjściu z klasztoru zaczęłam dopytywać się o moją kochaną Flor, której nie widziałam przez ostatnie lata. Powiedziano mi, że opuściła Madryt. Nie była to prawda; wkrótce ujrzałam ją, jak tańczyła na Plaza Santa. Poskarżyłam się Henrykowi, który rzekł:

— Źle zrobiono ukrywając prawdę, pamiętaj jednak, że Flor nie jest dla ciebie towarzyszką; nie wszystko spodoba się tym, których musisz kochać.

Byłam dorosła i miałam służbę, ale nie byłam już tak szczęśliwa. Henryk zmienił się, dziwnie ochłódł, czasem bywał smutny. Wyczuwałam między nami barierę obcości.

Jak zwykle, był bardzo zajęty, dobrze nam się wiodło. Płatnerzy w Madrycie ubiegali się o współpracę El Cinceladora. Tak mijały miesiące. Posmutniałam i Henryk to zauważył.

...Okna mego pokoju wychodziły na wspaniałe ogrody, położone na tyłach ulicy Real. Najpiękniejszy i najwspanialszy z nich należał do pałacu księcia Ossuna, który zginął w pojedynku z panem de Favas. Po śmierci księcia pałac stał nie zamieszkały.

Pewnego dnia ujrzałam, jak podnoszono żaluzje i odkurzano piękne salony. Ogród wypełnił się kwiatami. Pałac miał lokatora.

Byłam ciekawa, jak wszyscy samotnicy. Gdy usłyszałam nazwisko nowego mieszkańca pałacu Ossuna, bardzo się zdziwiłam, był to bowiem Filip Mantuański, książę Gonzaga, którego imię wyczytałam na liście Henryka. Myślałam, że są przyjaciółmi i że poznam księcia. Omyliłam się. Nazajutrz Henryk kazał przybić żaluzje u naszych okien wychodzących na ogród.

— Auroro — powiedział — proszę cię bardzo, nie pokazuj się mieszkańcom pałacu.

Ciekawość moja wzrosła. O księciu Gonzadze mówił cały Madryt. Był to jeden z najbogatszych panów Francji, osobisty przyjaciel regenta. Do Madrytu przybył w prywatnej misji, lecz traktowano go jak ambasadora, miał nawet swój dwór. Janek codziennie znosił mi nowinki o sąsiedzie i jego przyjaciółach. Szczególnie interesował mnie najmłodszy z nich, markiz de Chaverny. Podobno bałamucił wszystkie piękne seniority.

Przez szpary w żaluzjach widywałam czasem w parku przystojnego młodzieńca, nie mógł to jednak być ten szatan de Chaverny; mój młodzieniec miał tak poważną i skromną minę! Przeważnie widywałam go z książką w ręku.

Okazało się jednak, że był to właśnie markiz de Chaverny. Mogłabym go kochać, gdyby Henryka nie było na świecie.

Nie wiem, jak to się stało, dość że kiedyś odchyliła się żaluzja i markiz mnie zobaczył. Odtąd nie opuszczał prawie ogrodu. Pewnego dnia zjawił się z dmuchawką, wycelował i bardzo zręcznie trafił bilecikiem w szparę. Uroczy to był bilecik. Markiz chciał mnie poślubić i pisał, że w ten sposób ocaliłabym jego duszę od piekła. Chciałam odpowiedzieć, byłby to przecież dobry uczynek, ale wstrzymała mnie myśl o Henryku.

Wieczorem byłam na balkonie, w narożnej wieżyczce naszego domu, nad ulicą Real. Zapadła noc, Henryk nie wracał. Czekałam zaniepokojona. Nagle w ciemnej uliczce usłyszałam głosy. Pod murem ogrodu ujrzałam dwa cienie. Był to Henryk i markiz.

— Czy wiesz, z kim mówisz, przyjacielu? — rzekł dumnie markiz. — Jestem kuzynem księcia Gonzagi.

Usłyszawszy to Henryk dobył szpady. Chaverny uczynił to samo. Walka wydała mi się tak nierówna, że krzyknęłam:

— Henryku, Henryku, on taki młody!

Henryk natychmiast opuścił szpadę. Markiz uklonił się i słyszałam, jak mówił:

— Jeszcze się spotkamy.

Gdy wszedł, z trudem poznałam Henryka, tak był zmieniony. Milcząco chodził wielkimi krokami po pokoju.

— Auroro — powiedział wreszcie nieswoim głosem — nie jestem twoim ojcem...

Wiedziałam o tym, miałam nadzieję, że powie coś więcej, on jednak milczał ocierając okryte potem czoło.

— Co ci jest? — spytałam nieśmiało.

— Czy znasz tego szlachcica? — usłyszałam zamiast odpowiedzi.

— Nie, nie znam — odparłam, lekko się czerwieniąc, choć była to prawda.

— Auroro, prosiłem cię, żebyś nie uchylała żaluzji. — I dodał z odrobiną goryczy w głosie: — Nie chodzi przecież o mnie, lecz o ciebie.

— Czyż popełniłam zbrodnię, bym musiała wiecznie się ukrywać? — odpowiedziałam dotknięta.

— Ach. — zawołał ściskając skronie — to musiało nastąpić. Niech Bóg ma mnie w swej opiece!

Zrozumiałam, że go zraniłam, i rozplakałam się.

— Henryku, mój najdroższy przyjacielu, wybacz mi, wybacz!

— Co mam ci wybaczyć? — zawołał podnosząc na mnie błyszczące spojrzenie.

— Zrobiłam ci przykrość, jesteś smutny, to moja wina.

— Bądź ze mną szczerą, Auroro — rzekł siadając przy mnie — chcę tylko twego szczęścia. Czy byłoby ci przykro opuścić Madryt?

— Z tobą?

— Ze mną.

— Dokądkolwiek pojedziesz — odparłam powoli, patrząc mu prosto w oczy — pojedę z przyjemnością. Lubię Madryt, ponieważ ty tu jesteś.

Pocałował mnie w rękę.

— Ale ten młodzieniec...? — spytał zakłopotany. Zakryłam mu usta śmiejąc się.

— Przebaczam ci — zawołałam — nic więcej nie mów! Jeśli chcesz, wyjeżdżamy!

Widziałam, że jest bardzo wzruszony, ale jak zawsze, doskonale nad sobą panuje. Pocałował mnie raz jeszcze w rękę, mówiąc ojcowskim tonem:

— Jeśli ci to nie sprawi różnicy, wyjedziemy dziś jeszcze.

— Wszystko to oczywiście dla mnie, nie dla ciebie! — wykrzyknęłam ze złością.

— Dla ciebie, nie dla mnie — odparł wychodząc. Wybuchnęłam płaczem.

— Nie kocha mnie, nigdy mnie nie pokocha łąkałam. — Chcę umrzeć.

Wyjazd naznaczono na dziesiątą wieczór. Miałam jechać z Franciszką pocztową kareta, Henryk zaś z czterema zbrojnymi stanowił eskortę,— był teraz bogaty.

Gdy pakowałam się, ogród zajaśniał tysiącem świateł. Książę Gonzaga wydawał tej nocy przyjęcie. Byłam smutna i zniechęcona.

Henryk cwałował przy drzwiczkach karety.

— Nie żałujesz niczego? — spytał w pewnej chwili.

— Żałuję dawnego przyjaciela — odparłam. Droga była z góry wytyczona. Jechaliśmy na Saragossę, w stronę granicy francuskiej. Po przebyciu Pirenejów mieliśmy udać się do Bajonny, następnie wsiąść na statek płynący do Ostendy. Henryk musiał zatrzymać się w dolinie Louron, między Luz i Bagnères-de-Luchon, gdzie miał sprawę do pewnego księdza, dom Bernarda, kapelana zamkowego w Caylus.

Minąwszy granicę pozostawiliśmy Franciszkę i Janka w małej wiosce nad rzeczką Clarabide, a sami konno pojechaliśmy do Caylus.

Był blady zimny lutowy ranek. Na horyzoncie rysowały się pokryte śniegiem szczyty, które minęliśmy poprzedniego dnia. Przed nami wznosił się czarny granitowy kolos, zamek Caylus-Tarrides. Jest tak ponury, że chyba żaden jego mieszkaniec nie był szczęśliwy. W okolicy pełno o nim podań i legend. Podobno ostatni pan tego zamku, zwany Caylus-Rygiel, zabił dwie żony, córkę, zięcia i parę innych osób.

Obecnie zamek jest nie zamieszkały i chyli się do ruiny. Strzeże go stary, na pół głuchy i ślepy dozorca, który powiedział nam, że właściciel nie był tu od szesnastu lat. Jest nim książę Filip Gonzaga. Jak to nazwisko dziwnie mnie prześladowa od pewnego czasu!

Dowiedzieliśmy się, że ksiądz Bernard umarł wiele lat temu. Dozorca nie wpuścił nas do zamku, myślałam więc, że wrócimy w dolinę. Spostrzegłam, że miejsce to przypomina Henrykowi jakieś tragiczne przeżycia.

Na śniadanie udaliśmy się do wioski Tarrides i weszliśmy do oberży położonej na końcu wsi, tuż przy zamkowej fosie, obok zrujnowanego kamiennego mostu. Usługiwała nam kobieta lat około czterdziestu.

— Czy byliście tu w noc zbrodni? — zagadnął nagle Henryk.

Kobieta upuściła dzban i spoglądając nieufnie na gościa, odparła:

— Pan tam chyba był, jeśli o tym wie?

— Być może — odpowiedział Henryk — to was nie obchodzi.

Chciałbym dowiedzieć się, jak to było, dobrze zapłacę.

— Owej nocy zamknęliśmy się na dwa spusty — odrzekła kobieta — w takich wypadkach lepiej nic nie wiedzieć.

— Ilu zabitych znaleziono w fosie?

— Siedmiu, razem z młodym panem.

— Czy zajęła się tym sprawiedliwość?

— O tak, ale sędziowie orzekli, że nasz pan miał prawo z powodu tego okna, które było otwarte. — Mówiąc to wskazywała okno

wychodzące na fosę. — Nasza panienska była bardzo bogata — dodała objaśniająco.

Nie mogłam oderwać oczu od niskiego okna. Henryk zapłacił i wyszliśmy z oberży, kierując się ku fosie. Kobieta szła za nami.

— Tu właśnie — powiedziała wskazując jeden z filarów mostu — młody pan złożył dziecko.

— Ach — wykrzyknęłam — więc było i dziecko! Henryk spojrzał na mnie tak dziwnie, że zamilkłam.

Wzrok jego zdawał się mówić: „Ty jesteś tym dzieckiem, Auroro”. Serce biło mi jak szalone, gdy Henryk zapytał:

— Co się stało z dzieckiem?

— Umarło — odrzekła kobieta.

VI. PRZYGOTOWANIA DO KOLACJI

Henryk objął długim spojrzeniem fosę i zamek. Szpadą jak laską kreślił na trawie jakieś linie, poruszał ustami. Wreszcie wykrzyknął wskazując miejsce, na którym stałam:

— To musiało być tutaj!

— Tak — odparła kobieta — tutaj znaleźliśmy ciało młodego pana.

— Co z nim zrobiono?

— Podobno zabrano do Paryża, by pochować na cmentarzu Saint-Magloire.

— Co słyszeliście owej nocy?

— Dobry Boże! Sądziliśmy, że rozpętało się piekło. Nie można było zmrużyć oka. Bandyci pili w naszej oberży, a potem, w nocy, słyszeliśmy krzyki, szczęk oręża i od czasu do czasu dwa głosy, które powtarzały: „Obecny!”

Znałam tę dewizę. Więc Henryk był w jakiś sposób wmieszany w ów dramat! Ale dlaczego? Tylko on mógłby mi to powiedzieć.

Nazajutrz, na pokładzie statku, który wiozł nas do brzegów Flandrii, Henryk rzekł:

— Wkrótce dowiesz się wszystkiego. Oby Bóg uczynił cię szczęśliwszą!

Głos jego był smutny.

Wylądowaliśmy w Ostendzie. W Brukseli Henryk otrzymał gruby list, zapieczętowany herbem Francji. Następnego dnia wyruszyliśmy do Paryża.

Przybyliśmy do stolicy późnym wieczorem. Jechaliśmy długą ulicą, potem skręciliśmy w boczny zaułek i dotarliśmy do kościoła otoczonego

cmentarzem. Był to kościół i cmentarz Saint-Magloire. Naprzeciwko stał wspaniały pałac księcia Gonzagi.

Henryk zeskoczył z konia i pomógł mi wsiąść. Zatrzymaliśmy się przed murowanym mauzoleum i mój przyjaciel złożył pocałunek na czole posągu młodego człowieka. Słyszałam, jak wyszeptał:

— Oto jestem, bracie. Jak mogłem, spełniłem obietnicę.

Franciszka i Janek klęczeli przed grobowcem. Henryk zgiął kolano i modlił się chwilę. Gdy wstał, powiedział:

— Ucałuj posąg, Auroro.

Ustuchałam, a potem spytałam, dlaczego chciał, bym to zrobiła.

— Było to bardzo szlachetne serce, dziecko — odpowiedział po chwili wahania — kochałem go.

Po raz drugi ucałowałam zimny marmur.

Jakże on potrafi kochać! A jeśli nigdy mnie pokochać nie zdoła?

Wkrótce znaleźliśmy się w domu, gdzie piszę te słowa. Jeszcze przed naszym przyjazdem Henryk wynajął to mieszkanie.

Jestem bardziej samotna niż kiedykolwiek. Nie wolno mi wychodzić z domu. Henryk jest tak zajęty, widuję go tylko w porze posiłków. Gdybyż mnie kochał, gdybyż był zazdrosny, z jaką radością byłabym posłuszna! Nie zapomniałam jednak słów wypowiedzianych w Madrycie:

— To nie dla mnie, dla ciebie...

Znając jego delikatność i rycerskość, myślę chwilami, że przewyższam go urodzeniem i że to oddała go ode mnie. Gdyby tak było, z radością podeptałabym i urodzenie, i majątek. Czymże są wobec miłości?

...Przed dwoma dniami garbusek odwiedził go znowu. Jest to jedyna ludzka istota, która bywa w naszym domu. Przychodzi, kiedy chce, o każdej porze. Nigdy jednak nie widziałam ich razem. Czasem długo

siedzą zamknięci na górze, potem jeden z nich opuszcza tajemniczy pokój, a drugi zostaje. Tak trwa od dwóch tygodni i mimo obietnicy Henryka nic jeszcze nie wiem, co to wszystko znaczy.

Dwa dni temu całą noc spędzili zamknięci w pokoju na górze. Przy śniadaniu Henryk był smutniejszy. Rozmowa zeszła na wielkich panów i damy dworu. Henryk odezwał się z goryczą:

— Ludzie stojący zbyt wysoko dostają często zawrotu głowy. Nie należy liczyć na wdzięczność książąt. Zresztą — dodał po chwili spuszcżając oczy — jaką usługę opłaca się tą ohydą monetą zwaną wdzięcznością? Gdyby wielka dama, dla której naraziłbym honor i życie, nie mogła mnie kochać, gdyż niższy jestem stanem, uciekłbym daleko, by nie wiedzieć, czy wdzięczność jej obraża mnie.

O matko, jestem pewna, że mówił o tobie! Dla mnie Henryk narażał honor i życie. Zrobił o wiele więcej: ofiarował mi osiemnaście najlepszych lat młodości. Czym można odpłacić za tak niesłychaną hojność?

On się myli, nieprawdaż? Należę do niego, on mnie ocalił, jestem jego dziełem. Czym byłabym bez niego? Garstką prochu w biednej małej mogiłce.

Jaka matka, nawet księżna i kuzynka króla, nie byłaby dumna mając za zięcia kawalera Henryka de Lagardere, najpiękniejszego, najdzielniejszego i najszlachetniejszego z ludzi?

Ciemno już, odkładam pióro. Zamknę oczy, by zobaczyć cię w marzeniu...

Chowając do szkatułki ostatnie zapisane kartki, Aurora powiedziała:

— Do jutra!

Zapadł już zupełny zmrok. W domach zapalały się światła. Skrzyknęły drzwi i naiwna twarz Janka Berrichona ukazała się w blasku padającym z sąsiedniej izby.

Janek był synem małego pazia, który niegdyś przyniósł Henrykowi list księcia de Nevers. Paź zginął na wojnie, zostawiając starą matkę i synka.

— Panienko — rzekł chłopiec — babcia pyta, czy nakryć do stołu tutaj czy w salce?

— Która godzina? — Aurora zbudziła się z zamyślenia.

— Pora kolacji — odparł Janek.

— Nakryj tutaj.

— Dobrze, panienko.

Berrichona trawiła ta sama ciekawość co Aurorę. Nic nie rozumiał, a chciał wszystko wiedzieć.

— Czy jesteś pewien, że nie wrócił? — spytała dziewczyna.

— Pewien? Czy u nas można być czego pewnym? Widziałem garbusa, jak wchodził. Poszedłem posłuchać...

To źle — przerwała surowo Aurora.

— Chciałem tylko wiedzieć, czy mistrz Ludwik wrócił, reszty wcale nie jestem ciekawy.

— I nic nie słyszałeś?

— Nic a nic.

— Dokąd mógł pójść?

To wie tylko garbus, panienko. Czy to nie dziwne? Człowiek tak prosty jak pan kawaler, to znaczy mistrz Ludwik, przyjaźni się z pokraką pokrzywiona jak korkociąg. A ludzie gadają! A ja słucham i trudno mi milczeć, gdy zasypują mnie pytaniami.

— O co cię pytają?

— O wiele rzeczy — odparł śmiejąc się Janek. — Kim jesteśmy, skąd przybywamy, o wiek panienki, o wiek pana kawalera, to znaczy mistrza Ludwika, czy my Francuzi, czy katolicy i tak dalej, i tak dalej, dlaczego panienka nigdy nie wychodzi? Na ten temat pani Moyneret, akuszerka,

założyła się z panią Guichard, że panienka ma jedną tylko nogę... A najwięcej intryguje ich garbus. Matka Balahault twierdzi, że ma konszachty z diabłem...

— I ty słuchasz takich bredni, Janku? — przerwała Aurora.

— Jakże nie słuchać, panienko. Zaledwie wysunę nos na ulicę, zaraz mnie wołają: „Hola, Berrichon, chodź, aniołku, chodź, skosztuj mego winka!”. A druga krzyczy: „Pójdź, cherubinku, mam pyszny rosółek”. Wszystkie mnie zapraszają, i ta, co sprzedaje masło, i ta, co naprawia futra, nawet żona prokuratora, wszystkie chcą mnie widzieć. A ja jestem niewzruszony. Niech panienka posłucha, jak się to odbywa. A więc matka Balahault: „Ona nawet niebrzydka i zgrabniutka (to o panience mowa). Ma pewno ze dwadzieścia lat, nieprawdaż, koteczku?” „Nie wiem” odpowiada Berrichon grubym głosem, a potem falsetem: — „Tak, tak, całkiem niczego”. „To jego siostrzenica, duszyczko?” „Nie” — odpowiada basem Berrichon i tenorem ciągnie dalej: „Więc jego córka, co? Powiedz, córka?”. „Nie”. I staram się wymknąć, ale nie ma mowy.

Otaczają mnie wszystkie. „Jeśli nie jest córką, w takim razie to jego żona, co?” „Nie”. „Siostra?” „Nie”. „Jak to? Jeśli nie jest ani żoną, ani siostrą, ani córką, w takim razie to sierota, którą wychował z litości?” „Nie, nie, nie!” — drze się Berrichon na całe gardło. Aurora kładzie rękę na ustach chłopca.

— Skłamałeś, Janku — mówi smutno — skłamałeś. Jestem sierotą, którą przygarnął i wychował z litości. Na przyszły raz tak im odpowiedz, nie wstydz się. Dlaczego ukrywać dobre uczynki mego przyjaciela? Oby mówiąc o nas zawsze tak mówiono.

Więc panienka już słyszała? — spytał Berrichon przysuwając się do Aurory.

— O czym?

Chłopiec milczał zakłopotany, kręcąc w ręku serwetę.

To tylko plotki — zaczął wreszcie — ale one tak mówią: „Za młody na ojca; jeśli ją ukrywa i nie jest jej mężem...”

— Dokończ, Janku.

No tak, panienko, jeśli ktoś nie jest ani ojcem, ani mężem, ani bratem...

Aurora ukryła twarz w dłoniach.

VII. MISTRZ LUDWIK

Berrichon gorzko żałował nieopatrznych słów i patrząc na płaczącą dziewczynę myślał z przerażeniem:

Gdyby wszedł w tej chwili!

— Gdy ktoś, kto nie jest ani ojcem, ani bratem, ani mężem biednej opuszczonej sieroty — zaczęła wolno Aurora — nazywa się Henryk de Lagardere, jest jej dobroczyńcą, zbawcą, przyjacielem. Oszczerstwa ludzkie dają mi poznać, jak on wszystkich przewyższa. Jeśli podejrzewają go o złe uczynki, znaczy, że inni robią to, czego on nigdy by nie zrobił. Dotąd kochałam go, teraz będę czcić jak Pana Boga. Henryk jest jedyną istotą, która opiekowała się mną i okazała mi serce.

— O tak, panienko — wykrzyknął Janek wracając do przerwanej roboty — kochać to on panienkę bardzo kocha! Co rano pyta babcię: „Jak spała? Czy spokojnie? Czy się nie budzi? Czy nie smutna? Czy może czego pragnie?” A gdy uda się nam odgadnąć panienki życzenie, jest tak szczęśliwy, tak szczęśliwy!

— Już noc zapadła — rzekła ze skargą Aurora — a jego nie ma. I tak co wieczór, odkąd jesteśmy w Paryżu...

— Babciu — krzyknął przez drzwi Berrichon — czy kolacja gotowa?

— Co najmniej od godziny — odparł z kuchni gruby głos Franciszki.

— Założę się, że jest na górze z garbusem — rzekł Janek drapiąc się w ucho. — Przykro mi patrzeć na smutek panienki i gdybym śmiał... To mówiąc skierował się ku schodom, ale lęk był silniejszy. — Może by tak panienka... jej wszystko wolno... Tak bym chciał wcześniej podać kolację i pójść popatrzeć, jak zjeżdżają się goście na bal do regenta. Może panienka zawoła... co?

— Idź pomóc babci, Janku — przerwała Aurora. W tej chwili na górze usłyszano odgłos otwieranych drzwi. Aurora zerwała się promieniejąca, z okrzykiem radości.

Mistrz Ludwik schodził ze schodów. Nie wiadomo, ile miał lat; wyglądał na młodego człowieka. Jasne włosy wiły się dokoła gładkiego czoła, twarz tchnęła energią i siłą. Ubrany był w czarny aksamit, nie nosił szpady.

Nim zszedł, już wzrok jego szukał Aurory. Gdy ujrzał ją, powstrzymał odruch, który pchał go ku dziewczynie, i zmusił się, by nie przyśpieszyć kroku. Wnikliwy obserwator bez trudu odgadłby tajemnicę tego człowieka. Życie jego polegało na hamowaniu odruchów; umiał tłumić uczucia. Choć wystarczyło wyciągnąć rękę, by pochwycić szczęście, nie uczynił tego. Mistrz Ludwik miał żelazną wolę.

— Czekalaś na mnie, Auroro? — spytał.

Franciszka Berrichon wsunęła czerwoną od ognia twarz w drzwi kuchni i głosem, którego pozazdrościłby sierżant dowodzący musztrą, rzekła:

— Czy tak można, panie? Biedna dziecina znowu we łzach.

— Płakałaś? — zawołał zbiegając z ostatnich stopni. Aurora zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Henryku — rzekła podsuwając czoło do pocałunku — Franciszka źle widziała, wcale nie płakałam, zresztą spójrz na moje oczy, są zupełnie suche.

I uśmiechała się promiennie.

Usiedli przy stole naprzeciw siebie. Berrichon stanął za krzesłem Aurory, gotów do usługi. Po paru minutach mistrz Ludwik, który na próżno zmuszał się do jedzenia, rzekł do chłopca:

— Zostaw nas, Janku, nie jesteś potrzebny.

Berrichon wyszedł śmiejąc się w duchu.

— Babciu — rzekł wchodząc do kuchni — wydaje mi się, że ci dwoje powiedzą sobie nie byle co. Mistrz Ludwik bardzo zagniewany.

Idź, zmywaj naczynia — odparła babka wzruszając ramionami. — Mistrz Ludwik od nas mądrzejszy, wie, co robi. A choć silny jak byk i odważny jak lew, bądź spokojny, nasza panienka poradzi takim czterem!

— Doprawdy? — zdziwił się Berrichon — wcale na to nie wygląda!

— Właśnie dlatego — odpaliła babka i dodała srogo: — Do roboty.

— Jak słyszę, nie jesteś szczęśliwa — zaczął mistrz Ludwik po wyjściu chłopca.

— Widuję cię tak rzadko — odparła dziewczyna.

— I masz o to żal?

— Niech mnie Bóg broni! Smutno mi tylko i różne myśli przychodzą do głowy. Jestem jak dziecko, które się boi ciemności. Gdy jesteś przy mnie, zapominam o smutkach.

— Byłaś zawsze dobrą i kochającą córką — rzekł mistrz Ludwik odwracając oczy — dziękuję ci, Auroro.

— Czy kochasz mnie jak ojciec?

Mistrz Ludwik wstał i obszedł stół. Aurora przysunęła krzesło i rzekła z nie ukrywaną radością:

— Chodź tu, tak dawno nie rozmawialiśmy. Czy pamiętasz, jak niegdyś szybko mijały nam godziny na pogawędce?

— Godziny już nie należą do nas — odparł ze smutkiem.

Aurora wzięła go za obie ręce i spojrzała prosto w oczy.

— Ty też jesteś smutny — szepnęła.

— Mylisz się — odparł potrząsając głową i usiłując się uśmiechnąć. — Kiedyś miałem tak piękny sen, że straciłem spokój, ale krótko to trwało i był to tylko sen. Obudziłem się. Nie mam już żadnej nadziei, przysiągłem i spełniam, co obiecałem. Zbliża się chwila wielkich zmian. Jestem już za stary, by rozpocząć nowe życie.

— Stary? — Aurora wybuchnęła szczerym śmiechem.

— W moim wieku — odrzekł cicho — inni mają rodziny.

— Ty masz tylko mnie, a czymże dla ciebie jestem? Przeszkodą do szczęścia. Wiesz, co o nas mówią? „Nie jest ani jego córką, ani siostrą, ani żoną...” Mówią...

— Auroro — przerwał — od osiemnastu lat jesteś całym moim szczęściem.

— Masz dobre serce, dziękuję — szepnęła.

Zapadło krępujące milczenie.

— Henryku — Aurora pierwsza przerwała ciszę — nie wiem nic o tobie, jestem zawsze sama i ty zajmujesz wszystkie moje myśli. Wydaje mi się czasem, że zgaduję prawdę: gdyby nie ja, miałbyś rodzinę, żonę, byłbyś bogaty i szanowany, mógłbyś wszędzie iść śmiało, z odkrytym czołem. Henryku, zrobiłeś dla mnie więcej niż ojciec.

— Mylisz się, drogie dziecko — odparł błędząc gdzieś wzrokiem, a po chwili szepnął jak gdyby do siebie: — Czas mija.

Znowu zapadło milczenie.

Auroro — powiedział nagle — jeśli przestaniemy się widywać, czy nie zapomnisz o mnie?

— Wyjeżdżasz — wyszeptała blada jak śmierć. Gdyby teraz spojrzeć na nią, wyczytałby prawdę; cała dusza dziewczyny skupiła się w oczach.

— Nie — odparł niepewnie — nie wiem... może...

— Błagam cię, Henryku, zlituj się, nie zostawiaj mnie, zabierz mnie ze sobą! — A gdy milczał, zawołała ze łzami: — Nie gniewaj się, byłam głupia i niesprawiedliwa, wcale nie jestem smutna, jestem szczęśliwa, przecież co dzień cię widuję! Nie będę więcej narzekać! Henryku, dlaczego milczysz? Powiedz coś, powiedz!

To mówiąc chwyciła go za szyję dawnym dziecięcym gestem, zmuszając, by na nią spojrzał. W oczach opiekuna błyszczały łzy. Uklękła przed nim.

— Kawaler de Lagardere — Henryku — zawołała — jedyny mój przyjacielu, powiedz, co tobie, co cię boli?

Przygarnął ją do piersi namiętym ruchem, po chwili jednak rozluźnił uścisk.

— Jesteśmy szaleni, Auroro — powiedział z przymusem. — Co to wszystko znaczy?

To znaczy, że jesteś dziś niedobry. Od dnia, w którym powiedziałeś mi: „Nie jestem twoim ojcem”, nie poznaję cię.

— Od dnia, w którym prosiłaś mnie o łaskę dla markiza de Chaverny? Pamiętam o tym i chcę ci donieść, że markiz wrócił do Paryża.

Nie odpowiedziała, ale oczy jej spojrzały tak wymownie i tak pytająco, że Henryk przygryzł wargi. Pocałował jej rękę i chciał odejść. Zatrzymała go.

— Zostań. Jeśli tak pójdzie dalej, pewnego dnia, gdy wrócisz, nie zastaniesz mnie w domu. Przeszkadzam ci, pójdę sobie, uwolnię cię od zbyt wielkiego ciężaru. Mój Boże, sama nie wiem, co zrobię.

— Nie starczy ci czasu — wyszeptał. — Nie będziesz musiała uciekać z domu, Auroro.

— Wypędzisz mnie? — zawołała zrywając się z miejsca.

Mistrz Ludwik zakrył twarz. Aurora usiadła na poduszce, opierając głowę o jego kolana.

Tak mało potrzeba mi do szczęścia — szepnęła.

Palce Henryka gładziły jedwabiste włosy dziewczyny.

— Bądź taki jak niegdyś — ciągnęła — o nic więcej nie proszę. Powiedz tylko, jakie masz zmartwienie, to ci przyniesie ulgę. Gdybyś miał córkę, powiedziałbyś jej, prawda?

— Córkę! — powtórzył chmurząc się.

— Jestem dla ciebie niczym, wiem o tym.

— Auroro — zaczął, jak gdyby nie słysząc ostatnich słów — Istnieje wspaniałe życie, pełne przyjemności, zabaw, zaszczytów, blasku, bogactwa, życie wielkich tego świata. Nie znasz go dotąd, dziecko.

— Po co mi ono?

— Musisz je poznać, tak trzeba. — A zniżając głos dodał: — Być może, będziesz zmuszona wybierać, musisz więc znać...

po tych słowach wstał. Na jego szlachetnej twarzy malowało się nieodwołalne postanowienie.

— To ostatni dzień twej nieświadomości — rzekł powoli — dla mnie może to ostatni dzień młodości i nadziei.

— Henryku, na miłość boską, mów jaśniej, o co chodzi?

— Postąpiłem zgodnie z sumieniem — szepnął. — Żegnaj, Auroro, nie będziesz spać dzisiejszej nocy... Patrz i zastanów się, poradź się rozumu, zanim usłuchasz serca. Nic ci nie powiem, na nic nie przygotowuję, inaczej działałbym z egoistycznych pobudek. Pamiętaj: choć przygody tej nocy wydadzą ci się nieprawdopodobne, wszystko dzieć się będzie zgodnie z moją wolą, a celem — twoje dobro. Jeśli długo nie będziesz mnie widziała, bądź spokojna. Z bliska czy z daleka, czuwam nad tobą.

Raz jeszcze ucałował jej rękę i skierował się ku schodom. Aurora, niema z przerażenia, nie spuszczała z niego oczu. Wszedłszy na górę przystanął i przesłał jej pocałunek.

VIII. PRZYJACIÓŁKI

Została sama. Rozmowa z Henrykiem, zakończona tak nieoczekiwanie, wprawiła ją w osłupienie: była jak ogłuszona, czuła szum w głowie. Mówił o dziwnych przygodach czekających ją tej nocy. Co to miało znaczyć? Po co poznawać inne życie, wspaniałe i olśniewające życie ludzi możnych i bogatych? Henryk powiedział, że ma dokonać wyboru między jej obecnym życiem a tą nową, nie znaną egzystencją. Czyż wybór jej nie był dawno dokonany? Musiała tylko wiedzieć, po której stronie znajduje się Henryk. I nagle olśniła ją straszna myśl, aż kolana ugięły się pod nią. Wybór! Po raz pierwszy uprzytomniła sobie, że matka może znajdować się po przeciwnej stronie...

— Niemożliwe! — wykrzyknęła odpychając tę okropną myśl. Uchyliła firanki i wyjrzała oknem. Na ulicy panował ożywiony ruch. Tłum gromadził się pod Palais-Royal, by oglądać przybywających na bal do regenta gości. Lektyki i karety posuwały się powoli wśród dwu szeregów ciekawych. Aurora pierwszy raz pozazdrościła pięknie ubranym młodym pannom, w naszyjnikach z pereł, z kwiatami we włosach. Nie dlatego, że były tak wspaniale przystrojone: obok każdej z nich na poduszkach karety siedziała matka.

Tymczasem w kuchni Berrichon skończywszy zmywanie zwrócił się do babki:

— Babciu, pozwól wyskoczyć na ulicę, popatrzeć na te cuda. Tak bym chciał!

Tylko nie siedź długo — upomniała babka. Berrichon wybiegł jak strzała, a stara Franciszka zajrzała do pokoju Aurory.

Patrzcie, już wyszedł — mruknęła — biedny aniołeczek znowu sam.

Pomyślała, że dobrze będzie posiedzieć z dziewczyną, ale w tej chwili wpadł Janek wołając:

— Chodź, babciu, zobacz, co za wspaniałości! Kolorowe latarnie, żołnierze na koniach, jakie piękne stroje, chodź prędko!

— Kto będzie pilnował domu? spytała Franciszka.

— Staniemy o parę kroków stąd, chodź prędko!

Z tymi słowami pochwyił ją w pól i pociągnął na ulicę. Drzwi pozostały otwarte.

Tłum kumoszek popchnął ich dalej, w stronę pałacu jarzącego się od światła. Przeszli pod oknem Aurory, ale dziewczyna, pogrążona w smutnej zadumie, nawet ich nie zauważyła.

Po chwili uwagę jej zwrócił szmer dochodzący z pokoju. Obróciła się szybko i stanęła oko w oko z młodą kobietą w różowym dominie okrywającym balową toaletę, w masce na twarzy. Na okrzyk przerażenia odpowiedział wesóły śmiech. Gdy maska opadła, ukazała się roześmiana twarzyczka donii Cruz.

— Flor! — krzyknęła Aurora. — Ty tutaj? Czy to możliwe?

Donia Cruz rzuciła się w objęcia przyjaciółki.

— Kto cię wpuścił? — Aurora przypomniała sobie zakaz przyjmowania wizyt. — Nie wolno mi nikogo widywać.

Dobrze strzeżone jest twoje więzienie — zaśmiała się Cyganka. — Drzwi na rozcież otwarte i ani żywego ducha!

Aurora szybko pobiegła do przyległej salki. Rzeczywiście, drzwi były szeroko otwarte. Zawołała Franciszkę i Janka, ale odpowiedziało jej milczenie.

Pewnie tak kazał Henryk — pomyślała.

Zamknęła drzwi tylko na klamkę i wróciła do przyjaciółki.

— Co za wspaniały strój! — zawołała z podziwem.

— Balowa toaleta — odparła z dumą donia Cruz. — Podoba ci się?

— Prześliczna! Czy występujesz w komedii?

— Ja w komedii? Skądże? Idę na bal.

— Na jaki bal?

— Dziś jest tylko jeden bal w Paryżu.

— Bal u regenta?

Tak. Mam być przedstawiona Jego Królewskiej Wysokości.

Aurora otworzyła szeroko oczy.

— To cię dziwi? — spytała donia Cruz, odrzucając nogą tren sukni. —

Mnie dziwi moc rzeczy, wszystko jest dziwne! Potem ci opowiem.

— Jak mnie znalazłaś?

— Znalazłam. I pozwolono mi cię zobaczyć. Ja też mam pana...

— Nie mam żadnego pana — odparła z dumą Aurora.

— A więc niewolnika, jeśli wolisz, niewolnika, który wydaje rozkazy.

Miałam przyjechać jutro rano, ale zachciało mi się zobaczyć cię dzisiaj.

Ileż miałam trudności, by odnaleźć dom! Nie znam jeszcze Paryża, daleko do ciebie od kościoła Saint-Magloire.

— Od kościoła Saint-Magloire? — przerwała Aurora. — Czy mieszkasz w tamtej stronie?

Tak, mam tam swoją klatkę, jak i ty, ptaszku, tylko o wiele wspanialszą. Mój Lagardere może sobie pozwolić na coś lepszego.

— Cicho — Aurora położyła palec na ustach.

— Wiem, wiem, zawsze tajemnice. Nie wiedziałam już, co począć, gdy zapukał mały garbus, okropnie brzydki i pokręcony, cały ubrany na czarno. Kłania się do ziemi i mówi: „Jeśli panienka zechce, zaprowadzę do przyjaciółki...”

— Mówisz: garbus? — przerwała Aurora.

Tak. Czy ty go wysłałaś?

— Nie, nie ja.

To bardzo dziwne, nikomu nie mówiłam, że chcę cię zobaczyć. Poszłam z nim, bo byłam ciekawa. Wyszliśmy drzwiami ukrytymi w moim własnym pokoju, których istnienia nawet nie podejrzewałam. Prowadził mnie nie znanymi korytarzami. Na ulicy czekała karetka. Wsiadliśmy, no i jestem. Karetka odjechała galopem, nawet nie zdążyłam podziękować.

To on — szepnęła Aurora — to musiał być on.

— Co mówisz?

— Nic... Dlaczego masz być przedstawiona regentowi, ty, Cyganka?

Donia Cruz ściągnęła wargi.

— Moja Auroro — zaczęła siadając w berżerze — nie ma już Cyganki i nigdy nie było; jestem córką szlachetnej księżniczki.

— Ty? — zdumiała się Aurora.

— I cóż w tym dziwnego? U Cyganów to się często zdarza. Kradną dzieci księżniczek i ja jestem takim właśnie dzieckiem... najbogatszą dziedziczką w Europie, jak słyszałam.

Nie wiadomo było, czy Flor drwi, czy mówi poważnie. Aurora słuchała z rozchyłonymi ustami.

— Wspaniale! — wykrzyknęła wreszcie. — A jak się teraz nazywasz?

— Panna de Nevers — donia Cruz z godnością wygładziła fałdy jedwabistej sukni.

— Nevers! — zawołała Aurora. — Jedno z najwspanialszych nazwisk we Francji!

— Tak, moja droga, wydaje mi się nawet, że jestem spokrewniona z Jego Królewską Wysokością.

— Ale jak...?

— Jak, jak? Tego nie wiem. — Donia Cruz była znowu dawną wesołą Cyganką. Jeszcze mi nie wyjaśniono. Gdy pytam, słyszę: „cicho!"; mam podobno wrogów. Każde wywyższenie budzi zawiść. Zresztą nic mnie to nie obchodzi!

— Flor — rzekła Aurora — a gdybym tak znała twoje dzieje?

— Nic nie mów. Mój opiekun, książę Gonzaga, wszystko mi tej nocy wyjaśni.

— Gonzaga? — powtórzyła Aurora i zadrżała. — Tak, książę Gonzaga, mój opiekun, mąż księżnej de Nevers, mojej matki.

— Ach — rzekła Aurora — więc książę Gonzaga jest mężem księżnej de Nevers?

Przypomniała sobie wizytę w zamku Caylus. Cały nocny dramat odżył jej w pamięci, nie znane do niedawna osoby nabierały życia. A więc tym dzieckiem, które spało spokojnie podczas bitwy, była Flor. A morderca...?

— O czym myślisz? — spytała donia Cruz.

— Myślę o księciu Gonzaga.

— Dlaczego?

— Nazwisko to związane jest z najokropniejszymi wspomnieniami mego dzieciństwa. Gdy Henryk pierwszy raz naraził dla mnie życie, usłyszałam to nazwisko. Słyszałam je potem kilkakrotnie. Gonzaga był w Madrycie i w zamku Caylus.

— Czy don Luis nie mówił nigdy, że jesteś córką wielkiej damy? — spytała nagle Flor.

— Nigdy, ale sądzę, że tak jest.

— Wszystko to bardzo dziwne. Nie lubię jednak długo myśleć o jednej rzeczy. Nie mogę uwierzyć, by książę Gonzaga był łotrem i bandytą, jest na to zbyt dobrze wychowany. W Italii wielu jest Gonzagów, prawdziwych i fałszywych. Twój prześladowca musi być takim fałszywym Gonzaga. Gdyby książę Gonzaga był twoim wrogiem, don Luis nie przywiózłby cię do Paryża, gdzie książę ma swoją rezydencję.

— Toteż pilnuje mnie i nie pozwala wychodzić.

— No cóż, jest zazdrosny.

— Flor — szepnęła z wyrzutem Aurora.

— Tak, zazdrosny — powtórzyła Cyganka. — Widzisz, że odgadłam? Czy zawsze taki piękny? No, powiedz. Czy wciąż go kochasz?

— Kocham go — powtórzyła Aurora.

Donia Cruz powiodła dokoła wzrokiem.

— Dom brzydki, ulica okropna. Wiem, co mi powiesz: „W małej chatce, byle z nim...”

— Powiem ci coś zupełnie innego przerwała Aurora: — gdybym chciała mieć pałac, wystarczyłoby jedno moje słowo.

— Taki bogaty?

— Miałam zawsze wszystko, czego pragnęłam.

— Tak — donia Cruz przestała się śmiać — ten człowiek niepodobny do innych, jest w nim coś dziwnego, coś wyższego. Tylko przed nim spuszczałam oczy... Mówię ci, to czarodziej.

— Głupstwa! — zawołała Aurora.

— Mówię ci — rzekła poważnie Cyganka. — Znam się na tym. Powiedz jakieś życzenie i myśl o nim.

Aurora wybuchnęła śmiechem. Donia Cruz przysunęła się do przyjaciółki.

— Kochałam... byłam szalona. Pewnego dnia położył mi rękę na czole mówiąc: „Flor, on nie może cię kochać”. I uzdrowił mnie. Widzisz, to czarodziej.

— Kogo kochałaś, Flor? — spytała Aurora blednąc.

Donia Cruz pochyliła głowę na ramię przyjaciółki i nic nie odpowiedziała.

— Kochałaś Henryka, jestem pewna, że Henryka! — wykrzyknęła Aurora z nie dającym się opisać przerażeniem.

IX. TRZY ŻYCZENIA

Donia Cruz mimo oporu przyjaciółki ucałowała ją serdecznie.

— Kocha cię — rzekła cicho — i nigdy nie pokocha innej kobiety.

— A ty?

— Jestem uleczona, twój Lagardere to czarownik.

Aurora rzuciła się w objęcia Cyganki.

— Dowiodę ci, że mam rację — zawołała wesoło donia Cruz. —

Proszę cię, powiedz jakieś życzenie.

— Niczego nie chcę.

— Jak to? — Cyganka zerwała się i pociągnęła przyjaciółkę ku oknu.

Palais-Royal jarzył się od świateł, u wejścia widać było wystrojone kobiety. Nie chcesz być na balu u regenta?

— Ja? — Aurora otworzyła szeroko oczy. Donia Cruz klasnęła w dłonie mówiąc:

— Raz!

— Nie mam ani sukni, ani klejnotów, nic... — zauważyła Aurora śmiejąc się.

— Dwa! — donia Cruz klasnęła w ręce. — Chcemy sukni i klejnotów! Myśl o nim, inaczej nic z tego. A teraz trzecie życzenie. — I szeptem dodała: — Trzy! — Klasnęła przy tym po raz trzeci.

Nagle drzwi otwały się z trzaskiem i wpadł zdyszany i rozpromieniony Berrichon. Flor, widząc go, omal nie upadła z wrażenia.

— Niosą naszej panience różne fatałaszkę i świecidła. Ze dwadzieścia pudeł. Suknie, koronki, kwiaty. Czego tam nie ma! Proszę, wchodźcie, to tutaj, to dom pana kawalera de Lagardere.

— Janku! — krzyknęła przerażona Aurora.

— Proszę się nie bać, panienko, wiem, co robię — odparł z dumą Berrichon. — Już się nie ukrywamy nareszcie zdjeliśmy maskę.

Trudno wyrazić zdumienie Cyganki, przesądnej jak wszyscy jej bracia.

Do pokoju wchodziły modystki, lokaje wnosili pudła i kartony. Paż bez liberii podszedł prosto do Aurory i kłaniając się nisko podał list przewiązany jedwabiem. Po czym wyszedł.

— Poczekaj na odpowiedź! — krzyknął Berrichon ale paż był już daleko. Za rogiem czekał na niego wysoki mężczyzna okryty płaszczem.

— Gotowe? — spytał nieznajomy.

— Tak.

— Gdzie zostawiłeś naszych ludzi?

— Tu blisko, na ulicy Pierre-Lescot.

— Jest lektyka?

— Są dwie.

— Dlaczego dwie? — brzeg płaszcza odchylił się, ukazując żółtą twarz pana de Peyrolles.

— Nie wiem — odparł paż — widziałem dwie lektyki.

Wracaj do pałacu, ale biegiem, rozumiesz? Znajdziesz tam dwóch zuchów: Cocardasse'a i Passepoila; cały dzień spędzili przy stole.

Powiesz im: „Już czas, wszystko gotowe...” Czy słyszałeś, czyj to dom?

— Tak, pana de Lagardere.

— Przed zuchami nie wolno ci wymieniać tego nazwiska. Gdyby pytali, powiesz, że mieszkają tu kobiety. Przyrowadzisz ich na róg i pokażesz drzwi domu.

Paż pobiegł spełnić polecenie, a Peyrolles zmieszał się z tłumem. Aurora otwierała list.

— To jego pismo.

Z listu wypadło zaproszenie na bal do regenta.

***Drogie dziecko, posyłam ci strój balowy, ubierz się pięknie.
Lektyka z dwoma lokajami zawiezie cię na bal. Do zobaczenia.***

Henryk de Lagardere

Aurora podała list Cygance, która przeczytawszy przetarła z niedowierzaniem oczy.

— Myślisz, że to prawda?

— Tak, mam powody, by wierzyć — odparła Aurora.

Na dużym stole piętrzyły się pudła i kartony. Był tam kompletny strój dworski: biała suknia, haftowana srebrem w różyczki, w każdej różyczce piękna perła; suknię zdobiły cenne koronki. Różowe atłasowe domino przypominało do złudzenia okrycie Flor, a za klejnoty można było kupić stopień brygadiera.

Donia Cruz, spoglądając na rozłożone na stole wspaniałości, myślała z przestachem, że o pewnej godzinie zamienią się w trociny lub zeschnięte liście. Stara Franciszka i Berrichon kręcili z podziwu głowami.

Scena ta miała jeszcze jednego niewidzialnego świadka. Nie był to jednak piękny Lagardere. Za uchylonymi drzwiami pokojów mistrza Ludwika stał mały, czarno ubrany człowiek, garbus. Ezop II, i śmiał się zacierając ręce.

— Do licha — szepnął — księżę Gonzaga zna się na rzeczy, a łotr Peyrolles ma dobry gust.

Aurora, jak prawdziwa córka Ewy, zapomniała o całym świecie, zajęta przymierzaniem sukni.

Starą Franciszkę dręczył niepokój: działy się tak niezwykle rzeczy.

— Nie powinniśmy byli wychodzić — powiedziała do wnuka — ludzie są źli, mogło zdarzyć się nieszczęście. Nie podoba mi się ta nieczysta sprawa.

— Ależ, babciu! — wykrzyknął Janek — to jasne jak słońce. Nasza panienka cały dzień oglądała karety zajeżdżające pod Palais-Royal i ciężko wzdychała. Gdy mistrz Ludwik wrócił, zaczęła go męczyć, by zdobył jej zaproszenie na bal do regenta. Pan kawaler nie mógł odmówić, kupił fatalaszki i przysłał je chcąc zrobić panience niespodziankę.

— To kosztuje majątek! — zawołała Franciszka. .

— Jakaś ty jeszcze młoda, babciu. Używana suknia, naszyta szkiełkami.

W tej chwili zapukano do drzwi. Najpierw ukazała się wąsata twarz, potem butna postać i do salki wkroczył zabijaka z dumnie zadartą głową i ręką na biodrze. Pod pachą trzymał zawiniątko. Za nim wsunął się drugi, o łagodniejszym wyglądzie, również z zawiniątkiem. Berrichon, wystraszony bojową miną nowo przybyłych, stanął ostrożnie za babką.

— Czego chcecie? — spytała Franciszka swym najgrubszym głosem. Cocardasse dotknął z gracją kapelusza:

— Czcigodna damo, przychodzimy w bardzo ważnej sprawie. Czy tu mieszka...?

— Nie — odparł Berrichon zza pleców babki — to nie tu.

— Mieszkamy we dwoje — dodała sucho Franciszka.

— Passepoil? — zwrócił się Gaskończyk do przyjaciela. — Czy uwierzyłbyś, że czcigodna dama potrafi kłamać jak byle szelma?

— Fora ze dwora — krzyknęła rozgniewana Franciszka — dość gadania, wynosić się. Późno już.

— Późno, rzeczywiście — przyznał Cocardasse — ale nie możemy odejść, póki nie dowiemy się wszystkiego. Proponuję przeszukać dom.

— Doskonale — przytaknął Passepoil i ciszej dodał: — Przygotuj chustkę, ja się zajmę kobietą, ty bierz chłopca.

Passepoil skierował się w stronę kuchni. Nieustraszona Franciszka zagroziła drogę, a Berrichon posunął się niepostrzeżenie ku drzwiom, chcąc wezwać pomocy. Cocardasse chwycił chłopca za ucho i rzekł:

— Uduszę cię, jeśli piśniesz!

Przerażony Janek zamilkł, a intruz zakneblował mu usta chustką.

Passepoil tymczasem, straciwszy kilka garści włosów, wiązał i kneblował starą Franciszkę, której udało się dosięgnąć twarzy napastnika, znacząc ją zadrapaniami. Jeńców ułożyli w kuchni, przywiązując mocno do nogi ciężkiego kufra, po czym zamknęli drzwi na dwa spusty. Od tej chwili Cocardasse i Passepoil stali się panami sytuacji.

X. DWA DOMINA

Mimo sąsiedztwa pałacu regenta ulica du Chantre, ciemna i opustoszała, wydawała się pogrążona we śnie. O kilka kroków od domu mistrza Ludwika, po drugiej stronie, we wgłębieniu muru, kryło się sześciu ciemno odzianych ludzi; obok dwie lektyki.

Gdy Cocardasse i Passepoil wchodzili do domu Lagardere'a, ludzie nie spuszczaali oczu z zamkniętych drzwi. Obezwładniwszy Franciszkę i jej wnuka, dwa zuchy spojrzwały na siebie z podziwem.

— Najważniejsze zrobione — powiedział Cocardasse.

— Tam, gdzie nie ma Lagardere'a, wszystko idzie jak po maśle — zauważył Passepoil.

— Lagardere daleko, do granicy sześćdziesiąt mil — odparł Gaskończyk zacierając ręce. Powtórzmy instrukcję księcia Gonzagi.

— Obiecał po pięćdziesiąt pistołów, ale są pewne warunki...

W tym momencie drzwi do pokojów mistrza Ludwika otworzyły się bezszelestnie i w szparze mignęła blada twarz garbusa. Dwaj przyjaciele położyli trzymane na stole zawiniątka, obrzucając je smętnym spojrzeniem.

— Czy to konieczne? — spytał Cocardasse niezadowolony, klepiąc ręką pakunek.

— Czysta formalność — odparł Passepoil. — Gonzaga powiedział: „Macie nosić liberię”, no i nosimy... ale pod pachą.

Garbus zaśmiał się cicho.

— Pod pachą! — wykrzyknął zachwycony Cocardasse. — Moja duszko, masz szatańską głowę! Ponadto należy upewnić się, czy lektyka czeka przed domem. Bieda w tym, że są dwie lektyki — Cocardasse podrapał się w ucho.

— Od przybytku głowa nie boli zdecydował Passepoil. — Nigdy nie używałem lektyki.

— Ani ja.

— W powrotnej drodze każemy się nieść na zmianę. Zza zamkniętych drzwi pokoju Aurory dobiegł wesoły wybuch śmiechu.

— „Weźmiecie dziewczynę — Cocardasse przypominał sobie polecenia Gonzagi — a raczej poprosicie grzecznie, by wsiadła do lektyki, i każecie zanieść ją do pawilonu...”

— „Przemocy użyć jedynie w razie potrzeby” dokończył Passepoil.

— Pięćdziesiąt pistoli to nieźle za taką bagatelkę.

— Szczęściarz z tego Gonzagi! — westchnął Passepoil.

Z pokoju Aurory słychać było coraz głośniejsze śmiechy.

— Już czas — rozległ się tuż za nimi skrzekliwy głos.

Obrócili się błyskawicznie: koło stołu stał garbus z pałacu Gonzagi i spokojnie rozwijał przyniesione przez dwóch towarzyszy pakunki: były to dwie liberyjne kurtki.

— Ubierajcie się prędko — rzucił.

Byli nauczyciele fechtunku zadrżeli. Gaskończyk w żaden sposób nie mógł się zdecydować na przywdzianie liberii.

— Do licha! — zawołał. — Dlaczego wtrącasz się w nie swoje sprawy?

— Cicho — szepnął garbus — śpieszcie się. Zza drzwi dobiegł głos donii Cruz:

Doskonale, brak tylko lektyki.

— Prędzej — syknął garbus i zgasił lampę. Drzwi do pokoju Aurory otwały się i smuga światła padła na posadzkę. Cocardasse i Passepoil skryli się pod schody, by przywdziać liberię. Garbus uchylił okna; ktoś gwizdnął. Jedna z lektyk posunęła się pod drzwi domu.

— Jesteście gotowi? — spytał szeptem Ezop II.

— Gotowi — odparły zgodnie oba zuchy.

— Do roboty!

W tej chwili z pokoju wyszła donia Cruz.

— Muszę znaleźć lektykę — powiedziała — lektyka jest konieczna.

Garbus zamknął za nią drzwi i dziewczyna znalazła się w zupełnych ciemnościach. Chciała wrócić do pokoju Aurory, gdy dwie mocne włochate ręce chwyciły jej ramię; ręce należały do Cocardasse'a. Cyganka usiłowała krzyknąć, lecz sparaliżowana strachem nie mogła wydobyć głosu. Aurora, zajęta toaletą, nie usłyszała słabego jęku przyjaciółki, stłumionego gwarem sąsiedniej ulicy.

— Panienko — zaczął szarmancko Cocardasse — proszę mi podać rękę.

Donia Cruz rzuciła się w drugi kąt pokoju, gdzie napotkała drugą parę rąk, których właścicielem okazał się Passepoil. Krzyknęła, lecz w tej chwili na bal do regenta jechał pan Law i tłum zgromadzony na ulicy wiwatował na cześć bożyszczka Paryża. Aurora nie usłyszała krzyku przyjaciółki.

Cocardasse i Passepoil popchnęli przerażoną Cygankę ku drzwiom wejściowym, które otwały się na oścież. Latarnia uliczna oświetliła twarz donii Cruz i Cocardasse nie mógł powstrzymać gestu zdziwienia. Stojący na progu człowiek zarzucił na głowę dziewczyny gęsty welon i chwycił ją wpół, wnosząc prawie zemdloną do lektyki. Gdy zamknięto drzwiczki, Cocardasse rozkazał:

— Do pałacyku za kościołem Saint—Magloire. Lektyka oddaliła się szybko.

Cocardasse i Passepoil weszli do domu zacierając ręce.

— Pięćdziesiąt pistoli prawie w kieszeni.

Od strony schodów rozległ się głos garbusa:

— Jestem z was dość zadowolony, moje zuchy, ale wasza rola jeszcze nie skończona.

— Gdy go nie widać — zauważył Passepoil — głos ten kogoś mi przypomina; musiałem go już słyszeć.

Suchy trzask krzesiwa obwieścił, że Ezop II zapala lampę.

— Cóż jeszcze mamy robić, mistrzu Ezopie? — spytał drwiąco Gaskończyk. — Tak cię chyba zowią, nieprawdaż?

— Ezop, Jonasz, mam i inne imiona — odparł mały człowieczek. — Teraz uważajcie, co powiem.

— Do licha, Passepoil, skłoń się Jego Wielmożności!

Cocardasse i Passepoil wykonali piękne ukłony, a Passepoil dorzucił kpiąco:

— Jesteśmy na rozkazy Waszej Ekscelencji.

— I dobrze robicie — odparł sucho garbus.

Byli fechtmistrze stracili nieco ze swego rezonu i zamienili niespokojne spojrzenia.

— Dalibóg, słyszałem ten głos — szepnął Passepoil.

Garbus wyniósł zza schodów dwie ręczne latarnie, jakie wówczas noszono przed lektyką, i zapalił je.

— Weźcie to — rzekł podając latarnie przyjaciółom; wzięli posłusznie.

Garbus wskazał palcem pokój Aurory.

— Jest tam młoda dziewczyna — powiedział.

— Jeszcze jedna? — zdziwili się przyjaciele, a Passepoil dodał ze zrozumieniem: — Druga lektyka!

— Ta dziewczyna — ciągnął garbus — kończy się ubierać, za chwilę wyjdzie z pokoju.

— Zobaczmy nas — zauważył Cocardasse wskazując zapaloną lampę.

— Owszem, zobaczy.

— Co mamy robić?

Podejdziecie do niej z szacunkiem i powiecie: „Przyszliśmy, by panią zawieźć na bal do pałacu”.

— Tego nie było w instrukcji — zaproponował Passepoil.

A Cocardasse dodał:

— Czy panienka uwierzy?

— Uwierzy, jeśli powiecie, kto was przysyła.

— Księżę Gonzaga.

— Nie. Dodacie, że pan wasz będzie oczekiwał z wybiciem północy w ogrodach pałacu przy rondzie Diany.

— Mamy więc dwóch panów? — zdziwił się Cocardasse.

— Nie, służycie jednemu, ale to nie Gonzaga.

Przy tych słowach garbus podszedł do kręconyc schodów wiodących na piętro.

— Któż jest naszym panem? — wykrzyknął Cocardasse, usiłując bezskutecznie przywołać na twarz ironiczny uśmiech. — Chyba Ezop II?

— A może Jonasz? — wybąkał Passepoil.

Garbus spojrzał tak, że spuścili oczy, i powiedział powoli:

— Wasz pan nazywa się Henryk de Lagardere.

— Lagardere! — jęknęli głucho, drżąc na całym ciele.

Garbus wchodził po schodach. Gdy znalazł się na górze, spojrzał na zgięte karki: buta fechtmistrzów była starta w proch.

— Naprzód! rzekł i znikł zamykając za sobą drzwi.

— Aj! — jęknął Passepoil. — Naprzód, przyjacielu!

Na progu sąsiedniego pokoju stanęła Aurora.

— Dziewczyna, którą widziałem we Flandrii z Lagardere'em szepnął Passepoil.

— Flor — zawołała Aurora gdzie jesteś?

Cocardasse i Passepoil, z latarniami w ręku, podeszli zginając się w ukłonach. Wyglądali wspaniale w liberyjnych kurtkach, ze szpadą u boku.

— Gdzie Flor? — powtórzyła Aurora — czy odjechała beze mnie?

— Odjechała — odpowiedzieli jak echo.

Dziewczyna jednemu podała wachlarz, drugiemu bukiet, jak gdyby całe życie miała na usługi tak imponujących lokai.

— Jestem gotowa, jedźmy.

— Jedźmy — powtórzyli echem.

— Czy powiedział, gdzie go spotkam? — spytała wsiadając do lektyki.

— Przy rondzie Diany — szepnął Cocardasse tenorowym głosem.

— O północy — dokończył Passepoil

Lektyka ruszyła. Cocardasse i Passepoil szli po obu jej bokach, z latarniami w ręku.

W chwilę potem z drzwi domu mistrza Ludwika wysunęła się czarna figurka garbusa, minęła ulicę Świętego Honoriusza i wśród śmiechu i drwin zebranego tłumu doszła do Palais-Royal. Na tyłach pałacu małe drzwiczki prowadziły do części zwanej prywatnym apartamentem księcia, gdzie mieścił się gabinet regenta. Garbus zastukał w specjalny sposób; wpuszczono natychmiast dziwnego gościa, a gruby głos z głębi ciemnego korytarza zawołał:

To ty, Riquet a la Houppes? Chodź szybko, czekają na ciebie.



PALAIS—ROYAL

I. W CZTERY OCZY

W noc balu pałac regenta przypominał pałac z bajki. Mówiono co prawda, że pan Law dostarczył pieniędzy na te wspaniałości, ale kogo to obchodziło? Bal wydano na cześć pana Lawa, na cześć systemu sławnego finansisty. Pieniądze nic nie kosztowały, wobec tego można było olśniewać przepychem. Mimo późnej pory goście tłumnie zapełniali ogród nakryty olbrzymim namiotem. Dekoracja przedstawiała obóz osadników w Luizjanie, nad brzegami Missisipi, złotej rzeki. Wszędzie tropikalne krzewy, kwiaty, owoce. Alegoryczny posąg rzeki Missisipi, ustawiony pośrodku głównego jeziora, miał rysy twarzy pana Lawa. Bóg rzeczny trzymał urnę, z której wypływała woda.

Świetne towarzystwo błyszczało w salonach. Z rozkazu regenta książę de Brissac wraz z panią de Toulouse otworzyli bal. W ogrodzie, w namiotach, grano w lancknechta. Panował ogłuszający hałas. Wesoły tłum przelewał się alejami. Zabawa była w całej pełni, choć nie pojawili się dotąd ani regent, ani księżniczki, ani sam dobry pan Law. Wszyscy oczekiwali niecierpliwie przybycia tak znacznych osobistości.

W wigwamie z jasnoczerwonego aksamitu przetykanego złotem ustawiono stoły do gry. Namiot znajdował się niedaleko ronda Diany, pod oknami gabinetu regenta. Złoto płynęło strumieniem, grający śmieli się i krzyczeli. Zebrali się tu przyjaciele i poplecznicy księcia Gonzagi. Pan de Peyrolles stale wygrywał, takie już miał przyzwyczajenie.

W pewnej chwili u wejścia stanął mały gruby Oriol.

— Panowie, czy znacie nowinę? Wielką nowinę? — zawołał.

— Nie, mów prędko.

— Nigdy nie zgadniecie.

Posypały się przypuszczenia, jedne mniej prawdopodobne od drugich.

— Nie zgadniecie, nigdy nie zgadniecie! — wołał Oriol. — Księżna Gonzaga, niepoczyszona wdowa po księciu de Nevers, jest na balu.

— Niemożliwe! — rozległy się krzyki ze wszystkich stron.

— Widziałem — potwierdził Oriol — widziałem na własne oczy, siedzi koło księżny Palatyńskiej. Widziałem coś jeszcze dziwniejszego.

— Co? Co? — zapytano.

Oriol z dumą wypiął pierś. Trzymał w napięciu uwagę zebranych.

— Księcia Gonzagi nie wpuszczono do regenta, sam widziałem, nie jestem ślepy.

Zapadło milczenie. Wiadomość poruszyła obecnych; wszyscy zależni byli od Gonzagi, z jego ręki oczekiwali fortuny.

— Cóż w tym dziwnego — zauważył Peyrolles — sprawy państwa...

— O tej porze Jego Królewska Wysokość nie zajmuje się sprawami państwa.

— Może jaki ambasador...

— Jego Królewska Wysokość nie przyjmował ambasadora.

— Może nowy kaprys...

— Jego Królewska Wysokość nie był w towarzystwie damy.

Ciekawość rosła.

— Więc z kim był Jego Królewska Wysokość?

— Tajemnica, panowie, tajemnica. Po otrzymaniu pisma z Hiszpanii regent posmutniał. Wydał dziś rozkaz, by wpuszczono do pałacu człowieka, którego nikt nie zna. Lokaj widział przez uchylone drzwi małego garbusa, ubranego na czarno od stóp do głów. Jego Królewska Wysokość zamknął się w gabinecie z nieznanym i nie wpuszcza nikogo.

Zapadło długie milczenie. Przez odchylone płótno namiotu widać było oświetlone okna gabinetu regenta.

— Patrzcie, panowie — krzyknął Oriol wskazując pałac — widzę ich, są tam!

Wszystkie oczy zwróciły się ku oknom gabinetu. Na białych firankach rysowała się sylwetka Filipa Orleańskiego. Książę chodził po pokoju. Po chwili sylwetka księcia znikła, a na firankach wystąpił wyraźnie cień tajemniczego gościa: ujrano wielki garb na pokracczym tułowiu, długie ręce gestykulowały z ożywieniem.

Gdy mały człowieczek zastukał do bocznych drzwi pałacu, regent już oczekiwał gościa. Mimo, że bal się zaczął, książę Orleański miał na sobie szlafrok. Był to piękny mężczyzna lat około czterdziestu pięciu; wyglądał nieco starzej, gdyż zmęczenie jak gdyby zatarło wyraziste rysy. Na progu czekał lokaj, który wprowadził gościa przed oblicze księcia.

— Czy to pan pisał do mnie z Hiszpanii? — spytał regent ogarniając wzrokiem sylwetkę nieznanego.

— Nie, Wasza Wysokość — odparł z szacunkiem garbus.

— A z Brukseli?

— Też nie ja.

— A więc z Paryża?

— Nie, Wasza Wysokość.

Regent raz jeszcze spojrzał badawczo na przybysza.

— Nie podejrzewam, że jest pan tym Lagardere'em — mruknął.

Garbus skłonił się z uśmiechem.

— Nie była to żadna aluzja — dodał poważnie regent. — Nigdy nie widziałem tego człowieka.

— Panie — odparł garbus wciąż z uśmiechem — gdy kawaler de Lagardere służył w szwoleżerach Jego Królewskiej Mości Ludwika XIV,

nazywano go pięknym Lagardere'em. Nigdy nie byłem ani piękny, ani szwoleżerem.

— Jak się pan nazywa?

W domu nazywają mnie mistrzem Ludwikiem. Poza tym ludzie tacy jak ja mają wyłącznie przezwiska.

— Gdzie pan mieszka?

— Daleko stąd.

— Nie chce pan podać adresu?

— Nie, panie.

— Mam policję, która uchodzi za zręczną; dowiem się bez trudu...
regent podniósł głowę i spojrzał surowo na gościa.

— Jeżeli Waszej Królewskiej Wysokości zależy — przerwał garbus — odstąpię od moich zasad. — Mieszkam w pałacu księcia Gonzagi.

— W pałacu księcia Gonzagi? — powtórzył zdumiony regent.

— Wysokie tam komorne — odparł zimno garbus kłaniając się.

— Przed wielu laty — zaczął regent po chwili milczenia — słyszałem o tym Lagardere. Był to podobno bezczelny zabijaka.

— Zrobił, co mógł, by odpokutować dawne szaleństwa.

— Kim jest dla pana?

— Nikim.

— Dlaczego nie przybył sam?

— Gdyż miał mnie pod ręką.

— Jeśli zechcę go zobaczyć, jak go szukać?

— Na to nie mogę odpowiedzieć, panie.

— Jednakże...

— Policja Waszej Królewskiej Wysokości uchodzi za zręczną. Proszę szukać.

— Czy to wyzwanie?

— To groźba, panie. Za godzinę Henryk de Lagardere będzie mógł nie obawiać się poszukiwań Waszej Wysokości i nie powtórzy więcej kroku, na jaki waży się, by postąpić zgodnie z nakazem sumienia.

— Krok ten uczynił więc wbrew woli?

— Tak, Wasza Wysokość, wbrew woli.

— Dlaczego?

— Gdyż stawką w tej grze jest szczęście jego życia.

— Co go zmusiło?

— Przysięga złożona umierającemu.

— Kto to był?

— Wasza Wysokość wie dobrze: to Filip Lotaryński, książę de Nevers.

— Minęło dwadzieścia lat — głowa regenta opadła na piersi — niczego jednak nie zapomniałem. Jakże kochałem biednego Filipa! I on mnie kochał. Od jego śmierci nie wiem, czy choć raz uścisnąłem rękę prawdziwego przyjaciela. Byłem kuzynem księcia de Nevers — ciągnął po chwili — winienem opiekę wdowie, która poślubiła jednego z mych najbliższych przyjaciół. Gdyby córka jej żyła, byłaby dziś najbogatszą dziedziczką Francji, mogłaby poślubić księcia krwi. Co zaś do zabójstwa mego drogiego Filipa, złożyłem przysięgę: ukaranie mordercy nie będzie zemstą, lecz wymiarem sprawiedliwości.

Garbus skłonił się w milczeniu.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego ten Lagardere zwlekał tyle lat i tak późno do mnie się zwraca?

— Gdyż powiedział sobie: „Pragnę, by w dniu, gdy zrzeknę się opieki, panna de Nevers była dorosłą kobietą, by mogła odróżnić przyjaciół od wrogów”.

— Czy kawaler de Lagardere ma dowody na to, co pisze?

— Z wyjątkiem jednego: brak mu dowodu, by zdemaskować mordercę.

— Zna więc mordercę?

— Przypuszcza, że tak; ma sposób, by go rozpoznać. Posiada też wszystkie dokumenty stwierdzające urodzenie panny de Nevers.

— Jaką przysięgę złożył Lagardere? — spytał po chwili regent.

— Przysiągł zastąpić dziecku ojca.

— Był więc przy Filipie w godzinę śmierci?

— Był. Nevers umierając powierzył mu córkę.

— Czy Lagardere stawał w obronie księcia?

— Zrobił, co mógł. Po śmierci pana de Nevers zabrał dziecko, choć miał przeciw sobie dwudziestu zbirów.

— W pana odpowiedziach są niejasności. Jeśli Lagardere brał udział w walce, powinien znać mordercę.

— Noc była ciemna, morderca nosił maskę i uderzył z tyłu. Nevers upadł wołając: „Pomścij mnie, przyjacielu!”

— Czy nie był to — zaczął wahająco regent — markiz de Caylus-Tarrides?

— Markiz dawno umarł, a morderca żyje. Wasza Królewska Wysokość powie słowo, a Lagardere wskaże mordercę tej jeszcze nocy.

— W takim razie — rzekł z żywością regent — Lagardere jest w Paryżu.

Garbus przygryzł wargi.

— Jeśli jest w Paryżu — dodał regent wstając — będę go miał.

Po tych słowach pociągnął taśmę dzwonka i wchodzącemu lokajowi rzucił: Prosić pana de Machault.

Pan de Machault był naczelnikiem policji.

— Kawaler de Lagardere oczekuje na drodze za Paryżem — rzekł garbus spoglądając na zegarek. — Nawet na torturach nie wyjawilibym

Waszej Wysokości miejsca spotkania. Bije jedenasta. Jeśli przed pół do dwunastej pan de Lagardere nie otrzyma ode mnie znaku życia, popędzi ku granicy. Ma rozstawne konie i sam naczelnik policji nie zdoła go zatrzymać.

— Pan będzie zakładnikiem! — wykrzyknął regent.

— Och, ja — uśmiechnął się garbus — jestem zawsze do dyspozycji Waszej Królewskiej Wysokości.

W tej chwili wszedł pan de Machault.

— Machault — powiedział regent — zaczekaj, proszę, w przyległym gabinecie.

Naczelnik policji spojrzął z zaciekawieniem na dziwnego gościa i posłusznie skierował się ku drzwiom. Regent dodał:

— Przygotuj glejt in blanco, z pieczęcią i podpisem.

Gdy Machault wyszedł, zwrócił się do gościa:

— Kawaler de Lagardere traktuje ze mną jak z równym sobie.

Przysła ambasadorów, a w ostatnim liście żąda glejtu. Coś się za tym kryje, jakiś interes. Pan de Lagardere przypuszczalnie liczy na nagrodę.

— Wasza Królewska Wysokość myli się — odparł garbus. —

Wynagrodzić kawalera de Lagardere nie leży w możliwościach nawet regenta Francji.

— Do licha — odparł książę — musimy obejrzeć tak niezwykłego osobnika. Czeką go wielkie powodzenie u dworu, pewnie wskrzesi modę błędnych rycerzy. Kiedy mógłby się stawić?

— Za dwie godziny.

Wszedł lokaj przynosząc żądany glejt. Regent własnoręcznie wypełnił dokument i podpisał.

— Pan de Lagardere — mówił pisząc — popełnił błędy, które możemy darować. Zmarły król był przeciwnikiem pojedynków i miał rację, ale dziś czasy się zmieniły. Pan de Lagardere może jutro powrócić do łaski; oto

glejt. Proszę jednak uprzedzić kawalera, iż wszelki gwałt z jego strony zniweczy działanie tego dokumentu.

— Czasy gwałtu minęły, Wasza Wysokość — odpowiedział uroczyście garbus.

— Co pan przez to rozumie?

— Dwa dni temu kawaler de Lagardere nie przyjąłby tej klauzuli.

— Dlaczego? — spytał nieufnie regent.

— Zabraniała mu złożona przysięga.

— Czyż przysiągł nie tylko być ojcem dziecku?

— Przysiągł pomścić śmierć księcia de Nevers...

— Niech pan dokończy — rozkazał regent.

— Kawaler de Lagardere — rzekł powoli garbus — uciekając z uratowanym dzieckiem powiedział zabójcom: „Wszyscy zginiecie z mojej ręki”. Było ich dziewięciu; siedmiu już nie żyje.

— Czy zginęli z jego ręki? — spytał regent blednąc.

Garbus skłonił się w milczeniu.

— A dwaj pozostali?

— Są głowy, których lepiej nie strącać na szafocie — odpowiedział garbus po chwili wahania. — Hałas, jaki czynią spadając, gotów wstrząsnąć tronem spojrzał śmiało w oczy księciu. — Pan de Lagardere polecił mi powtórzyć Waszej Królewskiej Wysokości te słowa: „Ósmy zabójca to sługus wykonujący rozkazy, dziewiąty jest panem i ten musi umrzeć. Jeśli Wasza Królewska Wysokość nie życzy sobie oddać go katu, niech mu dadzą szpadę; reszty podejmuje się pan de Lagardere”.

Regent podał gościowi pergamin.

— Sprawa jest słuszna — szepnął. — Jeśli pan de Lagardere potrzebuje pomocy...

— Wasza Wysokość, pan de Lagardere prosi tylko o jedno.

— O co?

— O dyskrecję. Jedno nierozważne słowo może wszystko zgubić.

— Będę milczał.

Garbus skłonił się głęboko, schował złożony pergamin do kieszeni i skierował się ku drzwiom.

— Więc za dwie godziny? — przypomniał regent.

— Za dwie godziny, Wasza Wysokość.

Odźwierny Le Breant, ten sam, który wpuścił garbusa do pałacu, otworzył gościowi drzwi. Ezop wsunął mu w rękę podwójnego ludwika.

— Chciałbym zobaczyć bal — powiedział.

— Ho, ho, piękny z ciebie tancerz! — wykrzyknął Le Breant.

— Ponadto chcę, byś mi dał klucz od twej łoży w parku.

— Po co ci klucz?

Garbus wsunął odźwiernemu drugiego ludwika.

— Dziwne masz zachcianki — rzekł Le Breant dając klucz.

— Zanieś też do łoży paczkę, którą ci powierzyłem rano,

— Założę się, że to miłosne spotkanie — zauważył odźwierny.

— Być może — odparł z uśmiechem garbus.

II. CIENIE PRZESZŁOŚCI

Czarno ubrany człowieczek, znalazłszy się w ogrodzie, ze znuwaniem oglądał dekoracje, kłaniając się pięknym paniom. Twarz zakrywała mu czarna aksamitna maska. Wzbudzał powszechną ciekawość.

— Do licha! — wykrzyknął markiz de Chaverny — to Ezop II, nasz znajomy.

— Niemożliwe — posypało się ze wszech stron.

W szkarłatnym namiocie inne towarzystwo zasiadło do kart. Byli to przeważnie ludzie już niemłodzi, wysoko utytułowani.

— Coś się dzieje — powiedział jeden z grających — zauważyłem dwie kompanie gwardii na pałacowym dziedzińcu.

— Regent niewidzialny — dodał drugi.

— Machault dwoi się i troi — dorzucił inny.

Poplecznicy Gonzagi nadstawili uszu, ale nowo przybyli gracze zniżyli głosy.

— Przeczuwam, że coś się stanie — powiedział nagle Chwerny.

— Spytaj czarodzieja — zaśmiał się Noce wskazując czarnego człowieczka.

— Rzeczywiście, coś się stanie, ale co? — rzekł garbus kłaniając się z uśmiechem całemu towarzystwu, a spostrzegłszy przy stole gry grupę starszych panów, dodał: tak, coś się szykuje. Regent zatroskany, podwojono strażę, nikt nie wie dlaczego.

— W czym rzecz, piękna masko? — spytał jeden z grających, pan de Rohan-Chabot.

Garbus chwilę milczał, wreszcie podniósł głowę i z suchym śmiechem spytał:

— Czy wierzą panowie w duchy?

Śmiał się przy tych słowach, ale śmiech ten budził dreszcz grozy.

— Ech, ech, któż dziś wierzy w duchy?

— Nikt —na ulicy, w samo południe, wszyscy — o północy, wśród pustego domu, gdy zgaśnie lampa. W ciszy nocnej i w ciemności rozwija się kwiat zwany sumieniem. Nie bójcie się, panowie, nie jestem duchem.

— Może wytłumaczysz się jaśniej, piękna masko — powiedział wstając ksiązę de Rohan-Chabot.

— Panie — odparł garbus — żaden z nas nie jest piękny, dość tych komplementów. Chodzi o sprawy z tamtego świata. Czy ktokolwiek na dworze pamięta jeszcze o ludziach zmarłych przed dwudziestu laty?

— Co to znaczy? — zawołał Chaverny.

— Nie mówię do pana — odparł garbus — pan się dopiero wtedy urodził, za młody pan, by pamiętać. Zwracam się do tych, co mają szpakowate włosy: do pana, panie de La Hunaudaye; leżałby pan teraz we Flandrii, sześć stóp pod ziemią, gdyby człowiek, o którym mowa, nie rozwalił czaszki hiszpańskiego żołdaka.

Stary pan de La Hunaudaye otworzył usta. Wzruszenie odebrało mu głos.

— Mówię do pana de Marillac, którego córkę nieszczęśliwa miłość zamknęła w klasztorze. Do pana de La Vauguyon; po dziś dzień nosi pan na ramieniu ślad jego szpady...

— Nevers! — krzyknęło jednocześnie dwadzieścia głosów — Filip de Nevers!

— Tak, Filip Lotaryński, ksiązę de Nevers, zamordowany pod murami zamku Caylus-Tarrides 24 listopada 1699 roku — odparł powoli garbus zdejmując kapelusz.

— Zamordowany zdradziecko, jak mówiono — szepnął pan de La Vauguyon.

— Z zasadzki — dodał pan de La Ferte.

— Jeśli się nie mylę, oskarżano markiza de Caylus-Tarrides, ojca księżny Gonzaga — dorzucił pan de Rohan-Chabot.

Peyrolles słuchał i kurczył się w sobie.

— Zamordowany zdradziecko, z zasadzki, tak, panowie, to wszystko prawda — odrzekł garbus. — Winowajcą jednak nie był markiz de Caylus.

— Któż więc zabił? — padły pytania.

— Sprawa ta wywołała wiele hałasu — ciągnął mały człowieczek lekko ironicznym tonem, przez który przebijała gorycz. — Cały tydzień o niczym innym nie mówiono; po miesiącu tylko przybysz z prowincji wspominał nazwisko de Nevers....

— Jego Królewska Wysokość uczynił, co było możliwe — przerwał pan de Rohan.

— Tak, tak, wiem. Jego Królewska Wysokość jest jednym z trzech Filipów; zrobił wszystko, by znaleźć mordercę. Ale zamek Caylus leży na końcu świata. Noc z 24 listopada strzeże tajemnicy. Książę Gonzaga, drugi z trzech Filipów, poruszył niebo i ziemię, by pomścić przyjaciela. Wszystko na próżno; brakło znaku czy śladu mordercy. Zemstę pozostawiono Bogu. Ludzie mądrzy nie gardzą tą najwyższą instancją. Niebo ma lepsze oczy niż policja, jest cierpliwe, czas ma za sprzymierzeńca. Mijają dni, tygodnie, miesiące, lata, lecz gdy wybije godzina, a wcześniej czy później wybije, zjawia się wysłannik z za grobu, gdyż taka jest wola boża, i spełnia fatalne posłannictwo. Jeśli jest mocny, uderza, jeśli słaby jak ja i ramię jego niezdolne udźwignąć miecza, czołga się, aż przyłoży usta do potężnego ucha i w oznaczonej godzinie zdumiony mściciel usłyszy imię zabójcy... Tam, na pierwszym stopniu tronu, siedzi człowiek. Przed chwilą głos powiedział mu: „Oto morderca”, i mściciel zadrżał. „W tłumie dworaków jest morderca” — i mściciel

otworzył szeroko oczy. „Wczoraj, dziś, jutro morderca siadał, siada i siądzie przy twym, panie, stole”. I mściciel przypomina najczęstszych gości. „Panie, rano i wieczorem morderca wyciąga do ciebie skrwawioną dłoń”. I mściciel powstał mówiąc: „Na Boga żywego, stanie się zadość sprawiedliwości!” Oto dlaczego regenta gnębi troska i podwojono pałacowe straże.

Powiedziawszy to skłonił się i chciał odejść.

— Kto jest mordercą? — zawołał Chaverny.

— Czy nie widzicie, panowie — przerwał Peyrolles — bezczelny błazen drwi sobie z nas.

Garbus zatrzymał się na progu namiotu i powiódł wzrokiem po obecnych. Wszyscy spoglądali na siebie nieufnie. Śmiech Ezopa II zaterkotał jak pęknięta grzechotka.

— Nie ufacie już sobie, panowie, patrzcie jeden na drugiego jak na przypuszczalnego mordercę. Bądźcie spokojni, chwalić Boga, czasy się zmieniły, rzadko spotykamy morderców na dworze regenta. Nie odsuwajcie się od siebie, zabójcy nie ma wśród was. — A zwracając się do dworaków Gonzagi dodał: — Wyglądacie, panowie, jakby gnębiły was wyrzuty sumienia. Czym was rozerwać? Patrzcie, pan de Peyrolles już ucieka; dużo traci. Wiecie, dokąd biegnie pan de Peyrolles?

— Czy regent zna nazwisko zabójcy? — spytał Chaverny dotykając ramienia garbusa.

— Panie markizie — odparł czarno ubrany człowiek — należy się trochę pośmiać. Mój duch dziś w dobrym humorze! Tragedie już nie w modzie, kolej na komedie!

Chaverny wziął pod ramię pana de Navailles.

— Chodźmy — powiedział z niesmakiem.

Był to sygnał do rozejścia się. Obecni grupkami opuszczali namiot.

Gdy wyszedł ostatni, garbus usiadł przy stole do gry i wyciągnął z kieszeni pergamin, zapieczętowany herbem z królewską koroną. Był to glejt z podpisem regenta.

III. RÓŻOWE DOMINA

Glejt wystawiono na nazwisko kawalera Henryka de Lagardere, byłego szwoleżera zmarłego króla. Akt ten pozwalał kawalerowi de Lagardere poruszać się na terenie Francji, gwarantował bezpieczeństwo oraz zapewniał swobodne opuszczenie granic kraju, „cokolwiek by zaszło”.

— Cokolwiek by zaszło — powtórzył kilkakrotnie garbus, po czym wstał spojrzawszy na zegarek.

Indiański namiot miał dwa wejścia. Kilka kroków dalej wąska ścieżka wiodła do loży odźwiernego Le Breant, ukrytej w gęstwinie. Reflektor rzucał promień światła na przyozdobioną fasadę domku. Miejsce to, odosobnione i dzięki bujnej roślinności zakryte przed spojrzami ciekawych, było trudno dostępne. Wieczorami straże miały zazwyczaj na oku ten zakątek. Wychodząc z namiotu Ezop II ujrzał armię popieczników Gonzagi zgromadzoną w alejce. Rozmawiano o nim. Garbus zdjął kapelusz i uprzejmie skłonił się zebrany. Młodzi ludzie rozstąpili się, lecz Chaverny stanął na środku drogi.

— Chwileczkę — młody markiz zatrzymał przechodzącego.

— Do usług, panie markizie.

— Zechce pan wyjaśnić tajemnicę przepowiedni...

— Przykro mi, ale nie mam czasu.

— A jeśli pana zmuszę?

— Markiz de Chaverny zabija w pojedynku Ezopa II, zwanego Jonaszem, lokatora psiej budy! Sława pana dosięgnie szczytu!

Chaverny wyciągnął ramię chcąc zatrzymać garbusa, ale Ezop II ujął uściskiem rękę młodego człowieka.

— Panie markizie — powiedział cicho — więcej pan wart niż pańskie czyny. Podróżując po Hiszpanii widziałem raz szlachetnej krwi rumaka

wśród juczych mułów. Gdy wracałem, rumak nie żył. To nie miejsce dla pana: umrze pan młodo, nie każdy potrafi zostać łajdakiem.

Po tych słowach skłonił się i znikł w zaroślach.

W salonach muzyka umilkła między dwoma menuetami. W ogrodzie tłoczyły się barwne grupy masek, zawiązywano intrygi i bawiono się doskonale. Na balu pojawił się książę Gonzaga.

W kołach dworskich omawiano szeroko wydarzenia zaszłe podczas rady rodzinnej. W oczach dam książę Gonzaga urósł na bohatera. Nazywano go świętym i męczennikiem. Dwadzieścia lat cierpliwie znoszonych męczarni, dwadzieścia lat niewyczerpanej dobroci wobec nieugiętej pogardy! Mało przykładów podobnej siły charakteru i poświęcenia można było znaleźć w starożytnej historii!

Gonzaga dostrzegł we framudze okiennej pana de Peyrolles. Sługa był siny i ocierał pot ze skroni. Na dany znak Peyrolles przemierzył salon stając przed panem. Po chwili książę zerwał się z ożywieniem.

— Księżna Gonzaga na balu? — zawołał. — Biegnę na spotkanie!

Gdy znaleźli się sami, Peyrolles powiedział:

— Widziałem garbusa.

— Wiem — odparł książę — sam dałem mu kartę wstępu.

— Nie ufam tej pokrace, to zdrajca.

— Nie ufaj. Czy to wszystko?

Prawie godzinę rozmawiał z regentem.

— Z regentem? — zdziwił się Gonzaga.

— Tak. — Tu Peyrolles opowiedział scenę w namiocie.

— Przede wszystkim — zaczął książę — powiedz, jak poszło na ulicy du Chantre.

— Rozkazy księcia pana wiernie wykonano. Wróciłem do pałacu upewniwszy się na własne oczy, że lektyka ruszyła w stronę kościoła Saint-Magloire.

— A donia Cruz, panna de Nevers?

— Donia Cruz musi tu być.

— Poszukaj jej, damy chcą poznać pannę do Nevers. Co garbus mógł powiedzieć regentowi?

— Tego niestety nie wiem.

— Wydaje mi się, że zgaduję. Pewnie powiedział: „Zabójca Neversa żyje”.

— Cicho! — szepnął zadrżawszy pan de Peyrolles.

— I ma rację. Zabójca Neversa żyje. Dlaczego miałbym ukrywać prawdę, ja, mąż wdowy po zabitym oraz naturalny mściciel i sędzia? Zabójca Neversa żyje, chciałbym ogłosić to całemu światu.

Peyrolles ocierał zroszone potem czoło.

— Żyje, a więc znajdziemy go. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, że pan igra z ogniem.

— O tym pewnie myślał garbus — księżę zniżył głos. — Na honor, myśl to doskonała. Dlaczego przyszła mu do głowy? Jakim prawem chce wydrzeć nam tajemnicę? To trzeba wyjaśnić. Ludzie zbyt domyślni giną przedwczesną śmiercią.

— Czy... tej nocy? — Peyrolles ze zrozumieniem spojrzał na pana.

Za szpaleru drzew, przy którym rozmawiali, wyszły dwie osoby: zamaskowana kobieta w ceremonialnej dworskiej toalecie, okryta czarnym dominem, wsparta na ramieniu siwego starca. Gonzaga i Peyrolles skryli się w mroku.

— Poznałeś? — szepnął księżę, gdy para minęła arkady szpaleru.

— Nie — odpowiedział Peyrolles.

Usłyszeli głos zamaskowanej kobiety.

Drogi panie — mówiła — bardzo dziękuję, proszę mi dalej nie towarzyszyć.

— Czy będę potrzebny księżnej pani tej nocy? — spytał starzec.

— Za godzinę spotkamy się w tym miejscu.

— To pan de Lamoignon — szepnął Peyrolles.

— Księżna pani nie znalazła dotąd tego, czego szuka powiedział Gonzaga. — Nie spuszcza jej z oka.

Zamaskowana kobieta ukryła twarz pod kapturem czarnego domina i skierowała się w stronę basenu. Była to księżna Gonzaga.

— Książę pan nie dał mi odpowiedzi — przypomniał Peyrolles. — Czy garbusa załatwimy tej nocy?

— Nie. Chcę z nim pomówić. Wskazał nam drogę i tej nocy pójdziemy jego śladem. Jeśli dotrzyma słowa, a pewien jestem, że dotrzyma, my spełnimy to, co w naszym imieniu obiecał regentowi. Na dzisiejszym balu zjawi się największy wróg mego życia, przed którym wy wszyscy drżycie jak kobiety.

— Lagardere! — szepnął Peyrolles.

— Tak. Zedrę z niego maskę, pokażę całemu światu i powiem: „Oto zabójca księcia de Nevers”.

— Widziałeś? — spytał Navailles.

— Na honor, można by przypuszczać, że to księżna Gonzaga — odparł Gironne.

— Kogoś szuka.

— Jaka piękna dziewczyna! — wykrzyknął nagle Chaverny.

— Gdzie? To różowe domino? Do licha, chyba sama Wenus.

Młodzieńcy rzucili się ku nieznajomej, lecz wkrótce spostrzegli, że za piękną dziewczyną idzie w pewnej odległości dwóch zamaskowanych drabów z długimi rapierami u boku, z ręką zawadiacko opartą na biodrze, z hardo zadartą głową.

Piękna nieznajoma zdawała się kogoś szukać. Wzrok jej przesuwiał się po barwnie przybranych grupach i nawet maska nie zdołała ukryć

niepokoju. Widać nie była przyzwyczajona do podobnego tłumu. Dziesięć kroków za nią kroczyli ramię w ramię dwaj zuchowie. Garbus przemówił w imieniu Lagardere'a; czuli na sobie surowe oko pana. Szli sztywni i poważni, jak żołnierze na warcie. Na rozkaz garbusa zdjęli liberię i przed odejściem uwolnili starą Franciszkę i Berrichona.

Od godziny biedna Aurora, zagubiona w tłumie masek, na próżno szukała Henryka. Spiesząc na rondo Diany minęła księżną Gonzaga.

— Panowie — Chaverny wrócił z kwitkiem — to żadna ze znanych piękności. Mieszczka nie miałaby tak królewskiej postawy; to z pewnością nieznana dama. Mam plan. Ślicznotka kogoś wypatruje; dlaczego któryś z nas nie może być tym szczęśliwcem? Nie dopuścimy, by znalazła obcego rywala!

— Brawo! — krzyknęli rozochoceni panicze.

— Proponuję, by śliczną dziewczynę zdobył jeden z nas!

— Niech żyje Chaverny!

— Nie hałasujcie, panowie — rzekł Chaverny. — Musimy działać ostrożnie; tyle w parku straży i łatwo zepsuć zabawę. Czy nie widać w pobliżu różowego domina na którejś ze znanych nam osóbek?

— Panna Nivelles! — zawołał Oriol.

— Cidalise! — dodał Taranne.

— Wolę Cidalise, jest mniej więcej tego samego wzrostu co nasza nieznajoma. Dawać Cidalise!

Po dłuższej chwili znaleziono pannę Cidalise.

— Kochanie — rzekł Chaverny — Oriol obiecuje ci sto pistoletów, jeśli zręcznie wykonasz nasze polecenie. Chodzi o to, by puścić na fałszywy trop dwa złe brytany.

— Czy będzie dużo śmiechu? — spytała Cidalise.

— Wystarczy, byś się trzymała za boki — odparł Chaverny.

IV. DZIEWCZĘ ZNAD MISSISIPI

Edukacja Cidalise trwała krótko. W chwilę potem dziewczyna, prześlizgując się zręcznie wśród masek, znalazła się między Aurorą a dwoma idącymi za nią fechtmistrzami. Jednocześnie część bandy markiza de Chaverny harcowała wokół Cocardasse'a i Passepoila, druga zaś tak manewrowała, by odciąć od nich Aurorę.

Cocardasse dostał solidnego szturchańca. Zaklął straszliwie, a ręka zabijaki poszukała główni szpady. Passepoil jednak szepnął uspokajająco:

— Idźmy naprzód!

Poszli dalej. Wtem Passepoil zachwiał się, potrącony mocnym ramieniem nieznannej maski.

— Idźmy naprzód — powiedział Cocardasse widząc błyski w oczach przyjaciela.

Ktoś nadepnął na stopę Gaskończykowi i ktoś omal nie przewrócił Passepoila wsuwając rapier między nogi fechtmistrza.

— Moja duszko — szepnął Cocardasse po czwartej zaczepce, spoglądając żałośnie na przyjaciela — obawiam się, że stracę cierpliwość!

Passepoil sapał jak foka i nic nie odpowiedział. Gdy nieostrożny Taranne ponowił atak, otrzymał potężny policzek. Cocardasse westchnął z ulgą: przecież nie on zaczął. Jednym zamachem powalił Gironne'a i Oriola. W zamęcie, jaki się wytworzył, młodemu markizowi udało się odciąć Aurorę od opiekunów. Gdy Cocardasse i Passepoil, rozgoniwszy napastników, spojrzeli przed siebie, na tym samym miejscu ujrzeli z ulgą różowe domino: Cidalise zarabiała na sto pistołów.

Aurora straciwszy eskortę z oczu, musiała poddać się ludzkiej fali, która niosła ją w stronę kępy drzew między sadzawką a rondem Diany, gdzie stała loża Le Breanta.

Tłum przewalał się głównymi alejami parku; na wąskich bocznych drózkach panowała cisza. W alejce koło loży odźwiernego nie było żywego ducha, tam więc wciągnięto biedną Aurorę.

Chaverny podniósł rękę, by zerwać maskę z twarzy dziewczyny. Aurora krzyknęła poznając młodzieńca z Madrytu. Na jej krzyk drzwi loży otwarły się i na progu stanął wysoki zamaskowany mężczyzna, szczelnie otulony czarnym dominem, z obnażoną szpadą w ręku.

— Nie bój się, urocza damo — powiedział młody markiz — jesteśmy pokornymi wielbicielami twych wdzięków.

Mówiąc to usiłował objąć ją w pól. Aurora krzyknęła znowu. Czarne domino przełożyło szpadę do lewej ręki, prawą zaś chwyciło markiza de Chaverny za kark, odrzucając młodzieńca o dziesięć kroków.

Dobyto szpad. Człowiek w czarnym dominie dwoma pchnięciami rozbroił dwóch członków bandy, siejąc popłoch wśród reszty napastników. Na szczęk broni nadbiegła straż. Młodzi paniczce rozpierzchli się jak stado wróbli i straż nie zastała nikogo; czarne domino znikło wraz z Aurorą. Usłyszano tylko, jak drzwi loży zamknęły się z trzaskiem.

— Do licha powiedział Chaverny odnalazłszy rozpędzonych przyjaciół — co za siła!

Młodzi ludzie nadchodzili ze spuszczonej głowami, przykładając skrwawioną chustkę do rozciętego policzka, kryjąc większe lub mniejsze obrażenia. Ekspedycja nie udała się. Spoglądali na siebie z zakłopotaniem, zapytując, kim był straszliwy zapaśnik, który w tak krótkim czasie rozbroił dziesięciu dobrych szermierzy.

— Balet! Balet!

Orkiestra umieszczona nad brzegiem basenu zagrała fanfarę. Na estradzie uniosła się powoli kurtyna, ukazując pejzaż Luizjany, gdzie w cieniu dziewiczej puszczy błędziły indiańskie dziewczęta, okryte mieniącą się tkaniną i przybrane piórami. Wojownicy naciągali łuki lub rzucali toporkiem, starcy palili przy ognisku fajkę pokoju. Z wody wynurzał się posąg bożka Missisipi.

W ogólnej wesołości nie brały udziału dwie udręczone dusze. Byli to Cocardasse i Passepoil. Przez dziesięć minut postępowali za różowym dominem panny Cidalise, po czym różowe domino i jego właścicielka znikły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej u wejścia do namiotu pokrytego palmowymi liśćmi z papieru. Gdy Cocardasse i Passepoil chcieli wejść do środka, dwóch żołnierzy z pałacowej straży skrzyżowało przed nimi bagnety. Namiot służył jako garderoba panienkom z baletu. Przyjaciele zrozumieli, że ptaszek powierzony ich pieczy uleciał i wszystko stracone.

— No cóż — powiedział żałośnie Cocardasse — zrobiliśmy, co można.

— Nie mamy szczęścia — odparł Passepoil.

— Koniec z nami. Jedźmy i pijmy, póki tu jesteśmy, potem va a Dios, jak tam mówią.

Passepoil odpowiedział ciężkim westchnieniem. Jak lunatycy zaczęli krążyć dokoła basenu, nie widząc i nie słysząc, co się wokół nich dzieje.

Balet pod tytułem „Dziewczę znad Missisipi” był rzeczywiście godny podziwu. Nie oglądano dotąd nic tak wspaniałego. Księżę Gonzaga zajął miejsce na estradzie u boku regenta. Obawiał się utraty łaski królewskiego przyjaciela, lecz regent przyjął go jak zwykle serdecznie. Widać nie był jeszcze uprzedzony. Zanim usiadł na estradzie, księżę nakazał panu de Peyrolles nie spuszczać z oczu księżny Gonzaga i dać mu natychmiast znać, gdyby zbliżył się do niej jakiś nieznajomy.

Podczas przedstawienia nie otrzymał żadnego znaku, wszystko więc szło pomyślnie.

Po spektaklu Gonzaga i jego faktotum spotkali się w namiocie przy rondzie Diany. Siedziała tam samotnie księżna, widać na kogoś czekając.

Gonzaga cofnął się, by nie spłoszyć zwierzyny, gdy banda popleczników wpadła z hałasem, śmiejąc się głośno. Widok księcia przytłumił wesołość dworaków.

— Czy wiesz, kuzynie — zaczął Chaverny — co się tu dzieje?

— Dzieje się wiele rzeczy — odparł Gonzaga.

— Innymi słowy, czy doniesiono ci, co się tu niedawno stało?

— Ze wszystkiego zdałem księciu sprawę — wtrącił Peyrolles.

— Łaska regenta jest moją ostatnią spuścizną — powiedział poważnie Chaverny — i to mam ją z drugiej ręki; zależy mi, by mój świetny kuzyn był dobrze widziany u dworu. Gdybym mógł pomóc regentowi w poszukiwaniach...

— Jesteśmy do dyspozycji księcia pana — odrzekli poplecznicy.

— Sprawa zabójstwa księcia de Nevers — ciągnął Chaverny choć wypływa po dwudziestu latach, interesuje mnie jak najdziwniejsza powieść. Czy podejrzewasz kogo, kuzynie?

— Nie — odparł Gonzaga. A po chwili, jak gdyby uderzony nagłą myślą, dodał: Tak, jest jeden człowiek...

— Kto taki?

— Zbyt młody jesteś, by go znać.

— Jak się nazywa?

— Tak — myślał głośno Gonzaga — człowiek ten mógłby nam powiedzieć, z czyjej ręki zginął mój biedny Filip de Nevers.

— Któż to? — rozległy się pytania.

— Kawaler Henryk de Lagardere.

— On tu jest! — wykrzyknął nierozważnie Chaverny. — Czarne domino to on!

— Gdzie? — spytał Gonzaga z ożywieniem. — Widziałeś go?

— Głupia sprawa. Nie znamy przecież tego Lagardere'a. Gdyby znalazł się przypadkiem na balu...

— Gdyby znalazł się na balu — dokończył Gonzaga — mógłbym wskazać Jego Królewskiej Wysokości zabójcę Filipa de Nevers.

— Obecny! — wymówił za nim poważny męski głos.

Gonzaga zachwiał się i Noce musiał podtrzymać drżącego księcia

V. W GRABOWEJ ALEI

Dworacy zaniepokoiili się widząc zmieszanie pana. Młody markiz zmarszczył brwi.

— Czy ten człowiek nazywa się Lagardere? — spytał kładąc rękę na gardzie szpady.

Gonzaga przemógł niepokój i zwrócił się ku przybyszowi, który powiedział „obecny”. Stał on nieruchomo, z odkrytą twarzą, skrzyżowawszy ręce na piersi.

— Tak, to on — rzekł po chwili.

Księżna, usłyszawszy nazwisko nieznanego, przebudziła się z zamyślenia. Nie śmiała jednak podejść bliżej, choć los jej spoczywał w ręku tajemniczego człowieka.

Lagardere nosił dworski strój z białego atłasu, haftowany srebrem. Był zawsze pięknym Lagardere'em, piękniejszym niż kiedykolwiek, człowiekiem prawdziwie ze spiżu. Był jak posągi: deszcze i słoty spływają po marmurze nie zostawiając żadnego znaku na gładkiej powierzchni; i po nim lata, zmęczenie, ból, radość, namiętność spłynęły bez śladu. Był piękny i młody. Twarz, spalona na brąz słońcem Hiszpanii, dziwnie kontrastowała z jasnymi włosami. Było w tym coś bohaterskiego: miękkie jasne włosy okalające spaloną wichrem i słońcem twarz żołnierza.

Na balu regenta znajdowało się wielu równie strojnych i wspaniałych mężczyzn, żaden jednak nie potrafił tak nosić dworskiego stroju. Lagardere wyglądał jak król.

Spojrzał w stronę księżny, jak gdyby chciał powiedzieć: „Czekaj na mnie”, po czym chwycił ramię Gonzagi, odciągając księcia na bok.

— Bądźcie, panowie, gotowi — powiedział cicho Peyrolles i młodzi ludzie dobyli szpad.

— Czego pan chce? — spytał Gonzaga zmienionym głosem.

Lagardere milczał, silnie ściskając ramię wroga.

— Czego pan ode mnie chce? — powtórzył książę, na próżno usiłując uwolnić ramię.

Stalową dłoń miażdżyła żelaznym uściskiem rękę Gonzagi, aż okrzyk bólu wyrwał się z ust księcia. Gdy rozgięły się skurczone palce, Lagardere bez słowa zerwał rękawiczkę z prawej ręki wroga i dotknął długiej blizny biegnącej od nadgarstka.

— Ja to zrobiłem — szepnął, głęboko poruszony.

— Tak, pan — odpowiedział Gonzaga — pamiętam.

— Po raz pierwszy, ale nie ostatni spotykamy się twarzą w twarz — rzekł powoli Lagardere. — Dotąd podejrzewałem, teraz mam pewność. To pan zabił Filipa de Nevers.

— Nazywam się książę Gonzaga — odpowiedział cicho zabójca, podnosząc głowę — mam dość milionów, by przekupić sprawiedliwość całej ziemi, a regent patrzy moimi oczami. W walce przeciwko mnie Pan ma tylko szpadę.

— Jeszcze nie wybiła godzina — odparł Lagarde — Kiedyś powiedziałem: „Jeśli nie przyjdzie pan do Lagardere'a, Lagardere pana poszuka”. Nie przyszedł pan, więc jestem. Bóg sprawiedliwy i Filip de Nevers będzie pomszczony.

Przy tych słowach puścił rękę Gonzagi, a zwracając się ku księżnej skłonił się z szacunkiem.

— Jestem na pani rozkazy — powiedział. Księżna rzuciła się ku mężowi.

— Jeśli wystąpi pan przeciw temu człowiekowi, ja stanę na drodze — szepnęła, po czym podeszła do Lagardere'a i wzięła go pod ramię.

Gonzaga, tłumiąc wściekłość, w otoczeniu wiernych dworzan skierował się do apartamentów regenta.

Była pora kolacji i ogrody opustoszały. Lagardere i księżna weszli w gęstą grabową aleję, ciągnącą się wzdłuż ulicy Richelieu.

— Panie — zaczęła księżna drżącym ze wzruszenia głosem — gdy usłyszałam pańskie nazwisko, po dwudziestu latach głos pana obudził straszne wspomnienia. Jestem pewna, że to panu dałam moje dziecko w zamku Caylus-Tarrides.

— Tak, mnie — odparł Lagardere.

— Dlaczego mnie pan oszukał? Proszę o szczerą odpowiedź.

— To długa historia, opowiem ją później. Broniłem pani męża, do mnie umierając skierował ostatnie słowa, uratowałem pani dziecko, czegoż więcej trzeba, by mi wierzyć?

— Nie wiem — szepnęła księżna obejmując go odważnym spojrzeniem. — Twarz pana wyraża szlachetność, ale tak często mnie oszukiwano!

— Mam dowody stwierdzające urodzenie pani córki — rzekł zimno Lagardere, gdyż słowa księżny usposobiły go prawie wrogo do matki Aurory.

— Pan powiedział „obecny”... , — Słowa tego nauczyłem się nie od księcia de Nevers, lecz od jego morderców.

— To pan użył niegdyś tej dewizy w fosie zamku Caylus?

— Ja. I po raz drugi dałem życie pani dziecku.

— Któż wypowiedział dziś to hasło w wielkim salonie pałacu Gonzagi?

— Moje drugie ja.

Księżna zdawała się namyślać i szukać odpowiednich słów.

Rozmowa między tymi dwojgiem, matką i opiekunem, zamiast długiej i wylewnej wymiany czułości zapowiadała się jako jedna z owych dyplomatycznych potyczek, których rezultatem miało być ostateczne

zerwanie. Dlaczego? Oto skarb leżał między nimi, oboje mieli równe prawa i oboje byli jednakowo zazdrośni. Matka, złamana bólem, zgorzkniała w samotności, bała się podstępu; opiekunem targał lęk i nieufność wobec kobiety, która od pierwszego spotkania zamknęła przed nim serce.

— Czy wątpi pani w tożsamość córki? — zaczął chłodno.

— Nie — odparła księżna — coś mi mówi, że moje biedne dziecko jest rzeczywiście w pana rękach. Czego pan żąda za tyle poświęcenia? Proszę mówić śmiało, żadna cena nie będzie zbyt wysoka, dałabym panu połowę życia.

Lagardere powstrzymał gorzkie słowa cisnące się na usta i skłonił się w milczeniu.

— Gdzie moja córka? — spytała księżna.

— Proszę mnie najpierw wysłuchać.

— Rozumiem, ale jak już powiedziałam...

— Nie, pani — przerwał sucho Henryk — pani mnie nie rozumie i obawiam się, że nie jest pani w stanie zrozumieć.

— Co to znaczy?

— Tu nie ma pani córki.

— Ona jest u pana! — wykrzyknęła księżna wyniośle, a po chwili dodała spokojniej: — To całkiem naturalne, pan opiekował się nią prawie od jej urodzenia. Czy nigdy nie rozstawała się z panem?

— Nigdy.

— Ma pan służbę?

— Gdy córka pani ukończyła dwanaście lat, przyjąłem do mego domu starą i wierną służkę rodziny de Nevers, Franciszkę Berrichon.

— Franciszkę Berrichon! — wykrzyknęła księżna z żywością, a biorąc rękę Lagardere'a dodała: Dziękuję panu, och, dziękuję, to naprawdę godne szlachetnego człowieka.

Uwagę tę odczuł Henryk jak obelgę, ale księżna, zbyt zajęta myślami, nie spostrzegła wrażenia, jakie wywarły jej słowa.

— Proszę mnie zaprowadzić do córki, jestem gotowa.

— Ale ja nie jestem gotów — odparł Lagardere.

— Ach — powiedziała nieufnie, wysuwając rękę spod ramienia Henryka — pan nie gotów!

— Zewsząd czyha niebezpieczeństwo dodał Lagardere.

— Potrafię ją obronić.

— Pani? — Lagardere nie mógł mówić spokojnie, głos mu drżał, oczy ciskały błyskawice. — Czy nigdy nie zadała sobie pani pytania — zmusił się do spokoju i spuścił oczy — dlaczego tak długo zwlekałem z oddaniem córki?

— Nieraz o tym myślałam.

— Ale mnie pani nie spytała.

— Moje szczęście w pana rękę.

— A pani boi się mnie?

Księżna milczała. Henryk uśmiechnął się smutnie.

Tak długo zwlekałem — powiedział wreszcie gdyż na wygnaniu doszły mnie wieści tak dziwne, że nie chciałem wierzyć. Dowiedziałem się, że oto wdowa po księciu de Nevers zmieniła nazwisko, że nazywa się księżna Gonzaga.

Księżna schyliła głowę, kryjąc rumieniec.

— Gdy zasięgnąłem bliższych informacji, gdy nie było już cienia wątpliwości, powiedziałem sobie: Czyż domem córki Neversa będzie pałac księcia Gonzagi? Nie wie pani wielu rzeczy, nie wie pani, dlaczego powtórne małżeństwo wdowy po księciu de Nevers oburzyło mnie jak świętokradztwo. Nie wie pani, dlaczego myśl, że w pałacu Gonzagi zamieszka dziecko człowieka, który w ostatniej godzinie życia był mi

przyjacielem i nazwał mnie bratem w chwili konania, że myśl ta wydała mi się najstraszliwszą zniewagą, jaką można uczynić pamięci zmarłego.

— I nie powie pan?

— Nie, pani. Nasza pierwsza i ostatnia rozmowa będzie krótka, poruszymy jedynie najkonieczniejsze sprawy. Widzę z przykrością, że nie jesteśmy stworzeni, by się zrozumieć. Gdy usłyszałem tę straszną nowinę, zadałem sobie jeszcze jedno pytanie. Znając lepiej wrogów pani córki, zapytywałem siebie, w jaki sposób obroni dziecko kobieta, która nie potrafiła obronić się sama?

Księżna zakryła twarz dłońmi.

— Rani mi pan serce — powiedziała głosem przerywanym łkaniem.

— Bóg widzi, jak mi przykro.

— Pan nie znał mego ojca, pan nie wie, jakich użyto środków, by mnie złamać! Przymus i groźba...

— Wiem, jak bardzo kochała pani księcia de Nevers — rzekł Lagardere z szacunkiem. — Wiem, jest pani szlachetną kobietą, była pani wierną i odważną żoną. Niemniej jednak nie oparła się pani groźbom.

— Zrobiłam to, by ujawnić pierwsze małżeństwo i stwierdzić urodzenie dziecka.

— I mimo stanowczości charakteru, mimo tak świeżego wspomnienia utraconego szczęścia uległa pani przemocy. Złamawszy wolę matki, czyż trudniej złamać córkę? Czyż moja opieka nie pewniejsza? Ja nie ugiąłem się ani przed siłą, ani przed przemocą.

Księżna patrzyła z przerażeniem na swego rozmówcę.

— Czy dobrze rozumiem? Odmawia pan oddania mi córki?

— Nie, pani. Przejechałem czterysta mil, narażając głowę, by zwrócić pani dziecko. To mój obowiązek. Już osiemnaście lat bronię pani córki i

życie jej dziesięciokrotnie należy do mnie, gdyż dziesięć razy uratowałem ją od śmierci.

— Nic nie wiem! — krzyknęła biedna matka. — Czy muszę pana czcić, czy nienawidzić? Odpycha mnie pan. Uratował pan dziecko, bronił je...

— I będę bronił — przerwał zimno Henryk.

— Nawet przeciw matce? — księżna wyprostowała się wyzywająco.

— Być może, to zależy od matki.

— Igra pan z moim sercem — szepnęła z wyrzutem — proszę mówić jaśniej.

— Po to przybyłem. Przypuszczalnie źle mnie pani sądzi; czasem gniewem można pokryć uczucie narzuconej wdzięczności. My musimy być szczerzy. Spełniłem obowiązek, idę z góry wyznaczoną drogą, obalając przeszkody. Ze mną trzeba się liczyć, mam prawa opiekuna.

— Opiekuna! — wykrzyknęła księżna.

— Jak inaczej nazwać człowieka, który na prośbę umierającego złamał życie własne, oddając je wyłącznie drugiej istocie? Opiekun to zbyt mało, prawda, pani? Osiemnaście lat całkowicie poświęconych spełnieniu obietnicy dało mi nad dzieckiem władzę równą władzy macierzyńskiej.

— Och! — usiłowała zaprotestować księżna.

— Wyższą niż pani władza — dokończył Lagardere podnosząc głos. — Władza nadana przez umierającego ojca wystarczy, by dorównać pani roszczeniom; zapłaciłem za to prawo trzecią częścią mego życia. To pozwala mi nadal czuwać nad sierotą i mam zamiar użyć tej władzy nawet wobec matki.

— Czy pan mi nie ufa?

— Dziś rano, ukryty w tłumie, słyszałem pani słowa: „Gdyby córka moja choć na chwilę zapomniała o czci winnej nazwisku, zakryję twarz i powiem: Nevers nie zostawił dziedziczki”.

— Czy mam się obawiać... przerwała księżna marszcząc brwi.

— Nie potrzebuje się pani niczego obawiać. Pod moją opieką córka pani pozostała czysta jak aniołowie w niebie. To ja muszę się bać.

Księżna przygryzła wargi. Widać było, że z trudem hamuje gniew.

— Jechałem ufny, szczęśliwy, pełen nadziei. Słowa pani zmroziły mi duszę. Gdyby nie te słowa, córka już byłaby w pani ramionach. Jak to! Nim ją pani ujrzała, duma głośniejsze przemówiła w pani sercu niż miłość matki? Wielka dama pokazała tarczę herbową w miejscu, gdzie szukałem matczynego serca. Dlatego boję się. Ja inaczej rozumiem miłość. Gdyby mi powiedziano, że zobaczę moje dziecko, dziecko człowieka, którego kochałem, wydaje mi się, że byłbym nieprzytomny ze szczęścia i miałbym tylko jedno pragnienie.

— Nie zna mnie pan, a sądzi tak surowo — odrzekła księżna kryjąc łzy.

— Sądzę panią po słowach. Gdyby chodziło o mnie, czekałbym, ale chodzi o Aurorę i nie mam czasu. Jakiż byłby los tego dziecka w domu, gdzie pani jest niczym? Jak zagwarantuje mi pani jej bezpieczeństwo? Jak obroni przed drugim mężem i przed matką? To chciałbym wiedzieć. Jakie nowe życie zgotuje jej pani? Co da w zamian za utracone szczęście? Będzie można i bogata, zaspokojona duma wynagrodzi brak szczerego serca. Nie tego dla niej szukam. Gdzie pani miłość? Nie widzę jej. Pani duma drży, gdy serce milczy. Boję się już nie księcia Gonzagi, ale pani, pani! Tu jest niebezpieczeństwo i jeśli nie potrafię jej przed nim obronić, jak bronilem tyle razy, cała moja zasługa będzie niczym, gdyż nie spełnię obietnicy danej zmarłemu.

Przerwał, jak gdyby oczekując odpowiedzi. Księżna milczała.

— Proszę wybaczyć — rzekł starając się zachować spokój obowiązek nakazuje mi stawiać warunki. Chcę, by Aurora była wolna i szczęśliwa, i raczej niż widzieć ją niewolnicą, wolałbym...

— Niech pan dokończy — rzekła księżna prowokacyjnym tonem.

— Nie dokończę przez szacunek do pani. Zrozumiała mnie pani dostatecznie.

Księżna wyprostowała się i z gorzkim uśmiechem spojrzała Henrykowi prosto w oczy:

— Panna de Nevers jest najbogatszą dziedziczką Francji. Kto trzyma taką zdobycz, może się targować. Zrozumiałam pana lepiej, niż się panu wydaje.



VI. DRUGA ROZMOWA

Zraniona duma Aurory de Caylus zadała śmiertelny cios przeciwnikowi. Lagardere spuścił głowę.

— Jeśli byłam zimna — zaczęła jeszcze wyniosłej księżna — jeśli nie wydałam radosnego okrzyku, który opisał pan z taką emfazą, to dlatego, że odgadłam prawdę. Gdy pana ujrzałam, przeniknął mnie chłód. Jest pan młody, piękny, bez rodziny. Pańskim dziedzictwem — przygody. Nic dziwnego, że przy takiej okazji zamierzał pan łatwo zdobyć majątek.

— Pani! — krzyknął Lagardere z ręką na sercu — Bóg widzi prawdę i pomści te obelgi.

— Ośmieli się pan zaprzeczyć? — odrzekła gwałtownie. — Czyż nie snuł pan szaleńczych planów?

Zapadło milczenie. Księżna spoglądała wyzywająco, a Lagardere mienił się na twarzy.

— Jestem tylko biednym szlachcicem, i czy szlachcicem? Nie mam nazwiska. Lagardere to zrujnowane ściany pałacu, który służył za schronienie opuszczonemu dziecku. Wczoraj byłem wygnańcem. Powiedziała pani prawdę: marzyłem. Jeszcze wczoraj sam nie wiedziałem, nie zdawałem sobie jasno sprawy...

Na twarz księżnej wypłynął ironiczny uśmiezek.

— Przysięgam na honor i na moją miłość!

W oczach księżnej błysnęła nienawiść.

— Jeszcze wczoraj, Bóg mi świadkiem, miałem jedno tylko pragnienie: oddać wdowie po księciu de Nevers święty depozyt powierzony mojej pieczy. Mówię prawdę i mało mnie obchodzi, czy pani wierzy, i tak jestem panem sytuacji: los pani córki w moich rękach. W te dni walk i trudów czyż mogłem badać swoje serce? Byłem szczęśliwy,

miałem córkę. Opuszczając Madryt w drodze do Paryża nie czułem smutku. Wydawało mi się, że matka Aurory otworzy przede mną ramiona i okrytego kurzem drogi wędrowca przyciśnie do wdzięcznego serca. Podczas podróży poczułem nagle jak gdyby jątrzącą się ranę, która sprawiała tym większy ból, im bliższa była chwila rozstania. Usta usiłowały nazywać ją córką; kłamałem: Aurora nie była już mi dzieckiem. Ona też czuła to i uśmiechała się inaczej, już nie uśmiechem córki.

— Chce pan wmówić, że Aurora pana kocha, to leży w pańskim interesie — szepnęła księżna przez zaciśnięte zęby, poruszając nerwowo wachlarzem.

— Gdybym nie miał nadziei, wolałbym umrzeć — przerwał z ogniem.

Gniew księżny wzrastał. Lagardere był już w jej oczach tylko awanturnikiem, uwodzicielem córki.

— Czy Aurora zna prawdę, wie kim jest? — spytała po chwili.

— Uważa się za biedne porzucone dziecko, które przygarnąłem z litości — odparł bez namysłu. A widząc, że księżna podniosła głowę, dodał: — Ma pani nadzieję; gdy Aurora pozna, jaka dzieli nas przepaść...

— Czy dowie się prawdy? — spytała księżna nieufnie.

— Dowie się. Chcąc, by z pani strony nic było przymusu, pragnę też, by dokonała wolnego wyboru co do mojej osoby. Proszę przysiąc na pamięć księcia de Nevers, że pozostawi pani córce swobodę, że będzie wolna i bezpieczna, a oddam ją natychmiast.

Księżna posądziła Henryka o wybieg, chciała chytrość przeciwstawić chytrości. Córka jej znajdował się przecież we władzy tego straszego człowieka i córkę należało za wszelką cenę odzyskać. Nagle wyciągnęła rękę, a Lagardere nie potrafił ukryć gestu zdziwienia.

— Czy zechce pan wybaczyć biednej kobiecie otoczonej wrogami? — Jeżeli omyliłam się, na kolanach błagać będę o przebaczenie. Tak wiele panu zawdzięczam, nie takie winno być nasze spotkanie. Być może, za

ostro pan ze mną mówił, ja ze swej strony byłam zbyt dumna. Proszę zrozumieć... tyle wycierpiałam w życiu... Ponadto jestem o pana zazdrosna... — dodała z melancholijnym uśmiechem (każda kobieta to urodzona komediantka). — Tak, jestem zazdrosna. Zabrał mi pan wszystko: jej serce, jej dzieciństwo, pierwsze łyzy i pierwsze uśmiechy, osiemnaście lat dla mnie straconych! A teraz targuje się pan o resztę. Proszę mi wybaczyć...

— Jakże miło mi to słyszeć, doprawdy, jestem szczęśliwy...

— Czy sądził pan, że mam serce z kamienia? Niech ją ujrzę. Na zawsze zostanę pańską dłużniczką, wierną przyjaciółką, nigdy nie zapomnę...

— Nie chodzi o mnie, jestem niczym.

— Proszę mi oddać córkę, spełnię wszystko, co pan chce, przyrzekam na honor i na pamięć księcia de Nevers.

— Pani przyrzekła — twarz Lagardere'a powlókł dziwny smutek. — Córka należy do pani. Uprzedzę ją i przygotuję, to delikatne dziecko, zbyt silne wzruszenie mogłoby ją zabić.

— Czy długo mam czekać? — Godzinę.

— Więc Aurora jest blisko?

— W pewnym miejscu.

— Chciałabym znać...

— Moje schronienie? Po co? Za godzinę to już nie będzie dom Aurory de Nevers.

— Jak pan uważa. Do widzenia, panie de Lagardere, rozstajemy się jak przyjaciele, prawda?

— Nigdy nie przestałem być pani sługą.

— Czuję, że pana pokocham. Do widzenia. Proszę ufać.

Lagardere rzucił się do rąk księżnej i pokrył je pocałunkami.

— Należę do pani ciałem i duszą.

— Gdzie się spotkamy?

— Przy rondzie Diany, za godzinę.

Księżna oddaliła się pośpiesznie. Uśmiech znikł z jej twarzy, drżące usta szeptały: „Nigdy więcej nie ujrzy tego człowieka, nigdy!”

Zaczęła biec w stronę apartamentów regenta.

Lagardere był pijany szczęściem i nadzieją. Jakże mógł tak fałszywie sądzić matkę Aurory? Jakże mógł targować się, odkładać chwilę jej szczęścia? Zarzucać chłód i brak uczucia? Posądzać o nieszczerłość?

Zawrócił w stronę basenu, przy którym już pogaszono światła; wszędzie panowała ciemność i cisza. Oglądał się, czy nikt go nie śledzi, kluczył, zagłębiał się w jakąś alejkę, by po chwili wrócić i pójść w inną stronę. Tak doszedł do łoży odźwiernego Le Breanta. Zanim zbliżył się do drzwi, obrzucił badawczym spojrzeniem okoliczne zarośla. Nic nie mąciło ciszy. Zdawało mu się, że w pobliżu indiańskiego namiotu słyszy szybko oddalające się kroki. Włożył klucz do zamka i otworzył drzwi.

W domku było ciemno. W słabym świetle pobliskiej latarni ujrzał Aurorę: wychylała się z okna, jak gdyby nasłuchując.

— Co to za kobieta? — spytała ujrzawszy go.

— Jaka kobieta? — zdziwił się Lagardere.

— Z którą rozmawiałeś.

— Skąd wiesz?

To twój wróg, Henryku, śmiertelny wróg. Coś przede mną ukrywasz. Jesteś smutny i zatroskany. Wczoraj obiecałeś powiedzieć mi wszystko, a mimo to nic jeszcze nie wiem. Ale nie narzekam — dodała z uśmiechem — wszystko już dobrze, jesteś ze mną, pokażesz mi bal...

— Już po balu.

— Prawda, jak cicho. Nie słychać ani muzyki, ani śmiechów. Od dłuższego czasu nie widziałam nikogo z wyjątkiem tej kobiety.

— Auroro — przerwał Lagardere — dlaczego myślisz, że ta kobieta jest moim wrogiem? Czy była sama, gdy ją widziałaś?

— Przerażasz mnie! Nie, nie była sama. Szła w towarzystwie wspaniale ubranego pana z błękitną szarfą.

— Czy wymieniła jego nazwisko?

— Mówiła o tobie; dlatego spytałam, czy z nią nie rozmawiałeś.

— Czy słyszałaś, co mówiła przechodząc pod oknem pawilonu?

— Słyszałam tylko parę słów. Do towarzysza mówiła: „Wasza Królewska Wysokość”. „Jeśli Wasza Królewska Wysokość nie przyjdzie mi z pomocą...” — mówiła...

— To był regent — przerwał Lagardere.

— Regent! Widziałam regenta! — zawołała Aurora radośnie.

— Co jeszcze mówiła kobieta?

— Nie słyszałam.

— Czy potem wymieniła moje nazwisko?

— Nie, przedtem. Stałam przy oknie i zdawało mi się, że jakiś kobiecy głos wymówił twoje nazwisko. Głos zbliżał się i usłyszałam słowa: „Tylko siła może złamać tę nieugiętą wolę”.

— Ach — rzekł Lagardere — tak powiedziała?

— Tak. Dlaczego zbladłeś?

Lagardere poczuł ból, jak gdyby ostrze sztyletu dotknęło serca.

— Najpierw podstęp, a potem gwałt! — wyrzucił. — Cóż za egoizm, jaka przewrotność! Święty lub anioł potrafi odpłacić dobrem za zło. Zło za zło lub dobro za dobro to ludzka sprawiedliwość. Ale oddać złem za dobro — to podłe i niegodziwe. Na Boga, taka myśl może wylęgnać się w piekle. Oszukała mnie. Już wszystko rozumiem: zniszczą mnie, rozdziela...

— Rozdziela nas?! — krzyknęła zrywając się Aurora. — Kto? Czy ta podła kobieta?

— Auroro, nie trzeba nic mówić przeciwko tej kobiecie.

Miał tak dziwny wyraz twarzy, że przerażona chciała objąć opiekuna, ale ją odtrącił.

— Nie kochasz mnie — szepnęła ze łzami.

— Boże — odpowiedział jak człowiek pijany — nic nie wiem! Na honor, czego mam słuchać: miłości czy obowiązku? Gdzie obowiązek?
— Padł na krzesło i obejmując głowę rękami, skarżącym się głosem szeptał: — Gdzie mój obowiązek? Gdzie życie i śmierć? Ona ma prawa, ale ja, ja, czyż nie mam żadnych praw?!

— Henryku! Aurora uklękła przed Lagardere'em nie rozumiejąc, o co chodzi, gdyż bezładny szepc rozpaczy chwilami zamierał. — Uspokój się, powiedz, co się stało?

— Praw tych nie kupisz nawet za cenę życia. Dałem życie — i cóż? Co mi są winni? Nic, nic! Nie uczyniłem tego dla zapłaty. Cóż warte poświęcenie? Szaleństwo! Budowałem na piasku, a podmuch wiatru zniszczył delikatny gmach nadziei. To koniec.

Łzy Aurory padały na jego ręce.

— Po co tu przyszedłem? Komu jestem potrzebny?

— Cóż ja? Ta kobieta ma rację, głupiec ze mnie... Kto mnie zapewni, że będziesz ze mną szczęśliwa? Płaczesz...?

— Płaczę, bo nie znam powodu twojej rozpaczy.

— Gdybyś później, kiedyś, płakała, umarłbym.

— Dlaczego miałabym płakać?

— Czy ja wiem? Któż zrozumie serce kobiety? Czy mogę wierzyć, że mnie kochasz?

— Czy ja cię Kocham? — wykrzyknęła gorąco. — Pytasz mnie o to? Ty, Henryku?

Zamknął jej usta ręką, na której złożyła pocałunek. Cofnął szybko dłoń, jak gdyby sparzyło go dotknięcie warg dziewczyny.

— Przebacz, muszę to wiedzieć. Zastanów się i odpowiedz. Gra idzie o szczęście naszego życia.

— Odpowiem jak ojcu. Lagardere zbladł i zamknął oczy.

— Nie, nie nazywaj mnie tak — szepnął — nigdy mnie tak nie nazywaj.

— Henryku... — Aurora oblała się rumieńcem.

— Boże mój — dodał po chwili — kimże dla niej jestem, jeśli nie ojcem? Gdy byłem dzieckiem, ludzie trzydziestoletni wydawali mi się starcami. Jak myślisz — zapytał nagle — ile mam lat?

— Co mnie obchodzi twój wiek?

— Chcę wiedzieć. Ile dajesz mi lat?

— Nie wiem, Henryku — Aurora spuściła oczy. — Nazywając cię ojcem, zawsze musiałam się uśmiechać.

— Dlaczego, dziecko? Mógłbym być twoim ojcem.

— Ale ja nie mogłabym być twoją córką, Henryku.

— Gdy się urodziłaś, byłem starszy od ciebie, byłem już mężczyzną.

— To prawda — odparła — mogłeś trzymać mnie w jednej ręce, gdy w drugiej miałeś szpadę.

— Auroro, dziecko moje najdroższe, nie patrz na mnie oczami wdzięczności, zobacz mnie takim, jakim jestem...

Oparła mu na ramionach obie ręce i objęła długim uważnym spojrzeniem.

— Na całym świecie nie znam nikogo lepszego, szlachetniejszego, nikogo równie pięknego jak ty — odparła z uśmiechem, przymykając oczy.

VII. BAL SIĘ KOŃCZY

Aurora powiedziała prawdę: Lagardere był młody i piękny.

Wzruszony, przytulił do serca drżącą narzeczoną, nie dotykając jednak jej ust.

— Dziękuję, dziękuję — szepnął, a po chwili rozkosznego milczenia zapytał: — Czy zawsze byłaś ze mną szczęśliwa?

— O tak, bardzo szczęśliwa! A dziś płakałaś... Wiesz o tym?

— Wiem wszystko o tobie. Powiedz, czemu płakałaś?

— Bo nie byłeś przy mnie; tak rzadko cię widuję, a poza tym myślałam... — zawahała się.

— Co myślałaś?

— Jestem niemądra — wyszeptała splotniona — wiem, że w Paryżu jest wiele pięknych kobiet, że wszystkie chcą się tobie podobać, że może...

— Może co?

— Może kochasz inną.

Powiedziawszy to ukryła zarumienioną twarzyczkę na piersiach Lagardere'a.

— Czy mogę wierzyć memu szczęściu — wyszeptał.

— Musisz wierzyć, że cię kocham. Nie jestem już dzieckiem, kocham cię, Henryku. A ty?

— Jestem szczęśliwy, szczęśliwy — zdołał tylko wyszeptać. — Po chwili zachmurzył się. — Gdybyś kiedy żałowała... — powiedział cicho, całując jej włosy.

— Czego mogę żałować, jeśli zawsze będziesz przy mnie?

— Posłuchaj, tej nocy chciałem pokazać ci trochę wspaniałości wielkiego świata. Widziałas dwór, bal, piękne stroje; lubiłabyś bywać u dworu, prawda?

— Z tobą, tak.

— A beze mnie?

— Nic bez ciebie.

Lagardere przycisnął do ust obie ręce dziewczyny.

— Widziałas uśmiechnięte kobiety. Są szczęśliwe, mają zamki, pałace...

— Gdy jesteś w domu, nasze skromne mieszkanko wydaje mi się pałacem.

— Mają przyjaciółki, krewnych...

— Czyż nie mam ciebie? Jesteś moją rodziną.

— Mają matkę — powiedział po chwili.

— Matkę — powtórzyła Aurora. — Często myślę o matce. Po tobie, Henryku, kocham ją najbardziej. Gdyby była z nami i nazywała cię synem, czegoż więcej potrzebowałabym do szczęścia? A gdybym musiała wybierać między matką a tobą... — twarz jej zmieniła się. — To źle tak mówić, gdybym jednak musiała wybierać...

Nie dokończyła i płacząc padła w ramiona Lagardere'a, powtarzając wśród łkań:

— Kocham cię, kocham!

— Boże, przysięgam, że uczynię ją szczęśliwą — powiedział prostując swą wysoką postać. Jesteś moją, Auroro, moją na zawsze. Kłamałem mówiąc, że nie jestem młody. Czuję w sobie młodość, siłę i życie. Jedyna, będziemy nareszcie szczęśliwi! Ludzie w moim wieku są o wiele starsi ode mnie. A wiesz, dlaczego? — Postępują, jak i ja niegdyś postępowałem: kochają, piją, grają, spędzają czas wesoło, czy ja wiem zresztą, jak trwonią skarby młodości. Gdy weszłaś w moje życie, stałem

się jak skąpiec: oszczędzałem. Jakiś opatrnościowy instynkt kazał mi powstrzymać rozrzutność serca. Zachowałem dla ciebie całą duszę. Zamknąłem najpiękniejsze lata młodości jak gdyby w kasie ogniotrwalej, nikogo nie kochałem, nie pragnąłem niczego. Dlatego serce moje ma dziś dwadzieścia lat. Na Boga, masz rację, będziemy dla siebie wszystkim, jesteś moja, poza nami nie istnieje nic na świecie! Ukryjemy się daleko, daleko stąd i żyć będziemy miłością, jedynie miłością...

— Tak, tylko miłością — powtórzyła oczarowana.

— Do licha — mówił Cocardasse trzymając za nogi barona de Barbanchois — ale ten stary waży, gołabeczk!

Passepoil trzymał głowę tegoż barona, który w owej chwili był pijany jak bela. Przyjaciel pana de Barbanchois za niewielką opłatą uprosił Cocardasse'a, by odnieśli barona do domu. Obarczeni więc ciężarem, przechodzili przez ucichły i ciemny ogród.

— Odpocznijmy — zaproponował Gaskończyk.

— Zgoda. Stary ciężki, a zapłata dziwnie lekka. Złożyli pijanego barona na trawniku, a sami usiedli na pobliskiej ławce. Passepoil wyciągnął z kieszeni fajkę.

— Jeśli to nasza ostatnia kolacja — westchnął — była rzeczywiście doskonała.

— Doskonała — przytaknął Cocardasse krzesząc ogień. — Do licha, sam zjadłem półtora kurczęcia.

— Czy nie widziałeś go? — spytał Passepoil zniżając głos.

— Nie, ale słyszałem, jak o nim mówiono. Regent zamknął się z księciem Gonzagą i nie jadł kolacji. Cała ta banda, którą widzieliśmy rano w pałacu Gonzagi, wrzeszczy i grozi. Jeśli w garści są choć w połowie tak silni jak w gębie, nasz biedny mały musi mocno się trzymać!

— Obawiam się, że to koniec — westchnął Passepoil.

— Bądź spokojny, wychodził cało nie z takich opresji.

— Dopóty dzban wodę nosi...

Passepoil nie dokończył przysłowia; od strony basenu zadudniły kroki. Przyjaciele rzucili się w zarośla. Kroki zbliżyły się; był to zbrojny patrol.

— Jest w ogrodzie — mówił sierżant dowodzący oddziałkiem — pytałem wszystkich odźwiernych. Strój jego łatwo zauważyć, a nie widziano, by wychodził.

— Uwaga, dzieci — rozkazał oficer — to niebezpieczny ptaszek.

I oddalili się. Po nich przeszły dwa inne patrole. Ostatnie światła gasły w ogrodzie. Mogło się zdawać, że na miejscu zabawy przygotowywano ponurą nocną egzekucję.

— Moja duszko — szepnął Cocardasse — to o nim mowa.

— Nie ma wątpliwości — odparł Passepoil.

— Podobno poturbował księcia Gonzagę. Szukają go po całym parku.

— Czy dlatego gaszą światła?

— Gaszą, by łatwiej dostać go w ręce.

— Do licha — oburzył się Passepoil — pięćdziesięciu na jednego; tym razem nie wyjdzie cało.

— Wyjdzie, zobaczysz. Ten chłopiec ma diabła za skórą. Radzę ci, odszukajmy go i ofiarujmy nasze usługi.

— Teraz nie pora — skrzywił się ostrożny Passepoil.

— Teraz albo nigdy! — krzyknął Cocardasse. Chcesz się ze mną kłócić? Wina po naszej stronie.

W wyniku tej rozmowy baron de Barbanchois nie spał tej nocy w swym łóżku. Cocardasse i Passepoil udali się na poszukiwania. Noc była ciemna, straż pogasiła latarnie z wyjątkiem lampionów zawieszonych u indiańskich namiotów. Na pierwszym piętrze pałacu w jednym z okien zajaśniało światło i na balkonie stanął regent.

— Odpowiedź głową, panowie — zwrócił się do niewidzialnych w głębi komnaty dworaków — brać go żywcem!

Lagardere i Aurora postanowili uciekać. Lagardere nie wiedział, co działo się w parku, i miał nadzieję wymknąć się z pałacu regenta niepostrzeżenie, drzwiami, których pilnował Le Breant. Okrył się czarnym dominem, Aurora włożyła maskę i wyszli z pawilonu. Za drzwiami natknęli się na dwie klęczące postacie.

— Zrobiliśmy, co można, panie kawalerze — wyrecytowali jednocześnie Cocardasse i Passepoil — prosimy o przebaczenie.

— Diabelskie różowe domino było błędnym ognikiem — dodał Cocardasse.

— Słodki Jezu, oto ono! — wykrzyknął Passepoil.

— Wstać! — zakomenderował Lagardere, a ujrawszy u wylotu alejki błyski luf muszkietów, spytał: — Co to znaczy?

— To znaczy, że wszystkie wyjścia zamknięte, moje biedne dziecko — westchnął Passepoil.

Lagardere nie potrzebował wyjaśnień. Najgorsze było to, że bał się skończył, cenne godziny minęły jak chwile. Upojony miłością, stracił poczucie czasu. Jedynie w tłumie gości udałoby im się wyjść niepostrzeżenie.

— Czy mogę na was liczyć?

— Z panem na śmierć i życie — odparli z ręką na sercu.

— Należy wszystko postawić na jedną kartę. O mnie się nie troszcie, dam sobie radę; mam tu przebranie, które pozwoli mi niepoznanym przejść między wrogami. Wy zaś musicie wyprowadzić tę panienkę. Idźcie do pałacu. Z westybulu skręćcie w lewo. Drzwi na końcu korytarza pilnuje Le Breant. Przejdziecie zamaskowani, mówiąc: „Z

polecenia tego, który zajmuje twą lożę". Le Breant otworzy wam i wyjdziecie. Oczekujcie mnie za Luwrem.

— Zrozumiano — odparł Cocardasse.

— Jeszcze jedno. Czy dacie się raczej porąbać, a nie opuścicie tej panienki?

— Do licha — powiedział Gaskończyk — zmieciemy tych, co staną na drodze!

— Odwagi — szepnął Lagardere całując rękę Aurory — to już ostatnia próba.

Odeszła w towarzystwie dwóch zabijaków. Gdy przechodzili przez rondo Diany, zagrodzili im drogę żołnierze.

— To dama z baletu, gołąbeczki — rzekł Cocardasse i odsuwając blisko stojących żołnierzy, dodał beczelnie: — Oczekuje nas Jego Królewska Wysokość.

Żołnierze śmiejąc się przepuścili zbiegów.

W gąszczu krzewów pomarańczowych, które rosły w olbrzymich skrzyniach pod ścianami pałacu, kryli się Gonzaga i Peyrolles. Czekali na Lagardere'a. Gdy ujrzał dziewczynę i zbrojnych, Gonzaga szepnął parę słów zaufanemu słudze i Peyrolles, zabrawszy ze sobą sześciu zbirów, rzucił się w ślad za różowym dominem i jego eskortą.

Le Breant otworzył drzwi dwa razy: raz przepuścił Aurorę i jej opiekunów, drugi raz pana de Peyrolles i jego bandę.

Lagardere prześliznął się na skraj alei, by zobaczyć, czy Aurora i jej eskorta bez przeszkód dotrą do pałacu. Gdy chciał wrócić do pawilonu, droga była odcięta.

— Hola, panie kawalerze! — zawołał dowódca lekko zmienionym ze wzruszenia głosem — proszę nie stawiać oporu, to zbytuczne, jest pan otoczony.

Była to prawda. Z sąsiednich zarośli i bukietów drzew wychodzili uzbrojeni żołnierze.

— Czego chcecie? — spytał Lagardere nie dobywając szpady.

Oficer dowodzący oddziałkiem podszedł od tyłu i chwycił go wpół. Lagardere nie stawiał oporu i po raz drugi zapytał:

— Czego ode mnie chcecie?

— Do licha! — zaklął oficer — dowie się pan. — A zwracając się do żołnierzy, dodał: — Naprzód, do pałacu!

Sześćdziesięciu ludzi otoczyło Henryka i raczej ponieśli jeńca, niż poprowadzili do apartamentów regenta. Gdy zamknięto drzwi westybulu, w ogrodzie nie było żywej duszy oprócz barona de Barbanchois, chrapiącego spokojnie na wilgotnym trawniku.



VIII. ZASADZKA

Dużym gabinetem regenta nazywano salę, w której księżę przyjmował ministrów i radę regencyjną. Gdy wprowadzono więźnia, zebrane w sali osoby sprawiały wrażenie trybunału. Ze dwunastu lub piętnastu uzbrojonych po zęby strażników stało w po gotowiu. Jediną kobietą na sali była księżna Gonzaga, siedząca po prawej ręce regenta.

— W ustalonych przez nas warunkach — powiedział regent, gdy Lagardere stanął przed królewskim obliczem — zabroniliśmy panu zakłócać spokój balu i w naszym domu obrażać jednego z największych panów królestwa. Ponadto użył pan szpady w obrębie pałacu. Czy mam żałować okazanej łaskowości?

— Wasza Królewska Wysokość — odpowiedział zimno, choć z wielkim szacunkiem Lagardere — mogę śmiało powtórzyć, co zaszło między mną a księciem Gonzaga. Co zaś do drugiego oskarżenia, prawda, dobyłem szpady, uczyniłem to jednak w obronie pewnej damy. Wielu z obecnych tu panów potwierdzi moje słowa.

— Powiedział pan prawdę — rzekł jeden tylko Chaverny, choć cała banda Gonzagi znajdowała się na sali.

Lagardere spojrzał ze zdziwieniem na młodego markiza i ujrzał, jak towarzysze czynili mu wyrzuty. Regent był zmęczony i senny i nie chciał zatrzymywać się na bagatelkach.

— Nie wszystko możemy przebaczyć. Obiecał pan księżnie Gonzaga zwrot córki. Czy tak?

— Tak, Wasza Królewska Wysokość, obiecałem.

— Przysłał pan posła, który w pańskim imieniu złożył mi to samo przyrzeczenie. Zgadza się?

— Tak, Wasza Królewska Wysokość.

— Stoi pan przed sądem. Przysięgam, że sprawiedliwości stanie się zadość. Gdzie panna de Nevers?

— Nie wiem — odparł Lagardere.

— Kłamie! — wykrzyknęła gwałtownie księżna.

— Nie, pani, po prostu przeliczyłem się z możliwościami, oto wszystko.

Wśród obecnych rozległ się nieprzychylny szmer.

— Nie znam panny de Nevers — dodał Lagardere podnosząc głos i wodząc spojrzeniem po zebranych.

— Bezczelność! — odezwała się chórem klika Gonzagi.

Naczelnik policji, pan de Machault, wychowany w zdrowych tradycjach, poradził poddać badanego torturom; wszystko byłoby jasne. Po co tracić czas na próżno?

Proszę się zastanowić nad swymi słowami rzekł surowo regent.

— Nie można zmienić prawdy, Wasza Królewska Wysokość. — Powiedziałem prawdę.

— Czy Wasza Królewska Wysokość to ścierpi? — zawołała księżna, z trudem opanowując gniew. — Na honor, ten człowiek kłamie! Wie, gdzie jest moja córka, sam mi to niedawno powiedział, — tu, w ogrodzie.

— Proszę odpowiedzieć — rozkazał regent.

— Tak teraz jak i wówczas powiedziałem prawdę. Wówczas miałem nadzieję, że uda mi się spełnić obietnicę.

— A teraz? — wyszeptała księżna nie panując nad sobą.

— Teraz już nie mam nadziei.

Księżna opadła wyczerpana na oparcie fotela. Poważni członkowie parlamentu, ministrowie, książęta z ciekawością spoglądali na dziwną postać, której nazwisko słyszeli za czasów młodości. Piękny Lagardere! Rębacz Lagardere! Niektórzy, o przenikliwym spojrzeniu, starali się odgadnąć, co kryje pozorny spokój pięknej twarzy więźnia, na której

malował się smutek oraz niezłomne postanowienie. Poplecznicy Gonzagi czuli się w tak świetnym zgromadzeniu zbyt małośnacznymi, by hałasować. Gonzaga nie pokazywał się.

— Więc opierając się na płonnych nadziejach napisał pan do regenta Francji: „córka przyjaciela Waszej Królewskiej Wysokości będzie zwrócona rodzinie”?

— Miałem nadzieję, że tego dokonam.

— Miał pan nadzieję!

— Człowiek myli się, niestety.

— Wasza Królewska Wysokość — wykrzyknęła księżna łamiąc ręce — on ukradł mi dziecko! Ma je u siebie, mogę przysiąc. Jemu oddałam córkę w noc zbrodni, pamiętam, wiem, przysięgam.

— Słyszysz pan? — powiedział regent.

— Księżna pani myli się — odparł spokojnie Lagardere, choć twarz mu zadrgała i u nasady włosów wystąpiły krople potu.

— Boże! — krzyknęła księżna na pół przytomna — jak zdemaskować tego człowieka?

— Wystarczyłby jeden świadek — wtrącił regent.

W tej chwili w drzwiach sali stanął Gonzaga. Lagardere wyprostował swą wysoką postać, prowokując wroga spojrzeniem. Gonzaga skłonił się księciu, żonie i obecnym i pozostał przy drzwiach. Skrzyżował spojrzenie ze wzrokiem Lagardere'a, który powiedział wyzywająco:

— Niech świadek wystąpi i ośmieli się mnie oskarżyć!

W sali panowała głęboka cisza. U drzwi zaszeleściło i wsunął się Peyrolles.

— Jest w naszych rękach — szepnął.

— A papiery?

— I papiery.

Twarz Gonzagi pokrył rumieniec radości. Miałem rację; garbus wart worka złota.

— Pomyliłem się — odparł Peyrolles — pomógł nam skutecznie.

— Nikt nie odpowiada na moje wezwanie, Wasza Królewska Wysokość — powiedział Lagardere — proszę o sprawiedliwość. Przed Waszą Królewską Wysokością stoi biedny szlachcic, zawiedziony, jak Wasza Królewska Wysokość, w swych nadziejach. Wydawało mi się, że mogę liczyć na najczystsze zazwyczaj i najgorętsze z uczuć ludzkich. Obiecałem z zuchwałością człowieka spodziewającego się nagrody... — Zamilkł, po czym z trudem ciągnął dalej: — Sądziłem, że mam prawo do nagrody. — Spuścił oczy i znowu zamilkł. Następnie przewyciężył wstyd, by skończyć: — Los zadrwił ze mnie, oto moja zbrodnia. Za karę wrócę na wygnanie.

— Wygodna kara — rzucił Navailles.

Pan de Machault półgłosem przekonywał regenta.

— Na kolanach błagam Waszą Królewską Wysokość — zaczęła księżna.

— Spokojnie, pani — przerwał Filip Orleański, a zwracając się do Lagardere'a dodał: — Mieni się pan szlachcicem, lecz postępuje niegodnie. Karą niech będzie hańba. Proszę oddać szpadę.

Lagardere otarł zroszone potem czoło i odpiął pas.

— Na Boga! — mruknął rozgorączkowany Chaverny — wolałbym, by go zabito.

— Nie żyjemy w czasach, gdy oskarżonym o zdradę rycerzom łamano ostrogi — podjął regent — niemniej szlachectwo istnieje i degradacja jest najsroższą karą, jaka może spaść na żołnierza. Odtąd nie ma pan prawa nosić szpady. Rozstąpcie się, panowie, i przepuście tego człowieka; nie godzien oddychać tym samym co wy powietrzem.

Wydawało się, że Lagardere jak Samson wstrząśnie kolumnami sali, by pogrzebać pod gruzami Filistynów. Twarz jego wyraziła straszliwy gniew, aż bliżej stojący usunęli się z przestraczem, po czym stała się nieprzeniknioną maską, jak na początku posiedzenia.

— Przyjmuję wyrok Waszej Królewskiej Wysokości — powiedział kłaniając się — apelować nie będę.

Daleki, odcięty od świata zakątek i miłość Aurory — oto co stanęło mu przed oczami. Czyż przyszłe szczęście niewarte obecnej męki?

W ogólnej ciszy skierował się ku drzwiom.

— Proszę się nie obawiać, będzie śledzony — szepnął regent księżnie.

W połowie sali Gonzaga zastąpił drogę Henrykowi.

— Wasza Wysokość, nie mogę wypuścić tego człowieka.

— Gdyby Lagardere miał szpadę — szepnął podniecony Chaverny, który omal nie rzucił się na Gonzagę.

— Dlaczego?

— Wasza Królewska Wysokość został oszukany — odparł Gonzaga.

— Degradacja nie jest dostateczną karą dla morderców.

W sali zahuczało. Regent wstał.

— To morderca — Gonzaga dotknął końcem szpady ramienia Lagardere'a.

Henryk wybuchnął konwulsyjnym śmiechem i odsuwając szpadę Gonzagi, chwycił rękę księcia i ścisnął tak silnie, że broń wypadła ze zdrętwiałych palców. Następnie powłókł wroga przed fotel regenta i pokazując otwartą dłoń Gonzagi powiedział wodząc palcem po głębokiej bliźnie:

— Mój znak, poznaję mój znak.

Obecni wstrzymali oddech.

— Gonzaga przepadł — szopnął Chaverny.

— Osiemnaście lat czekam na tę chwilę — Gonzaga odzyskał zimną krew. — Nasz przyjaciel, nasz Filip, będzie pomszczony. Ranę tę odniosłem broniąc go przed napastnikami.

Lagardere puścił rękę Gonzagi i stał jak przygwożdżony do miejsca, gdy wielki krzyk podniósł się w sali:

— Morderca księcia de Nevers! Zabójca Filipa de Nevers!

Księżna zakryła twarz dłońmi i zemdląła. Na znak regenta zbrojna straż otoczyła więźnia.

— Podły! Nikczemny! — Lagardere, jak raniony lew, odrzucił na dziesięć kroków oficera, który brał go za kołnierz, krzycząc grzmiącym głosem: Precz! Śmierć temu, kto mnie dotknie! Mam glejt Waszej Królewskiej Wysokości — zwrócił się do regenta. Wyjął z kieszeni pergamin, rozwinął i głośno przeczytał: — „Wolny, cokolwiek by zaszło”. Z podpisem Waszej Królewskiej Wysokości.

— Ten człowiek jest wolny — powiedział regent — napisałem to, mam jedno tylko słowo. Daję mu czterdzieści osiem godzin na przekroczenie granic Francji. Lagardere nie drgnął.

— Słyszał pan, co powiedziałem? — powtórzył ostro regent. — Proszę wyjść.

Lagardere powoli podarł glejt i kawałki pergaminu rzucił pod nogi regenta.

— Wasza Królewska Wysokość nie zna mnie; zwracam słowo Waszej Królewskiej Wysokości. Z ofiarowanej i należnej mi wolności biorę tylko dwadzieścia cztery godziny: tyle, ile potrzeba, by zdemaskować łotra i okazać tryumf słusznej sprawy. Dość upokorzeń! Mogę podnieść głowę i na honor mego nazwiska, słyszycie, panowie, na honor Henryka de Lagardere, równy waszemu honorowi, przyrzekam i przysięgam: jutro o tej samej godzinie księżna Gonzaga odzyska córkę i księżę de Nevers

będzie pomszczony lub ja zostanę więźniem Waszej Królewskiej Wysokości. Proszę zwołać sędziów.

Skłonił się regentowi, odsunął stojących na drodze i skierował się ku drzwiom.

Gonzaga nie czekał końca tej sceny i wymknął się z sali.

— Rozstąpcie się, panowie — powiedział regent. — Jutro o tej samej godzinie stanie pan przed sądem i na Boga, sprawiedliwości stanie się zadość!

Poplecznicy Gonzagi posunęli się ku drzwiom. Rola ich w gabinecie regenta była skończona.

— Dziwna sprawa — powiedział zamyślony książę Orleański opierając czoło na rękę.

— Bezczelny łotrzyk — mruknął naczelnik policji.

— Albo rycerz bez zmayı — odrzekł regent. — Jutro zobaczymy.

Lagardere, bez broni, zszedł po wielkich schodach pałacu do westybulu, gdzie oczekiwali Gonzaga z obnażoną szpadą, Peyrolles i cała banda. Drzwi wiodące na ogród stały otworem. Pachniało zasadzką. Lagardere podszedł prosto do Gonzagi, który zagroził mu drogę szpadą.

— Niech się pan nie śpieszy, panie de Lagardere — powiedział książę — mamy z sobą do pomówienia. Wszystkie wyjścia strzeżone, jesteśmy wśród przyjaciół, możemy rozmawiać szczerze. Regent otworzył panu drzwi, ale ja pana nie wypuszczę. Byłem również przyjacielem Filipa de Nevers i mam prawo pomścić jego śmierć. Powiem coś, co ulży pana sumieniu. Sądził pan, że pan kłamie mówiąc o Aurorze...

Lagardere zmienił się na twarzy.

— Popełnił pan tylko nieznaczną nieścisłość, drobną omyłkę. —
Gonzaga z okrucieństwem rozkoszował się tryumfem. Należało
powiedzieć: „Aurora już nie jest w moich rękach...”

Lagardere zebrał się jak do skoku, ale Gonzaga skierował ostrze
szpady między oczy Henryka.

— No cóż, wygraliśmy ładną partię. Aurora jest w naszej mocy.

— Aurora — wymówił Lagardere zduszonym głosem.

— Aurora i pewne dokumenty...

Nie dokończył i runął ciężko na wznak. Jednym skokiem Lagardere
przesadził leżącego i wypadł do ogrodu. Gonzaga podniósł się z
uśmiechem.

— Nie ma wyjścia? — spytał pana de Peyrolles.

— Nie ma.

— Ilu ich tam jest?

— Pięciu — odparł Peyrolles nasłuchując.

— Wystarczy, on i tak bez szpady.

Wyszli do ogrodu, nadstawiając ucha. Pozostali w westybulu
popiecznicy księcia nasłuchiwali bladzi, z czołem zroszonym potem.
Gonzaga pragnął oswoić ich z zapachem krwi.

— Długo trwa — szepnął książę.

W ogrodzie było ciemno jak w studni. Jesienny wiatr jękliwie bił w
płótna namiotów.

— Gdzie znaleźliście dziewczynę? — spytał Gonzaga, jak gdyby
rozmową chciał stłumić dręczący go niepokój.

— Na ulicy du Chantre, przed drzwiami domu.

— Czy bronił jej kto?

— Dwie dobre szpady. Uciekli, gdy powiedziałem, że Lagardere
zabity.

— Widziałeś twarze?

— Nie, byli zamaskowani.

— Gdzie znalazłeś papiery?

Peyrolles nie zdążył odpowiedzieć; zza indiańskiego namiotu, od strony łoża Le Breanta, rozległ się krzyk agonii. Księżciu włosy zjeżyły się na głowie.

— Może to który z naszych? — szepnął drżąc Peyrolles.

— Nie — odparł Gonzaga — poznałem, to jego głos.

Z alei prowadzącej do ronda Diany wynurzyło się pięć cieni.

— Gotowe — powiedział gruby głos — potrzebne nosze i dwóch ludzi. Wyniesiemy trupa.

— Oriol! Montaubert! Bierzcie nosze. Widząc wahanie popleczników Gonzaga dorzucił: — Wszyscy braliśmy udział w zabójstwie i wszystkim przyniesie ono korzyści.

Trzeba było się śpieszyć, zanim rozejdą się goście regenta. Oriol i Montaubert, osłabli z wrażenia i oburzeni rozkazem Gonzagi, wzięli nosze i udali się za dowódcą zbirów.

— No, no — mrucał zabójca obchodząc namiot — łotryk tu padł, sam widziałem. Pewnie poczołgał się dalej i zmarł.

To mówiąc ukląkł i zaczął po omacku szukać w trawie. Obeszli tak łożę odźwiernego. Dwadzieścia pięć kroków dalej przystanęli.

— Jest! — zawołał dowódca.

Oriol i Montaubert, nie śmiąc przeciwstawić się woli Gonzagi, pomogli ułożyć zwłoki na noszach.

— Jeszcze ciepły — rzekł dowódca — w drogę! Dwaj panicze szcękali zębami. Gdy mijali łożę Le Breanta, zaszeleściły zeschnięte liście. Ktoś szedł za nimi. Gdy wchodzili na schody pałacowego tarasu, garbus następował im na pięty. Był niezwykle blady i zdawało się, że ledwie trzyma się na nogach. Śmiał się jednak, jak zawsze, piskliwym, ostrym śmiechem.

— Więc przyszedł? — spytał księcia Gonzagę wskazując na ciało okryte płaszczem.

Gonzaga uderzył go po ramieniu. Garbus zachwiał się i omal nie upadł.

— On pijany! — zawołał Gironne.

Była czwarta rano, gdy opuścili pałac regenta. Oriol, Montaubert i Gendry, dowódca zbirów, mieli rozkaz wrzucić zwłoki do Sekwany. Zabrakło im jednak odwagi i za dwa pistole Gendry zezwolił zostawić trupa na kupie śmieci. Zabrano płaszcz i nosze i wszyscy rozeszli się do domów.

Nazajutrz rano baron de Barbanchois obudził się w rynsztoku na ulicy Pierre-Lescot, w stanie trudnym do opisanie. Naturalnie nie pochwalił się swą przygodą.

Garbus wyszedł ostatni. Długo przemierzał dziedziniec. Znalazłszy się na ulicy Świętego Honoriusza, wiele razy przystawał i siadał na progach domów dla wypoczynku. Gdy wstawał, z piersi jego dobywało się coś w rodzaju jęku. Mieszkanie Lagardere'a było niedaleko, ale garbus szedł długo i powoli, jak gdyby brakło mu sił. Na schody wiodące do pokojów mistrza Ludwika wdrapał się prawie na czworakach. Drzwi domu wyważono. Wyłamano drzwi tajemniczego pokoju, gdzie nikt nie wchodził. Garbus bez sił oparł się o futrynę, usiłował zawołać Franciszkę czy Berrichona, ale żaden dźwięk nie wyszedł z jego ust. Padł na kolana i doczołgał się do kufra z zapieczętowaną kopertą. Wieko rozwalono uderzeniem siekiery, papiery znikły.

Zegar kościelny wybił piątą, zaczęło szarzeć. Garbus podniósł się i rozpiął kubrak z czarnej wełny, spod którego wydobył biały atłasowy kaftan, poplamiony krwią. Przypuszczalnie służył za tampon do tamowania krwotoku. Kaftan był własnością Lagardere'a. Rana krwawiła na ramieniu garbusa.

Pojękując z cicha, dowlókł się do skrzyni, gdzie znalazł wodę i czyste ręczniki. Przewiązał zranione ramię i wypił łyk wody.

— Nie ma nic — szepnął — jestem sam! Wszystko mi zabrali: i broń, i serce. Nie opuszczaj mnie, Boże! Mam dwadzieścia cztery godziny, by rozpocząć dzieło, na które zużyłem osiemnaście lat!

INTERCYZA

I. JESZCZE O ŻŁOTYM DOMU

Całą noc pracowano w pałacu Gonzagi. Nad ranem kupcy i giełdziarze objęli w posiadanie nowe kantory. Pośrednicy miotali się krzycząc, sprzedawano, kupowano, kto mógł, kradł i oszukiwał: interesy kwitły.

Grube firanki zasłaniały okna apartamentów księcia i księżnej. Peyrolles, mieszkający na poddaszu, leżał jeszcze w łóżku, gdy przyszedł Gendry z raportem, jak to panowie Oriol i Montaubert zanieśli ciało Lagardere'a nad brzeg Sekwany i wrzucili do rzeki.

Peyrolles wstał i udał się do księcia. Dowiedział się ze zdumieniem, że już go wyprzedzono i że księżę przyjmuje Cocardasse'a i Passepoila.

— Słuchajcie, łotrzyki — zaczął Peyrolles ujrawszy dwóch przyjaciół — coście wczoraj wieczorem robili na balu?

Passepoil wzruszył ramionami, a Cocardasse milczał.

— Słyszeliście — powiedział Gonzaga zmęczonym głosem — muszę mieć pewne wiadomości, i to zaraz, natychmiast. Chcę wiedzieć, czy on żyje czy nie.

Cocardasse i Passepoil skłonili się do ziemi, przeszli mimo pana de Peyrolles i z podniesionym czołem opuścili komnatę.

— Czy mogę wiedzieć, o kim księżę pan mówi? — spytał poblady intendent.

— O kawalerze de Lagardere. — Gonzaga oparł zmęczoną głowę o poduszki.

— Skąd ta wątpliwość? — zdumiał się Peyrolles. — Przed chwilą opłaciłem usługi tego zucha Gendry'ego.

— Gendry to nikczemny łotrzyk, a ty się starzejesz. Widziałem już Oriola i Montauberta. Dlaczego nikt nie towarzyszył im nad brzeg Sekwany? Zdradzono nas tej nocy.

— Zdradzono? — wykrzyknął Peyrolles. — Ale kto?

— Gendry, Oriol i Montaubert.

— Skąd książę pan wie...

— Wiem tylko, że łajdaki nie spełnili obowiązku.

— Gendry zapewnił mnie, że zanieśli ciało nad Sekwanę.

— Gendry kłamie. Sam nie wiem, co myśleć; trudno mi wyrzec się nadziei, że raz na zawsze uwolniłem się od tego szatana Lagardere'a.

— Więc skąd wątpliwości...?

Gonzaga wyjął spod poduszki zwinięty papier i podał wiernemu słudze. Była to lista następujących nazwisk:

Kapitan Lorrain — Neapol.

Staupitz — Norymberga.

Pinto — Turyn.

El Matador — Glasgow.

Joel de Jugan — Morlaix.

Faenza — Paryż.

Saldagne — Paryż.

Peyrolles — ...

Filip Mantuański, książę Gonzaga —...

Dwa ostatnie nazwiska napisano czerwonym atramentem czy też krwią. Nie było przy nich nazwy miasta; mściciel nie wiedział jeszcze, gdzie ukarze winnych. Pierwsze siedem nazwisk, wypisane czarnym atramentem, oznaczono czerwonym krzyżykiem. Gonzaga i Peyrolles dobrze zrozumieli wymowę tego znaku. Peyrolles ledwie mógł utrzymać papier, tak drżały rnu ręce.

— Kiedy książkę pan to otrzymał? — wybełkotał. — Wczesnym rankiem, po otwarciu bram.

— W jaki sposób?

Gonzaga wskazał przeciwległe okno, którego jedna szyba była stłuczona. Peyrolles zrozumiał spostrzegłszy na dywanie kamyk wraz z kawałkami szkła.

— To mnie właśnie obudziło — powiedział Gonzaga. — Gdy przeczytałem, przyszło mi na myśl, że Lagardere mógł się uratować. Wezwałem natychmiast Oriola i Montauberta, udałem, że nie wiem o niczym, zacząłem żartować. Wyznali mi, że zostawili zwłoki na kupie śmieci na ulicy Pierre-Lesrol. Wkrótce dowiemy się prawdy. Cocardasse i Passepoil udali się na przeszpiegi.

— Czy książkę pan ufa tym renegatom?

— Nikomu nie ufam, nawet tobie. Gdybym mógł wszystko sam robić, nie posługiwałbym się zdrajcami. Upili się tej nocy, boją się mnie i będą posłuszni. Wezwałem ich i kazałem odszukać dwóch opryszków, którzy bronili pewnej awanturnicy podszywającej się pod nazwisko Aurory de Nevers. Mają poruszyć niebo i ziemię, by dowiedzieć się, czy ten szatan żyje. Udam się teraz do pałacyku. Podobno donia Cruz i ta dziewczyna to stare przyjaciółki. Potem będę u regenta. Nieobecność moja w Palais-Royal byłaby źle komentowana. Czeka mnie pracowity dzień. Wieczorem wydam kolacyjkę... pomówimy jeszcze o tym.

— Chcę ostrzec księcia pana przed tymi dwoma łajdakami — zaczął Peyrolles. — Coś mi mówi, że Cocardasse i Passepoil to zdrajcy. I oni byli owej nocy w fosie zamku Caylus, a mimo to nie ma ich na liście.

— To prawda — mruknął Gonzaga rozwijając szybko papier.

— Gdyby ten spis sporządzał Lagardere, umieściłby ich imiona na pierwszym miejscu, dla niepoznaki.

— To zbyt subtelne. W walce na śmierć i życie nie wolno zaniedbywać niczego. Na przykład garbus...

— Tak — przerwał Gonzaga — muszę go wybadać. Rzucił okiem na dziedziniec. Garbus stał przed budą, spoglądając w okna Gonzagi. Gdy ujrzał księcia, skłonił się nisko i spuścił oczy.

Idąc korytarzem do księżnej na zwiady, Peyrolles rozmyślał:

Nie jestem tak idiotycznie rozkochany w pięknej Francji, jak to czasem bywa. Mając pieniądze, wszędzie można znaleźć ojczyznę. Skarbonka prawie pełna, a w ciągu doby zaczerpnę jeszcze z kasy księcia. Wydaje się, że akcje Gonzagi spadają. Jeśli do jutra sprawy nie ulegną poprawie, pakuję manatki. Lepiej zmienić klimat; tu za ostre powietrze dla mego delikatnego zdrowia. Do diabła, chyba do jutra mina nie wybuchnie!

Cocardasse i Passepoil obiecali dwoić się i troić, byle położyć kres niepewności księcia. Dotrzymali słowa. Siedzieli w szynku, przy ulicy Aubry-le-Boucher, jedząc i pijąc za czterech. Na twarzach zabijaków błyszczała radość.

— Nie umarł — mówił Cocardasse napełniając kubek.

— Żyje — wtórował Passepoil i obaj wypili za zdrowie ulubieńca.

Przyszedłszy rano do pałacu Gonzagi, pewni byli śmierci Lagardere'a. O świcie udali się do domu na ulicę du Chantre i znaleźli wyważone drzwi. Parter był pusty. Sąsiedzi nie wiedzieli, co stało się z piękną dziewczyną, starą Franciszką i małym Berrichonem. Ma pierwszym piętrze, obok kufra z porąbanym wiekiem, stała kałuża krwi. Łotry, które ich zaatakowały, gdy bronili różowego domina, powiedziały prawdę. Lagardere nie żył. Rozkazem swym Gonzaga wrócił im nadzieję. Chciał,

by odnaleźli ciało wroga. To wystarczyło, by dwaj przyjaciele pili wesoło za zdrowie kawalera. Znaleźć zuchów, którzy bronili Aurory, było fraszką.

— Trzeba wymyślić dobrą historyjkę, mój gołąbku — rzekł Cocardasse dolewając wina.

— Dwie — odrzekł Passepoil — jedną dla ciebie, drugą dla mnie. W każdej musi być trup Małego Paryżanina.

Za wcześnie było wracać do pałacu Gonzagi, wobec czego oparliśmy głowy na stole, smacznie zachrapali.

Garbus jako jeden z pierwszych zjawił się w Złotym Domu. Gdy tylko otwarto bramy, przyszedł w towarzystwie posłańca niosącego krzesło, kufer, materac i poduszkę. Garbus urządzał budę, widocznie pragnął tu zamieszkać.

Ezop II miał wiele roboty. Pulpit, jakim obdarzyła go natura, nie próżnował ani chwili. Pistole sypały się bez przerwy do skórzanego worka. Tego ranka nie był jednak jak zwykle wesoły, wydawał się chory. Gdy go pytano o zdrowie, odpowiadał:

— Zbyt się zmęczyłem tej nocy.

— Gdzie byłeś, Jonaszu?

— Na balu u księcia regenta.

Klienci śmiali się, podpisywali umowy, płacili.

Księżę Gonzaga z wiernym panem de Peyrolles zstępował po schodach pałacu. W ręku trzymał szeroką kopertę, z której zwisały trzy pieczęcie na jedwabnych taśmach. Gdy garbus ujrzał kopertę, otworzył szeroko oczy, a krew gwałtownie napłynęła do bladej twarzy. Jednakże nie drgnął i wykonywał dalej swe czynności, nie spuszczaając wzroku z Gonzagi i jego powiernika.

— Co robi księżna? — spytał Gonzaga.

— Całą noc nie zmrużyła oka. Pokojowa słyszała, jak mówiła: „Odnajdę ją, każę przetrząsnąć cały Paryż”.

— Na Boga! — szepnął Gonzaga — gdyby ujrziała dziewczynę z ulicy du Chantre, wszystko byłoby stracone.

— Tak podobna?

— Jak dwie krople wody. Pamiętasz księcia de Nevers?

— Pamiętam — odparł Peyrolles. — Był to przystojny młody człowiek.

— To jego córka, a jaka piękna! To samo spojrzenie i uśmiech.

— Już się uśmiecha?

— Jest razem z donią Cruz, znają się od dawna. Gdy ją widzę... Ach, gdybym miał taką córkę, myślę, że... Szaleństwa! Nie mam czego żałować, idę do celu, a jeśli spotykam przeszkody...

— Tym gorzej dla przeszkód — szepnął Peyrolles z uśmiechem.

Gonzaga przesunął ręką po czole. Peyrolles dotknął zapieczętowanej koperty.

— Książę pan sądzi, że tym razem nie mylimy się?

— Nie ma wątpliwości. Oto pieczęcie Neversa i parafialnej kaplicy w Caylus.

— Czy to karty wydarte z kościelnego rejestru?

— Tak przypuszczam.

— Książę pan mógłby się upewnić otwarłszy kopertę.

— Zwariowałeś? — wykrzyknął Gonzaga. — Złamać te piękne, nie tknięte dotąd pieczęcie! O nie! Jeszcze nie teraz, przyjdzie i na to czas. Złamiemy je na radzie familijnej, gdy będę reprezentował prawdziwą dziedziczkę księcia de Nevers.

— Prawdziwą? — spytał Peyrolles. — Tę, która dla nas jest prawdziwa. Dokumenty to potwierdzą.

Peyrolles skłonił się. Garbus nie spuszczał z nich oka.

— Co zrobimy z drugą dziewczyną? Z tą, która ma uśmiech i spojrzenie księcia de Nevers?

— Przeklęty karle — wrzasnął spekulant podpisujący na plecach Jonasza — dlaczego się kręcisz?

Garbus rzeczywiście zrobił ruch, by przybliżyć się do Gonzagi.

— Myślałem o tym — odparł księżę jak gdyby do siebie — a ty co zrobiłbyś na moim miejscu, przyjacielu Peyrolles?

Na usta powiernika wypełził dwuznaczny niski uśmiezek.

— Nie, nie — Gonzaga zrozumiał myśl intendenta — nie chcę! Mam coś lepszego. Powiedz mi, który z naszych satelitów ma najwięcej długów, któremu grozi ruina?

— Chaverny — odparł Peyrolles bez wahania.

— Stój spokojnie, garbusie! — mówił w tej chwili inny klient.

— Chaverny — powtórzył Gonzaga i twarz księcia rozjaśniła się. — Lubię, tego chłopca, niestety, przeszkadza mi. Doskonale, w ten sposób pozbędę się i jego osoby.

II. KAPRYS GARBUSA

— Gdzież ten kochany Chaverny? — spytał Gonzaga.

Była już piąta po południu i dzwon oznajmił zamknięcie kantorów na ulicy Quincampoix.

Garbus, choć bardzo zajęty, nie spuszczał oczu z księcia Gonzagi. Usłyszał nazwisko markiza de Chaverny.

— Co książę pan chciał powiedzieć o panu de Chaverny? — spytał Peyrolles.

— O Chavernym? — powtórzył roztargniony Gonzaga. — Ach, tak, Chaverny. Przypomnij mi, mam pomówić z garbusem.

— Czy bezpiecznie zostawić dziewczynę w pałacyku?

— Bardzo niebezpiecznie, toteż nie będzie tam długo. Dziś wieczór wydaję kolację u donii Cruz, ot tak, dla najbliższych. Przygotuj wszystko i znajdź markiza, żywego czy martwego; muszę go mieć.

Garbus potrząsnął grzbietem, na którym spóźnialski klient podpisywał akt kupna, i rzekł:

— Jestem zmęczony, już dzwonek, czas odpocząć.

Dozorcy szli dziedzińcem dzwoniąc kluczami. Wkrótce podwórze opustoszało, słychać było tylko zgrzyt zamków i brzęk zakładanych łańcuchów. Gonzaga spojrzął na garbusa, siedzącego na progu budy. Wyglądało, że nie zamierza opuszczać pałacu. Liczył powoli zawartość skórzanego worka, co zdawało się sprawiać mu wielką przyjemność. Gdy przeliczył pieniądze, zawiązał worek i wstał.

— Hola, Jonaszu! — zawołał jeden z dozorców — masz zamiar tu nocować?

— Tak, przyjacielu — odpowiedział garbus — mam wszystko, czego potrzeba.

— Bez kawałów — odparł dozorca — no, zbieraj się, a prędko!

Garbus zamknął mu drzwi przed nosem. Gdy rozzłoszczony dozorca walił butem w cienkie deski, blada twarz Ezopa II ukazała się w małym owalnym okienku.

— Sprawiedliwości, książę panie! — zawołał.

— Wszyscy muszą wyjść z wybiciem dzwonu — powiedział Gonzaga — taki jest przepis.

— Proszę wziąć pod uwagę fakt, że moja sytuacja różni się od sytuacji reszty spekulantów: ja jeden wynająłem psią budę, a Medor, jeśli się nie mylę, spał tu zazwyczaj. Jeżeli Medor miał to prawo, ja za trzydzieści tysięcy zamierzam z niego skorzystać i nie ustąpię, chyba pod przemocą.

Gonzaga uśmiechnął się i skinął głową. Dozorca odszedł.

— Chodź tu — powiedział książę.

Garbus wyszedł z budy i kłaniając się zbliżył do Gonzagi.

— Dlaczego chcesz tu nocować?

— Bo to pewne miejsce, a ja mam pieniądze.

— Czy zrobiłeś na tej budzie dobry interes?

— Znakomity. To złote jabłko, zresztą wiedziałem o tym od razu.

Gonzaga położył mu rękę na ramieniu i garbus nie mógł powstrzymać lekkiego okrzyku.

— Co ci? — spytał zdumiony książę.

— Pamiątka po balu, reumatyzm.

— Zbyt dużo tańczył — zauważyli zebrani wokół Gonzagi satelici.

Książę skierował na nich pogardliwy wzrok.

— Jesteście, panowie, skłonni do złośliwych żartów — powiedział — ale źle robicie, gdyż to on raczej mógłby z was kpić; to wasz mistrz. Był mi stokroć użyteczniejszy niż wy razem wzięci. Obiecał pana de Lagardere na balu regenta i mieliśmy pana de Lagardere... Ufam temu

człowiekowi i pragnę zatrzymać go przy swej osobie. Tak, ufam mu i powiem głośno, że jeśli Lagardere żyje, wszystkim nam grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zapadło milczenie. Garbus wydawał się bardziej zdziwiony od innych.

— Pozwoliliście mu zbiec? — spytał.

— Nie wiem. Moi ludzie nie wracają i jestem niespokojny. Dałbym wiele, by poznać prawdę.

— Jest nas liczna gromada... — zaczął Navailles.

— Mówi pan nie znając sprawy — przerwał Gonzaga — pragnąłbym, by każdy był na stanowisku, gdy przyjdzie zadać ostateczny cios.

— Na Boga, książę — zawołano — należymy do pana!

— Wiem o tym, panowie — odparł sucho Gonzaga — poczyniłem ku temu konieczne kroki. Oddałeś nam ogromną przysługę — zwrócił się do garbusa.

— Cóż to znaczy, panie...

— Nie bądź skromny. Dobrze pracowałeś i należy ci się nagroda. Proś o zapłatę.

— Doprawdy — zaczął garbus kręcąc workiem — nie warto o tym mówić.

— Już ci raz powiedziałem — rzekł zniecierpliwiony Gonzaga. — Niczego nie przyjmuję darmo. Darmowa przysługa kryje w sobie zdradę.

— No, Jonaszu — zawołali zebrani — powiedz jakie życzenie!

— Ponieważ książę pan wymaga — zaczął garbus z widocznym zażenowaniem — doprawdy, nie śmiem prosić, będą się ze mnie śmiali.

— Stawiam sto ludwików, że nasz Jonasz jest zakochany! — wykrzyknął Navailles.

— A dlaczego nie byłby zakochany? — powiedział z powagą Gonzaga. — Jeśli jest zakochany, a szczęście jego zależy ode mnie,

przysięgam, że będzie szczęśliwy. Są usługi, za które płaci się nie tylko pieniędzmi.

— Dziękuję bardzo — powiedział garbus przenikliwym głosem — Miłość, ambicja, ciekawość, nie wiem, jak nazwać dręczącą mnie namiętność. Ci ludzie śmieją się i mają rację, ale ja cierpię.

Gonzaga wyciągnął do niego rękę, którą Ezop ucałował drżącymi wargami.

— Nieważna nazwa choroby. Śmierć jest zawsze śmiercią, czy przychodzi z gorączki, trucizny czy sztyletu. — Powiedział to tak dziwnym tonem, że zgasła wesołość otoczenia. Człowiek jest mały, lecz porusza świat. Dotychczas wiodłem nędzne życie, ale dlaczego nie mógłbym być zakochany? albo ambitny? lub ciekawy? Nie jestem młody, nigdy nim nie byłem. Jestem brzydki, prawda? Dawniej byłem jeszcze brzydszy. Ale i brzydota ma swe przywileje: wiek niszczy ją, jak niszczy urodę. Wy, panowie, traciecie, a ja wygrywam: na cmentarzu wszyscy jednakowi. — Wykrzywił się, spoglądając po zebranych. — Jest coś gorszego od brzydoty; to bieda. Byłem biedny, nie miałem rodziców. Sądzę, że mój ojciec i matka przestraszyli się, gdy ujrzeni mnie po urodzeniu, i wyrzucili noworodka z domu. Gdy pierwszy raz otworzyłem oczy, ujrzałem szare niebo, a strumienie deszczu zlewały moje biedne drżące ciało. Pierwsze wspomnienie to ból po uderzeniach. Łóżkiem był mi bruk ulicy, pożywieniem resztki pozostawione przez bezpańskie psy. To dobra szkoła, panowie, bardzo dobra. Gdybyście wiedzieli, jaki jestem twardy, jak zahartowany na zło! Dobro dziwi mnie, uderza do głowy i upaja jak wino człowieka, który pijał tylko wodę...

— Musisz bardzo nienawidzić — szepnął Gonzaga.

— O tak, panie! Zazdrościłem radości drugich. Inni byli piękni, mieli rodziców. Wzgarda i złośliwość ludzka opancerzyły moje serce i uczyniły je twardym. Złość innych objawiła mi moją siłę. Muszę przyznać, że nie

mam już ani jednego wroga, który by potwierdził te słowa. Gdy poczułem się mocny, zapragnąłem bogactwa. Przez dziesięć lat pracowałem wśród śmiechu i drwin. Pierwszy grosz trudno zarobić, drugi—łatwiej, trzeci przychodzi prawie sam. W pocie czoła zarobiłem pierwszego ludwika. Zachowałem go na pamiątkę. Gdy jestem zmęczony, gdy ogarnia mnie niechęć, patrzę na tę monetę, a jej widok ożywia moją dumę. Duma jest siłą człowieka. Zbierałem więc grosz do grosza, nie dojadłem, chodziłem w łachmanach. Skarb rósł.

— Jesteś skąpcem? — spytał szybko Gonzaga, jak gdyby odkrycie słabej strony dziwnej istoty sprawiało mu przyjemność lub było potrzebne.

— Gdybyż tak było, panie — garbus wzruszył ramionami — gdybym mógł kochać pieniądze! Czymże jest szczęście, jak nie dążeniem do celu? Niestety, nie można stać się chciwcem na zawołanie. Miałem nadzieję, że to potrafię, nie udało się. — Westchnął i skrzyżował ręce na piersiach. — Miałem jeden dzień radości. Policzyłem swój skarb i ujrzałem, że jestem bogaty. Sądziłem, że kupię szczęście. Wtedy spojrzałem w lustro: zobaczyłem zmarszczki i siwe włosy. Już? Tak wcześnie? Zdawało mi się, że jeszcze wczoraj byłem dzieckiem. Stłukłem zwierciadło. Głos wewnętrzny mówił mi: „Złoto jest piękne i wiecznie młode; siej złoto, a zbierać będziesz młodość i piękno”. Byłem szalony, panie! Gdy wyszedłem na ulicę szukając życzliwego spojrzenia, spotkały mnie obelgi i drwiny.

— Garbus, garbus! — krzyczeli mężczyźni i kobiety i śmiali się ze mnie. Skłamał ten, co powiedział, że złoto jest królem świata.

— Trzeba było pokazać złoto — zawołał Navailles.

— Uczyniłem to. Wówczas ręce wyciągnęły się nie do uścisku, lecz by szperać mi po kieszeniach. Chciałem zebrać u siebie przyjaciół, mieć kochankę — zbiegli się do mnie złodzieje. Płakałem, płakałem krwawymi

łzami, ale trwało to krótko, tylko jedną noc. Przyjaźń, miłość to bzdura!
Chcę przyjemności, tych przyjemności, które można kupić...!

— Przyjacielu — przerwał chłodno Gonzaga — czy dowiem się wreszcie, czego chcesz?

— Tak, panie — odrzekł garbus zmieniając ton. — Wyszędłem wędząc, skąd wiatr przyniesie zapachy nie znanych rozkoszy.

— No i...? — spytał Gonzaga.

— Wiatr wiał od strony pańskiego pałacu — odparł karzeł z ukłonem.

III. GASKOŃCZYK I NORMANDCZYK

Powiedział to tonem wesołym i wszyscy, tak przed chwilą poważnie nastroszeni, wybuchnęli śmiechem.

— Ho, ho — rzekł Gonzaga — wiatr wiał od mojej strony?

— Tak, panie. Od progu poczułem, że znalazłem właściwe miejsce.

— Patrzcie, jaki znawca — zauważył Oriol.

— Pan nocą wynosi ciężary, zrozumie więc bez trudu, że można zrobić wszystko na czyjeś życzenie.

Oriol zbladł.

— Co to znaczy? — krzyknął Montaubert.

— Wytłumacz się, przyjacielu — rozkazał Gonzaga.

— Z przyjemnością — odparł garbus. Wczoraj miałem zaszczyt opuścić Palais-Royal wraz z panami. Widziałem dwóch szlachciców zaprzęgniętych do noszy; jest to rzecz niezwykła, pomyślałem więc, że dobrze im zapłacą...

— Czy on wie...? — zaczął nieopatrznie Oriol.

— Co było na noszach? — przerwał garbus. — Naturalnie. Był tam stary pijany baron, któremu pomogłem dobrnąć do domu.

Gonzaga spuścił oczy i zbladł jak ściana. Wszystkie twarze wyrażały najwyższe zdumienie.

— Czy wiesz, co się stało z panem de Lagardere? — spytał cicho Gonzaga.

— Ho, ho, Gauthier Gendry to dobra szpada; ma mocną rękę — odparł garbus. — Stałem niedaleko, gdy uderzył; cios był celny, słowo daję. Cocardasse i Passepoil powiedzą resztę.

— Znasz ich? — przerwał zdumiony książkę.

— Znam po trosze wszystkich.

— Do licha, przyjacielu, nie lubię ludzi, którzy wszystko wiedzą i wszystkich znają.

— To może być niebezpieczne, przyznaję — odparł spokojnie garbus — ale może się przydać. Proszę być sprawiedliwym. Gdybym nie znał pana de Lagardere...

— Nigdy bym się nie posługiwał tym człowiekiem — szepnął Navailles za plecami Gonzagi.

— Źle by pan na tym wyszedł — odparł garbus, który posłyszał uwagę. — Gdy zatrzymałem się na progu tego domu, też się wahałem, wątpilem i pytałem siebie, czy gotów jestem na wszystko, byle wejść do raju. No i wszedłem.

— Byłeś gotów na wszystko? — spytał Gonzaga.

— Na wszystko — odparł zdecydowanie garbus.

— Słuchaj — powiedział książę — możesz kupić szlachectwo i nazwisko.

— nie chcę szlachectwa za pieniądze. A nazwisko? — wskazał komicznym gestem garb — Czy nazwisko tyle waży co i to? Garb ma swoją cenę, każdy dzień przynosi mi pięćdziesiąt tysięcy renty. Czym byłbym bez garbu?

— Przynajmniej masz w nim rozum — odparł Gonzaga — obiecuję zrobić cię szlachcicem.

— Dzięki, panie, a kiedy?

— Do licha, jak mu spieszno! — zawołano wokoło.

— Na to trzeba czasu — odparł książę.

— Spieszno mi. Pan nie lubi darmowych przysług, ośmielam się więc prosić o natychmiastową zapłatę.

— Natychmiastową? Niemożliwe — zaproponował Gonzaga.

— Nie chodzi o szlachectwo — zniżając głos dodał poufnie: — nie trzeba być szlachcicem, by zasiąść koło pana Oriola tej nocy przy kolacji.

— I o tym wiesz? — zmarszczył brwi książę.

— Usłyszałem przypadkiem odparł pokornie garbus. — Ach, panie, gdy pomyślę o takim pałacyku dla intymnych spotkań, o malowidłach na ścianach przedstawiających nimfy, o uroczych kobietach...

Zebranych poruszyła niespodziewana wiadomość o kolacji.

— To nie zwykła kolacja — rzekł Gonzaga — to uczta weselna.

Garbus zadrżał, a obecni nagłą jego bladość wytłumaczyli wrażeniem.

— Wesele? — posypały się pytania. — Któż się żeni?

Garbus wstrzymał oddech. W chwili gdy Gonzaga miał odpowiedzieć, w drzwiach wejściowych ukazał Peyrolles krzycząc:

— Zwycięstwo! Nareszcie wrócili!

Za nim szli Cocardasse i Passepoil, z dumną powagą na twarzach, jak ludzie, którzy wiedzą, że są niecierpliwie oczekiwani.

— Przyjacielu, jeszcze z tobą nie skończyłem, nie odchodź — powiedział Gonzaga zwracając się do garbusa.

— Jestem na rozkazy księcia pana — odparł Ezop kierując się ku swej budzie.

Cocardasse i Passepoil, pokrzepieni całodziennym wypoczynkiem w szynku, wyspani i najedzeni, przeszli hardo wśród zebranych i zbliżyli się do Gonzagi.

— Mówcie — rozkazał krótko książę.

Dwaj przyjaciele pełni byli niepokoju. Wyszedszy z tawerny udali się raz jeszcze na ulicę du Chantre. Nie dowiedzieli się jednak niczego. Co się stało z Lagardere'em? Dręczyła ich obawa.

— Mówcie zwięźle — dodał Gonzaga.

— Oto rzecz w dwóch słowach — zaczął Passepoil: — wyszedłem z rozkazu księcia pana; mój szlachetny przyjaciel i ja powiedzieliśmy sobie: lepiej iść dwoma śladami, wobec czego rozstaliśmy się przy rynku des Innocents. Nie wiem, co zdziałał mój przyjaciel; co do mnie, udałem

się do Palais-Royal. W parku uprzątno dekoracje po wczorajszym balu. Wszyscy mówili tylko o jednym: między indiańskim namiotem a domkiem dozorczy odkryto kałużę krwi. Byłem pewien, że tam miała miejsce walka. Poszedłem krwawym śladem na ulicę Świętego Honoriusza. Gdy szedłem westybulę pałacu regenta, ze spuszczoną głową, służba pytała mnie: „Co zgubiłeś, przyjacielu?” „Portret kochanki” — odpowiadałem. Śmiali się, łajdaki.

— Streszczaj się — powiedział zniecierpliwiony Gonzaga.

— Już, panie. Ulicą Świętego Honoriusza chodzi tyle ludzi, tyle przejeżdża koni i karet, że ślad był zatarty. Skręciłem więc prosto ku rzece...

— Którędy? — przerwał książę.

— Ulicą de l'Oratoire — odparł Passepoil.

Gonzaga wymienił spojrzenie z przyjaciółmi. Gdyby Passepoil mówił o ulicy Pierre-Lescot, nikt by mu nie uwierzył, gdyż wszyscy znali przygodę Oriola i Montauberta. Ale Lagardere mógł zejść do rzeki ulicą de l'Oratoire.

— Mówię prawdę, jak na spowiedzi — ciągnął Passepoil. — Na ulicy de l'Oratoire odnalazłem ślady, które doprowadziły mnie do rzeki i znikły. Posłyszałem wówczas rozmowę dwóch przewoźników. Jeden mówił: „Było ich trzech, a szlachcic ranny. Ograbiwszy go wrzucili do rzeki”. „Czy widzieliście szlachcica?” spytałem podchodząc. Nie chcieli początkowo nic powiedzieć, obawiając się, że jestem z policji, ale ich uspokoilem wyjaśniewszy, że służę u pewnego szlachcica, pana de Saint-Saurin. „Niech Bóg ma w swej opiece jego duszę” — rzekli i dodali, że widzieli go, że na twarzy miał czarną maskę i nosił biały atłasowy kaftan.

Szmer rozległ się wśród obecnych. Gonzaga z zadowoleniem pokiwał głową. Jedynie Cocardasse zachował sceptyczny uśmiech, jak gdyby chciał powiedzieć: „Poczekajcie na moją kolej”.

— Idę więc wzdłuż Luwru — ciągnął Passepoil zachęcony powodzeniem swej bajeczki — koło Ogrodów Tuileryjskich, do bramy de la Conference i dalej, brzegiem rzeki, zbliżam się do Passy i podchodzę aż do mostu w Saint-Cloud.

— Sieci — szepnął Oriol.

— Sieci — mruknął Passepoil. — Zgadł pan.

Nieźle, całkiem nieźle — myślał Cocardasse — może coś będzie z tego łajdaka Passepoila.

— I co znalazłeś w sieciach? — spytał Gonzaga marszcząc z niedowierzaniem brwi.

Passepoil rozpiął kurtkę. Cocardasse wytrzeszczył oczy: tego się nie spodziewał. Normandczyk wyciągnął z zanadru biały atłasowy kaftan, splamiony krwią. Nie znalazł go w sieciach w Saint-Cloud, wcale zresztą tam nie był; kaftan zabrał z mieszkania Lagardere'a podczas pierwszej bytności, o świcie. Zabrał bez określonego powodu, tak sobie, ale Cocardasse tego nie zauważył. Passepoil zmoczył biały atłas w wiadrze wody w tawernie. Gdy podawał go księciu, Gonzaga cofnął się tknięty przerażeniem.

— Panie — rzekł skromnie Passepoil — ciało zbyt ciężkie, mogłem przynieść tylko to.

— Do licha — myślał Cocardasse — łajdak jest genialny, muszę mieć się na baczności.

— Widziałeś trupa? — spytał Peyrolles.

— Przepraszam — odparł prostując się Passepoil — świń razem nie paśliśmy. Ja pana nie tykam. Proszę zaprzestać niewłaściwej poufałości, za pozwoleniem księcia pana.

— Odpowiedz na pytanie — rzekł Gonzaga.

W tym miejscu woda mętna i głęboka. Niech mnie Bóg broni, bym przysięgał na coś, czego nie jestem pewien.

— Prawda! — krzyknął Cocardasse — gdyby przyjaciel mój skłamał, nie chciałbym go znać. Ale ty nie kłamiesz — zwrócił się do Passepoila i uściskał go. — Jakże trup mógł znajdować się w sieciach w Saint-Cloud, kiedy widziałem go na łodzi o dobre dwie mile stamtąd.

Passepoil spuścił oczy. Wszyscy spojrzeli na Cocardasse

— A dwaj obrońcy różowego domina? — zwrócił się Gonzaga do Passepoila. — Czy nic o nich nie wiesz?

— Wyznam szczerze księciu panu, cały mój czas poświęciłem tamtej sprawie.

— Nie warto żądać od pocziwca więcej, niż mógł działać — powiedział Cocardasse wzruszając lekko ramionami. — Mój towarzysz zrobił, co mógł. Jestem ciebie dumny, Passepoil.

— Czy wiesz coś więcej? — spytał nieufnie książę.

— Odrobinę więcej, panie. Gdy Cocardasse zabiera się do rzeczy, znajduje coś więcej niż łachman na dnie rzeki.

— Cóż więc zdołałeś?

— Przede wszystkim rozmawiałem z dwoma łajdakami, tak jak mam zaszczyt rozmawiać w tej chwili z panem. Następnie widziałem ciało.

— Czy jesteś pewien? — spytał Gonzaga?

— Rozstawszy się z przyjacielem na rynku des Innocents — zaczął Cocardasse z ręką na biodrze — pomyślałem sobie: gdzie też można spotkać wszelkiego rodzaju zabijaków? Chodziłem od jednej tawerny do drugiej. Czy zna pan „Czarną Głowę” na ulicy Świętego Tomasza? Tam zbiera się cała kompania zbirów. Około drugiej wyszło dwóch opryszków, zaczepiłem ich, gdyż znam wszystkich doskonale. „Chodźcie ze mną, gołąbeczki” — powiedziałem i poszliśmy brzegiem Sekwany, z drugiej strony kościoła Saint—Germain—l’Auxerrois, do dawnej fosy opactwa. Pogadaliśmy tam na szpady, tercją i kwartą. Dzięki Bogu, już nikogo nie obronią, ni dniem, ni nocą.

— Pokonałeś ich? — spytał nie rozumiejąc Gonzaga.

— Było ich tylko dwóch — odparł zuchwale Cocardasse — nie takim dawałem radę!

IV. ZAPROSZENIE

Passepoil spojrział z podziwem na przyjaciela.

— Książę pan dał mi dwa polecenia — ciągnął Cocardasse. — Teraz przechodzę do drugiego. Rozstając się z Passepoilem zapytałem siebie: „Gdzie znaleźć trupa?” „Naturalnie blisko wody”. Udałem się więc brzegiem Sekwany, wolniutko, jak na spacer. Przeszedłem Nowym Mostem na Przedmieście Świętego Jakuba. Czy pamiętasz, Passepoil, małego Prowansalczyka, rudzielca Massabiou, co to okradał przechodniów przy Notre-Dame?

— Tak. Powieszono go?

— Na szczęście nie. Miły chłopiec, obecnie sprzedaje chirurgom świeże trupy. Spotkałem go u wylotu ulicy des Mathurins. Przywitaliśmy się i pytam, skąd wraca. „Ze szpitala — mówi — odnosiłem towar...” Miał jeszcze na plecach wielki kosz. Massabiou poszedł dalej, a ja udałem się do szpitala Val-de-Grace...

— I co znalazłeś? — przerwał Gonzaga.

— Znalazłem mistrza Jana Petita, królewskiego chirurga, który dla pouczenia medyków krajał trupa kupionego u tego łajdaka Massabiou...

— Widziałeś ciało?

— Na własne oczy.

— Lagardere?

— Nie ma wątpliwości, Lagardere we własnej osobie: jego rysy, jasne włosy, jego postawa. — A widząc niedowierzanie na twarzach obecnych dodał: — Ale dostał, co za cios! Ja po ranie, jak po twarzy poznam człowieka.

— Nie żyje! — Gonzaga wydał westchnienie ulgi, po czym rzucił Cocardasse'owi pełną sakiewkę.

W tej chwili ze stopni pałacu zszedł lokaj ze świecznikiem w jednej ręce i srebrną tacą w drugiej. Na tacy białła list.

— Do księcia pana.

Dworacy rozstąpili się i Gonzaga wziął papier. Twarz księcia zmieniła się, lecz natychmiast przybrała normalny wyraz. Spojrzał przenikliwie na Cocardasse'a, aż Passepoila przeszło mrowie.

— Chodź tu — powiedział.

Cocardasse postąpił naprzód.

— Umiesz czytać? — Na ustach księcia błąkał się gorzki uśmiech. — Najświeższe wiadomości — zwrócił się do obecnych. — Czytaj.

Cocardasse czytał z trudem i bardzo powoli; tym razem biedak potrzebował pomocy Passepoila.

— Zbliź się — rzekł do przyjaciela — wzrok mi się mąci.

Passepoil rzucił okiem na list i zaczerwienił się z radości. Przyjaciele porozumiewawczo tręcili się łokciami.

— Też historia! — wykrzyknął naiwnie Passepoil.

— Nigdy bym nie uwierzył! — zawtórował Cocardasse.

— Co się stało? — zawołano dokoła.

— Czytaj, Passepoil, głos mi nie dopisuje, nie do wiary!

— Czytaj, Cocardasse, mam ze strachu gęsią skórę!

Gonzaga tupnął niecierpliwie. Cocardasse wyprostował się i rzucił lokajowi:

— Poświeć, fagasio.

Następnie przeczytał głośno i wyraźnie:

— „Aby uregulować nasze sprawy, zapraszam się na dzisiejszą kolację. Będę u pana o dziewiątej”.

— Kto podpisał? — zakrzyknęło dziesięć głosów jednocześnie.

— „Kawaler Henryk de Lagardere” — dokończył Cocardasse.

Zapadła cisza. W kopercie obok listu znajdowała się rękawiczka, ta sama, którą Lagardere zdarł u regenta z ręki Gonzagi.

— Cóż wy na to? — zwrócił się książę do dwóch przyjaciół.

— Człowiek jest omylny — odparł łagodnie Passepoil.

— Powiedziałem prawdę, niech świadczy kaftan.

— A ten list?

— Massabiou potwierdzi, że spotkaliśmy się na ulicy Świętego Jakuba! — wykrzyknął Cocardasse. — Proszę go sprowadzić. Mistrz Jan Petit jest czy nie jest królewskim chirurgiem? Widziałem ciało, poznałem ranę...

— Ale list? — powtórzył Gonzaga marszcząc brwi.

— Łajdaki bezczelnie kłamią — szepnął Peyrolles.

— Panowie — zaczął Gonzaga lekko zmienionym głosem — coś tu niejasnego, przypuszczalnie zdradzili nas ci ludzie...

— Książę panie — zaprotestowali jednocześnie Cocardasse i Passepoil.

— Milczcie. Przyjmuję wyzwanie.

Fechtmistrze zbliżyli się i stanęli przed Gonzaga.

— Panie — zaczął Cocardasse — trzydzieści lat nienaganej konduity przemawia na naszą korzyść. Jeden dzień nie może zaćmić życia pełnego blasku. Książę pan zna nas nie od dziś. Proszę przypomnieć sobie fosę zamku Caylus, byliśmy tam razem...

— Cicho! — krzyknął Peyrolles.

— Panowie wszystko już odgadli — Gonzaga niewzruszony zwrócił się ku przyjaciołom. — Jeśli czego nie wiedzą, czas najwyższy, by ich oświecić. Wzajemnie na siebie liczymy; musimy być wyrozumiali, znamy się już dobrze.

Poplecznicy Gonzagi milcząc pospuszczali głowy. Gdyby choć jeden zaprotestował, zerwał krępujące ich pęta, wszyscy poszliby za nim. Ale

taki śmiałek się nie znalazł. Szczęściem dla Gonzagi, Chaverny był nieobecny; Chaverny nie był człowiekiem, którego można zmusić do milczenia. Tej nocy książę miał nadzieję pozbyć się markiza, i to na długo.

— Tak starych i wiernych sług jak my — podjął Cocardasse — nie można potępić nie wysłuchawszy. Passepoil i ja mamy wrogów. Albo kawaler de Lagardere zmartwychwstał, co raczej nie jest prawdopodobne lub list jest oszustwem, a sporządził go jakiś łajdak, by zaszkodzić dwóm uczciwym ludziom.

— Nie będziecie ukarani — powiedział z roztargnieniem Gonzaga. — Możecie odejść.

— Książę pan nas nie zrozumiał — rzekł z godnością Cocardasse.

— Zapłacę wam — odparł zniecierpliwiony książę. — Czego jeszcze chcecie?

— Czego chcemy? — powtórzył Cocardasse. — Chcemy sprawiedliwości, chcemy wykazać naszą niewinność. List mówi, że pan de Lagardere przyjdzie tej nocy do księcia pana, my natomiast twierdzimy, że pan de Lagardere nie żyje. A zatem niech los rozsądzi. Oddajemy się w niewolę księcia pana. Jeśli skłamaliśmy i pan de Lagardere przyjdzie, damy szyję, nieprawdaż, duszko?

— Z radością — odparł Passepoil.

— Jeśli pan de Lagardere nie przyjdzie, wówczas książę pan pozwoli dwóm wiernym sługom nadal poświęcać mu swe życie.

— Niech tak będzie — odparł Gonzaga — pójdziecie z nami do pałacyku. Los rozsądzi.

Przyjaciele rzucili się do rąk księcia, całując je z wdzięcznością.

— Kazałem wezwać markiza — zwrócił się Gonzaga do pana de Peyrolles.

Totumfacki wyszedł natychmiast.

— Cóż to, panowie? Stoicie niemi i bladzi? — książę mówił dalej, spoglądając z niechęcią na żalosne miny przyjaciół. — Czy się boicie? Czy nie chcecie iść ze mną? Strzeżcie się, pamiętajcie, co powiedziałem wczoraj: ślepe posłuszeństwo! Ja jestem głową, wy — ramionami. Taka między nami umowa.

— Nikt z nas nie myśli o zerwaniu...

— Więc cóż? Pamiętajcie. Wczoraj jeszcze mogliście odejść, dziś już za późno, znacie moją tajemnicę. Ten, co nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Jeśli którego z was zabraknie tej nocy...

— Nie zabraknie nikogo — rzekł pośpiesznie Navailles.

— Tym lepiej. Zbliżamy się do celu. Myślicie, że ze mną źle? Mylicie się. Od wczoraj moja potęga urosła w dwójnasób, wasza fortuna podwoiła się i jesteście bogaci nic o tym nie wiedząc. Chcę, by tryumf mój był zupełny, tak trzeba...

Obietnica zawarta w ostatnich słowach dodała ducha chwiejnym i zalęknionym.

W tej chwili wszedł Peyrolles prowadząc markiza de Chaverny.

— Ani słowa o tym, co zaszło — rzucił Gonzaga zebranym.

— Chaverny! — wołano dokoła ze sztuczną wesołością — chodźże, czekamy na ciebie!

Gdy wymówiono głośno nazwisko młodego markiza, w okienku nad drzwiami ukazała się niewidoczna dotąd głowa garbusa. Cocardasse i Passepoil spostrzegli go jednocześnie.

— Skąd wracasz? — pytano młodego człowieka.

— Nie byłem daleko. Ach, kuzynie, czy musisz mieć dwie odaliski naraz?

Gonzaga zbladł. Twarz garbusa znikła z okienka; stojąc za drzwiami karzeł powstrzymywał bicie rozszalałego serca. To jedno zdanie odkryło mu prawdę.

— Niepoprawny szaleńcze — zaśmiał się z przymusem książę.

— Mój Boże, niedyskrecja nie jest aż tak straszna — odparł Chaverny. — Po prostu przesadziłem mur ogrodu i zamiast jednej Armidy ujrzałem w parku dwie. Obu im brakuje Rinalda.

— Podobają ci się? — spytał śmiejąc się Gonzaga.

— Ubóstwiam je obie. Po co mnie wzywałeś, kuzynie?

— Dziś wieczór należysz do weselnego orszaku.

— Jak to? Ktoś się żeni? Kto?

— Posag pięćdziesiąt tysięcy.

— Gotówką?

— Gotówką.

— Któż się żeni? — wzrok markiza obiegnął obecnych.

— Zgadnij — zaśmiał się książę.

— Nie mogę, za wielu kandydatów. Zaraz, a może to ja?

— Zgadłeś.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Garbus otworzył cichutko drzwi budy i stanął na progu.

— A posag? — spytał Chaverny.

— Oto jest — Gonzaga wyciągnął z kieszeni plik akcji. — Posag gotów.

Chaverny zawahał się chwilę. Obecni składali mu życzenia. Garbus zbliżył się powoli i umoczywszy pióro w atramencie podał księciu, podstawiając plecy do podpisu.

— Zgadzasz się? — spytał Gonzaga, zanim podpisał żyro.

— Zgadzam się — odparł młody markiz. — Kiedyś trzeba się ustatkować.

Gonzaga podpisał. Następnie rzekł do garbusa:

— No, przyjacielu, czy zależy ci jeszcze na tej fantazji?

— Bardziej niż kiedykolwiek, panie.

— Dlaczego bardziej niż kiedykolwiek?

— Gdyż znam pana młodego.

— Na cóż ci to?

— Są rzeczy, których nie można wyjaśnić. Nie potrafię na przykład wytłumaczyć panu, iż jestem przekonany, że beze mnie pan de Lagardere nie wypełni chełpliwej obietnicy.

— Więc słyszałeś?

— Moja buda stoi tuż obok, panie; raz już oddałem księciu panu wielką przysługę.

— Służ mi i tym razem, nie pożałujesz tego. Masz, Chaverny. — Gonzaga podał markizowi podpisane akcje, a zwracając się do garbusa dodał: — Zapraszam cię na wesele.

Obecni przyjęli zaproszenie oklaskami, a Cocardasse wymienił z Passepoilem znaczące spojrzenie.

— Wilk w owczarni — mruknął — mają rację, dobra będzie zabawa!

V. SALON I BUDUAR

Prywatny pałacyk Gonzagi urządzone z prawdziwie książęcym przepychem. Wszędzie białe marmury i złoto; wiele fantazji, trochę stylu greckiego, a trochę modnej wówczas chińszczyzny. Prawdziwa bombonierka. Plafony malowali mistrzowie Van Loo i Boucher.

Była ósma, goście siedzieli przy stole, salon pełen był kwiatów i świateł. W ogniu pajaków stół błyszczał bogactwem nakryć. Choć podano dopiero drugie danie, goście byli już na pół pijani. Najmniej przytomny był markiz de Chaverny. Znajdujące się tam damy w większości należały do opery i baletu, gardziły przesadami, były młode, ładne, wesołe i swawolne, zawsze skore do śmiechu.

Księcia wezwano do Palais-Royal. Przy stole oprócz fotela Gonzagi znajdowały się trzy puste miejsca: krzesło donii Cruz, która opuściła salon wraz z gospodarzem. Nikt nie wiedział, czy Gonzaga zmusił ją, by wyszła do gości, czy też urocza Cyganka wymogła na księciu, by pozwolił jej pokazać się obecnym. Faktem jest, że oczarowała wszystkich i wszyscy pozostawali pod jej urokiem.

Drugie miejsce dotąd wcale nie było zajęte. Trzecie należało do Ezopa II. Chaverny pokonał go w walce na szklanki szampana, po czym pijanego jak bela ułożył w berzerce, okrywając stosem płaszczy i mantyl, tak że prawie nie było go widać; groziło mu najwyżej uduszenie. Biedak był tak pijany, że się nawet nie skarżył. Zawiódł oczekiwania biesiadników, okazując się milczący i ponury. O czym mógł myśleć żywy pulpit? Precz z garbusem, nigdy więcej nie weźmie udziału w podobnej kolacji!

Zanim wino zamroczyło umysły, wielu zapytywało siebie, w jakim celu Gonzaga sprowadził do stołu donię Cruz. Księżę nic nie czynił bez

zastanowienia. Dziewczynę ukrywał dotąd starannie, z prawdziwie hiszpańską zazdrością. Zdziwiło więc wszystkich, gdy nagle wprowadził ją w towarzystwo tuzina nicponiów.

Chaverny chciał wiedzieć, czy to właśnie donia Cruz jest jego narzeczoną, ale Gonzaga rzekł: „Nie, cierpliwości”. Wszyscy byli szaleńczo weseli, pili dużo, krzyczeli, śpiewali, wybuchając co chwila śmiechem. Wyborne wina i wyśmienita kuchnia Gonzagi kazały zapomnieć o groźbie, jaka zawisała nad tą ucztą Baltazara... Jedynie Peyrolles zachował pogrzebową minę.

— Jeśli łajdak Ezop obudzi się — rzekł Chaverny — utopię garbusa!
— Następnie ociężałym spojrzeniem obrzucił salon. — Nie widzę bogini naszego Olimpu — powiedział nagle. — Muszę wyjaśnić sytuację. — Tu zachwiał się w fotelu. — Muszę — powtórzył z pijackim uporem — tak nakazuje delikatność. Pięćdziesiąt tysięcy to sumka; gdybym nie był zakochany... Gdzie donia Cruz? — krzyknął. — Chcę donii Cruz!

— Donia Cruz! Donia Cruz! — zawołano chórem. — Chaverny ma rację, chcemy donii Cruz!

— Moglibyście, panowie, mówić: panna de Nevers — zauważył sucho Peyrolles.

— Panna de Nevers! Panna de Nevers! Słusznie! — zawołano z wybuchem nowej wesołości, po czym wszyscy jak na komendę zerwali się od stołu i podbiegli do drzwi, za którymi znikła Cyganka. Chaverny stukał w drzwi buduaru wołając:

— Jeśli pani nie przyjdzie, przystąpimy do oblężenia!

— Panowie, panowie! — mitygował Peyrolles.

— Zamilcz, puszczyku! — markiz chwycił intendenta za kołnierz. — Inaczej posłużę się tobą jak taranem.

Donii Cruz nie było w buduarze, którego drzwi zamknęła za sobą na klucz. Kręte schody wiodły stąd na parter, gdzie znajdowała się sypialnia

Cyganki. Na sofie leżała tu drżąca Aurora, z zapuchniętymi od płaczu oczami. Od piętnastu godzin przebywała w tym domu. Bez donii Cruz umarłaby chyba z lęku i rozpacz.

— Co słyszeć? — spytała słabym głosem wchodzącą przyjaciółkę.

— Księcia Gonzagę wezwano do pałacu — odparła Cyganka. — Niepotrzebnie się lękaś, siostrzyczko, na górze bardzo przyjemnie. Gdyby nie myśl, że zamartwiasz się tu sama, bawiłabym się wybornie.

— Co tam robią? Aż tu słyszeć krzyki.

— Bawią się, szaleją, szampan płynie strumieniem.

— Wszyscy są weseli, a najbardziej uroczy to markiz de Chaverny.

— Chaverny — powtórzyła Aurora przesuwając ręką po czole, jak gdyby dla przywołania wspomnień.

— Młodziutki i przemiły, nie boi się ni Boga, ni diabła. Niestety, nie wolno mi się nim zbytnio zajmować, bo zaręczony.

— Ach — powiedziała Aurora obojętnie.

— A zgadnij z kim, siostrzyczko.

— Cóż mnie to obchodzi?

— Musi cię obchodzić. Młody markiz de Chaverny jest twoim narzeczonym.

Aurora powoli podniosła głowę, uśmiechając się smutno.

— Nie żartuję — powiedziała donia Cruz.

— Czy nic o nim nie wiesz? — szepnęła Aurora. — Niczego się nie dowiedziałaś?

— Nie, nic nie wiem.

— Ludzie, którzy wczoraj na nas napadli, powiedzieli: „Zginął...Lagardere nie żyje”. — Aurora znowu wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem.

— Jestem pewna, że żyje.

— Skąd wiesz?

— Po pierwsze tam na górze jeszcze się go boją, po drugie kobieta, którą chcieli mi dać za matkę...

— Ta, co jest jego wrogiem? Ta, którą widziałam w Palais-Royal?

— Tak, jego nieprzyjaciółka, poznałam ją z opisu. Ciągłe go prześladowuje. Gdy byłam dziś u księcia Gonzagi, by poskarżyć się na przygodę, jaka mnie spotkała wczoraj w twoim domu, widziałam ją i słyszałam, co mówiła. Rozmawiała z siwowłosym panem. — „To mój obowiązek i prawo — mówiła — pilnie uważam, nie wymknie mi się; gdy wybije dwudziesta czwarta godzina, zostanie schwytany, choćbym miała zrobić to własnoręcznie”. Muszę ci jeszcze coś wyznać — dodała Cyganka z wahaniem. — Książę Gonzaga był dla mnie dobry, ale już mu nie ufam. — A siadając na sofie obok przyjaciółki szepnęła: — Pewnie mi to powiedział, bym ci powtórzyła.

— Co ci powiedział?

— Że chce cię wydać za markiza de Chaverny.

— Jakie ma prawo?

— Nie wiem. Nie dba o to. W rozmowie między innymi powiedział: „Jeśli będzie posłuszna, uratuje od śmiertelnego niebezpieczeństwa wszystko, co ma najdroższego na świecie”.

— Lagardere — krzyknęła Aurora.

— Chyba mówił o Lagardere — przytaknęła Cyganka, Aurora ukryła twarz w dłoniach. Z góry usłyszały krzyki i uderzenia w drzwi oraz głosy wołające donię Cruz.

— Muszę iść.

— Boję się zostać sama — szepnęła Aurora — boję się wszystkich; i lokai, i służących, wszystkiego się boję.

— Nie bój się niczego. Cała służba wie, że cię kocham. Myślą, że mam wielką władzę nad Gonzagą. — A po chwili namysłu dodała: Czasem i ja tak sądzę; wydaje mi się, że jestem mu potrzebna. — Po

tych słowach zerwała, się i pochwyciła szklankę napełnioną szampanem, którą wchodząc postawiła na stoliku. Nic nie jest stracone, jeśli rzeczywiście jestem mu potrzebna; najważniejsze to zyskać na czasie..

— Ale to małżeństwo! Wolę tysiąc razy śmierć.

— Umrzeć zawsze czas, siostrzyczko.

— Opuszczasz mnie? — Aurora chwyciła ją za suknię.

— Czy nie słyszysz, jak wołają? Ach — przypomniała sobie — czy mówiłam ci o garbusie?

— Nie, o jakim garbusie?

— O tym samym, który wczoraj zawiózł mnie do twego domu. On tu jest.

— Na kolacji?

— Na kolacji. Mówiłaś, że to jedyna istota, której wolno było wchodzić do tajemniczego pokoju twego pięknego Lagardere'a.

— W takim razie to ten sam.

— Mogłabym przysiąc. Podeszłam do niego, by mu szepnąć, że w razie potrzeby może na mnie liczyć.

— No i co?

— To najdziwniejszy karzeł, jakiego znam. Udał, że mnie nie poznaje; nie mogłam wydobyć z niego ani słowa. Zajęty był damami, bawiły się nim i poły tak, że upadł pod stół.

— Są więc i kobiety? — spytała Aurora.

— Naturalnie. Same wielkie damy — odparła w najlepszej wierze Cyganka. — Takie właśnie paryżanki chciałam poznać w Madrycie. Tu wszystkie damy dworu śpiewają, piją, śmieją się i klną jak muszkietierowie. Coś uroczonego!

— Jesteś pewna, że to wielkie damy? Chciałabym je zobaczyć, sama będąc nie widziana — dokończyła Aurora z rumieńcem.

— A nie chciałabyś przypadkiem zobaczyć markiza de Chaverny? — spytała donia Cruz z lekką drwiną w głosie.

— Owszem, chciałabym go zobaczyć — odpowiedziała z prostotą Aurora.

Cyganka, nie dając jej czasu do namysłu, chwyciła przyjaciółkę za ramię i pociągnęła na ukryte schody. Od salonu, gdzie odbywała się uczta, dzieliły je tylko drzwi. Słychać było wyraźnie krzyk dwudziestu głosów wśród wybuchów śmiechu i brzęku szkła:

— Oblegajmy buduar! Do ataku! Do ataku!

Pan de Peyrolles nie potrafił powstrzymać rozochoconych biesiadników. Po drugiej stronie drzwi Aurora, pólżywa ze strachu, gorzko żałowała ciekawości. Nieulęka donia Cruz śmiała się rozbawiona. Zdmuchnęła świece palące się w buduarze, by z salonu nikt nie mógł dojrzeć jej towarzyszki.

— Spójrz — wskazała przyjaciółce dziurkę od klucza, a słysząc rosnący hałas dodała: — markizy są zazdrosne.

— To mają być markizy? — zauważyła z powątpiewaniem Aurora z okiem przy dziurce od klucza.

— Nie znasz dworu — z wyższością odparła Cyganka.

— Donia Cruz! My chcemy donii Cruz! — krzyczano w salonie.

— Chcą, bym wyszła — szepnęła Cyganka uśmiechając się z dumą. W tej chwili drzwi zadrżały, wściekle potrząsane. Aurora odskoczyła przerażona, a Cyganka przyłożyła oko do dziurki od klucza.

— Młody markiz jest uroczy — szepnęła. — Nie widzę garbusa.

Aurora na próżno starała się w tłumie gości rozpoznać wielbiciela z Madrytu.

— Który to z nich? — spytała.

— Najbardziej pijany ze wszystkich — odparła Cyganka — Nie uważasz, że jest przemiły?

— Boże! Boże! — Aurora ukryła twarz w dłoniach — jak pomyślę, że ten człowiek... Chodźmy stąd, chodźmy. Będę się modlić.

— Siostrzyczko, najważniejsze to zyskać na czasie. Udawaj posłuszeństwo, wierz mi, tak lepiej — to mówiąc sprowadzała przyjaciółkę po schodach. — Gotowa jestem poślubić młodego de Chaverny, byle tylko wybawić cię z kłopotu.

— Zrobiłabyś to dla mnie? — wykrzyknęła Aurora z wdzięcznością.

— Naturalnie. Idź, pomódl się, jeśli cię to pocieszy. Gdy uda mi się wymknąć, przybiegnę do ciebie.

I prędko, lekko wbiegła na schody. Pod drzwiami salonu przystanąła nasłuchując.

— Atakujmy mocniej, panowie mówił Navailles — mała kpi sobie z nas.

Donia Gruz otworzyła drzwi i uśmiechnięta, wesół, stanęła na progu, trzymając nad głową szklankę szampana. Pojawienie jej obecni nagrodzili oklaskami.

— Trochę życia, panowie! Myślicie, że słyhać was po tamtej stronie? Chaverny spoglądał na Cygankę z podziwem.

— Urocza, zachwycająca! — szeptał.

Donia Cruz szukała wzrokiem garbusa. Instynkt mówił jej, że w tym człowieku znajdzie sprzymierzeńca. Nie chciała nikogo pytać, a musiała dowiedzieć się, czy pojechał razem z Gonzagą.

— Gdzie księżę? — spytała.

— Już wrócił — odparł Peyrolles — wydaje na dole rozkazy.

Chaverny podniósł się, przybierając pozę mówcy.

— Panowie — zaczął — oto kilka pustych miejsc. Jedno należy do mego kuzyna, księcia Gonzagi, drugie — do garbusa; oba te miejsca

były już dziś zajęte. A to trzecie? — wskazywał fotel stojący naprzeciw krzesła Gonzagi, który od początku kolacji pozostawj pusty. — Ten fotel musi być zajęty, chcę, by usiadła tu panna młoda.

— Racja — zakrzyknięto. — Chaverny ma rację! Panna młoda! Panna młoda!

Donia Cruz starała się uchwycić młodego markiza za ramię, ale nic nie potrafiło odwieść go od raz powziętej myśli.

— Co, u licha — mruzczał trzymając się stołu, z twarzą zakrytą włosami — chyba nie jestem pijany, co?

— Proszę pić i milczeć — szepnęła Cyganka.

— Już piję, o bogini, jestem ci posłuszny, ale nie mogę milczeć. Mam rację: chcę panny młodej. — uderzył pięścią w stół, krzycząc coraz głośniej. — Gdzie panna młoda? To absurd pozostawiać puste miejsce — tu uchwycił się serwety, by nie upaść. — Tak, po co puste miejsce, gdy się nikogo nie oczekuje.

Salwa braw nagrodziła przemówienie młodego markiza; w drzwiach stanął Gonzaga.

— Toteż, kuzynie, czekamy na kogoś — powiedział wchodząc do salonu.

VI. BUKIET I BRZOSKWINIA

Twarz księcia wydała się zebrany surowa i zatroskana. Postawiono szklanki, uśmiechy zagasty.

— Kuzynie — zaczął Chaverny opadłszy na fotel — czekałem na twój powrót, by ci powiedzieć...

— Nie pij więcej — rzekł sucho Gonzaga wyjmując szklankę z ręki markiza.

— Coś podobnego — zaprotestował Chaverny.

— Nie pij — powtórzył Gonzaga i wyrzucił szklankę za okno.

Peyrolles usiłował zbliżyć się do pana, lecz ubiegła go donia Cruz.

— Jedno słówko, książę.

— Gonzaga pocałował rękę Cyganki i odeszli na bok.

Im dłużej trwała rozmowa gospodarza z donia Cruz, tym większy niepokój malował się na twarzach biesiadników. Na tym festynie brakło szczerzej wesołości. Wino zaczerwieniło wprawdzie twarze i nadało głosom krzykliwość, ale zza wybuchów fałszywego humoru przebijał lęk. Wystarczyło, by Gonzaga zmarszczył brwi, a kłamliwie radosny nastrój pryskał w jednej chwili.

— Czy ufasz mi, dziecko? — książę po raz drugi całował rękę Cyganki.

— Oczywiście, panie — odparła donia Cruz z prośbą w spojrzeniu — to moja jedyna przyjaciółka, prawie siostra.

— Nie mogę ci niczego odmówić, drogie dziecko. Za godzinę, bez względu na to, co się stanie, twoja przyjaciółka będzie wolna.

— Doprawdy, panie? — wykrzyknęła z radością. — Biegnę ją powiadomić.

— Jeszcze nie pora, — zostań chwilę. — Czy uprzedziłaś ją o moim zamiarze?

— O małżeństwie? Tak, wzdraga się przed tą myślą.

— Powiem ci tylko jedno — Gonzaga ścisnął obie ręce Cyganki: — pragnąłbym ocalić człowieka, którego kocha.

— Ależ, panie! — zawołała donia Cruz — zechciej tylko wyjaśnić, w czym to małżeństwo ma pomóc panu de Lagardere, a powtórzę twe słowa Aurorze.

— Nic więcej nie mogę powiedzieć — przerwał Gonzaga. — Czy sądzisz, że jestem panem wypadków? Przyrzekam jedno: nikt jej nie będzie zmuszał.

Po tych słowach chciał odejść, ale donia Cruz chwyciła księcia za rękaw fraka.

— Wrócę do Aurory, te niedomówienia napętlają mnie obawą.

— Chwileczkę, jesteś mi potrzebna.

— Ja? — zdumiała się Cyganka.

— Będziemy mówić o sprawach, których damy nie powinny słyszeć, ale nie ma to nic wspólnego z twą przyjaciółką. Jesteś u siebie, rób, proszę, honory domu i wyprowadź panie do salonu Marsa.

— Dobrze, książę.

Gonzaga podziękował i podszedł do stołu. Biesiadnicy usiłowali wyczytać coś z twarzy księcia, ale on przywołał pannę Nivelle.

— Postaraj się zająć to dziecko — wskazał donię Cruz — by nie zwracała uwagi na to, co się tu będzie działo.

— Chodźcie, ślicznotki — zawołała Nivelle do towarzyszek — donia Cruz pokaże nam wyprawę panny młodej.

Damy zerwały się i przeszły za Cyganką do sąsiedniego salonu, położonego naprzeciw buduaru. Rzeczywiście, była tam wspaniała wyprawa ślubna.

Gonzaga dał znak panu de Peyrolles, który zamknął za nimi drzwi. Cyganka natychmiast zawróciła, ale Nivelle pociągnęła ją za rękę:

— Proszę pokazać nam te cuda, nie puścimy pani.

W salonie pozostali sami mężczyźni. Zapadło głucho milczenie i cisza obudziła młodego Chaverny'ego.

— No i co? Gdzie damy? — spytał, a gdy nikt nie odpowiadał, dodał: — Kuzynie, tu okropnie ponuro, idę do dam.

— Zostań — rozkazał Gonzaga, a wodząc wzrokiem po zebranych spytał: — Czy wszyscy macie zimną krew, panowie?

— Wszyscy — odpowiedzieli obecni.

— Mamy pół godziny na rozmowę, dość żartów, markizie.

Gonzaga spojrział z niezadowoleniem na pana de Chaverny, następnie na zegar.

— Nie przejmuj się moją osobą, kuzynie — odparł Chaverny siadając na stole z powagą pijaka. — Oby nikt z was nie był bardziej wstawiony niż ja.

— Panowie — przerwał Gonzaga — jeśli trzeba, obejdziemy się bez niego. Oto, w czym rzecz. Pewna dziewczyna nam przeszkadza, rozumiecie? Wszystkim nam przeszkadza; interesy nasze są bardziej wspólne, niż się wam wydaje. Moja fortuna jest waszym losem, a poczyniłem kroki, by przykuć was mocnym łańcuchem do mojej osoby. Otóż ta dziewczyna...

— Chwila wydaje się poważna — powiedział Navailles — mamy prawo znać prawdę. Czy ta dziewczyna porwana wczoraj przez pańskich ludzi jest tą samą, o której mówiono u regenta?

— Którą pan de Lagardere obiecał przyprowadzić do Palais-Royal? — dodał Choisy.

— Czyli panną de Nevers? — zakończył Noce.

— Panną de Nevers? — powtórzył Chaverny mieniąc się na twarzy.

— Co cię obchodzi jej nazwisko? — Gonzaga zmarszczył brwi. — Wystarczy, że nam przeszkadza i musimy usunąć ją z drogi.

Zapadło milczenie. Chaverny wziął szklankę, lecz odstawił ją nie podnosząc do ust.

— Równie jak wy mam wstręt do przelewu krwi — ciągnął Gonzaga. — Szpada w niczym mi nie pomogła, więc precz ze szpadą. Jestem za użyciem łagodnych środków. Chaverny, daję ci pięćdziesiąt tysięcy posagu oraz pokrywam koszty podróży, by zachować spokój sumienia.

— To dużo — mruknął Peyrolles.

— Nie rozumiem — powiedział Chaverny.

— Zaraz zrozumiesz. Daję dziewczynie szansę.

— Czy to panna de Nevers?

— Jeśli się jej spodobaś... — zaczął Gonzaga zamiast odpowiedzi.

— Nie ma obawy — Chaverny wychylił szklankę wina.

— Tym lepiej, w takim razie poślubi cię dobrowolnie.

— Inaczej nie chcę — rzekł Chaverny.

— Ani ja — odparł Gonzaga z dwuznacznym uśmiechem. — Gdy weźmiesz ślub, wywieziesz żonę na głęboką prowincję, gdzie przedłużysz w nieskończoność miodowy miesiąc, chyba że będziesz wolał sam powrócić do Paryża.

— A jeśli ona się nie zgodzi?

— Jeśli się nie zgodzi, sumienie nie wyrzuci mi nic. Będzie wolna. — Przy tych słowach spuścił oczy.

— Mówiłeś przecież — szepnął Chaverny — że dasz jej jedną szansę. Jeśli przyjmie moją rękę, będzie żyć, jeśli odmówi, będzie wolna. Nie rozumiem.

— Bo jesteś pijany — odparł sucho Gonzaga.

Reszta biesiadników siedziała w głębokim milczeniu. Wśród jasno palących się świec, wśród wesołych malowideł plafonu i obrazów

zdobiących ściany, wśród pustych butelek i zwiędłych kwiatów powiało grozą. Z sąsiedniego salonu dobiegał chwilami śmiech kobiet, przykro drażniąc nerwy zebranych. Jeden tylko Gonzaga trzymał wysoko podniesioną głowę i miał uśmiech na ustach.

— A wy, panowie — podjął — jestem pewien, że mnie rozumiecie.

Nikt nie odpowiedział, nawet tak zatwardziały łotr jak pan de Peyrolles.

— W takim razie muszę wam wyjaśnić, i to w krótkości, gdyż czasu mamy niewiele. Jak powiedziałem, dziewczyna nam zawadza, jej istnienie niweczy cały nasz plan. Nie przybierajcie tak sceptycznych min, jest tak, jak mówię. Gdybym jutro utracił dziedzictwo Neversa, pojutrze musielibyśmy wszyscy opuścić Francję.

— Wszyscy?! — zakrzyknęli zebrani.

— Wszyscy, moi panowie — odparł prostując się Gonzaga. — Wszyscy bez wyjątku. Nie chodzi już o wasze przeszłe grzeszki, o, nie! Książę Gonzaga idzie za modą i jak pierwszy lepszy sklepikarz prowadzi rachunki. Wszyscy jesteście zapisani w księgach księcia Gonzagi. Peyrolles doskonale zna się na interesach. Moje bankructwo będzie waszą zgubą.

Oczy obecnych skierowały się na pana de Peyrolles, który nawet nie drgnął.

— Ponadto po wczorajszych wypadkach... No, ale dość gróźb.

Trzymam was mocno i w przeciwnościach będziecie razem ze mną, jak wierni towarzysze. Chcę wiedzieć, czy gotowi jesteście wykazać dobrą wolę?

Nikt nie odpowiedział. Uśmiech Gonzagi stał się jeszcze bardziej drwiący.

— Widzę, że mnie rozumiecie, nie na próżno liczyłem na waszą inteligencję. Dziewczyna będzie wolna, powiedziałem, i dotrzymam

słowa. Będzie mogła stąd wyjść, iść, dokąd zechce, tak, panowie. To was dziwi?

Wszystkie spojrzenia wlepione były pytająco w Gonzagę. Chaverny z ponurą miną sączył powoli szampana, —apadła cisza. Wreszcie księżę po raz pierwszy napełnił swoją szklankę oraz szklanki biesiadników.

— Często wam mówiłem, panowie — zaczął swobodnie: — dobre maniere, piękne zwyczaje, wspaniała poezja, wykwiłne perfumy — wszystko to przychodzi do nas z Italii. — Tu wypił łyk szampana. — Opowiem historyjkę z czasów mojej młodości. Otóż hrabia Annibale Canozza, z rodziny książąt Amalfi, był moim kuzynem, wesołym młodzieńcem, z którym spędziliśmy wiele miłych chwil. Był bardzo bogaty, posiadał cztery zamki nad Tybrem, wielkie dobra w Lombardii, pałace we Florencji, Rzymie i Mediolanie, wspaniałą złotą zastawę odziedziczoną po przodkach. Byłem jego jedynym spadkobiercą. Kuzyn mój miał dwadzieścia siedem lat i mógł żyć długo, nie znałem zdrowszego odeń człowieka. Zimno wam, panowie, pijcie, nic tak nie rozgrzewa jak wino.

Pewnego wieczoru zaprosiłem kuzyna do mojej posiadłości koło Spoleto. Przepiękna miejscowość. Siedzieliśmy na tarasie wdychając zapachy kwiatów. O ile pamiętam, rozmawialiśmy o nieśmiertelności duszy. Opuścił mnie zdrowiutki, przy pełni księżyca. Widzę go jeszcze, jak wsiada do karety. Był przecież wolny prawda? Mógł iść, dokąd zechce, na bal, na kolację, na spotkanie miłosne... Mógł także zostać... — Oczy obecnych zawisły wyczekująco na ustach księcia. — Hrabia Canozza, mój kuzyn, wolał pozostać i pozostał.

Chaverny konwulsyjnie ścisnął szklankę. Zebrani poruszyli się niespokojnie. Gonzaga wziął z kosza brzoskwinie i rzucił na kolana młodego markiza.

— Studiuj obyczaje włoskie, kuzynie — powiedział i zwrócił się do gości: — Chaverny jest zbyt pijany, by mnie zrozumieć, zresztą może to i lepiej. Studiujcie Italię, panowie. — Mówiąc to rzucał każdemu z biesiadników brzoskwinię. — Zapomniałem wspomnieć o drobnostce bez znaczenia: mój kuzyn, hrabia Canozza, nim mnie opuścił, zjadł brzoskwinię.

Każdy z obecnych pośpiesznie położył na stole trzymany w ręku owoc. Gonzaga napełnił szklankę, Chaverny poszedł w jego ślady.

— Uczcie się obyczajów włoskich, tylko w Italii ludzie umieją żyć. Już od stu lat nikt tam nie posługuje się głupim sztyletem. Po cóż zadawać gwałt? Jeśli ktoś zechce usunąć ze swej drogi dziewczynę, jak na przykład my, wybiera mężczyznę, który zgodzi się ją poślubić i wywieźć daleko. Zupełnie jak w naszym przypadku. Jeśli dziewczyna się zgadza, wszystko w porządku. Jeśli zaś odmówi (a zarówno w Italii, jak i u nas ma do tego prawo), jeśli więc odmówi, należy skłonić się do ziemi, prosząc o przebaczenie, następnie wyprowadzić ją z szacunkiem, a na pożegnanie ofiarować bukiet kwiatów... Mówiąc to wziął bukiet ze stołu. — Czyż można odmówić przyjęcia kwiatów? Dziewczyna odchodzi wolna, jak mój kuzyn Canozza; może iść, gdzie zechce: do kochanka, do przyjaciółki, do domu, ale może też pozostać.

Wyciągnął przed siebie bukiet. Obecni cofnęli się z drżeniem.

— I ona zostaje? — wymówił Chaverny przez zaciśnięte zęby.

— Zostaje — odparł zimno Gonzaga, patrząc młodemu człowiekowi prosto w oczy.

— To zatrute kwiaty! — krzyknął zrywając się markiz.

— Usiądź — zaśmiał się książę — jesteś pijany.

— Tak, chyba jestem pijany — Chaverny przesunął ręką po czole, na którym perliły się kropelki — Gdyby było inaczej... — Zachwiał się, w głowie mu huczało.

VII. DZIEWIĄTE UDERZENIE ZEGARA

— Nie wie, co mówi, wybaczam mu — szepnął Gonzaga. — Gdyby jednak który z was...

— Ona się zgodzi — wybełkotał Navailles, by uspokoić sumienie — przyjmie rękę markiza.

Był to protest, ale tak słaby, że przeszedł bez echa. Lęk przed ruiną głośniej przemawiał w sercach zebranych. Gonzaga wiedział już, że może odważyć się na wszystko; ludzie ci byli jego współnikami. Położył bukiet na stole.

— Dość na ten temat — powiedział. — Doszliśmy do porozumienia. Jest jednak coś ważniejszego; jeszcze nie wybiła dziewiąta.

— Czy książę pan ma nowe wiadomości? — spytał Peyrolles.

— Nie, tylko poczyniłem odpowiednie kroki: pałacyk jest obstawiony. Na dole, w westybulu, czeka uzbrojona służba.

— A Cocardasse i Passepoil? — spytał Navailles.

— Czekają jak my, są tam — wskazał drzwi do galerii, które właśnie otwarły się szeroko.

— Na kogo czekają oni i my? — spytał nagle Chaverny, w którego przygasłych oczach zapalił się błysk świadomości.

— Nie było cię wczoraj, kuzynie, gdy otrzymałem list?

— Nie. Na kogo czekasz?

— Na kogoś, kto zajmie to oto miejsce — odparł książę wskazując fotel, który stał pusty od początku kolacji.

— Wszędzie pełno zbrojnych — rzekł z pogardą Chaverny — wszyscy na jednego człowieka?

— Ten człowiek nazywa się Lagarddre — odparł z mimowolną emfazą Gonzaga.

— Lagardere — powtórzył Chaverny. — Nienawidzę go. Miał mnie na końcu szpady i darował mi życie.

— Czy myślicie, panowie — zaniepokoił się książę — że zachowałem dostateczną ostrożność? Czy dwudziestu ludzi wystarczy, by pochwycić łotra żywego lub umarłego?

— Zbyt wielu! — zawołano.

— Nikt z was nie zarzuci mi lekkomyślności? Potrzebowałem waszej aprobaty, teraz powiem moje zdanie. Ja znam Lagardere'a. Lagardere powiedział: „O dziewiątej będę wśród was”, więc punktualnie o dziewiątej zobaczymy go twarzą w twarz, jestem tego pewien, mogę przysiąc. Cała armia nie powstrzyma go od spełnienia obietnicy, stawi się na oznaczoną godzinę. Wejdzie kominem? Wskoczy przez okno? Wyłoni się spod podłogi? Nie wiem. Wiem tylko, że z wybiciem zegara ani minuty wcześniej, ani później, zasiądzie przy tym stole.

— Do licha — zawołał Chaverny — chcę się zmierzyć z tym Lagardere'em!

— Milcz! — przerwał książę. — Walka karła z olbrzymem dobra tylko w cyrkowej budzie. — To mówiąc wyciągnął szpadę z pochwy i zgiął kilkakrotnie stalowe ostrze, wypróbowując giętkość błyszczącej stali.

— Zbliża się godzina — powiedział spoglądając z ukosa na zegar. — Zróbcie jak ja. Musicie liczyć tylko na własne szpady.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na wspaniałą zegar, zamknięty w skrzynce z różanego drzewa. Strzałka zbliżała się do dziewiątej. Goście zerwali się i rozbiegli w poszukiwaniu porzuconej przed kolacją broni.

— Dokąd idziesz? — spytał książę pana de Peyrolles, który kierował się w stronę galerii.

— Zamknąć drzwi — odparł ostrożny sługa.

— Zostaw je otwarte. Powiedziałem, że mają być otwarte, i tak zostaną. To sygnał, panowie. Jeśli drzwi się zamkną, będzie to oznaczało, że ptaszę w klatce. Dopóki są otwarte, czuwajcie.

Wszyscy ustawili się ze szpadami w rękę, z twarzą odwróconą ku ciemnej galerii. Chaverny stał najbliżej drzwi. To uroczyste i napięte oczekiwanie było miarą wielkości mającego przybyć człowieka. W zegarze zachrobotło jak przed wybiciem godziny.

— Uwaga, panowie! — rzekł Gonzaga ze wzrokiem utkwionym w mroczny otwór galerii. Gdy zegar zaczął powoli wydzwaniać godzinę, wziął ze stołu szklankę: — Zdrowie pana de Lagardere! W jednej ręce szklanka, w drugiej szpada! — Z tymi słowami podniósł szklankę do góry.

— W jednej ręce szklanka, w drugiej szpada! — powtórzyli chórem obecni i czekali tak, nasłuchując, z pełnymi szklankami i bronią w rękę. W ciszy, jaka zapadła, rozległ się na dworze szcęk oręża. Zegar bił powoli; wydawało się, że wiek minie, zanim uderzy dziewięć razy. Przy ósmym uderzeniu szcęk żelaza za oknem ucichł. Zegar uderzył po raz ostatni. Oba skrzydła drzwi wiodących do galerii zamknęły się z trzaskiem. W sali rozległy się zwycięskie okrzyki, opuszczono szpady.

— Na śmierć Lagardere'a! — krzyknął Gonzaga.

— Na śmierć Lagardere'a! — powtórzyli obecni i jednym haustem opróżnili szklanki.

Chaverny nie poruszył się i nie krzyknął. Nagle pośrodku salonu zafalowała góra płaszczy i okryć piętrząca się na śpiącym garbusie. Gonzaga zapomniał o gościu, nie wiedział nawet, co się z nim stało.

A jednak sam powiedział: „Nie wiem, czy wskoczy przez okno, czy spuści się kominem, czy wyłoni się spod podłogi. Wiem tylko, że z wybiciem godziny zjawi się wśród nas”. Na widok ruszającej się masy

okryć odstawił szklankę, stając w obronnej pozycji, gotów do odparcia ataku. Spod płaszczy usłyszano suchy, skrzekliwy śmiech.

— Oto jestem, oto jestem — zaszemrał piskliwy głosik.

Nie był to Lagardere.

— A, nasz przyjaciel Ezop — zaśmiał się Gonzaga.

Garbus podskoczył, pochwycił szklankę i podchodząc do pijących powiedział:

— Zdrowie Lagardere'a. Tchórz dowiedział się, że tu jestem, i zabrakło mu odwagi.

— Niech żyje garbus! — wrzasnęli ze śmiechem obecni. — Niech żyje!

— Ho, ho — powiedział Ezop — gdyby ktoś tak jak ja nie znał waszego męstwa, panowie, widząc te objawy radości posądziłby was o lękliwość. Co robią te dwa zuchy! — wskazał Cocardasse'a i Passepoila, nieruchomych jak posągi przed zamkniętymi drzwiami galerii. Obaj mieli tryumfujące miny.

— Przynosimy nasze głowy — powiedział obłudnie Gaskończyk.

— Uderz, panie, i wyślij dwie dusze do raju — dodał Passepoil.

— Zwracam honor! — zawołał wesoło Gonzaga. — Dać tym zuchom wina, napiją się z nami!

Chaverny patrzył na nich z obrzydzeniem, jak na katów. Gdy podeszli do stołu, czym prędzej się oddalił.

— Słowo honoru — powiedział do pana de Choisy —gdyby Lagardere się pojawił, stanąłbym po jego stronie.

— Sza — szepnął Choisy.

— Czy książę pan pewien jest tego człowieka? — garbus wskazywał młodego markiza, którego słowa doszły jego uszu.

— Nie — odparł Gonzaga.

Cocardasse i Passepoil pili wraz z innymi. Chaverny, otrzeźwiony, słuchał. Passepoil opowiadał o atłasowym kaftanie splamionym krwią. Cocardasse mówił o szpitalu Val-de-Grace.

— To podłość — wybuchnął wreszcie młody markiz podchodząc do Gonzagi. — Zrozumiałem, że zamordowano człowieka.

— Co? — spytał garbus udając najwyższe zdziwienie. — Skąd ten się tu wziął?

— Uważaj, kuzynie — Gonzaga położył rękę na ramieniu młodzieńca — zbyt dużo wypieś.

— Przeciwnie, panie — zauważył Ezop II — kuzyn pił za mało. Znam się na tym.

— Może masz i rację — odparł Gonzaga — oddaję ci go.

— Dziękuję, książę — A zbliżywszy się do markiza ze szklanką w ręku, dodał: — Napije się pan ze mną? Winien mi pan rewanż.

Chaverny śmiejąc się podniósł szklankę.

— Za pańskie wesele, piękny panie młody!

Usiedli naprzeciwko siebie, otoczeni sędziami i tłumem stronników; przerwany pojedynek bachiczny zaczynał się na nowo.

Wszystkim spadł ciężar z serca. Lagardere nie żył, gdyż nie dotrzymał słowa. Lagardere żywy łamiący daną obietnicę był nie do pomyślenia. Gonzaga już nie wątpił w śmierć wroga i jeśli rozkazał panu de Peyrolles obejść rozstawione straże, zrobił to jedynie z nadmiaru ostrożności; nikomu to jeszcze nie zaszkodziło.

— Gdzież damy? — dały się słyszeć głosy. — Dlaczego nie prosimy dam?

Na znak Gonzagi Noce otworzył drzwi buduaru i zamknięte kobiety jak rój ptaków wleciały do salonu, szczebiocąc wszystkie naraz, skarżąc się na długie oczekiwanie, śmiejąc się i krzycząc.

— Miłe panie — mówił Gonzaga całując końce palców donii Gruz — nie mamy przed wami sekretów i jeśli pozbawiliśmy się przyjemności oglądania waszych uroczych twarzyczek, to tylko dlatego, by omówić sprawy związane ze ślubem.

— Więc to prawda? — zawołały damy. — Będzie teatr?

— Nie teatr — zaprotestował poważnie Gonzaga — prawdziwe wesele. — A pochylając się ku donii Cruz dodał: — proszę uprzedzić przyjaciółkę.

— Księżę pan obiecał — szepnęła Cyganka.

— Dotrzymam wszystkiego, co obiecałem — odparł Gonzaga, a odprowadzając dziewczynę do drzwi, dodał: — Ona może odmówić, ale tak dla niej, jak i dla osoby, której nie wymieniam, będzie lepiej, gdy się zgodzi.

— Panie — rzekła z prośbą w głosie — nie wątpię w szlachetność pana pobudek, od wczoraj jednak dzieje się tyle dziwnych rzeczy. Przez przyjaźń, jaką mi okazujesz, przez litość nad biednym dzieckiem, które kocham, a które tak rozpacza, powiedz choć jedno słowo jako argument przeciw jej odmowie. Potrafiłabym ją namówić, gdybym wiedziała, w jakim stopniu to małżeństwo przyczyni się do uratowania drogiego jej człowieka.

— Nie ufasz mi? — przerwał tonem wymówki. — Tak jest, jak mówię, i musisz mi wierzyć. Powiedz jej tak, by i ona uwierzyła. Czekam.

Donia Crux wyszła. W salonie podniósł się wrzask i wybuchy śmiechu.

— Brawo, Chaverny! — krzyczeli jedni.

— Niech żyje garbus! — wołali drudzy.

Koło pijących siał tuzin pustych butelek. Chaverny był prawie siny, krwią nabiegłe oczy zdawały się wychodzić z orbit. Garbus, przeciwnie, twarz miał zaróżowiona, oczy błyszczące nienaturalnym blaskiem Był

ożywiony, rozmowny, co pozwalało sądzić, że prędzej ulegnie, gdyż jak wiadomo, gadanie upaja prawie tyle co wino. Zdawało się, że wszystkie szanse są po stronie młodego markiza.

— Sto pistolów na Chaverny'ego! — krzyknął Navailles — założę się, że Ezop wróci pod płaszcz.

— Trzymam — odparł garbus, lekko chwiejąc się w fotelu.

— Utopi się biedaczek w winie — zauważył Cocardasse nie spuszczać oczu z garbusa. — Znałem tylko jednego człowieka, który umiał tak pić.

Ezop II wstał z fotela; wszyscy myśleli, że upadnie, ale on powiódł po obecnych drwiącym spojrzeniem i odrzucając szklankę zawołał:

— Nie macie większego naczynia? Tą orzechową łupiną moglibyśmy pić do jutra!

VIII. TRYUMF GARBUSA

Na parterze, w pokoju Cyganki, klęczała Aurora. Od kilku chwil hałas na górze wzmógł się. Aurora zatopiona była w myślach, spojrzenie jej pięknych oczu zmęczonych płaczem błądziło po komnacie nie widząc przedmiotów. Tak była zamyślona, że nie usłyszała kroków donii Cruz. Cyganka zbliżyła się do przyjaciółki i pocałowała jej włosy.

— Przychodzę po ciebie — rzekła, ze ściśniętym sercem patrząc na blade policzki i przygasłe oczy dziewczyny.

— Jestem gotowa — odparła Aurora.

— Namysliłaś się?

— Modliłam się; wtedy rzeczy niejasne stają się zrozumiałe.

— Odgadłaś? Powiedz, co wiesz? — donia Cruz zbliżyła się zaciekawiona.

— Jestem gotowa — powtórzyła Aurora — gotowa na śmierć.

— Wcale nie umrzesz, siostrzyczko!

— Dawno już rozumiałam — przerwała Aurora. — To ja przyniosłam mu nieszczęście, ja jestem tym niebezpieczeństwem, które mu ciągle zagraża, jego złym duchem. Beze mnie byłby wolny, spokojny, szczęśliwy! Czemu nie zrobiłam wczoraj tego, o czym teraz myślę? Czemu nie uciekłam z jego domu? Czemu nie umarłam?

— Co mówisz?! — krzyknęła Cyganka.

— Jaka różnica między dniem wczorajszym a dzisiejszym? Wczoraj otwarło się dla mnie niebo: on mnie kocha, Flor.

— Wiesz o tym dopiero od wczoraj?

— Gdybym wcześniej wiedziała, nie narażalibyśmy się niepotrzebnie na niebezpieczeństwa tej podróży. Bałam się, wątpiałam. Byłam szalona! Widocznie szczęście nie jest możliwe na tej ziemi.

— Co postanowiłaś? — spytała Cyganka.

— Być posłuszna, by go uratować.

— Chodźmy — donia Cruz zerwała się radośnie — chodźmy, księżę czeka. Wiesz co? Tak się dziwnie składa: zawsze dla ciebie muszę wyrzekać się ukochanego. Nie przejmuj się — dodała widząc zdziwione spojrzenie Aurory. — Po pięknym Lagardere jedynym mężczyzną, który przyprawia mnie o bicie serca, jest ten szaleniec Chaverny.

— Siostrzyczko — Aurora wzięła ją czule za rękę. — Serce twoje więcej warte niż słowa. Zresztą dlaczego miałabyś się kierować delikatnością uczuć spotykaną tylko wśród ludzi wysokiego urodzenia?

— Nie wierzysz w moje wysokie urodzenie? — donia Cruz ściągnęła wargi.

— To ja jestem panną de Nevers — odparła spokojnie Aurora.

— Lagardere ci powiedział? — Cyganka otworzyła szeroko oczy.

— Nie. To jedyne, co mogę mu zarzucić. Gdyby mi powiedział...

— Więc skąd wiesz?

— Znikąd. Wiem jednak wszystko. Zdarzenia zaszły od wczoraj nabrały dla mnie nowej wymowy. Przypomniałam sobie przeszłość, prawda sama stanęła mi przed oczami. Dzieckiem, które spało w fosie zamku Caylus, gdy mordowano ojca, byłam ja. Widzę spojrzenie Henryka, gdy zwiedzaliśmy to miejsce. To byłam ja! Henryk kazał mi ucałować grobowy posąg księcia de Nevers. A ów Gonzaga, którego nazwisko prześladowa mnie od dziecka, który dziś zada mi ostatni cios, czyż nie jest mężem wdowy po księciu de Nevers?

— On chciał mnie oddać matce! — przerwała Cyganka.

— Nie wiem, Flor, jakie miał zamiary, wiem tylko, że byłaś narzędziem w jego ręku. Widzę to od wczoraj, a teraz i ty to widzisz. Dopiero wczoraj Henryk wyznał, że mnie kocha. Dlaczego tak późno? Była więc między nami jakaś przeszkoda? Cóż mogło nas dzielić, jeśli nie wygórowane

poczucie honoru tego najszlachetniejszego i najdelikatniejszego z ludzi? Moje wysokie urodzenie, wielkie dziedzictwo, cała ta fortuna rodu de Nevers oddalały go ode mnie. Bądź spokojna i nie obawiaj się, bym przyśpieszyła swój koniec. Samobójstwo zamknęłoby mi drzwi do rajów; gdzie indziej mogłabym go spotkać? Nie, inni już się tym zajmują, wiem o tym, jestem tego pewna.

— Tak sądzisz? Mów, co wiesz — wyszeptała pobladła Cyganka.

— W samotności rozmyślałam o wszystkim — odparła powoli Aurora — wszystko już dla mnie jasne. Tyle mam dowodów. Ponieważ jestem panną de Nevers, porwano mnie wczoraj. Ponieważ jestem panną de Nevers, księżna Gonzaga prześladowuje Henryka nienawiścią. Wiesz, Flor, ta ostatnia myśl odbiera mi odwagę. Myśl, że mogę stanąć między nimi, między matką i Henrykiem — wrogami, przeszywa mi serce jak ostrze sztyletu. Przyjdzie godzina, w której będę musiała wybierać. Wczoraj nie istniało nic, co mogłoby mnie oderwać od Henryka, dziś...

— Siostrzyczko — przerwała Cyganka — wierzę, że jesteś panną de Nevers, ale wypowiedziałaś słowa, które mnie przeraziły. Powiedziałaś: „Inni zajmą się moją śmiercią”.

— Tak. Gdy zostałam sama, poszłam na górę do buduaru, gdzie byliśmy razem. Zbliżyłam się do drzwi, przez które cię wołano. W salonie panowała cisza. Przyłożyłam ucho do dziurki od klucza. Nie było tam ani jednej kobiety.

— Oddalono nas — przerwała donia Cruz.

— Czy wiesz, dlaczego?

— Gonzaga powiedział...

— Ach... — wzdrygnęła się Aurora — więc to był Gonzaga. Nie wiem, co powiedział, ale musiał skłamać; gdyby powiedział prawdę, nigdy byś po mnie nie przyszła.

— Mów, jaka jest prawda?

— Czy zauważyłaś bukiety kwiatów na stole?

— Tak, piękne kwiaty.

— A czy Gonzaga nie powiedział: „Jeśli odmówi, będzie wolna?”

— To jego własne słowa.

— Słyszałam, jak mówił towarzyszom — Aurora wzięła rękę przyjaciółki — słyszałam, bo przyłożyłam ucho do drzwi. Goście siedzieli niemi i bladzi. Słyszałam...

U wejścia rozległ się szmer.

— Co słyszałaś? — powtórzyła donia Cruz.

Aurora nie odpowiedziała. Na progu ukazała się blada i obłudna twarz pana de Peyrolles.

— Księżę czeka na panie.

— Idę — Aurora wstała.

— Co mówiłaś o kwiatach? — szepnęła na schodach Cyganka.

— Są piękne, a księżę Gonzaga, jak mówiłaś, jest szarmanckim panem. — Aurora ścisnęła rękę przyjaciółki. Gdy się nie zgodzę, nie tylko będę wolna, ale dostanę bukiet tych pięknych kwiatów.

Donia Cruz przyglęła się spojrzeniem do twarzy dziewczyny. Czuła, że za jej słowami kryje się coś strasznego, ale nie wiedziała co.

Na żądanie garbusa przyniesiono większe szklanki. Każda z nich zawierała kwartę. Ezop wlał do swojej butelkę szampana. Chaverny na próżno chciał pójść w jego ślady, tak drżała mu ręka.

— Pomóżcie panu markizowi — powiedział karzeł. — Zdrowie panów — wznosił toast.

— Zdrowie — wybełkotał Chaverny.

Gironne i Noce podtrzymywali drżące ramiona markiza.

— Trzeba wypić jednym tchem — powiedział garbus.

Zbliżył szklankę do ust i pił powoli, długo, nie odrywając jej od warg. Nagrodzono go oklaskami.

Chaverny również opróżnił olbrzymie naczynie, ale było jasne, że to jego ostatni wysiłek.

— Jeszcze raz — zaproponował garbus, wesoły i w dobrej formie.

— Jeszcze dziesięć razy — odparł chwiejąc się Chaverny.

Napełniono szklanki.

— Zdrowie dam! — zawołał garbus.

Chaverny na próżno usiłował ująć szklankę, która ku zgorszeniu Cocardasse'a i Passepoila wymknęła się z osłabłej ręki. Napełniono drugie naczynie, ale w tej chwili powieki Chaverny'ego załopotwały jak nabijane na szpilkę motyle. To był koniec.

— Niech żyje Ezop II! Hura!

Chaverny zwałił się na podłogę. Zagrzmiało drugie hura i zwycięski karzeł wskoczył na stół, podniósł szklankę i wychylił duszkiem. Stał mocno jak skała, ani drgnął. W salonie huczało od oklasków.

— Gdzie Chaverny? — do stołu zbliżył się Gonzaga.

Garbus zeskoczył lekko i końcem stopy pchnął wystające spod obrusa nogi.

— Tutaj — odparł.

— Pijany jak bela — mruknął niezadowolony Gonzaga marszcząc brwi — a był nam potrzebny.

— Na wesele, książę? — spytał garbus otrzepując z wdziękiem koronki żabotu.

— Tak. na wesele.

— Głupstwo — rzekł niedbale Ezop II — jeden mniej, jeden więcej. Nie miałbym nic przeciwko temu, by się ustatkować; proponuję moją osobę na miejsce pana de Chaverny.

Ogólny wybuch śmiechu przywitał tę propozycję.

— Czy wiesz, co trzeba uczynić, by zastąpić markiza! — spytał cicho Gonzaga.

— Wiem — odparł garbus.

— I czujesz się na siłach?

— Książę pan mnie nie zna — odpowiedział Ezop z dumnym i okrutnym uśmiechem — robiłem lepsze rzeczy!

IX. KWIATY Z ITALII

— Doskonała myśl — zakrzyknęli obecni — zamiast markiza ożeśmy garbusa! To o wiele zabawniejsze. Cóż za wspaniały mąż!

— Wyobrażam sobie minę Chaverny 'ego po przebudzeniu!

— Jakich gwarancji żąda pan, książę? — pytał garbus stojąc z Gonzagą na uboczu.

— Chcę wiedzieć, co odgadłeś.

— Nie potrzebowałem niczego odgadywać, byłem tu cały czas; słyszałem przypowieść o brzoskwini, o kwiatach włoskich, pochwałę Italii. — Zakrzywiony palec garbusa wskazywał berżerkę, na której piętrzyły się okrycia.

— Słusznie — mruknął Gonzaga — byłeś tu, po cóż więc ta komedia?

— Chciałem wiedzieć i mieć czas do namysłu. Chaverny to nieodpowiedni człowiek.

— To prawda, ale mam do niego słabość.

— Słabość jest niebezpieczna. Markiz teraz śpi, przyjdzie jednak chwila, gdy wytrzeźwieje.

— Zostawmy go. Jak ci się podoba przypowieść o brzoskwini?

— Ładna, ale za silna dla pańskich tchórzów.

— A historyjka o kwiatach?

— Pełna wdzięku, ale jak powiedziałem, za mocna; oni już się boją.

— Nie mówię o nich, znam ich lepiej od ciebie.

— Wszystko, co pochodzi z Italii, bardzo mi się podoba. Nigdy nie słyszałem weselszej anegdoty niż historia hrabiego Canozzy. Na pańskim miejscu jednak nie opowiadałbym jej tym panom.

— Jesteś więc silniejszy?

Ezop II uśmiechnął się i nie raczył odpowiedzieć.

— Czym przewyższasz markiza? — spytał Gonzaga.

— Doświadczeniem, byłem już żonaty.

— Ach! — zdawało się, że spojrzenie księcia przeniknęło rozmówcę na wylot.

— Byłem żonaty — powtórzył Ezop gładząc podbródek i nie spuszczać oczu — jestem wdowcem.

— Ach! — powtórzył Gonzaga — i tym przewyższasz pana de Chaverny?

— Moja żona była piękna — powiedział ponuro karzeł — bardzo piękna.

— I młoda?

— Młodziutka. Ojciec jej był biedny.

— Rozumiem. Czy ją kochałeś?

— Do szaleństwa. Związek nasz trwał krótko. — Twarz garbusa stawała się coraz bardziej ponura.

— Ile czasu?

— Półtora dnia.

— Dziwne. Wytłumacz się jaśniej.

— Po co, jeśli książę pan mnie rozumie? — rzekł garbus z wymuszonym uśmiechem.

— Nie rozumiem — powiedział książę.

— Ostatecznie mogłem się pomylić — garbus spuścił oczy i wydawał się wahać. — Może panu wystarczy taki Chaverny.

— Wytłumacz się — powtórzył rozkazująco Gonzaga.

— Czy wytłumaczył pan historię hrabiego Canozzy?

Gonzaga położył rękę na ramieniu garbusa.

— Nazajutrz po ślubie dałem jej dzień do namysłu, by przywykła do mojego widoku. Nie mogła.

— No i...?

Garbus chwycił ze stołu szklankę i spojrzał prosto w oczy księciu. Wzrok Ezopa wyraził takie okrucieństwo, że Gonzaga szepnął:

— Tak młoda i piękna; nie miałaś litości?

— Chcę, by mnie kochano — powiedział dziko garbus i zgniótł szklankę. — Tym gorzej dla tych, co nie potrafią!

— Hola, panowie! — krzyknął Gonzaga uderzając nogą uśpionego markiza — kto go wyniesie?

Z piersi Ezopa II wydarło się westchnienie ulgi. Z trudem ukrył tryumf.

Navailles, Noce, Choisy, wszyscy przyjaciele młodego człowieka usiłowali go obudzić. Potrząsano nim, wołano, Oriol wylał mu na głowę karafkę wody, damy szczypały do krwi. Wszystko na próżno.

Cocardasse i Passepoil wzięli śpiącego pod ramiona i wynieśli z salonu. Gdy mijali garbusa, ten szepnął:

— Nie może mu spaść włos z głowy. Odpowiedcie szyją. List zanieść pod wskazany adres.

Przyjaciele wyszli wraz ze swym ciężarem.

— Żeńmy garbusa! — wołały damy.

Ezop II jednym skokiem znalazł się na stole.

— Cicho, Ezop wygłosi mowę!

— Panowie i panie — rzekł karzeł z ukłonem, gestykulując jak prawdziwy adwokat w sądowej sali — jestem wzruszony zainteresowaniem dla mej skromnej osoby. Pragnę pokazać wam sztukę uwodzenia...

Szyby w oknach salonu zadrżały od hucznych braw, jakimi nagrodzono te słowa.

— Naucz nas, jak umizgać się do kobiet! Brawo, Jonaszu, brawo! Jesteś wspaniały!

— Niech przyprowadzą narzeczoną, a postaram się dobrze was zabawić — dokończył Jonasz kłaniając się z uśmiechem.

W tej chwili otworzyły się drzwi buduaru. Gonzaga nakazał ciszę i do salonu weszła donia Cruz, podtrzymując słaniającą się i bladą jak śmierć Aurorę. Za nimi szedł pan de Peyrolles. Widok narzeczonej wywołał szmer podziwu. Biesiadnicy, zdawało się, zapomnieli o czekającej ich wesołej zabawie. Garbus przyłożył szkło do oka i rzekł cynicznie:

— Do licha, piękna moja przyszła żona!

Powiedzenie to nie znalazło echa. W wystygłych sercach, w uśpionym sumieniu budziło się uczucie litości. Przez chwilę nawet kobiety współczuły biednej dziewczynie, tak głęboki ból i rezygnacja widniały na jej ślicznej twarzy. Cocardasse i Passepoil wkroczyli do salonu i otwarli z podziwu usta ujrawszy dwie dziewczyny z ulicy du Chantre; jedną z nich Gaskończyk widział z Lagardere'em w Barcelonie, drugą Passepoil spotkał w Brukseli. Nie byli dopuszczeni do sekretu, więc nie wiedzieli, co nastąpi. Oczekiwali czegoś nadzwyczajnego. Tręcili się łokciami, a spojrzenie ich mówiło: „Uwaga!” Na pytający wzrok garbusa Cocardasse odpowiedział lekkim schyleniem głowy. Oczy donii Cruz szukały markiza de Chaverny. Gonzaga, bardzo blady, starał się uśmiechać. Garbus stał obok, usiłując przybrać jak najwdzięczniejszą pozę, i z miną zwycięzcy bawił się koronkami żabotu.

— Moje dziecko — Gonzaga mówił lekko zmienionym głosem — panna de Nevers powiedziała ci, czego od ciebie oczekujemy?

— To ja jestem panną de Nevers — odparła Aurora stanowczym tonem, nie podnosząc oczu.

Garbus drgnął tak silnie, że jego wzruszenie nie uszło uwagi obecnych.

— Do licha — zawołał, by pokryć zmieszanie — moja żona pochodzi z dobrego domu!

— Jego żona? — powtórzyła donia Cruz.

— Czy to ty nagadałaś głupstw temu biednemu dziecku? — spytał z gniewem Gonzaga.

— Ach — powiedział garbus — więc to nieprawda? Szkoda, chętnie bym się spokrewnił z domem książąt de Nevers.

— To nie ja — odparła Cyganka, bynajmniej nie przestraszona gniewem Gonzagi — ale jeśli to prawda?... Gdzie markiz de Chaverny? I co znaczą słowa tego człowieka? — wskazywała garbusa.

— Panno de Nevers — odparł książę — rola pani skończona.

Jeśli pragnie pani zrzec się swych praw, dzięki Bogu, ja tu jestem i jako pani opiekun, nigdy na to nie pozwolę. Wszyscy ci panowie należą do rady rodzinnej, która wczoraj zebrała się w moim pałacu. Starać się wejść do możnej rodziny, by oszukańczo zająć cudze miejsce, jest zbrodnią, prawo karze ją surowo. Tej pięknej awanturnicy należy założyć wędzidło. Bóg mi świadkiem, nie pragnę jej zguby. Nie pożałuję pieniędzy, by szczęśliwie zakończyć jej odyseję: wydaję ją za męża. — Gonzaga wziął rękę garbusa. — Oto szlachetny człowiek, kocha ją i pragnie ją poślubić.

— Oszukał mnie pan! — krzyknęła czerwona z gniewu Cyganka — nie o tym była mowa! Czyż można poślubić podobną istotę?

— Nie jest to dla mnie pochlebne — mruknął Ezop II — mam jednak nadzieję, że ta młoda osoba wkrótce zmieni zdanie.

— To pan — krzyknęła Cyganka — teraz już rozumiem, to pan trzymał tej intrygi, to pan zdradził kryjówkę Aurory! Gdyby chodziło o markiza de Chaverny...

— Zostaw, siostrzyczko — powiedziała spokojnie Aurora. — Gdyby to był pan de Chaverny, odmówiłabym tak samo jak teraz.

— To nie jest twe ostatnie słowo, mój aniele — garbus nie wydawał się speszony odpowiedzią Aurory.

Cyganka stanęła między nimi, gotowa do walki.

— Czemu nikt nie pije? — rzekł Gonzaga.

Napełniono szklanki, choć nikt nie miał pragnienia.

— Posłuchaj, dziecko — mówił garbus — będę twoim mężulkiem, twym kochankiem, niewolnikiem...

— To koszmarnie! — wykrzyknęła Cyganka. — Wolałabym umrzeć.

Gonzaga tupnął nogą, spoglądając groźnie na donię Cruz.

— Panie — powiedziała Aurora ze spokojem rozpaczy — nie warto przedłużać tej sceny; wiem, że kawaler de Lagardere nie żyje.

Garbus zadrżał po raz drugi, jak gdyby dotknęło go rozpalone żelazo. W salonie zapanowała cisza.

— Któż panią poinformował? — spytał Gonzaga z pełną powagi kurtuazją.

— Proszę nie pytać. Zakończmy to, co z góry przygotowano. Zgadzam się i przyjmuję. — Ręka Aurory wyciągnęła się w stronę kwiatów.

— Woli pani innego małżonka? — szepnął książę nachylając się do jej ucha.

— Kazał mi pan powiedzieć, że jeśli odmówię, będę wolna.

Żądam spełnienia obietnicy.

— I pani wie... — zaczął Gonzaga szeptem.

— Wiem — przerwała Aurora i po raz pierwszy podniosła oczy i spojrzała na księcia. — Wiem i czekam, aż mi pan ofiaruje kwiaty.

X. CZARY

Spośród obecnych jedynie donia Cruz i zebrane kobiety nie rozumiały całej grozy rozgrywającej się przed ich oczami sceny. Mężczyzn przyniknął chłód. Cocardasse i Passepoil, jak dwa warujące psy, nie spuszczały wzroku z garbusa.

Ręka Gonzagi wyciągnęła się ku kwiatom, lecz zaraz opadła. Sytuacja zaskoczyła go. Oczekiwał oporu, walki, po której ofiarowane dziewczynie kwiaty przypieczętowałyby współnictwo jego popleczników. Wobec tej pięknej i spokojnej istoty nawet Gonzaga stracił pewność siebie. Odezwała się w nim resztką przyzwoitości. Mimo wszystko hrabia Canozza był mężczyzną.

Garbus wpijał w księcia błyszczące spojrzenie. Wybiła trzecia. Wśród głębokiej ciszy odezwał się głos pana de Peyrolles:

— Jutro zbiera się rada familijna.

— Rób, co chcesz — Gonzaga odwrócił głowę. Peyrolles wziął bukiet, a donia Cruz, przejęta nagłym lękiem, szepnęła do ucha przyjaciółki:

— Co chciałaś powiedzieć o kwiatach?

— Jest pani wolna — mówił Peyrolles. — Wszystkie damy mają bukiety, pozwoli więc pani, że ofiaruję jej te kwiaty.

Niezgrabnie podał bukiet, a z twarzy jego biła podłość. Aurora wyciągnęła rękę, by ująć kwiaty.

— Do licha — Cocardasse otarł spocone czoło — to jakaś diabelska sztuczka!

Donia Cruz nie spuszczała oczu z pana de Peyrolles. Instynktownie rzuciła się naprzód, ale ubiegła ją inna ręka. Intendent, odepchnięty z wielką siłą, potoczył się do ściany, wypuszczając bukiet; garbus podeptał zatrute kwiaty. Wszyscy wydali westchnienie ulgi

— Co to znaczy? — krzyknął Peyrolles chwytając szpadę.

— Precz z kwiatami! — powiedział garbus — odtąd tylko ja mam prawo ofiarowywać prezenty mojej narzeczonej. Co, u licha, wszyscy macie miny, jak gdyby padł grom, a to tylko bukiet przywiędłych róż. Proszę schować szpadę, i to szybko! — A zwracając się do Gonzagi, dodał: — Obiecałem lekcję miłosnego pojedynku, a pan działa beze mnie, nie daje mi dojść do głosu. Ta dziewczyna podoba mi się, chcę ją mieć i zdobędę.

Spojrzał na Aurorę, następnie na otaczające osoby. Aurora, wyczerpana przeżyciami tej nocy, chwiała się w ramionach Cyganki. Cocardasse przysunął fotel i usadzono dziewczynę wygodnie.

— Panie — zwrócił się garbus do Gonzagi — pragnę prosić o łaskę. Jest ksiązę zbyt wielkim panem, by ze mnie drwić. Gdy się komuś mówi: „biegnij”, nie można mu związywać nóg. Pierwszym warunkiem powodzenia jest samotność. Jaka kobieta okaże miłosne wzruszenie pod spojrzeniami ciekawskich? Przyzna Pan, to niemożliwe!

— Ma rację — odparli obecni.

— Ludzie obcy budzą w niej lęk — ciągnął Ezop — Ja sam nie mogę rozwinąć wszystkich arkanów sztuki; miłość bliska jest śmieszności. Jakże poruszyć serce kobiety będąc wystawionym na drwiny otoczenia?

— Wysłuchaj go, panie — powiedział Navailles.

— Czegóż chcesz? — spytał roztargniony Gonzaga.

— Proszę, by zostawiono nas samych, moją narzeczoną i mnie — odparł garbus. — Wystarczy pięć minut, by uśpić odrazę w tym uroczym dziecku.

— Pięć minut? No, no, zobaczymy. Nie można mu tego odmówić, ksiązę!

— Wybaczcie, panowie, moje roztargnienie — rzekł Gonzaga myślałem o was. Tej nocy wygraliśmy wielką partię. Jutro, według

wszelkiego prawdopodobieństwa, będziemy u kresu trosk, nie należy jednak zaniedbać niczego, by nie zginąć przy wjeździe do portu.

Wybaczcie więc; chodźmy. — Starał się wywołać uśmiech na twarz.

Wszyscy się rozpogodzili.

— Nie oddalajmy się zbytnio — powiedziały damy — chcemy popatrzeć.

— Przejdźmy do galerii — zaproponował Noce — zostawiając uchylone drzwi do salonu.

Przechodząc koło Cocardasse'a i Passepoila Gonzaga powiedział:

— Czy za dobrą zapłatą powrócilibyście do Hiszpanii?

— Spełnimy wszelkie rozkazy księcia pana — odparli przyjaciele.

— Nie oddalajcie się stąd — rzekł Gonzaga i wmieszał się w tłum gości.

Gdy wszyscy opuścili salon, garbus podszedł do drzwi galerii, za którymi tłoczyły się trzy rzędy ciekawych głów.

— Doskonale — powiedział — teraz nie będziecie mi przeszkadzać.

Aha, zapomniałem o jednej rzeczy; gdzie książkę?

— Tu jestem — odparł Gonzaga.

— Czy notariusz blisko?

Nikt nie mógł utrzymać powagi i cała galeria ryknęła śmiechem.

— Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni — mruknął Ezop II.

— Śpiesz się, przyjacielu, i o nic się nie troszcz — rzekł zniecierpliwiony Gonzaga — królewski notariusz czeka w mojej sypialni.

Garbus skłonił się i powrócił do kobiet. Donia Cruz patrzyła na niego z przerażeniem, Aurora miała spuszczone oczy. Garbus ukląkł przed fotelem dziewczyny.

Gonzaga spacerował po galerii z panem de Peyrolles.

— Z Hiszpanii można wrócić — mówił intendent.

— W Hiszpanii umiera się równie łatwo jak w Paryżu — szepnął książę, a po chwili dodał: — Straciliśmy dzisiejszą okazję, nic z tego. Kobiety odgadłyby, a donii Cruz nie nakażemy milczenia.

— Chaverny... — zaczął Peyrolles.

— Chaverny będzie milczał — przerwał Gonzaga.

Pan i sługa wymienili wymowne spojrzenia. Sługa o nic już nie pytał.

— Trzeba, by wyszła stąd wolna...

— Do zakrętu ulicy...

— Nadzwyczajne! To czary! — wołano w galerii.

Garbus ciągle klęczał przy fotelu Aurory. Donia Cruz chciała stanąć między nimi, ale odsunął ją słowami:

— Proszę nie przeszkadzać.

Głos miał tak zmieniony, że Cyganka odskoczyła ze strachem, otwierając szeroko oczy. Zamiast piskliwego dyszkantu garbusa głęboki melodyjny głos wymówił imię Aurory. Dziewczyna zadrżała.

— Chyba śnię?

— Auroro — powtórzył garbus nie wstając z klęczek.

Dziewczyna zakryła twarz dłońmi, a łzy pociekły jej przez palce.

Widzowie z galerii ujrzeli donię Cruz wyprostowaną, z odrzuconą w tył głową i w pół otwartymi ustami.

— Garbus ma talizman, rzuca urok — szepnął któryś z widzów tej dziwnej sceny.

Była to prawda, gdyż Aurora chyliła się, jak gdyby mimo woli, ku temu głosowi.

— Ja śnię — szepnęła wśród łez — to straszne! Wiem, że go już nie ma!

— Auroro — po raz trzeci powtórzył garbus, a widząc, że donia Cruz otwiera usta, gestem nakazał jej milczenie.

— Nie odwracaj głowy — szepnął — jesteśmy na skraju przepaści; jeden fałszywy krok, jeden ruch i wszystko stracone.

Donia Cruz musiała usiąść; nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— To nie sen, Auroro — ciągnął karzeł — serce nie oszukało cię, to ja.

— Ty! — szepnęła dziewczyna — boję się otworzyć oczy, Flor, kochanie, spójrz!

— To on — donia Cruz pocałowała ją w czoło.

Aurora rozsunęła palce i spojrzała ostrożnie. Serce jej skoczyło w piersi, lecz powstrzymała okrzyk i nadal siedziała nieporuszona.

— Tych ludzi łatwo oszukać — mówił garbus — choć nie wierzą w niebo, wszyscy boją się piekła! Udaj więc, że ulegasz sile piekielnego czaru pod wpływem mojej ręki... — Tu wykonał kilka ruchów nad głową Aurory, która posłusznie skłoniła się ku niemu.

— Pochyla się w jego stronę! — krzyknął zdumiony Navailles.

Zaintrygowany Gonzaga podskoczył do drzwi. Zrobiono mu miejsce. Garbus ciągle wykonywał rękami dziwne ruchy, jak gdyby hipnotyzował dziewczynę. Aurora, zafascynowana, coraz bardziej kłoniła ku niemu swą śliczną główkę.

— Ten człowiek ją czaruje — szepnął Gonzaga.

Passepoil, stojący blisko księcia, przeżegnał się ostentacyjnie.

— Daj rękę — szeptał tymczasem garbus — powoli, jak gdyby nieodparta siła przyciągała cię do mnie.

Ręka Aurory oderwała się od twarzy i powoli, automatycznym ruchem, opuściła się ku dłoni garbusa.

— Do licha — mruknął Cocardasse — dzierlatka daje mu rękę!

— Robi z nią, co chce, to szatan — szeptali zebrani.

— Patrzą na nas Gonzaga i Peyrolles — mówił garbus — ich najtrudniej oszukać. Gdy dotkniesz mojej ręki, musisz drgnąć i rzucić dokoła zdumionym spojrzeniem. Tak, dobrze.

— Grałam taką scenę w operze, w „Pięknej i Bestii” — powiedziała panna Nivelles.

— Teraz wstań — rzekł garbus podnosząc się z klęczek — ruszaj się jak automat. Dobrze. Spójrz na mnie, postąp bliżej i padnij mi w objęcia.

Aurora usłuchała rozkazu. Za drzwiami rozległ się grzmot oklasków. Śliczna główka dziewczyny oparta była o pierś Ezopa. Tłum gości wkroczył do salonu. Usłyszano skrzekliwy śmiech garbusa:

— To wcale nie takie trudne.

— Panie — szepnął Peyrolles — coś tu nie w porządku. Ten łajdak musi być sprytnym kuglarzem, proszę na niego uważać.

— Boisz się, by ci nie zamienił głowy? — zaśmiał się książę, a zwracając się do garbusa dodał: — Brawo, przyjacielu, czy dasz nam receptę?

— Jest na sprzedaż, panie — odparł garbus.

— Czy czar działa do ślubu?

— Tak, lecz ni chwili dłużej.

— Za ile sprzedasz ten talizman? — zawołał Oriol.

— Prawie darmo, ale by skutkował, trzeba posiadać drogi towar.

— Co? Co? — spytał z ciekawością gruby finansista.

— Rozum — odparł Ezop.

Ciekawscy otaczali donię Cruz, zasypując ją pytaniami.

— Co mówił? Czy mówił po łacinie? Czy miał eliksir?

— Mówił po hebrajsku — odparła Cyganka, z trudem wracając do przytomności.

— I rozumiała?

— Wszystko.

— Cenny z ciebie człowiek — Gonzaga poklepał garbusa po ramieniu — podziwiam cię!

— Nieżle, jak na początek, prawda, panie? — Ezop II uśmiechał się skromnie. — Gdzie notariusz?

— Wołać królewskiego notariusza — rozkazał Gonzaga.



XI. PODPISANIE INTERCYZY

Księżna Gonzaga poprzedni dzień spędziła w swoich apartamentach, a liczni goście zakłócali jej samotność. Od rana napisała wiele listów, adresaci zaś osobiście przynosili odpowiedź. I tak przyjęła kardynała de Bissy, gubernatora Paryża, naczelnika policji i wicekanclerza. Wszystkich prosiła o pomoc przeciwko panu de Lagardere, fałszywemu szlachcicowi, który porwał jej córkę. Wszystkim opowiadała rozmowę z tymże Lagardere'em, który wściekły, że wymyka mu się z rąk spodziewana nagroda, zaprzeczył prawdzie kryjąc się za bezczelnym kłamstwem. Poradzono jej, by udała się do regenta, o nic jednak nie oskarżając męża. Około południa wsiadła do lektyki i pojechała do Palais-Royal, gdzie została natychmiast przyjęta.

Audiencja trwała długo. Nie oskarżała męża, ale regent zadawał pytania, czego nie mógł zrobić w zamieszaniu balowym.

Wspomnienie Filipa de Nevers odżyło w pamięci księcia z gwałtowną siłą. Pa raz pierwszy od dnia tragedii rozmawiał sam na sam z wdową o zabójstwie młodego człowieka w fosie zamku Caylus. Księżna nie oskarżała męża, ale po tej rozmowie regent był smutny i zamyślony; w jego umyśle zrodziła się nieufność.

Wróciwszy z pałacu księżna zastała salon pełen gości. Wszyscy byli ciekawi rozmowy z regentem i tego, co rzekł o księciu Gonzadze. Opowiedziała, że regent pytał ją o okoliczności drugiego małżeństwa i o poprzedzające je wypadki. Dodała, że obiecał również zmusić Lagardere'a do mówienia, nawet za pomocą tortur. Wszyscy oskarżali Henryka z tajemną nadzieją, że człowiek ten wyjaśni ciemną sprawę śmierci księcia de Nevers, gdyż przypuszczano, że przed dwudziestu

laty zamieszany był w tragedię zamku Caylus. Naczelnik policji przyrzekł pomoc i ludzi.

Około piątej Magdalena Giraud przyniosła księżnej bilecik od pana de Machault, który —pisał, że ubiegłej nocy Lagardere'a zamordowano przy wyjściu z Palais-Royal. List kończył się słowami: „Proszę nie winić męża”.

Resztę wieczoru księżna przebyła samotnie i w niepokoju. Między dziewiątą a dziesiątą służebna przyniosła nowy bilecik, pisany nie znaną ręką. Zostawili go dwaj ludzie o podejrzanym wyglądzie. Bilecik przypominał, że termin dwudziestoczwierogodzinny, udzielony panu de Lagardere przez regenta, upływa tejże nocy, o czwartej nad ranem. Ponadto nie znany autor donosił, że o tej godzinie pan de Lagardere znajdzie się w prywatnym pałacyku księcia Gonzagi.

— Lagardere u Gonzagi? Jak? Dlaczego? A list naczelnika policji zwiastujący śmierć Lagardere'a?

Księżna kazała zaprzęgać, wsiadła do karocy i poleciła wieźć się do prezydenta trybunału, pana de Lamoignon. W godzinę później dwudziestu gwardzistów pod dowództwem kapitana i czterech zbrojnych z Chatelet biwakowało na dziedzińcu pałacu prezydenta.

Kolacja wydana przez księcia Gonzagę w jego prywatnym pałacyku za kościołem Saint-Magloire miała na celu małżeństwo markiza de Chaverny z młodą nieznajomą, której książe dawał w posagu pięćdziesiąt tysięcy, nic więc dziwnego, że wszystko przygotowano do owego związku. Królewski notariusz i prawdziwy ksiądz oczekiwali, jeden w pokojach Gonzagi, drugi w zakrystii kościoła. Gonzaga chciał, by małżeństwo było jak najlegalniejsze, by dało małżonkowi wszelkie prawa, by wola małżonka spowodowała wieczne wygnanie małżonki z Paryża.

Gdy to było możliwe, Gonzaga wolał unikać rozlewu krwi, jednak w razie potrzeby nie cofał się przed tą koniecznością.

Gdy markiz zawiódł, garbus okazał się cennym nabytkiem, człowiekiem, po którym można się było wszystkiego spodziewać. Gonzaga osądził go jednym spojrzeniem. Wiedział, że chętnie odpłaci ludzkości za upokorzenia i niedole. Chaverny nie nadawał się do tej roboty.

Cocardasse i Passepoil zeszli do ogrodu. Przed domem nie było znaku przygotowanej przez Gonzagę zasadzki. Posunęli się w stronę zarośli, gdzie poprzedniego dnia pan de Peyrolles znalazł trupy Saldagne'a i Faenzy. Ale i tam nie było nikogo. Zdziwiło ich, że furka w murze ogrodowym, wychodząca na małą uliczkę, była szeroko otwarta. W uliczce nie spostrzegli żywej duszy.

— Ho, ho — szepnął Cocardasse — tego nie mógł zrobić Mały Paryżanin, od wczorajszego wieczoru siedzi przecież na górze.

— Czy my wiemy, co on potrafi? — odpowiedział Passepoil.

Od strony kościoła doleciał ich hałas.

— Poczekaj, pójdę zobaczyć.— rzekł Gaskończyk i wysunął się za bramę, idąc wzdłuż muru ku cmentarzowi Saint-Magloire. Na cmentarzu zobaczył gwardzistów.

— Ho, ho, moja duszko — powiedział wróciwszy — jeśli będzie taniec, nie zabraknie muzyki!

Tymczasem Oriol i towarzysze wpadli do sypialni Gonzagi, gdzie pan Griveau, notariusz królewski, spał spokojnie na sofie; na stoliku widać było resztki wybornej kolacji. Oriol wziął notariusza pod jedno ramię, panna Cidalise pod drugie i tak przyprowadzili go na pierwsze piętro. Mecenas Griveau skłonił się obecnym. Miał już przygotowany brulion intercyzy, ale z nazwiskiem markiza de Chaverny, które trzeba było

wymazać. Na zapraszający gest pana de Peyrolles zasiadł przy stoliku, wyciągnął pióro i kałamarz i zabrał się do roboty.

— Czy to długo potrwa? — spytał karzeł.

— Rozumie pan niecierpliwość narzeczonych — zaśmiał się Gonzaga.

— Wystarczy mi pięć minut — odparł notariusz.

Ezop II wstrząsnął koronki żabotu i z miną zwycięzcy przygładził piękne włosy Aurory.

— Akurat tyle, ile trzeba, by podbić kobietę — powiedział z powagą.

— Wypijmy za szczęście młodej pary! — zawołał Gonzaga.

Otwarto nowe butelki. Tym razem zapanowała szczerza wesołość, niepokój prysł, obecni z radością oddali się zabawie.

— A toaleta panny młodej? — spytał nagle garbus. — Czyż nie mówiono o ślubnej sukni? A ja, do licha, aż mi wstyd! Nie jestem uczesany, moje koronkowe mankiety zupełnie się pogniotły.

Donia Cruz zajęła się toaletą panny młodej.

— Prędko! — zawołała — noc mija, kiedyż będzie wesele?

— Jeszcze ci ją obudzą — powiedział Navailles z niepokojem.

Ezop II w jednej ręce trzymał lustro, w drugiej grzebień.

— Ona jest moja — rzekł — jak wy należycie do księcia Gonzagi.

— Gotowe — oznajmił pan Griveau — można podpisać.

— Czy umieścił pan nazwiska małżonków? — spytał księżę.

— Nie znam ich — odparł notariusz.

— Twoje nazwisko, przyjacielu? — zwrócił się Gonzaga do Garbusa.

— Księżę pan raczy podpisać — rzekł swobodnie Ezop II — podpiszcie się i wy, panowie; mam nadzieję, uczynicie mi ten zaszczyt. Sam wpiszę swoje nazwisko, jest tak zabawne, że pobudzi was do śmiechu. Księżę, chciałbym dostać pańskie mankiety jako prezent ślubny.

Gonzaga zdjął koronkowe mankiety i rzucił je garbusowi, następnie podszedł do stołu, by jako pierwszy podpisać kontrakt. Goście tymczasem wymyślali przeróżne nazwiska, jakie ich zdaniem mógł nosić karzeł.

— Nie trudźcie się, panowie — powiedział Ezop II nakładając koronkowe mankiety księcia — i tak nie odgadniecie. Panie de Navailles, ma pan piękną chustkę.

Navailles dał mu chustkę. Każdy chciał jakimś drobiazgiem przystroić pana młodego.

Goście, jeden po drugim, kładli podpisy na akcie ślubnym. Nazwisko księcia figurowało na pierwszym miejscu.

Na progu salonu ukazała się Aurora w białej ślubnej sukni, z kwiatem pomarańczowym we włosach. Była bardzo piękna, a jej nieruchoma twarz wyglądała jak uśpiona siłą złego czaru. Szmer zachwytów przywitał wejście panny młodej.

— Do licha, mam piękną żonę! — zawołał garbus. — Kolej na nas, ślicznotko, chodźmy podpisać kontrakt.

Wziął rękę Aurory z rąk donii Cruz. Obecni oczekiwali jakiegoś gestu obrony czy odrazy, ale Aurora poszła posłusznie. Wzrok Ezopa II natrafił na Cocardasse'a, który właśnie wszedł do salonu wraz z przyjacielem. Garbus mrugnął i szybkim gestem dotknął boku. Gaskończyk zrozumiał, gdyż zagroził mu drogę wołając:

— Brak czegoś panu młodemu!

— Czego? Czego? — pytano.

— Czego? — powtórzył naiwnie garbus.

— Do licha — odparł Gaskończyk — od kiedy to szlachcic żeni się bez szpady u boku?

Prawda! Prawda! Trzeba naprawić nieuwagę. Szpadę dla garbusa, będzie jeszcze śmieszniej!

— Nie jestem przyzwyczajony — mruzczał Ezop — szpada mi zawsze zawadza, krępuje ruchy.

Wśród paradnej broni zebranych gości była jedna długa i mocna szpada pana de Peyrolles, który nigdy nie żartował. Navailles, mimo protestów właściciela, odpassał ją słudze Gonzagi i przypasał, dowcipkując, do boku garbusa. Jedynie Passepoil i Cocardasse zauważyli, że ręka Ezopa, dotknąwszy gardy, jak gdyby radośnie zadrżała. Ze szpadą u boku garbus nabrał jeszcze większej pewności siebie, która wzbudziła ogólną wesołość i nowe wybuchy śmiechu. Rzucono się, by go uściskać, całowano go i tarmoszono na wszystkie strony jak kukłę. Miał doprawdy szalone powodzenie! Pozwalał na wszystko, ale znalazłszy się przy stoliku notariusza, powiedział:

— Dość już tego, cały jestem pognieciony! Proszę tak nie przyciskać się do mojej małżonki, proszę pozwolić nam dopełnić formalności ślubnych.

— Nazwisko pana, imiona, miejsce i data urodzenia... — zaczął notariusz.

Garbus kopnął krzesło, na którym siedział par Griveau. Notariusz obejrzał się, by zobaczyć, co stało.

— Czy pan już podpisał? — spytał garbus.

— Naturalnie.

— Może pan odejść — i odpychając notariusza zajął z powagą jego miejsce.

Obecni wybuchnęli śmiechem. Wszystko, co robił karzeł, wywoływało wesołość zebranych.

— Dlaczego, u licha, sam chce napisać swe nazwisko? — zainteresował się Navailles.

— Zobacz pan, dlaczego — odparł garbus — zdziwicie się wszyscy. Tymczasem pijcie.

Napełniono szklanki. Garbus pewną ręką zaczął wypełniać rubryki.

— Do diabła ze szpadą! — powiedział nagle, starając się umieścić broń tak, by mu nie przeszkadzała.

Nastąpiły nowe wybuchy śmiechu; zniecierpliwiony garbus wyrwał szpadę z pochwy i położył ją obnażoną koło siebie na stole. Nagrodzono to śmiechem. Cocardasse ścisnął ramię Passepoila.

— Do licha, smyczek przygotowany — mruknął.

— Uwaga, stroi skrzypce — odburknął Passepoil.

Wskazówka zegara dotykała prawie czwartej.

Proszę podpisać — garbus podał pióro Aurorze. Gdy wahała się, spojrział na nią przeciągle. — Skoro je znasz, podpisz prawdziwym nazwiskiem — szepnął.

Aurora pochyliła się nad pergaminem. Po niej garbus wziął pióro i również podpisał.

— Gotowe — powiedział. — A teraz zobaczcie, to was zadziwi.

Wszyscy podbiegli do stołu. Garbus rzucił pióro i wziął niedbale szpadę.

— Baczość! — szepnął Cocardasse.

— Gotów! — odpowiedział rezolutnie Passepoil.

Gonzaga i Peyrolles podeszli pierwsi; gdy ujrzeli nazwiska nowożeńców, cofnęli się trzy kroki.

— Co się stało? — wołali dalej stojący. — Jak się garbus nazywa?

Ezop II obiecał zadziwić obecnych i dotrzymał słowa. Ujrzano nagle, jak wyprostowują się pokrzywione nogi; karzeł wyrósł, wysoko podnosząc głowę, a szpada błysnęła w jego ręku.

— Do diabła — mruknął Cocardasse — Mały Paryżanin nie takie robił sztuczki, gdy był chłopcem.

Garbus wyprostowując się odrzucił w tył włosy, jego wysoka, silna postać i piękna głowa zdawały się promieniować.

— Przeczytajcie moje nazwisko — rzucił wodząc błyszczącym wzrokiem po zebranych, a końcem szpady dotknął pergaminu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na kontrakt. Krzyk nappełnił salon. Zebrani powtarzali jednym głosem:

— Lagardere! Lagardere!

— Tak, Lagardere — powtórzył Henryk — Lagardere, który zawsze dotrzymuje słowa.



W pierwszej chwili zdumienia zdołałby może przebić się przez szeregi wrogów, którzy zaskoczeni, potracili głowy. Lecz nie uczynił żadnego gestu. Stał trzymając jedną ręką Aurorę, tulącą się do jego piersi, w drugiej — podniesioną szpadę. Cocardasse i Passepoil dobyli rapierów i stanęli tuż za nim. Gonzaga wyrwał broń, goście poszli za jego przykładem. Było ich mniej więcej dziesięciu na jednego. Donia Cruz chciała rzucić się między przeciwników, ale Peyrolles chwycił ją wpół i wyniósł z salonu.

— Panowie, ten człowiek nie może stąd wyjść! — zawołał Gonzaga, blady, z zaciśniętymi zębami. — Naprzód!

Navailles, Noce, Choisy i inni natarli z impetem. Lagardere nawet nie zasłonił się stołem i nie wypuszczając Aurory, stanął w pozycji.

Cocardasse i Passepoil ustawili się po obu bokach ulubieńca.

— Obecny! — zawołał Lagardere zadając pierwsze pchnięcie.

Po kilku chwilach ludzie Gonzagi musieli się cofnąć. Dwóch leżało na podłodze w kałuży krwi. Lagardere i dwaj pomocnicy, nieruchomi jak posągi, oczekiwali drugiego natarcia.

— Chciał pan dokonać parodii małżeństwa, książę — powiedział Lagardere — ale akt jest formalny, ma nawet pański podpis.

— Naprzód! Naprzód! — ryknął Gonzaga nieprzytomny z gniewu i rzucił się na czele swych ludzi.

Zegar wydzwonił czwartą. Za drzwiami usłyszano hałas, dobijanie się, podczas gdy jakiś głos wołał:

— W imieniu króla!

Dziwny widok przedstawiał salon pałacyku Gonzagi.

Wszędzie widniały ślady niedawnej uczyty: wypróżnione butelki, przewrócone szklanki, resztki potraw na stole. Półżywy ze strachu notariusz ukrył się w sąsiednim buduarze. W głębi salonu stali nieruchomo Lagardere i Aurora, z dwoma fechtmistrzami po bokach.

Gonzaga, w otoczeniu wiernych dworzan, wpijał w drzwi niespokojne spojrzenie. Po kątach kryły się drżące, oszalałe z lęku kobiety, pośrodku — dwa trupy w kałuży krwi.

Do salonu wkroczyła gwardia oraz policja z Chatelet. Nie doczekawszy się otwarcia, wyważyli drzwi.

— Panowie, w imieniu króla! — zawołał kapitan gwardzistów.

— Co to znaczy? — spytał Gonzaga.

— Książę — kapitan spojrzał na ciała zabitych — tej nocy jestem pod rozkazami księżnej Gonzaga, pańskiej żony.

— I to księżna, moja żona...? — zaczął wściekły Gonzaga, ale nie dokończył, gdyż na progu stanęła księżna, jak zwykle w żałobnych szatach.

Na widok zebranych w salonie kobiet i malowideł pokrywających ściany opuściła na twarz welon.

— Nie przynodzę tu dla pana — powiedziała do męża — a zwracając się do Henryka dodała: — Upłynęły dwadzieścia cztery godziny, panie de Lagardere; sędziowie czekają, proszę oddać szpadę.

— I ta kobieta jest moją matką! — szepnęła Aurora zakrywając twarz

— Panowie — księżna zwróciła się do gwardzistów — czyńcie swą powinność.

Lagardere rzucił szpadę do nóg kapitana. Gonzaga i jego poplecznicy stali nieporuszeni. Gdy kapitan wskazał mu drzwi, Henryk podszedł do księżny trzymając Aurorę za rękę.

— Walczyłem w obronie pani córki — powiedział.

— Mojej córki? — powtórzyła księżna drżącym głosem.

— On kłamie! — zawołał Gonzaga.

— Prosiłem o dwadzieścia cztery godziny, by oddać matce pannę de Nevers — powiedział powoli, a piękna jego głowa górowała nad ciżbą. — Minęły dwadzieścia cztery godziny, oto panna de Nevers.

Zimne ręce matki dotknęły palców córki. Księżna otworzyła ramiona i Aurora rzuciła się z płaczem w objęcia matki.

— Proszę się nią opiekować — rzekł usiłując przezwyciężyć niepokój — proszę ją kochać, ma już tylko panią.

Aurora wydarła się z objęć matki i podbiegła do narzeczonego. Odsunął ją łagodnie.

— Żegnaj, Auroro — powiedział — nasze zaręczyny pozostaną bez jutra. Zatrzymaj ten kontrakt, który czyni cię moją żoną wobec ludzi, jak

od wczoraj byłaś nią wobec Boga. Księżna pani wybaczy ci megalians z umarłym.

Ostatni raz ucałował rękę dziewczyny, skłonił się głęboko księżnie i podszedł do drzwi.

— Proszę mnie zaprowadzić przed trybunał.

ŚWIADECTWO ZMARŁEGO

I.W SYPIALNI REGENTA

Około godziny ósmej rano regent szykował się do snu. Kolacja w Palais-Royal skończyła się późno. Książę był tak zmęczony, że zasypiał stojąc. Otworzyły się cicho drzwi sypialni i lokaj zaanonsował pana de Machault.

— Przyjmę pana naczelnika policji w południe — powiedział niezadowolony regent — ci ludzie igrają moim zdrowiem, zabiją mnie wreszcie.

— Pan de Machault ma ważne sprawy, Wasza Królewska Wysokość — nalegał lokaj.

— Znam, znam te jego ważne sprawy — przerwał regent. — Powiedziałem: w południe, a raczej o pierwszej. Czuję się źle.

Lokaj wyszedł.

Po chwili drzwi otworzyły się znowu i ten sam lokaj zaanonsował:

— Pan Le Blanc, sekretarz stanu.

— Do diabła! — rzucił regent, który stawiał już bosą stopę na taborecie, by wejść do wysokiego łoża.

Lokaj wyszedł i zza przymkniętych drzwi szepnął:

— Pan sekretarz stanu ma ważne nowiny...

— Wszyscy mają ważne nowiny — regent wtulił głowę w poduszkę przybraną bezcennymi koronkami. — Przyjmę go o pierwszej, razem z panem de Machault, nie, lepiej o drugiej.

Lokaj wyszedł, a regent zamknął oczy.

W przedpokoju spotkali się pan de Machault i pan Le Blanc.

— Czy słyszał pan o skandalu w pałacyku księcia Gonzagi? — spytał Le Blanc.

— Wiem to, co opowiedzieli moi ludzie: dwóch zabitych, a trzech aresztowanych. Uwięziono dawnego szwoleżera królewskiego, Lagardere'a i dwóch opryszków, których nazwisk nie pamiętam. Księżna Gonzaga w imieniu króla weszła siłą do jaskini małżonka. Znalezione tam dwie dziewczyny... Dziwna to sprawa, zagadka dobra dla Sfinksa.

— Jedna z tych dziewcząt to z pewnością dziedziczka księcia de Nevers — powiedział sekretarz stanu.

— Nie wiadomo. Jedną przedstawił książę Gonzaga, drugą ten Lagardere.

— Czy regent zna wydarzenia?

— Słyszał pan. Regent do ósmej rano bawił przy kolacji.

— Gdy się dowie, niech książę Gonzaga ma się na baczności.

— Nie wiadomo. — Naczelnik policji wzruszył ramionami. — Albo książę Gonzaga straci łaski regenta, albo nie; od dwudziestu pięciu lat są przyjaciółmi

— Zwołano tej nocy Nadzwyczajny Trybunał do Spraw Kryminalnych.

— Na wniosek księżny Gonzaga, by sądzić pana de Lagardere.

— Czy, zdaniem pana, Jego Królewska Wysokość zdecyduje się osłonić księcia?

— Jestem zdecydowany nie wypowiadać się w tej sprawie, póki się nie dowiem, czy Gonzaga stracił łaskę regenta. Wszystko od tego zależy — powiedział stanowczo pan de Machault.

Gdy domawiał tych słów, otwarły się drzwi przedpokoju i na progu stanął książę Gonzaga. Panowie wymienili ukłony.

— Czy jego Królewska Wysokość już nie śpi? — spytał Gonzaga.

— Nie wpuszczono nas — odparli jednocześnie de Machault i Le Blanc.

— Wobec tego i mnie regent nie przyjmie — szybko rzekł książę.

— Proszę zaanonsować Jego Królewskiej Wysokości księcia
Gonzagę — rozkazał pan de Machault lokajowi.

Lokaj wrócił po chwili i rzekł głośno:

— Jego Królewska Wysokość prosi.

Zdumienie odmalowało się na twarzach obecnych. Gonzaga skłonił się urzędnikom i poszedł za lokajem.

— Jego Królewska Wysokość zawsze ten sam — mruknął Le Blanc ze złością. Przyjemność przed obowiązkiem.

— Ten fakt wiele mówi — pan de Machault miał na ustach drwiący uśmiech.

— Nie zaprzeczy pan, że fortuna Gonzagi...

— Jest zagrożona — przerwał naczelnik policji.

Sekretarz stanu spojrział z niemym zdumieniem.

— Albo znajduje się u szczytu — dodał pan de Machault.

Raczy pan wyjaśnić, nie rozumiem...

— Wczoraj regent i Gonzaga byli dobrymi przyjaciółmi, a mimo to Gonzaga, jak i my, czekał godzinę na przyjęcie.

W korytarzu oddzielającym sypialnię od przedpokojów Gonzaga miał czas się zastanowić. Spotkanie z urzędnikami zmieniło jego plany: choć nic nie powiedzieli, opuszczając ich Gonzaga wiedział, że pozycja jego jest zagrożona. Gdy wszedł, regent wyciągnął rękę; Gonzaga uściśnął podaną dłoń i usiadł przy łóżku nie doczekawszy się zaproszenia. Głowa Filipa Orleańskiego spoczywała na poduszce, lecz Gonzaga czuł, że książę pilnie go obserwuje.

— A więc, Filipie — zaczął regent z serdeczną dobroduszością — wszystko się wykryło?

Gonzaga, choć poczuł lód w sercu, nie okazał niepokoju.

— Byłeś nieszczęśliwy, a my nie wiedzieliśmy o niczym — ciągnął regent. — Z twojej strony to brak zaufania.

— Raczej brak odwagi, panie — odparł cicho Gonzaga.

— Rozumiem, rozumiem, nie lubisz obnażać rodzinnych ran. Czy masz mi co do powiedzenia?

— Wiele rzeczy, Wasza Królewska Wysokość. Tej nocy w moim pałacyku popełniono dwa zabójstwa.

— Założę się, że to kawaler de Lagardere! — krzyknął regent siadając na posłaniu. — Źle postąpiłeś, słowo honoru, Filipie, wzbudziłeś tylko podejrzenia...

— Podejrzenia? — powtórzył Gonzaga prostując z wyrazem dumy swą wysoką postać. — Czy Wasza Królewska Wysokość mnie podejrzewa?

— Owszem, przyznam, że cię podejrzewałem — odparł regent po chwili milczenia. — Obecność twoja cię oczyszcza, spojrzenie masz szczere. Mów, słucham cię.

— Czy mogę prosić, aby Wasza Królewska Wysokość raczył objaśnić...

— Wdowa po Filipie de Nevers była bogata, a ty biedny...

— Nie powinienem był jej poślubić, czy tak?

Regent oparł głowę o poduszki i nie odpowiedział.

— Wasza Królewska Wysokość wie, że przyjaciel nasz umarł na moich rękach, wie również, że znajdowałem się w zamku Caylus, by skruszyć opór starego markiza, uprzedzonego do Filipa de Nevers, który ukradł mu córkę. Zeznawałem już dziś jako świadek przed trybunałem kryminalnym.

— Więc Lagardere nie został u ciebie zabity? — przerwał regent. — Jaki wyrok wydał trybunał?

— Lagardere nie został zabity; zabił u mnie dwóch ludzi.

— W jaki sposób znalazł się u ciebie?! — po raz drugi wykrzyknął regent.

— Sądzę, że księżna Gonzaga potrafi wyjaśnić to Waszej Królewskiej Wysokości.

— Uważaj, to święta kobieta.

— Ta święta nienawidzi męża — powiedział Gonzaga z siłą. — Nie wierzę w święte, które kanonizuje Wasza Królewska Wysokość.

— Uspokój się, mój biedny Filipie — uśmiechnął się regent. — Byłem trochę twardy, ale widzisz, to zakrawa na skandal. Jesteś wielkim panem; gdy skandal wybucha tak wysoko, jego echo wstrząsa tronem. Powiedziałeś, że małżeństwo z Aurorą de Caylus było dobrym uczynkiem. Dowiedz mi tego.

— Czyż spełnienie ostatniej prośby umierającego nie jest dobrym uczynkiem? — odparł Gonzaga z doskonale odegranym przejęciem.

Regent otworzył usta ze zdziwienia. Zapadła długa cisza.

— Nie śmiałyś kłamać, i to mnie — szepnął wreszcie — wierzę ci.

— Widzimy się po raz ostatni, Wasza Królewska Wysokość — odrzekł Gonzaga. — Ludzie mego rodu nie przywykli do podobnego traktowania. Niech tylko oczyszczę się z zarzutów, a na zawsze pożegnam przyjaciela młodości, który odepchnął mnie w nieszczęściu. Wasza Królewska Wysokość wierzy mi, dziękuję.

— Filipie — szepnął regent, a głos jego drżał szczerym wzruszeniem — oczyść się z zarzutów, a na honor, zobaczysz, jak cię Kocham!

— Jestem więc oskarżony?

Regent milczał.

— Proszę pytać — rzekł zrezygnowany Gonzaga — odpowiem na wszystko.

Po chwili namysłu regent zaczął:

— Byłeś świadkiem krwawego dramatu w fosie zamku Caylus?

— Tak, i z narażeniem życia broniłem naszego przyjaciela. To był mój obowiązek.

— Chciałbym znać jego ostatnie słowa.

— Nie mam nic do ukrywania przed Waszą Królewską Wysokością. Nasz nieszczęsny przyjaciel powiedział: „Bądź mężem mojej żony i ojcem mego dziecka”.

— Dobrze zrobiłeś spełniając wolę umierającego, to twój obowiązek. Dlaczego przez dwadzieścia lat ukrywałeś tę okoliczność?

— Kocham moją żonę — odparł bez wahania Gonzaga.

— W czymże miłość ta była przeszkodą?

— Musiałbym oskarżyć jej ojca, starego markiza — szepnął Gonzaga spuszczaając oczy.

— Zabójcą był więc markiz de Caylus? O cóż zatem oskarżasz kawalera de Lagardere?

— O to, o co u nas w Italii oskarża się najemnego zbirą, który popełnia zbrodnię za pieniądze.

— Pan de Caylus kupił szpadę Lagardere'a?

— Tak, panie. Lecz podrzędna rola opryszka trwała tylko jeden dzień. Potem na swój własny rachunek porwał dziecko wraz z dokumentami stwierdzającymi jego urodzenie. Wasza Królewska Wysokość zmusił mnie, bym zapalił pochodnię prawdy w ciemnościach, których nie chciałem rozpraszać, by nie oświetlić szlachetnej strony mego życia. Proszę wysłuchać tej historii i być mym sędzią.

— Jeśli cię skrzywdzono — powiedział regent — otrzymasz zadośćuczynienie. Mów.

— Księżciu Filipowi Orleańskiemu, który wczoraj jeszcze był moim przyjacielem, opowiedziałbym te dzieje innymi słowami; w obecnej sytuacji opowiem je inaczej. Ten Lagardere to nie tylko niebezpieczny opryszek, uważany za bohatera przez ludzi jego pokroju, to człowiek inteligentny i niezmiernie chytry, zdolny całymi latami dążyć do celu, jaki mu wytknęła wygórowana ambicja. Nie sądzę, by od początku miał

zamiar poślubić pannę de Nevers, nie, na to trzeba było czekać co najmniej kilkanaście lat, a dla niego to zbyt długo. Pierwszą jego myślą był przypuszczalnie olbrzymi okup, jakiego zażąda za dziecko. Wiedział, że tak rodzina markiza de Caylus, jak i księcia de Nevers były bardzo bogate. Ja, który od pamiętnej nocy zbrodni ścigałem go bez wytchnienia, znam każdy jego krok i wiem, że na tym dziecku oparł całą nadzieję zrobienia fortuny. Dzięki mojemu pościgowi szybko zrozumiał, że taka transakcja nie jest możliwa. Wkrótce po nim przekroczyłem granicę i dopadłem go w małej miejscinie w Nawarze. Mimo naszej przewagi udało mu się zbiec i pod przybranym nazwiskiem ukryć się w głębi Hiszpanii. Nie będę opowiadał o spotkaniach z tym człowiekiem. Jego siła, odwaga i zręczność mają w sobie coś nadludzkiego. Oprócz rany, którą zadał mi w fosie zamku Caylus, gdy bronilem naszego przyjaciela... — w tym miejscu zdjął rękawiczkę i pokazał bliznę — oprócz tej rany noszę na sobie inne ślady jego ręki. Nie dorówna mu żaden fechtmistrz. Miałem na swym żołdzie prawdziwą armię, bo chciałem wziąć go żywcem, by w ten sposób zidentyfikować dziecko. Były to najpierwsze szpady Europy. Wszyscy zginęli... wszyscy z jego ręki. Minęły lata i proszę zważyć, że Lagardere ani razu nie usiłował przesłać wdowie jakiegokolwiek wiadomości. Faenza, zręczny człowiek, którego wysłałem do Madrytu, by go pilnował, doniósł mi za powrotem, że ten opryszek, zwący się w Hiszpanii don Luisem, porozumiał się z bandą Cyganów z Leonu i wymienił dziecko na małą Cyganeczkę.

Lagardere bał się mnie, czuł, że następuję mu na pięty. Cyganeczkę wychował u siebie, podczas gdy prawdziwa panna de Nevers żyła w cygańskim namiocie. Nie mogłem wprost uwierzyć i udałem się do Madrytu. Wyruszyłem do obozu Cyganów w wąwozach góry Baladron i upewniłem się, że Faenza mówił prawdę. Widziałem dziewczynkę, wszystko jeszcze świeżo pamiętała. Byłem gotów porwać ją i przywieźć

do Francji, ale Cyganie nas zdradzili. Uśpiono mnie narkotykiem, a nazajutrz Cyganie znikli. Lagardere umieścił pannę de Nevers u Cyganów czasowo, ale wkrótce sytuacja się zmieniła: łotr zakochał się w Cygance. Od tej chwili los prawdziwej panny de Nevers był przesądzony. Bezczelny awanturnik postanowił przedstawić Cyganek jako córkę Neversa i ożeniwszy się z nią, zagarnąć książęcą fortunę.

Regent poruszył się pod kołdrą, na twarzy jego odbiła się przykrość. Cała historia nabrała życia. Marzenie awanturnika Lagardere'a tak logicznie wypływało z sytuacji, że opowiadaniu Gonzagi nadało wszelkie pozory prawdy.

— Najciekawsze z tego wszystkiego — ciągnął książę zauważywszy wrażenie wywołane swymi słowami — najciekawsze jest to, że obie dziewczynki znały się i kochały. Wasza Królewska Wysokość pamięta może, jak go zdziwiła moja prośba posłowania do Madrytu?

Chciałem wrócić do Hiszpana jako oficjalna osobitość, z tytułem ambasadora, by w razie potrzeby skorzystać z pomocy madryckiej policji. Po kilku dniach znalazłem biedne, opuszczone przez Lagardere'a dziecko. Cóż z niej zrobił? Aurora de Nevers tańczyła na placach publicznych. Chciałem ująć awanturnika i jego kochankę, ale zbiegli. Przywiozłem więc pannę de Nevers.

— Tę, którą podajesz za pannę de Nevers — sprostował regent.

— Tak, panie, tę, którą podaję za pannę de Nevers.

— To nie wystarczy.

— Wasza Królewska Wysokość pozwoli mi sądzić inaczej.

Nie działałem lekkomyślnie. Musiałem dostać w ręce obie dziewczyny i awanturnika. Mamy ich, wszyscy troje są w Paryżu. Dlaczego Lagardere właśnie teraz wrócił do kraju? Gdy zabrałem ze sobą do Francji prawdziwą dziedziczkę Neversa, a Lagardere o tym się dowiedział, przypuszczalnie pomyślał: „Jeśli książę Gonzaga przedstawi

prawdziwą pannę de Nevers, cóż stanie się z piękną Cyganeczką i z moją nadzieją na miliony?" Chciałem przedstawić pannę de Nevers na radzie familijnej, ale postawa mojej żony przekonała mnie, że ją uprzedzono. Lagardere nie czekał zaczepki: atakował pierwszy. Wyznać muszę, że chytryść jest moją słabą stroną. Lagardere był sprytniejszy i wygrał. Człowiek ten ukrył się w moim otoczeniu pod śmiałym przebraniem i dzięki temu podstęp udał mu się znakomicie. Pomógł mu dawny zawód linoskoczka, który uprawiał, zanim zabrał się do zabijania. Czy Wasza Królewska Wysokość pamięta biednego chłopca, który niegdyś pod oknami Palais-Royal zarabiał na chleb pokazując łamane sztuki, wykręcając sobie stawy? Szczególnie udanie naśladował garbusa.

— Lagardere — szepnął regent, w którym obudziło się wspomnienie młodości. — Tak, przypominam sobie. Patrzyłem na niego przez okno. Mały Lagardere.

— Gdy dowiedziałem się, że wrócił do Paryża — ciągnął Gonzaga — postarałem się położyć rękę na papierach zabranych z zamku Caylus. Udało mi się pochwycić papiery i dziewczynę.

— Gdzie dziewczyna? — spytał regent.

— Przy biednej, oszukanej matce.

— A papiery?

— W moich rękach. Jestem gotów przedstawić je Waszej Królewskiej Wysokości.

— Dziś wieczór zażądamy ich od ciebie.

— Jestem gotów. Sam dozwoliłem, by Lagardere w przebraniu dostał się do mego domu. Lagardere to król kuglarzy. Gdy wilk znalazł się w owczarni, pokazał kły. Jeden z moich wiernych sług, pan de Peyrolles, uprzedził potajemnie księżnę. Dla dwóch moich towarzyszy księżna i straż przybyli za późno. Wilk już ugryzł.

— Czy Lagardere był sam?

— Było ich czterech, panie, licząc i mego kuzyna, markiza de Chaverny.

— Chaverny? — zdziwił się regent.

— Gdy był ze mną w Madrycie, poznał kochankę Lagardere'a. Otrzymałem już od pana d'Argenson nakaz aresztowania markiza.

— A dwaj inni?

— Również aresztowani. To dwaj fechtmistrze, którzy niegdyś hulali razem z Lagardere'em.

— Pozostaje wyjaśnić twoje zachowanie tej nocy.

— Gdy byłem u Waszej Królewskiej Wysokości, przyjaciele urządzili podobno straszną orgię. Sforsowali drzwi do moich prywatnych apartamentów, gdzie ukryłem obie dziewczyny, by nazajutrz oddać je księżnej; Przyjaciele moi byli pijani. Pijacki pojedynek rozegrał się między Chavernym a Lagardere'em. Nagrodą miała być ręka tej młodej Cyganki, którą Lagardere przedstawia jako pannę de Nevers. Gdy wróciłem, zastałem markiza pijanego pod stołem, a Lagardere tryumfował u boku kochanki. Przygotowano kontrakt ślubny, sfalszowano mój własny podpis.

Regent spoglądał na Gonzagę i zdawało się, że chce przejrzeć go do dna duszy. Należało ukarać zabójcę księcia de Nevers, należało oddać biednej, wydziedziczonej sierocie nazwisko, fortunę, rodzinę.

— Filipie — zaczął z wahaniem książę Orleański po chwili milczenia — Bóg mi świadkiem, pragnę zachować w tobie przyjaciela. Kalumnia mogła cię dosięgnąć, wielu ci zazdrości. Odpowiedz na ostatnie pytanie: co znaczy historia spadku po hrabim Canozza?

— Mój kuzyn Canozza zmarł, gdy razem z Waszą Królewską Wysokością podróżowałem po Italii. Podłość ludzka czasem przekracza granice i dochodzi do absurdu godnego pogardy. Peyrolles powiedział mi

dzisiaj rano: „Wrogowie sprzysięgli się, by pana zgubić. Wszystkie zbrodnie popełnione w Italii panu są przypisywane. Zrobiono z pana nowego Borgię, ubrano we wszystkie rekwizyty jego epoki, więc zatrute brzoskwinie, kwiaty, od których zapachu się umiera, itd.” Obrzydzenie zamyka mi usta i nie pozwala się tłumaczyć. Mogę tylko powiedzieć, że Lagardere jest w rękach sprawiedliwości, obie dziewczyny przy księżnie, ja posiadam karty wydarte z rejestru kaplicy w Caylus, a Wasza Królewska Wysokość jest głową państwa. Z tym wszystkim łatwo wykryć prawdę.

— Prawda będzie odkryta — powiedział regent — ja sam dzisiaj wieczór przewodniczę radzie familijnej.

— Przyszedłem prosić Waszą Królewską Wysokość o tę łaskę — Gonzaga chwycił rękę regenta. — Dziękuję, dziękuję w imię człowieka, którego pamięci poświęciłem życie. Proszę o wybaczenie mej śmiałości; kara już blisko: Filip Orleański i Filip Gonzaga dzisiaj wieczór zobaczą się po raz ostatni.

Regent przyciągnął go do siebie: stara przyjaźń nie rdzewieje!

— Mam nadzieję, że wystarczą ci przeprosiny regenta — szepnął.

— Są rany, co goją się z trudem — powiedział Gonzaga potrząsając głową. — Przedpokoje Waszej Królewskiej Wysokości pełne interesantów. Wszyscy zadają sobie pytanie, czy wyjdę wolny z sypialni regenta, czy też straż zawiedzie mnie do Bastylii. Stawiam sobie to samo pytanie... Proszę o jedną z dwu łask: o celę więzienną, która ochroni mnie przed wrogami, lub o szczególne wyróżnienie, o jakiś publiczny znak przyjaźni, bym choć na dzień odzyskał dawną pozycję u dworu.

Regent zadzwonił i rzucił lokajowi:

— Wprowadzić czekających.

W chwili gdy wezwani dworacy przestępowali próg sypialni, księżę Orleański przyciągnął do siebie Gonzagę i pocałował go w czoło.

— Do zobaczenia wieczorem, drogi Filipie!

Dworzanie rozstąpili się, kłaniając się do ziemi przechodzącemu Gonzadze.

II. TRZY PIĘTRA WIĘZIENNYCH CEL

Pierwszy raz Trybunał do Spraw Kryminalnych powołany został za Franciszka II, który ustanowił tę instytucję przy każdym parlamencie dla sądzenia heretyków. Wyroki najwyższego trybunału były nieodwołalne, a wykonywano je w dwadzieścia cztery godziny. Za panowania Ludwika XIV najślawniejszą sprawą, jaką sądził ten trybunał, była sprawa trucieli. Za czasów regencji, choć nazwa trybunału pozostała bez zmiany, zmienił się jednak zakres jego działania.

Poprzedniego dnia regent zwołał posiedzenie Trybunału do Spraw Kryminalnych na godzinę czwartą nad ranem. O pół do piątej kawaler de Lagardere stanął przed sądem w Chatelet. Akt oskarżenia zarzucał mu porwanie dziecka i morderstwo. Trybunał jako świadków przesłuchał księcia i księżnę Gonzaga; zeznania ich jednak były tak sprzeczne, że choć wyrok trybunału ocierał się zwykle na najmniejszej poszlacie, tym razem zarządzono godzinną przerwę dla zbadania sprawy. Miano przesłuchać nowych świadków: pana de Peyrolles, Cocardasse'a i Passepoila. Księżę Gonzaga widział się z każdym sędzią po kolei.

Wszystko przygotowano, by Lagardere'a odstawić do Bastylii na nocną egzekucję. Godzinne odroczenie sprawy spowodowało konieczność ulokowania więźnia blisko sali sądowej, na trzecim piętrze Nowej Wieży. Nowa Wieża była to budowla z czerwonej cegły, dziwnie kontrastująca z ponurymi budynkami otoczenia. Cele były czyściutkie, wyłożone kamiennymi płytami, jak prawie wszystkie ówczesne mieszkania w mieszczańskich domach. Areszt w wieży mógł być tylko prowizoryczny i z wyjątkiem potężnych zamków nic nie wskazywało, że jest to groźne więzienie stanu.

Po pierwszym przesłuchaniu dozorca więzienny oświadczył kawalerowi de Lagardere, że znajduje się w odosobnionym areszcie bez prawa porozumienia się z kimkolwiek z zewnątrz. Lagardere ofiarował mu dwadzieścia czy trzydzieści pistole, które miał przy sobie, w zamian za pióro, atrament i kawałek papieru. Dozorca wziął pieniądze, ale papieru nie przyniósł. Obiecał złożyć pistole w kancelarii.

Lagardere, znalazłszy się pod kluczem, stał chwilę nieruchomy, jak gdyby przybity dręczącymi go myślami. Był bezsilnym więźniem, bez możliwości działania. Wróg miał wszystko: władzę, pieniądze, przychylność głowy państwa, i był wolny.

Nocne posiedzenie trybunału trwało dwie godziny, zaczęło się bowiem natychmiast po kolacji w pałacyku Gonzagi. Był jasny dzień, gdy Lagardere znalazł się w więzieniu. W dawnych czasach, nim wstąpił do szwoleżerów, często miewał służbę w Chatelet. Znał miejsce i wiedział, że pod jego celą powinny znajdować się dwa piętra podobnych cel.

Jednym spojrzeniem objął swe więzienie: drewniany pniak, dzbanek z wodą, chleb i wiązka słomy. Na szczęście pozostawiono mu ostrogi. Zdjął jedną i ostrzem sprzączki ukłuł się w ramię, dzięki czemu zdobył atrament. Kawałek chustki posłużył za papier, a słomka za pióro. Używając podobnych materiałów piśmiennych pisze się wolno i mało czytelnie, można jednak coś napisać. Lagardere nakreślił słów kilka. Następnie, za pomocą tej samej ostrogi, udało mu się obluzować jedną z kamiennych płyt.

Nie pomylił się: dwa piętra cel znajdowały się pod jego celą. W pierwszej pijany markiz de Chaverny spał jak zabity, w drugiej Cocardasse i Passepoil, leżąc na słomie, rozmawiali o niestałości rzeczy tego świata.

Chaverny rzucał się na posłaniu, gdyż trapiły go złe sny. Nad głową rozlegały się uderzenia, a sufit był cienki. Aby jednak obudzić markiza,

trzeba było wystrzałów armatnich. Po chwili tynk zaczął sypać się z sufitu i spory kawałek gruzu spadł na czoło śpiącego. Tuż nad jego głową ciemny otwór powiększał się z każdą chwilą, aż wreszcie głos z góry zapytał:

— Kimkolwiek pan jest, proszę pomóc towarzyszowi niedoli. Czy i panu zabroniono komunikować się ze światem? Czy odwiedza pana ktoś z zewnątrz?

Chaverny spał nadal, ale jego sen nie był już tak głęboki. Tynk sypał się mu na głowę.

— Hola! — rozległ się głos Lagardere'a. — Czy pan mnie nie słyszy? Chaverny zachrapał. Z góry spadł jakiś przedmiot prosto na lewy policzek markiza, który skoczył na równe nogi, trzymając się za szczękę.

— Do licha! — krzyknął.

— Otrzymał pan paczuszkę? — spytał głos z góry.

Chaverny podniósł głowę.

Poznaję pana, panie de Chaverny. Choć pędził pań życie w gronie nędzników, pozostał pan szlachcicem. Dlatego nie dopuściłem, by tej nocy pana zamordowano. Chaverny otwierał szeroko oczy.

— To ja, kawaler de Lagardere — powiedział głos. — Czy wie pan, gdzie jesteśmy?

Chaverny energicznie potrząsnął głową.

— W więzieniu Chatelet, na drugim piętrze Nowej Wieży.

Przypuszczalnie porwano pana z domu na podstawie tajemnego nakazu.

— Maczał w tym palce kochany kuzynek — mruknął Chaverny. — Wydaje mi się, że okazałem wczoraj niezadowolenie z pewnych jego machinacji...

— Czy pamięta pan pojedynek z garbusem?

Chaverny przytaknął.

— Ja grałem tę rolę — odparł głos.

— Pan? — wykrzyknął markiz. — Kawaler de Lagardere?

— Gdy pan się upił, Gonzaga kazał pana sprzątnąć. Stoi pan na przeszkodzie jego planom i książe obawia się resztki szlachetności pozostałej w pańskim sercu. Ale dwa zuchy, którym to polecił, są pod moimi rozkazami.

— Dziękuję — odparł Chaverny — wszystko takie dziwne... Tym bardziej wierzę.

— Zrzuciłem panu list — ciągnął Lagardere — pisałem krwią na kawałku chustki. Czy miałby pan możliwość doręczyć go księżnie Gonzaga?

Chaverny zaprzeczył gestem. Następnie schylił się, wziął chustkę z owiniętym kawałkiem cegły i schował do kieszeni.

— Przypuszczalnie zginę tej nocy — rzekł Lagardere. — Śpieszmy się. Jeśli nie ma pan możliwości wydostać się i przesłać listu, proszę mnie naśladować i przebić podłogę. Może trafimy na kogoś szczęśliwszego od nas.

— Czym wybił pan dziurę? — spytał Chaverny.

Biała od tynku ostroga spadła u stóp młodego markiza, który z furią zabrał się do dzieła; w miarę jak ulatniały się opary wina, ogarniał go coraz większy gniew na myśl o księciu Gonzaga. Pracował z wściekłością, kalecząc ręce do krwi.

— Do stu par diabłów! — klął o piętro niżej Cocardasse. — Cóż to za harce wyrabia się na górze?

— Może mordują jakiego nieszczęśliwca? — odparł Passepoil, tego dnia oglądający świat w czarnych, barwach.

W tej chwili usłyszeli trzask i opadła część sufitu. Walący się tynk podniósł tumany kurzu.

— Polećmy dusze Bogu! — zawołał Passepoil.

W otworze ukazała się głowa markiza de Chaverny.

— Czy jesteście sami?

— Jak pan widzi, panie markizie — odparł Cocardasse. — Dlaczego narobił pan tyle szkody?

— Podsuńcie słomę, będę skakał.

— Dziękujemy, ta cela wystarczy dla nas dwóch.

— Podsuńcie słomę! — krzyknął zniecierpliwiony Chaverny.

Dwaj fechtmistrze nie poruszyli się. Chaverny wymówił więc nazwisko Lagardere'a i to poskutkowało.

— Czy szelma jest razem z panem? — spytał Cocardasse.

— Czy ma pan jakieś wiadomości? — dodał Passepoil.

Chaverny zamiast odpowiedzi przesunął nogi przez otwór w suficie. Był szczupły, a mimo to nie mógł precyzyjnie przesuwać bioder przez poszarpane brzozy wybitej dziury, choć rzucał się i czynił nadludzkie wysiłki. Przyjaciele widząc nogi kołyszące się w otworze, nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Zawsze ostrożny Passepoil przyłożył ucho do drzwi, Chaverny zaś powolutku przesuwiał się przez dziurę.

Cocardasse i Passepoil stanęli nad wiązką siana, złączywszy ręce. Wkrótce usłyszano złowrogi trzask, dwaj towarzysze zamknęli oczy i z markizem w ramionach potoczyli się po podłodze.

— Dobrzy z was chłopcy — rzekł Chaverny śmiejąc się i otrzepując tynk z ubrania. — Spróbujmy wyłamać drzwi, we trzech napadniemy na dozorców i droga wolna!

— Na Boga, doskonała myśl! — wykrzyknął Cocardasse. —
Wyważmy drzwi!

W tej chwili w korytarzu rozległy się kroki. W mgnieniu oka stosy tynku i resztki opadłego sufitu zepchnięto do kąta i przykryto słomą. W zamku głośno zazgrzytał klucz.

— Gdzie mogę się ukryć? — pytał Chaverny śmiejąc się mimo zakłopotania.

Cocardasse i Passepoil zdjęli kaftany i nakryli markiza zarzucając słomą, po czym stanęli naprzeciw siebie w pozycji i zaczęli wyimaginowaną walkę na szpady.

Skrzypnęły ciężkie drzwi i dozorczy ustawili się po bokach przejścia, by przepuścić pana de Peyrolles w bogatej dworskiej toalecie.

— Nie oddalajcie się — powiedział strażnikom przymykając za sobą drzwi.

Tego ranka pan de Peyrolles raz jeszcze policzył swój skarb. Uczciwie zarobione złoto i pakiety akcji podsunęły mu myśl natychmiastowej ucieczki. Instynkt mówił: „Odejdź!” Cóż jednak groźnego mogło wydarzyć się najbliższej doby?

— Dzień dobry, zuchy! — Peyrolles upewnił się, że drzwi są przymknięte. — Jak się czujecie? — dodał drwiąco.

— Nieźle — odparł Cocardasse. — Co nowego i w mieście?

— Nic ważnego, przyjaciele. Jak widzę, chcielibyście odzyskać rapiery?

— Siła przyzwyczajenia — odparł dobrodusznie Cocardasse.

— A gdybym, oddając szpady, otworzył wam drzwi celi?

— Do licha, to ślicznie, nieprawdaż, Passepoil?

— Co za to trzeba zrobić? — spytał przewidujący Normandczyk.

— Niewiele, moi mili, niewiele. Podziękować człowiekowi, którego uważacie za wroga, a który zawsze miał do was słabość.

— Któż to taki?

— To ja. Pomyślcie, znamy się już dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia trzy na świętego Michała — odparł Passepoil. — Było to w wieczór zabawy, kiedy obilem pana za Luwrem z rozkazu pana de Maulevrier.

— Passepoil — wykrzyknął srogo Cocardasse — nie na miejscu te przykre wspomnienia! Przepróż pana de Peyrolles, łajdaku!

Passepoil posłusznie zbliżył się z czapką w ręku.

Wtedy pan de Peyrolles spostrzegł białą plamę na podłodze, a podniósłszy głowę ujrzał dziurę w suficie, Zbladł jak ściana, nim Jednak zdążył krzyknąć, pognie uśmiechnięty Passepoil odciął mu odwrót. Peyrolles cofnął się ku wiązce słomy i w tej chwili spod kaftana Normandczyka wysunęła się roześmiana twarz markiza de Chaverny.

III. STARZY ZNAJOMI

Wizyta pana de Peyrolles w więzieniu nie była bezinteresowna. Tego dnia Cocardasse i Passepoil mieli stanąć przed trybunałem jako świadkowie. Nie było to po myśli księcia Gonzagi, wysłał więc intendenta z tak olśniewającą propozycją, że sumienie fechtistrzów nie oparłoby się pokusie: tysiąc pistolów na głowę, płatne z góry, za drobną przysługę. Nie trzeba było oskarżać Lagardere'a, o, nie! Należało tylko zeznać, że w noc zabójstwa nie było ich w okolicach zamku Caylus. Książę Gonzaga pewien był zgody fechtistrzów; wiedział, że nie zechcą chwalić się obecnością na miejscu zbrodni. Pan de Peyrolles jednak nie zdążył jeszcze wykazać dyplomatycznych zdolności, gdy Chaverny, wyrzawszy spod nakrycia, dał znak przyjaciołom, by zbliżyli się do sługi Gonzagi.

Przestraszony Peyrolles nie wzywał pomocy, gdyż obawiał się przerwać negocjacje, dla których był wysłany. Położył rękę na gardzie szpady mówiąc:

— Co się stało? Chcecie uciec dziurą w suficie? Nie udało się? Stójcie! — krzyknął nagle. — Ani kroku dalej!

Jednakże nie ręka pana de Peyrolles dobyła jego szpady. Uczyniła to biała, wypielęgnowana dłoń de Chaverny, wyłaniająca się z pomiętych koronek mankietu. Młody człowiek stanął bezszelestnie za książęcym sługą i chwytając go za kołnierz, przyłożył ostrze do gardła.

— Jedno słowo, nędzniku, a zginiesz! — powiedział cicho.

Piana wystąpiła na wargi pana de Peyrolles, ale milczał. Cocardasse i Passepoil obezwładnili go w oka mgnieniu.

— Co dalej? — spytał Gaskończyk.

— Stańcie po obu stronach drzwi, a gdy strażnicy wejdą, skoczcie im do gardła.

Dwaj przyjaciele ustawili się według rozkazu, Chaverny zaś, przyciskając ostrzem szpady szyję pana de Peyrolles, rozkazał mu wezwać pomocy. Peyrolles krzyknął i strażnicy wpadli do środka. Usłyszano krótkie rżenie, po czym na pół uduszone ofiary zamilkły. Chaverny zamknął na klucz drzwi celi, z kieszeni jednego z dozorców wydobył sznur i związał obezwładnionych, zakneblowawszy im mocno usta.

— Gaskończyku — rozkazał markiz — rozbierz strażników, przywdziejecie ich strój. — Sam zaś zdarł wspaniały kaftan z grzbietu pana de Peyrolles.

Gdy skończyli toaletę, Chaverny rozkazał:

— W drogę, mam list do oddania!

Wyszli z celi zamknawszy drzwi na dwa spusty. Pan de Peyrolles i dwaj dozorczy leżeli, solidnie powiązani, z kneblami w ustach. Zbiegowie bez przeszkód minęli pusty korytarz i doszli do drzwi wiodących na dziedziniec. Chaverny, w kapeluszu wciśniętym na oczy, przeszedł pierwszy.

— Przyjacielu — powiedział do odźwiernego — pod numerem dziewiątym macie dwóch niebezpiecznych opryszków; dobrze ich pilnujcie.

Odźwierny, mrużąc, uniósł czapkę. Przeszli nie zatrzymani.

Bramę więzienną zastali otwartą, gdyż wnoszono właśnie wspaniałego pieczonego bażanta: była to główna sztuka śniadania, jakie w przerwie przesłuchań wydał dla członków sądu przewodniczący trybunału markiz de Segre. Cocardasse i Passepoit potracili kuchcika i nie mogąc pohamować niecierpliwości, jednym skokiem znaleźli się za bramą.

— Zatrzymać ich, zatrzymać! — krzyknął Chaverny.

Odźwierny rzucił się w pogoń za zbiegami, ale padł pod ciosem ciężkiego pęka kluczy, którym Cocardasse uderzył go w twarz. Dwaj przyjaciele pędzili jak szaleni i wkrótce znikli za rogiem ulicy.

Karoca pana de Peyrolles czekała przed bramą. Chaverny poznał liberię Gonzagi, wskoczył na stopień i korzystając z zamieszania rzucił woźnicy:

— Do pałacu, galopem!

Żałobna komnata księżny Gonzaga uległa zmianie: nie była już tak ponura. Na ołtarzu stały kwiaty, rozsunięte zasłony wpuszczały łagodne promienie jesiennego słońca, u okna wisiała klatka z ptaszkiem, który do niedawna rozweselał samotność mieszkanki ulicy du Chantre. Mimo wczesnej godziny kilka osób znajdowało się w pokoju. Na sofie spała piękna młoda dziewczyna, a promień słońca ślizgał się wśród pukli wspaniałych włosów. Obok niej stała pokojowa księżny, złożywszy ręce jak do modlitwy, ze łzami w oczach.

Magdalena Giraud wyznała, że modlitewnik z wypisaną dewizą księcia de Nevers podłożyła pani na rozkaz garbusa. Księżna, zamiast gniewać się, uściskała służebną. Teraz siedziała nieco na uboczu, w otoczeniu trzech osób. Obok niej leżały rozrzucone kartki pamiętnika Aurory i stała szkatułka przechowująca cenny dokument.

Zaczerwienione od łez oczy wskazywały, że księżna przeczytała już wynurzenia córki. Była przy niej stara Franciszka Berrichon, jej wnuk Janek oraz donia Cruz.

— To mój wnuk — mówiła właśnie stara Franciszka grubym głosem — syn mojego biednego chłopca, podobny do ojca jak dwie krople wody. Mój syn zginął śmiercią żołnierza.

— I służyłaś u księcia de Nevers? — przerwała księżna.

— Od początku świata wszyscy Berrichonowie z ojca na syna byli w służbie książąt de Nevers.

— To twój syn przyniósł mi list do zamku Caylus?

— Tak, pani. Pamiętał o tym całe życie. Opowiadał mi, że w lesie Ens spotkał panią Martę, która zajmowała się dzieckiem. Pani Marta poznała mego syna i powiedziała mu: „Powtórz pannie Aurorze, by się strzegła, w zamku wszystko wykryto”. Syna schwyciła banda opryszków, ale wyzwolił go szlachetny kawaler de Lagardere. Opowiadał mi, że pan de Lagardere miał spotkanie z księciem de Nevers i zamiast pojedynku bronił go przez pół godziny przeciwko dwudziestu opryszkom, uzbrojonym po zęby. Gdy przed pięciu czy sześciu laty kawaler de Lagardere zjawił się u mnie prosząc, bym przyjęła służbę u córki zmarłego księcia, zgodziłam się natychmiast, a to dlatego, że syn opowiadał mi, jak wszystko się odbyło i jak umierający książę nazwał kawalera bratem i powiedział mu: „Bądź ojcem mego dziecka i pomścij mnie”. Mój syn nigdy nie kłamał, zresztą jaki miałby w tym cel? Wyjechaliśmy więc razem z wnukiem. Kawaler de Lagardere utrzymywał, że panna Aurora jest za duża, by mieszkać z nim sama.

— Chciał też, by panienka miała pazia — wtrącił Janek.

— Pojechaliśmy do Madrytu, to stolica Hiszpanii — ciągnęła babka. Boże mój, Boże, łzy stanęły mi czach, gdy ujrzałam biedne dziecko! Wykapany portret ojca. Ale trzeba było milczeć, tak kazał pan kawaler.

— I cały czas byliście u niego? — spytała księżna wahająco — ten człowiek, pan de Lagardere...

— Mocny Boże! — krzyknęła Franciszka — przez sześć lat nauczyłam się kochać pana de Lagardere jak własnego syna. To święty człowiek. Co za dobroć! A delikatność! Był najczulszą matką dla naszej panienki.

— Dziękuję — rzekła księżna — możecie odejść. I ty, i twój wnuk należycie odtąd do mego domu.

Na dany znak Magdalena Giraud wyprowadziła Berrichonów. Donia Cruz skierowała się za nimi.

— Dokąd idziesz, Flor? — spytała księżna. — Chodź, niech cię ucałuję. — A gdy zapłakana Cyganka tuliła się do jej ramion, księżna szepnęła: — Kocha cię, czytałam w pamiętniku.

Radość przemieniła księżną Gonzaga do niepoznania. Policzki miała różowe, odmłodziła i znów stała się dawną piękną Aurorą de Caylus. Oczy rozbliły, postać się wyprostowała, głos nabrał miękkich i pieszczotliwych tonów.

— Mój Boże — załkała Cyganka — gdybym miała taką matkę jak pani!

Księżna przytuliła do siebie sierotę.

— Powiedz, Flor — spytała — czy mówiła kiedy o mnie? O czym rozmawialiście, gdy byliście małe? Mów, chcę wszystko wiedzieć.

— Czy nie widzi pani — Flor wskazała pamiętnik — jak panią kocha!

— Tak, tak — przerwała księżna — nie potrafię wypowiedzieć, co czułam czytając. Ona nie jest tak poważna i smutna jak ja, ma charakter ojca. Ja też byłam niegdyś wesoła, ale tyle płakałam... Dom, w którym się urodziłam, był więzieniem, lecz do dnia, gdy po raz pierwszy ujrzałam ukochanego, śmiałam się i tańczyłam. Ale on zabrał do grobu całą moją radość. Ona mnie kocha, wiem, ale czyj uśmiech pamięta? Tego człowieka. Kto ją uczył? On. Zawsze on. Och, Flor, nie mów jej nigdy, ile jest we mnie gniewu, zazdrości i żalu! On wiedział, czego mnie pozbawia, wiedział, że zabiera mi całą miłość mego dziecka. Jestem wdową — wybuchnęła wśród łkań — pozostało mi tylko serce córki!

— Pani — usiłowała przerwać Cyganka.

— Bronisz go? Jesteś po jego stronie, ty też przeciwko mnie!

Donia Cruz nie wiedziała, co odpowiedzieć na niesprawiedliwość matczynego serca.

W drugim końcu komnaty Aurora poruszyła się niespokojnie.

— Henryku, Henryku! — szepnęła przez sen.

Księżna podeszła cicho i uklękła przy pościeli córki.

— Czy wiesz — zwróciła się do Cyganki — gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy, zdziwiła mnie obojętność, z jaką serce moje odniosło się do ciebie. A przecież jesteś typem hiszpańskim, który spodziewałam się odnaleźć w córce. Popatrz jednak na to czoło, popatrz — wskazała śpiącą — to wykapany książę de Nevers. Gdy ją ujrzałam, a ten człowiek powiedział mi: „oto pani córka”, nie wahałam się ani chwili. Gdy mąż mój spał, powieki jego miały taki właśnie wykrój i często koło ust widziałam te linie. Uśmiech też jest podobny. Księżciu de Nevers zarzucano nieco zniewieściałą urodę. Oczy są te same. Gdy na mnie spojrzała, był to jego wzrok. Niepotrzebne dowody; nazwisko de Nevers wypisane jest na twarzy tego dziecka.

Aurora poruszyła się i księżna zerwała się z klęczek. — Nie mów jej, że tu jestem — powiedziała — trzeba ją przygotować.

Aurora otworzyła oczy i powiodła zdumionym wzrokiem po komnacie.

Flor — powiedziała widząc przyjaciółkę — więc to nie sen? Ten pokój jakiś inny. Czy naprawdę widziałam matkę?

— Widziałas — odparła Cyganka.

— Dlaczego tak się źle czuję i taka jestem słaba? Zupełnie jak nigdyś w Madrycie w klasztorze, po ciężkiej chorobie.

— Byłaś bardzo chora — odparła donia Cruz.

— Czy matka gniewa się na mnie?

Księżna położyła palec na ustach, szybko podeszła do wezgięcia córki i objąwszy jej głowę, pocałowała w czoło. Aurora z uśmiechem oddała pocałunek.

— Siądź przy mnie, matko — powiedziała — chcę cię widzieć. Tak mi ciężko, nie mogę przypomnieć... zapomniałam nawet modlitwy...

— Pomódlmy się razem — powiedziała księżna tuląc córkę. — Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Aurora nie powtórzyła tych słów. Po chwili podniosła się sztywno.

— Czy ty nauczyłaś mnie tej modlitwy?

Księżna spuściła głowę.

— Nie, nie ty — szepnęła Aurora i rozdzierający krzyk wydarł się z jej piersi: — Henryku, Henryku! Gdzie Henryk? — zerwała się z łóżka.

Flor usiłowała powstrzymać chorą, ale Aurora z siłą odepchnęła przyjaciółkę. Księżna płakała.

— Co z nim zrobiono?

— Myślałam tylko o tobie — odparła łkając księżna.

— Czy go zabili? — Aurora zwróciła się do Cyganki, a gdy ta milczała, powtórzyła pytanie: — Zabili go?

— On, zawsze i tylko on! — krzyknęła księżna łamiąc ręce. — W twoim sercu nie ma miejsca na miłość do matki!

— Nie chcę powiedzieć, czy go zabito — rzekła jak gdyby nie słysząc Aurora.

Księżna straciła przytomność.

— Wierzę ci, pani — Aurora trzymała w dłoniach ręce matki. — Wierzę, że nie uczyniłaś nic na jego zgubę. Tym lepiej dla ciebie, jeśli kochasz mnie tak, jak ja cię Kocham. Gdybyś wystąpiła przeciwko niemu...

— Auroro, Auroro! — przerwała Cyganka kładąc jej rękę na ustach.

— Nie przeszkadzaj — powiedziała wyniośle Aurora — ja nie grożę. Matka i ja znamy się zaledwie od paru godzin, ale matka jest wielką damą, a ja ubogą dziewczyną i to daje mi prawo być szczerą. Gdyby

matka moja była biedną, ubogą kobietą, słabą i opuszczoną, przemawiałabym do niej na klęczkach. — Powiedziawszy to ucałowała rękę matki.

— Mam tylko ciebie — rzekła księżna — bez ciebie byłabym biedną, słabą, opuszczoną kobietą.

A widząc spojrzenie córki w stronę drzwi, dodała: — Czy chcesz odejść?

— Muszę. Coś mi mówi, że Henryk mnie potrzebuje.

— Henryk, zawsze Henryk! — wyszeptała księżna z rozpaczą — dla niego wszystko, nic dla matki.

— Gdyby tu był — powiedziała łagodnie Aurora — a ty znajdowałabyś się w więzieniu, w niebezpieczeństwie życia, mówiłabym tylko o tobie.

— Czy to prawda? — zawołała księżna. — Czy kochasz mnie tak jak Henryka?

— Dlaczego nie poznałaś go wcześniej? — Aurora pochyliła się w objęcia matki.

— Wiem, jak go kochasz, chcę, abyś i mnie tak kochała, a wówczas pokocham go jak syna. — Po tych słowach zbladła i spojrzała na Cygankę.

— Nie umiesz kłamać! — krzyknęła Aurora. — On nie żyje, sądzisz, że nie żyje! — Po czym rzuciła się do drzwi, ale Cyganka zagroziła jej drogę.

— Czy ufasz mi? — spytała Flor. — Nie masz jeszcze sił; wszystko, co chciałabyś uczynić, ja uczynię za ciebie. — A zwracając się do księżny dodała: — Proszę kazać zaprzęgać.

— Dokąd jedziesz? — spytała Aurora.

— Księżna pani powie, dokąd mam jechać, by go uratować — odparła Cyganka stanowczym tonem.

IV. SKAZANY NA ŚMIERĆ

— Auroro — rzekła księżna — jeszcze wczoraj byłam wrogiem tego człowieka; zabrał mi córkę, a wszystkie pozory przemawiały przeciwko niemu. Uważałam go za mordercę męża. Przeczytałam jednak twój pamiętnik: wymowna to obrona. Człowiek, który potrafił tak cię wychować, musi być bez skazy.

— Dziękuję w jego imieniu — powiedziała Aurora. — Czy nie masz innych dowodów?

— Owszem, świadectwo uczciwej kobiety i jej wnuka. Kawaler de Lagardere...

— Mój mąż — przerwała Aurora.

— Twój mąż — zgodziła się księżna — nie zabił księcia de Nevers, lecz bronił go z narażeniem życia.

Aurora rzuciła się matce na szyję, pokrywając jej twarz pocałunkami.

— Regent ma list wyjaśniający niewinność Lagardere'a — rzekła księżna.

— Dziękuję, och, dziękuję! — zawołała Aurora. — Dlaczego jeszcze go tu nie ma?

— Jedź, Flor — zwróciła się księżna do Cyganki — jedź i wracaj szybko. Dowiedz się, czekamy.

Donia Cruz minęła salon, gdy do uszu jej doleciał zmieszany gwar licznych głosów. Ktoś pokrzykiwał na pokojowe i lokai księżnej, którzy w bojowej postawie bronili dostępu do apartamentów pani.

— Bezczelna zgraja! — wołał znajomy głos. — Idźcie powiedzieć księżnej, że kuzyn jej, markiz de Chaverny, musi widzieć ją natychmiast.

— Chaverny? — powtórzyła zdumiona Cyganka.

Służba z trudem rozpoznała markiza w ubielonym wapnem młodzieńcu, ze słomą we włosach, w brudnym i pomiętym ubraniu. Zniecierpliwiony Chaverny siłą utorował sobie drogę wśród tłumu lokai i wpadł z impetem do salonu.

— Zwycięstwo! — krzyknął zamykając drzwi przed nosem napastników. Odwrócił się i stanął oko w oko z Cyganką. Chwył obie ręce dziewczyny i podniósł ze śmiechem do ust.

— Śniłem o pani całą noc — powiedział. — Tak się składa, że jestem zbyt zajęty, by oświadczyć się według przyjętych form. Na klęczkach jednak składam u pani stóp serce i rękę. — To mówiąc ukląkł na środku salonu.

— Śpieszy mi się — Cyganka z trudem zachowała powagę. — Proszę mnie przepuścić.

Chaverny zerwał się z kolan i ucałował zarumienioną dziewczynę.

— Będzie z pani najrozkoszniejsza markiza! — zawołał. — Proszę nie sądzić, że działałam bez zastanowienia. Myślałem o tym całą drogę. Jeśli nie uzyskam zgody, porwę panią. Zresztą nie ma o czym mówić, sprawa załatwiona. Mam coś o wiele ważniejszego do zakornunikowania, muszę widzieć księżnę.

— Księżna jest z córką i nie przyjmuje — odparła donia Cruz.

— Z córką! — wykrzyknął Chaverny. — Z panną de Nevers! Urocza dziewczyna ta moja niedoszła żona. Ale na Boga, tylko panią kocham i panią poślubię. A teraz jestem już poważny; muszę koniecznie widzieć księżnę i jej córkę. Posłaniec niosący list pisany krwią na kawałku batystu musi być przyjęty.

— List! — krzyknęła Cyganka i pobiegła za markizem.

— Pani — mówił Chaverny na progu komnaty księżnej, schylony w ukłonie — nie mam zaszczytu być pani przedstawiony. Jestem markiz de

Chaverny, spokrewniony z księciem de Nevers przez matkę, z domu pannę de Chaneilles.

Usłyszawszy nazwisko gościa przestraszona Aurora przytuliła się do matki.

— Co pan tu robi? — spytała wyniośle księżna.

— Wiem, że panna de Nevers nie zechce mnie widzieć, ale tym oto listem pragnę kupić przebaczenie. — Po tych słowach ukląkł na jedno kolano. — Jest to pismo kawalera Henryka de Lagardere — i wydobył z kieszeni chustkę, na której Lagardere napisał słów kilka.

— Żyje — szepnęła Aurora biorąc z rąk markiza chustkę i przyciskając do ust.

Z trudem, przez łzy zalewające oczy, odczytała na cienkim batyście:

Do księżnej Gonzaga

Chcę przed śmiercią zobaczyć Aurorę

Dziewczyna zerwała się oblana zimnym potem.

— Gdzie on jest?

— W więzieniu Chatelet.

— Więc go skazano?

— Nie wiem. Nie wolno mu komunikować się ze światem.

— Jadę do Chatelet.

— Masz matkę — szepnęła z wyrzutem księżna. — Dlaczego nie powiedziałaś: „Matko, jedźmy do Chatelet”? Mążnek mojej córki jest moim synem i jeśli można go ocalić, zrobię wszystko i ocalę go. — Po czym skierowała się do drzwi.

— Niech ci Bóg wynagrodzi! — Aurora oblała łzami ręce matki.

Sędziowie w Chatelet spożyli obfite śniadanie. Markiz de Segre, przewodniczący, znał się na dobrej kuchni. Drugie posiedzenie trybunału trwało o wiele krócej niż posiedzenie przy suto zastawionym stole. Z trzech świadków, jakich miano przesłuchać, dwóch się nie stawiło: Cocardasse i Passepoil uciekli z więzienia. Przesłuchano tylko pana de Peyrolles, a jego zeznania były tak obciążające, że bardzo uprościły całą procedurę.

— Pan de Peyrolles mówi niezwykle jasno — rzekł jeden z sędziów.
— Gdyby nie on, siedzielibyśmy chyba do godziny trzeciej.

— To intendent księcia Gonzagi — odparł drugi — księżę zna się na ludziach.

Gdy przewodniczący trybunału, markiz de Segre, przebierał się, miał bowiem jechać z wizytą, wszedł woźny sądowy i zameldował dwie panie przybyłe w karecie z herbem księcia Gonzagi. Pragnęły mówić z panem markizem.

— Do diabła! — zaklął przewodniczący. — Proś! — zwrócił się do woźnego.

Pan de Segre wszedł do sali, gdzie oczekiwały dwie tajemniczo zawołowane damy.

— Z kim mam zaszczyt mówić? — spytał markiz z ukłonem.

— Panie przewodniczący — odparła wyższa z dwóch kobiet — jestem wdową po księciu Filipie de Nevers.

— Co? — wybełkotał przewodniczący — wdowa po księciu de Nevers poślubiła księcia Gonzagę, o ile mi wiadomo.

— Jestem księżna Gonzaga — odparła kobieta z odcieniem wstrętu.

Przewodniczący wykonał kilka głębokich dworskich ukłonów i wypadł z sali.

— Fotele! Łajdaki! Podać fotele! — krzyknął na służbę. — Porozpędzam wszystkich, hultaje!

Służba rzuciła się spełniać rozkaz i po chwili wniesiono do sali tuzin foteli.

— Nie trzeba — powiedziała księżna stojąc. — Moja córka i ja...

— Doprawdy, nie wiedziałem, że księżę Gonzaga ma taką córkę — przerwał przewodniczący kłaniając się do ziemi.

— To panna de Nevers — powiedziała poważnie księżna. — Przyszliśmy, by poinformować trybunał...

— Przynoszą panie nowe dowody, zbrodni tego nędznika... — przerwał znowu przewodniczący.

— Panie! — krzyknęły jednocześnie obie kobiety.

— Zbyteczne, to zbyteczne — ciągnął markiz mnąc żabot — sprawa załatwiona. Ten łotr nie zamorduje już nikogo.

— Czy nie otrzymał pan nic od Jego Królewskiej Wysokości? — spytała głucho księżna obejmując córkę, ledwie trzymającą się na nogach.

— Nie, pani, ale nic już nie trzeba. Pół godziny temu zapadł wyrok.

— I regent nic panu nie przysłał? — powtórzyła przerażona księżna.

— Czego pani jeszcze żąda? — zawołał pan de Segre — żeby go łamano kołem na placu de Greve? Regent nie lubi tego rodzaju egzekucji.

— Skazano go na śmierć? — wyszeptała Aurora.

— A na cóż innego, drogie dziecko? Chciałaby pani, by siedział o chlebie i wodzie?

Aurora padła na najbliższy fotel.

— Wybacz pani — pan de Segre zwrócił się do księżnej — czekają na mnie. Proszę być tak łaskawą i powtórzyć księciu, że wszystko najpomyślniej załatwione. Wyrok nieodwołalny, nie ma żadnej apelacji i jeszcze dziś wieczór... Sługa szanownych pań, sługa. Proszę zapewnić księcia, że zawsze jestem na rozkazy.

Uklonił się i opuścił salę.

— Kariera gotowa — zacierał ręce schodząc ze schodów — przysłużyłem się doskonale księżnie Gonzaga!

Matka i córka nie mogły wymówić słowa. Po chwili Aurora wyciągnęła rękę w stronę drzwi, za którymi zniknął pan de Segre.

— To on — powiedziała — poznaję jego kroki. O Boże, chciałabym umrzeć wcześniej!

Minęło kilka chwil, po czym drzwi otworzyły się i weszła straż eskortująca więźnia. Lagardere szedł pośrodku, z gołą głową i związanymi na brzuchu rękami. Za nim dominikanin z krzyżem w ręku. Łzy zalały oczy księżnej. Aurora siedziała nieporuszona jak posąg. Lagardere, ujrawszy obie kobiety, zatrzymał się i skinął głową ze smutnym uśmiechem, jak gdyby dziękując za przybycie.

— Jedno tylko słowo — powiedział do dowodzącego strażą.

— Mamy wyraźny rozkaz — odparł dowódca.

— Jestem księżna Gonzaga — zawołała księżna egając do strażnika — jestem kuzynką regenta, proszę nam nie odmawiać.

Strażnik zmierzył obie kobiety zdziwionym spojrzeniem, a następnie, zwracając się do więźnia, dodał:

— Nie mogę odmówić człowiekowi, który wkrótce umrze. Proszę się śpieszyć.

Po czym skłonił się księżnie i wraz ze swymi ludźmi i dominikaninem przeszedł do sąsiedniej izby. Lagardere powoli zbliżył się do Aurory.

V. OSTATNIA ROZMOWA

Drzwi pozostały otwarte, ale w sali nie było nikogo obcego i ostatnia rozmowa odbyła się bez świadków. Aurora ucałowała związane ręce opiekuna, oblewając je łzami. Księżna siedziała na uboczu, cicho płacząc.

— Henryku — powiedziała Aurora — czyż takie miało być nasze spotkanie?

Lagardere patrzył na nią, jak gdyby chciał zamknąć w tym ostatnim spojrzeniu całą miłość, którą żył przez tyle lat.

— Nigdy nie byłaś tak piękna — wyszeptał — dziękuję, że przyszłaś. Godziny niewoli minęły szybko, gdyż obraz twój nie opuszczał mnie ani na chwilę. Dziękuję, ukochana! — A zwracając się do księżny, dodał:

— I pani dziękuję, mogła pani odmówić mi tej ostatniej radości.

— Odmówić ci! — krzyknęła gwałtownie Aurora.

Spojrzenie więźnia przeskoczyło z dumnej twarzy córki na pochyloną głowę matki.

— To nieładnie — powiedział — nieładnie, Auroro. Oto pierwsza wymówka, jaką ode mnie usłyszysz. Matka była powolna twoim rozkazom i przyszła, widzę to wyraźnie. Nic nie mów, mamy mało czasu. Powiem tylko, że musisz kochać matkę i być jej posłuszna. Dziś rozpacz masz na usprawiedliwienie, ale jutro...

— Jutro, Henryku, jeśli umrzesz, i ja żyć przestanę — powiedziała stanowczo Aurora.

Lagardere cofnął się o krok i twarz jego przybrała surowy wyraz.

— Miałem jedną pociechę — rzekł — jedną wielką radość, gdy mogłem powiedzieć: „Pozostawiam po sobie spełnione zadanie. Nevers

wyciągnie do mnie rękę, gdyż zobaczy, że przyczyniłem się do szczęścia jego żony i córki".

— Czyż mogę być szczęśliwa bez ciebie?

— Pomyliłem się — ciągnął — odebrano mi tę radość. Pracowałem dwadzieścia lat, by dzieło moje zniszczało w ostatniej godzinie. Nie mam pani nic do powiedzenia, panno de Nevers. Żegnam.

Księżna zbliżyła się bezszelestnie i jak Aurora ucałowała związane ręce Lagardere'a.

— Proszę jej nie dręczyć — powiedziała — to ja, moja zazdrość, moja duma...

— Mamo, mammo! — łkała Aurora obejmując matkę.

— Matka twoja myli się — powiedział więzień — pani jest w błędzie. Duma i zazdrość to macierzyńska miłość. Pani jest wdową po księciu de Nevers, a ja zapomniałem o tym. Tylko ja jestem winien, nikt inny. Posłuchaj, Auroro: wina moja wielka, a na usprawiedliwienie mam tylko sen ukazujący mi drzwi rajy. Ale wina tak wielka starła dwadzieścia lat poświęcenia. Była bowiem chwila, gdy zapragnąłem odebrać matce dziecko, i Bóg skarał mnie, gdyż jest sprawiedliwy. Dlatego umieram.

— Czy nie ma ratunku?! — krzyknęła księżna.

— Umrę w chwili, gdy po latach ciężkich doświadczeń miałem odebrać najwyższą nagrodę. Ale źle postąpiłem i kara jest okrutna. Myślałem o tym w więzieniu. Jakie miałem prawo nie ufać pani? Powinienem był przyprowadzić ją główną bramą pałacu i oddać w pani ręce. Potem ona powiedziałaby, że się kochamy, i padłbym pani do nóg, prosząc o błogosławieństwo.

Po tych słowach zgiął przed księżną kolano. Aurora uklękła obok ukochanego.

— Panie, spraw cud! — krzyknęła księżna we łzach, a objąwszy ich głowy, ucałowała płacząc: — Dzieci moje, dzieci!

— Jesteśmy podwójnie zaręczeni — rzekł Lagardere. — Dziękuję pani, dziękuję, matko. A teraz, Auroro — twarz jego zmieniła się — musimy się rozstać. — Widząc zaś jej pobladłą z przerażenia twarzyczkę, dodał z uśmiechem: — Nie na zawsze, o, nie! Raz jeszcze zobaczymy się na pewno. Proszę cię, odejdz, mam do pomówienia z twoją matką.

Aurora posłusznie usunęła się w głęboką framugę okna.

— Mam pani wiele do powiedzenia. Wierzę w pani szczerość, przebaczyła mi pani, ale czy zgodzi się spełnić ostatnią prośbę umierającego?

— Czy będzie pan żył, czy pan zginie, przysięgam na honor, niczego panu nie odmówię!

— W takim razie proszę mnie wysłuchać. Jestem skazany na śmierć, choć jeszcze nie odczytano mi wyroku. Wiem, że od wyroków tego trybunału nie ma odwołania.

— Gdyby była najmniejsza nadzieja...

— Nie ma cienia nadziei — przerwał Lagardere. — Jest trzecia po południu. O zmroku zawiozą mnie do Bastylji, a o ósmej wieczór znajdę się na więziennym dziedzińcu, gdzie się odbywają egzekucje. Między więzieniem Chatelet a Bastylią, celem ostatniej mej podróży, zatrzymamy się chwilę na cmentarzu Saint-Magloire.

— Na cmentarzu? — powtórzyła drżąc księżna.

— Czyż nie godzi się — powiedział z gorzkim uśmiechem — by zabójca odprawił publiczną pokutę na grobie ofiary?

— Ty, Henryku! — krzyknęła księżna. — Ty, obrońca księcia de Nevers...

— Proszę mówić ciszej. Przed pomnikiem księcia de Nevers będzie pniak i topór. Utną mi prawą rękę u wejścia do grobowca.

Księżna zakryła twarz. Na drugim końcu sali Aurora klęczała we łzach i modlitwie.

— To niesprawiedliwe, prawda, pani? Choć nazwisko moje tak skromne, zrozumie pani niepokój mojej ostatniej godziny, gdy mam pozostawić haniebne wspomnienie.

— Regent nie ścierpi takiej niesprawiedliwości...

— Regent mógł wszystko przed wyrokiem. Teraz uratować mnie może tylko przyznanie się winnego... Niestety, nie mamy co się łudzić. Oto moja ostatnia prośba. Może pani zrehabilitować mnie w oczach wszystkich. Czy zechce pani to uczynić?

— Pytasz mnie, czy zechcę? Co mam robić?

Lagardere zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu.

— Kościół znajduje się tuż przy cmentarzu. Gdyby Aurora w ślubnej sukni była na progu kościoła, gdyby oczekiwał tam ksiądz w szatach liturgicznych, gdyby była i pani, a przekupiona eskorta zezwoliła mi zatrzymać się na chwilę i klęknąć obok Aurory, gdyby ksiądz za zgodą księżny Gonzaga pobłogosławił związek kawalera de Lagardere z panną de Nevers...

— Na zbawienie duszy — przerwała księżna — stanie się tak!

Oczy Lagardere'a zabłyśły. Usta szukały rąk księżnej, ale księżna chwyciła go w objęcia. W tej chwili do sali weszli strażnicy.

— Dobrze pomyślane, mój synu — rzekła księżna nie zwracając uwagi na wchodzących. — Któż ośmieli się powiedzieć, że kobieta, która przez dwadzieścia lat nosiła żałobę, dopomogła do małżeństwa córki z zabójcą męża? Stanie się, jak powiedziałeś: mój spowiednik da wam ślub, eskorta zatrzyma się dłużej, choćbym musiała sprzedać wszystkie klejnoty...

— Cicho, pani — przerwał Lagardere — nie jesteśmy sami.

— Proszę za mną — powiedział dowódca straży.

Aurora raz jeszcze ucałowała więźnia. Księżna spytała po raz ostatni:

— Licz na mnie. Czy nic więcej nie można uczynić?

Lagardere, postępujący za strażą, obrócił się.

— Właściwie nie jest to żadna szansa — powiedział z namysłem — ale dziś o ósmej zbiera się rada familijna. Będę pod ręką. Gdybym mógł przez chwilę znaleźć się w obecności regenta...

Księżna milcząco ucisnęła ramię więźnia. Aurora rozpaczliwym spojrzeniem towarzyszyła otoczonemu strażą przyjacielowi, obok którego stanęła ponura postać mnicha. Orszak znikł w drzwiach prowadzących na wieżę.

Księżna chwyciła córkę za rękę i pociągnęła do wyjścia.

— Chodź — szepnęła — jeszcze nie wszystko stracone. Bóg nie dozwoli, by dokonana się tak haniebna niesprawiedliwość.

Gdy wsiadły do karocy, kazała się wieźć do Palais-Royal. W chwili gdy konie ruszały, z drugiej karety, stojącej opodal, wychyliła się głowa pana de Peyrolles.

— Wypędzę cię, jeśli nie staniesz w pałacu regenta przed księżną Gonzaga — rzekł stangretowi.

Pan de Peyrolles spędził kilka godzin zamknięty w celi; pobyt w więzieniu odbił się fatalnie na jego humorze.

Kareta intendenta wcześniej wjechała w podwórze Palais-Royal, pan de Peyrolles wyskoczył i wbiegł do pałacu. Gdy księżna zjawiała się w przedpokojach regenta prosząc o posłuchanie, spotkała ją sucha odmowa.

Książę Gonzaga siedział sam w gabinecie. Obnażona szpada leżała na zasłanym papierami biurku. Książę, bez pomocy lokaja, wkładał jedną z lekkich stalowych koszulek, które doskonale można nosić pod czarnym aksamitnym frakiem. U drzwi rozległo się ciche pukanie.

— Wejdz — powiedział książę — czekam cię od godziny.

Na progu stanął pan de Peyrolles, odświeżony, w nowej toalecie.

— Proszę się nie gniewać — rzekł szybko — wracam z więzienia Chatelet. Na szczęście obaj łotrzykowie zbiegli i nie pokazali się na rozprawie; ja sam zeznawałem. Już po wszystkim. Wkrótce temu diabłu utną głowę i będziemy spać spokojnie. — Tu opowiedział księciu perypetie ostatnich godzin. Doniósł też o spotkaniu księżny i Aurory u wejścia do więzienia. — Trzy sekundy wcześniej przybyłem do Palais-Royal. Książę pan winien mi dwie akcje po kursie pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt franków, które wsunąłem panu de Nanty, by odmówił tym paniom audiencji.

— Dobrze — powiedział Gonzaga — a reszta?

— Reszta gotowa. Na ósmą zamówiłem konie pocztowe, przepręgi przygotowane do Bajonny.

— Doskonale — powtórzył Gonzaga wyjmując z kieszeni pergamin.

— Co to? — spytał Peyrolles.

Dokument stwierdzający, że jadę w królewskiej tajnej misji, podpisany przez ministra d'Argenson. Sądzą, że jestem w większych łaskach niż kiedykolwiek, i mało się mylą. Muszę być potężny, jeśli regent pozostawił mnie na wolności. Gdy spadnie głowa Lagardere'a, wstąpię na takie wyżyny, że wy wszyscy dostaniecie zawrotu głowy. Regent nie będzie wiedział, jak wynagrodzić mi chwile podejrzenia.

— Czy regent przewodniczy radzie familijnej?

— Zmusiłem go — odparł bezczelnie Gonzaga, który jednocześnie oszukiwał swych akolitów.

— Czy można liczyć na donię Cruz?

— Jak najbardziej. Przysięgła, że zjawi się na radzie.

Peyrolles spojrzał prosto w oczy księcia.

— Gdyby się nie zjawiła — rzekł Gonzaga z drwiącym uśmiechem — cóż w tym strasznego? Była, i to wystarczy, członkowie rady ją widzieli.

— W takim razie książę pan jest pewny wygranej? — spytał pokornie Peyrolles. — Po co więc zwołano wszystkich naszych ludzi? Czy książę pan obawia się walki?

— Należy zabezpieczyć odwrót. Fortuna kołem się toczy. Ci panowie to moja ariergarda. Czy nie brak nikogo?

— Nikogo z wyjątkiem markiza de Chaverny.

Książę zadzwonił i wchodzącemu lokajowi rozkazał wezwać zebranych. A zwracając się do przerażonego pana de Peyrolles, rzekł:

— O ile pamiętam, powiedziałeś kiedyś w przypiływie gorliwości: „Jeśli trzeba, pójdziemy za księciem panem do piekła”. Jesteśmy w drodze, więc i podróżujmy wesoło!

VI. BYLI SZLACHCICE

Weszli wszyscy jednocześnie, w bojowym rynsztunku: długie buty z ostrogami, szpady u boku i strój podróżny. Tak kazał Gonzaga.

Uderzył ich smutny wyraz twarzy intendenta i wyniosła mina pana. Od godziny czekali w salonie. Niektórzy przybyli z buntem w duszy, gdyż wypadki poprzedniej nocy pozostawiły ponure wrażenie. Na dworze jednak mówiono, że księżę znajduje się u szczytu powodzenia. Jak można było odwracać się od słońca!

Trybunał wydał wyrok śmierci na kawalera de Lagardere. Akolici księcia znali coś niecoś z tragicznej historii. Gonzaga musiał być pewien łaski regenta, Choisy przyniósł co prawda dziwną wiadomość: oto rankiem aresztowano markiza de Chaverny. Lęk padł na zebranych. W głębi duszy każdy pragnął jak najszybciej złamać pakt wiążący go z Gonzagą.

— Jesteśmy, kuzynie — rzekł Navailles wchodząc pierwszy. — Raz jeszcze stawiliśmy się na twe rozkazy.

— Widzę, że nie brak nikogo — Gonzaga objął spojrzeniem przybyłych.

— Owszem — odparł Noce — brak panów: Albret, Gironne i Chaverny.

Zapadło milczenie. Wszyscy oczekiwali słów księcia.

— Panowie de Gironne i Albret spełnili swoją powinność — powiedział sucho Gonzaga marszcząc brwi

— Do licha — rzekł Navailles — krótka to mowa żałobna. Jesteśmy poddanymi króla, kuzynie.

— Co zaś do markiza — dodał księżę — zwolniłem go ze służby.

— Czy książę pan zechce nam wyjaśnić, co to znaczy? — spytał Navailles. — Mówiono o Bastylii.

—Bastylia przestronna — szepnął Gonzaga z okrutnym uśmiechem starczy miejsca i dla innych.

— W słowach twych, kuzynie, czai się groźba — powiedział cicho Navailles.

— Nie ja grożę, lecz los.

— Co się dzieje? — spytało kilka głosów.

— Rada familijna zbiera się dziś wieczór — odpowiedział książę. — Jego Królewska Wysokość przewodniczy obradom.

— Słyszeliśmy o tym — odrzekł Taranne — i zdziwił nas rozkaz pana dotyczący stroju. Nie tak należy wystąpić na podobnym zgromadzeniu.

— Nie jesteście potrzebni na zebraniu rady — powiedział Gonzaga.

— Potrzebuję was gdzie indziej. Wydano wprawdzie wyrok śmierci, ale znacie hiszpańskie przysłowie: „Między ustami a brzegiem pucharu, między toporem a szycją...” Kat czeka na ofiarę.

— Na pana de Lagardere — przerwał Noce.

— Lub na mnie — odrzekł zimno Gonzaga.

— Na pana?! — zakrzyknięto z przerażeniem.

Peyrolles zerwał się drżący.

— Nie bójcie się — podjął książę z pewnym siebie uśmiechem — w naszym wypadku kat nie ma wyboru, jednakże jeśli chodzi o tego diabła, mówię o Lagardere, jedna jest tylko możliwość spokoju: mogiła głęboka na sześć stóp, która przykryje trupa. Póki będzie żył, nawet okuty w kajdany, póki będzie myśleć i mówić, nie wolno nam wypuścić szpady z ręki ni wyjąć stopy ze strzemienia i dobrze musimy pilnować naszych głów.

— Naszych głów? — powtórzył prostując się Noce.

— Na Boga, tego już za wiele! — wykrzyknął Navailles. — Dopóki mówił pan o sobie...

— Powiedziałem: naszych głów, i widzę, że panowie czują się obrażeni?

— Przekracza pan granice — odparł Navailles. — Ludzi jak my nie można zatrzymać pogróżką. Byliśmy panu wierni, gdy trzeba było iść drogą godną szlachcica, ale teraz pozostała robota dla Gauthiera Gendry'ego i jego zbirów. Żegnaj, panie!

— Żegnaj, książę! — powtórzył chór głosów.

— I ty też, przyjacielu — Gonzaga z gorzkim uśmiechem zwrócił się do pana de Peyrolles, który usiłował wysliznąć się wraz z innymi. — Ach, jakże dobrze was poznałem! Jeszcze słówko, wierni towarzysze, jak powiedział pan de Navailles. Dokąd idziecie? Te drzwi wiodą prosto do Bastylii.

Navailles, który trzymał już rękę na klamce, cofnął się i chwycił szpadę. Gonzaga śmiał się, spokojny wśród ich niepewnych min, jak gdyby nic się nie stało.

— Oczekiwałem tego — ciągnął obrzucając akolitów pogardliwym spojrzeniem — wy, uczciwi ludzie! Czyż nie powiedziano wam, że od ósmej rano do dwunastej miałem posłuchanie w Palais-Royal? Czy nie wiecie, że jestem w łaskach bardziej niż kiedykolwiek? A jeśli zginę, wy zginiecie przede mną, to wam przysięgam. Jeśli dzień dzisiejszy ma być ostatnim dniem mojej potęgi, dobrze go użyłem. Lista z waszymi nazwiskami leży na biurku pana de Machault. Jedno moje słowo, a stanie się spisem skazańców. Sprzedaliście się z duszą i ciałem, z własnej woli. Odsyłasz mnie do Gauthiera Gendry, ty, Navailles, który żyjesz z mojej kieszeni, ty, Taranne, obsypany łaskami, Oriol, błaznie, który dzięki mnie jesteś człowiekiem, wy wszyscy, moi niewolnicy, wszystkich was kupiłem! — Oczy Gonzagi ciskały błyskawice. —

Radzicie mi, bym mówił za siebie, gdyż nie wasze to sprawy! A ja przysięgam na Boga, że jest to najważniejsza sprawa, jaką mieliście kiedykolwiek. Wy, szlachcice? O, nie, wy, zręczni finansjści, nic więcej. Lepiej umiecie machać piórem niż szpadą. To wszystko, co miałem wam do powiedzenia. Skrucha zmażę winę; wydaje mi się, że rozsądek wam powraca. Jeśli przestąpicie ten próg, możecie zostać męczennikami. Czy mam otworzyć?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Co mamy robić, panie? — spytał Montaubert.

— Szaleńcy — podjął Gonzaga ojcowskim tonem — jesteście prawie w porcie, a możecie utonąć, gdyż nie chce się wam przyłożyć ręki do wiosła. Jakikolwiek byłby wynik walki, z góry was zabezpieczyłem. Jutro będziecie pierwsi w Paryżu lub dobrze obładowani złotem i pełni nadziei znajdziecie się na drodze do Hiszpanii. Teraz, gdy do was mówię — w tym miejscu spojrzął na zegarek — Lagardere opuszcza więzienie Chatelet, by udać się do Bastylji, gdzie rozegra się ostatni akt dramatu. Nie pójdzie tam bezpośrednio; zgodnie z wyrokiem sądu musi odbyć publiczną pokutę u grobu Neversa. Przeciwno nam mamy dwie kobiety i księdza; wasze szpady wobec nich bezsilne. To księżna i jej rzekoma córka. Muszę dostać tę Aurorę. Matka, córka i ksiądz oczekiwać będą skazańca przy kościele Saint-Magloire, córka w ślubnym stroju. Odgadłem, że chodzi o odegranie komedii, by poruszyć regenta. Spłakana małżonka rzuci się do stóp Jego Królewskiej Wysokości, prosząc o łaskę. Nie można do tego dopuścić. Będziecie bronić dostępu do drzwi kościoła. Jeśli los się odwróci i trzeba będzie uciekać, mam dosyć złota dla was wszystkich i ręczę honorem, że królewski rozkaz otworzy nam wszystkie granice. Tu pokazał papier podpisany przez pana d'Argenson. — Musimy koniecznie zabrać zakładniczkę, żywy okup, Aurorę de Nevers. Między nią a wami staną tylko kościelne drzwi.

— Jeśli los się odwróci, za drzwiami będzie pewnie Lagardere? — spytał Montaubert.

— A ja przed Lagardere'em — powiedział poważnie książe i dotknął gwałtownie szpady. — Nadeszła godzina, panowie, ta szpada warta broni Lagardere'a, umociono ją we krwi księcia de Nevers.

Peyrolles odwrócił głowę, gdyż zrozumiał, że publicznym przyznaniem się książe spalił za sobą mosty. W tej chwili usłyszano hałas w westybulu i głosy odźwiernych wołające:

— Regent! Regent!

— Panowie — Gonzaga otworzył drzwi biblioteki — odwagi! Za pół godziny będzie po wszystkim. Musicie tylko nie dopuścić orszaku do stopni kościoła. W razie potrzeby podburzajcie tłum wołając: „świętokradztwo!”. To słowo zawsze wywołuje pożądany skutek. Jeśli sprawy potoczą się źle, patrzcie na okna tej sali; widać je doskonale z cmentarza. Gdy ujrzyecie, że światło trzy razy się podnosi, ruszajcie do ataku. W chwilę po sygnale znajdę się między wami. Czy jasne?

— Jasne — odparli zebrani.

— Proszę iść za panem de Peyrolles; poprowadzi was ogrodami na cmentarz.

Gdy wyszli, Gonzaga wytarł spocone czoło.

— Czy jest człowiekiem czy diabłem — mruknął — Lagardere musi zginąć!

Za zamkniętymi drzwiami kościoła Saint-Magloire księżna tuliła córkę w białej sukni, z kwiatem pomarańczowym u ślubnego welonu. Ksiądz czekał w liturgicznych szatach. Donia Cruz klęczała modląc się gorąco. Za nimi, w cieniu, ukryło się trzech uzbrojonych ludzi. Wybiła ósma na kościelnym zegarze i z dala usłyszano ponury dzwon za umarłych z

Sainte-Chapelle; dzwon oznajmiał, że skazaniec wyruszył w ostatnią drogę. Księżna ze ściśniętym sercem spojrzała na córkę.

— Już czas — szepnęła Aurora.

— Musimy się rozstać — księżna ucałowała zimne czoło córki. — Jestem niespokojna, gdy nie mam cię przy sobie.

— Będziemy nad nią czuwać — rzekła Cyganka. — Jeżeli zajdzie potrzeba, pan markiz de Chaverny obiecał zginąć w jej obronie.

— Do diabła, aniołku! — zaszeptał jeden z trzech uzbrojonych ludzi. — O nas zapomnieli, jakby nas nie było!

Księżna podeszła do markiza, Cocardasse'a i Passepoila.

— Do licha — powiedział Gaskończyk nie dając jej dość do głosu — ten młody szlachcic, gdy zechce, potrafi bić się jak sam diabeł; będzie walczył na oczach bogdanki. My zaś, Passepoil i ja, damy się zarębać dla Lagardere'a. Zrozumiano? Proszę zająć się swymi sprawami.

VII. UMARŁY PRZEMÓWIŁ

Wielka sala pałacu Gonzagi błyszczała od świateł. Widocznie regent pragnął nadać tej rodzinnej ceremonii szczególnie uroczysty charakter. Fotele, ustawione na wzniesieniu, zajmowali ci sami dostojnicy, którzy zasiadali tu przed dwoma dniami. Księżna zajęła miejsce obok kardynała de Bissy, po prawej ręce przewodniczącego, a księżę Gonzaga siadł przy stoliku oświetlonym dwoma świecami, w miejscu gdzie poprzednio stał fotel żony. W ten sposób miał za plecami draperię, za którą wówczas ukrywał się Lagardere, naprzeciwko zaś okno wychodzące na cmentarz Saint-Magloire. Gdy księżna weszła, regent postąpił kilka kroków na jej spotkanie i pocałował ją w rękę.

— Wasza Królewska Wysokość nie raczył udzielić mi posłuchania — powiedziała księżna.

Regent spojrział zdziwiony. Gonzaga nie spuszczał ich z oczu, udając, że jest pochłonięty układaniem papierów leżących przed nim na stoliku. Między papierami znajdowała się wielka koperta, z której zwisały trzy pieczęcie.

— Wasza Królewska Wysokość nie raczył zwrócić uwagi na moje pismo — ciągnęła księżna.

— Jakie pismo? — spytał cicho regent.

— List przypuszczalnie został przejęty — rzekła księżna kierując mimo woli wzrok na męża.

— Nic się jeszcze nie stało, pani — powiedział szybko regent — proszę działać zgodnie z sumieniem; nikt już nie stanie między nami. — A podnosząc głos dodał: — To dla pani wielki dzień. Wybiła godzina zemsty, umrze zabójca księcia de Nevers.

— Gdyby Wasza Królewska Wysokość otrzymał mój list... — zaczęła księżna.

— Zrobię wszystko, co pani zechce — szepnął regent prowadząc ją na miejsce. — Zaczynamy, panowie.



Po tych słowach siadł, a przewodniczący objął prowadzenie obrad, udzielając głosu księciu Gonzaga.

Wiał południowy wiatr i przynosił chwilami żalosne dźwięki żałobnego dzwonu z Sainte-Chapelle, tak że wydawało się, iż to gdzieś w pałacu dzwonią za umarłych. Słysząc też było stłumiony hałas, ulice wypełnił tłum ciekawych zwołany żałobnym graniem. Gdy Gonzaga wstał, by zabrać głos, dzwon zabrzmiał tak głośno, że trzeba było kilka chwil przeczekać. Na dworze rozległy się okrzyki zebranego ludu.

— Wasza Królewska Wysokość, panowie — zaczął Gonzaga. — Życie moje zawsze było jawne, zawsze z pasją szukałem prawdy, ale zapał ostygł. Zmęczyły mnie oskarżenia gromadzące się w mroku, zmęczyły podłe oszczerstwa i podejrzania. Przedstawiłem prawdziwą dziedziczkę księcia de Nevers. Niestety, na próżno szukam jej na miejscu, które powinna zajmować. Wasza Królewska Wysokość wie, że

dziś rano zrzekłem się opieki, sprawa ta przestała mnie obchodzić. Zależy mi tylko na jednym, pragnę oto wykazać, po czyjej stronie jest prawda. — To mówiąc wziął ze stołu kopertę. — Oto dowód, o którym mówiła księżna, karta wydarta z rejestru kaplicy w Caylus. Ponieważ ja przedstawiam dowody, niech księżna raczy uczynić to samo.

Powiedziawszy to siadł.

— Czekamy na odpowiedź księżnej — powiedział regent.

— Panowie — Aurora de Caylus wstała — mam córkę i mam dowody stwierdzające jej urodzenie. Spójrzcie na mnie. Zawsze widzieliście mnie we łzach; patrząc na moją radość zrozumiecie, że odnalazłam dziecko. Dowody przedstawię radzie, gdy Jego Królewska Wysokość spełni prośbę, którą mu przedłożyła wdowa po księciu de Nevers.

— Wdowa po księciu de Nevers nie przedłożyła nam dotąd żadnej prośby — powiedział regent.

— Przyjaźń jest piękną rzeczą — rzekła księżna zwracając pewny sobie wzrok na męża — widzę, że przyjaźń Waszej Królewskiej Wysokości osłania księcia Gonzagę. Nie będę więc nikogo oskarżać, powiem tylko, że skierowałam do Waszej Królewskiej Wysokości pokorną prośbę, a czyjaś ręka przejęła mój list.

Na ustach Gonzagi pojawił się uśmiech pełen spokojnej rezygnacji.

— O co pani prosiła? — spytał regent.

— Odwoływałam się do długiej przyjaźni Waszej Królewskiej Wysokości. Pisałam, że publiczna pokuta przy grobie nie wystarcza, prosiłam, by Wasza Królewska Wysokość rozkazał, aby skazaniec wysłuchał wyroku na klęczkach, tu, w pałacu księcia de Nevers, wobec głowy państwa i całego świętego zgromadzenia.

Gonzaga przymknął oczy, by ukryć błysk, jaki zapłonął mu pod powiekami. Księżna kłamała, wiedział o tym doskonale, gdyż list jej do regenta miał w kieszeni. W liście księżna zapewniała o niewinności

Lagardere'a i ręczyła za niego swym honorem. Po cóż teraz kłamała? Co kryło się za tym wybiegiem? Po raz pierwszy w życiu Gonzaga poczuł chłód w żyłach, jakby zbliżało się niebezpieczeństwo, jakby groziła mu mina, która miała wybuchnąć pod stopami. Nie wiedział jednak, z której strony nadciąga burza, nie wiedział, jak ją zażegnać.

— Tego się nie praktykuje — powiedział przewodniczący, pan de Lamoignon, a Gonzaga o mało nie skoczył mu na szyję.

— Czym pani motywuje prośbę? — spytał marszałek de Villeroy.

— Proszę o tę łaskę Jego Królewską Wysokość — powiedziała księżna. — Sprawiedliwość po dwudziestu latach znalazła zabójcę, sprawiedliwość winna jest coś ofierze, która przez tyle lat czekała na wykonanie wyroku. Córka moja, panna de Nevers, może wejść do tego domu jedynie po akcie zadośćuczynienia.

Zapadło milczenie. Przewodniczący potrząsał przecząco głową, regent zdawał się namyślać.

Po co jej obecność tego człowieka? — zapytywał siebie Gonzaga z niepokojem, a zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Jakie jest zdanie księcia Gonzagi? — zapytał nagle regent.

— To dziwny kaprys — Gonzaga wywołał na usta uśmiech obojętności. — Oprócz opóźnienia egzekucji nie widzę jednak żadnej korzyści ani szkody, jaką przyniosłoby spełnienie życzenia księżnej pani.

— Nie będzie opóźnienia — powiedziała księżna przysłuchując się dochodzącym z ulicy głosom.

— Skazaniec musi być blisko — mruknął pan d'Argenson.

Regent przywołał markiza de Bonnivet i szepnął mu kilka słów. Markiz skłonił się i opuścił salę. Wszyscy byli ciekawi zobaczyć skazańca. Gdy wszedł ze związanymi na piersiach rękami, otoczony strażą, jak zawsze piękny, na sali rozległ się szmer. Regent nie spuszczał oczu z Gonzagi. Więźnia doprowadzono do stopni estrady.

— Proszę odczytać wyrok — rozkazał regent.

Pisarz sądowy rozwinął pergamin. Wyrok brzmiał, jak następuje:

Po przesłuchaniu oskarżonego i świadków oraz królewskiego adwokata, biorąc pod uwagę dowody winy, trybunał, przekonany o zabójstwie dokonanym na osobie świętego i potężnego księcia Filipa de Nevers, skazuje niejakiego Henryka de Lagardere, zwącego się kawalerem, na: 1) odbycie publicznej pokuty oraz obcięcie prawej ręki u stóp pomnika nieżyjącego księcia de Nevers na cmentarzu Saint-Magloire,— 2) ścięcie głowy w więzieniu Bastylji.

— Czy pani zadowolona? — spytał regent.

Księżna zerwała się tak gwałtownie, że Gonzaga bezwiednie podniósł się z fotela, jak człowiek, który szykuje się do odparowania ciosu.

— Mów, synu! — krzyknęła z uniesieniem.

Wzruszenie jej jak iskra elektryczna podziałało na obecnych. Wszyscy wstali, oczekując czegoś nadzwyczajnego. Wstał i regent, którego blade policzki pokrył krwisty rumieniec.

— Niech pan mówi — zwrócił się do Lagardere'a

— Wasza Królewska Wysokość — powiedział spokojnie i wyraźnie skazany — wyrok jest nieodwołalny i nawet Wasza Królewska Wysokość nie jest w mocy mnie ułaskawić, zresztą nie chcę łaski, pragnę sprawiedliwości.

— By zmienić wyrok kryminalnego trybunału, potrzebne jest przyznanie się winnego — powiedział przewodniczący.

— Winny przyzna się — rzekł Lagardere.

— Śpiesz się, przyjacielu — dorzucił regent.

— Zawsze dotrzymuję obietnicy, Wasza Królewska Wysokość.

Przysięgłem na honor zwrócić córkę księżnej Gonzaga i dotrzymałem przysięgi. Przysięgłem, że oddam się w ręce sprawiedliwości po

dwudziestu czterech godzinach udzielonej mi swobody, i w oznaczonym terminie oddałem szpadę.

— To prawda — przyznał regent — od tej chwili mam oczy zwrócone na pana i na innych.

Regent należał do spisku — wściekłość zmaćła myśli Gonzagi.

— Po trzecie — ciągnął Lagardere — przysięgłem że wobec wszystkich wykażę swą niewinność i zdemaskuję winnego. Oto jestem, by spełnić ostatni przysięgę.

Gonzaga trzymał w ręku kopertę z trzema pieczęciami z czerwonego wosku, wykradzioną z mieszkania więźnia. Ta koperta była w tej chwili jego bronią.

— Wasza Królewska Wysokość — powiedział gwałtownie — wydaje mi się, że ta komedia trwa zbyt długo.

— A mnie się wydaje, że pana jeszcze nie oskarżono — rzekł regent.

— Oskarżenie z ust tego szaleńca? — powiedział pogardliwie Gonzaga.

— Ten szaleniec ma umrzeć — rzekł surowo regent. — Słowo umierającego jest święte.

— Mam znosić, by podobny nędznik ośmielał się stanąć przede mną bez świadków ni dowodów?

— Mam dowody i świadków — powiedział Lagardere postępując krok naprzód.

— Gdzież oni? — zawołał Gonzaga wodząc wzrokiem po sali.

— Proszę nie szukać, mam dwóch świadków. Jeden to pan, drugi...
— wzrok Lagardere'a zdawał się obejmować Gonzagę — drugi jest w grobie.

— Ci, co są w grobie, milczą.

— Mówią, gdy Bóg zechce.

Cisza była tak głęboka, że słyszało się bicie serc obecnych na sali. Nikt nie miał ochoty do śmiechu; poważny głos Lagardere'a, szlachetny wyraz jego twarzy zgasiły sceptyczne uśmiechy.

— Umarły przemówi, przysięgam, chodzi o moją głowę! Co się tyczy dowodów, ma je pan w ręku, książę. Dowód mojej niewinności znajduje się w tej oto zapieczętowanej kopercie. Dowód ten przedstawił pan na własną zgubę. Nie można go już wycofać; należy do sprawiedliwości. By zdobyć broń, która zwróci się przeciw panu, wtargnął pan nocą, jak złodziej, do mego domu, rozbił zamek u drzwi i włamał się do szkatułki, pan, książę Gonzaga!

— Wasza Królewska Wysokość — oczy księcia nabiegły krwią — proszę nakazać milczenie temu nędznikowi.

— Broń się, książę! — krzyknął Lagardere. — Pozwolą mówić nam obu, gdyż śmierć jest między nami, a Jego Królewska Wysokość powiedział: „Słowo umierającego jest święte”.

Gonzaga pochwycił kopertę, którą przedtem położył na stole.

— Proszę złamać pieczęcie — zawołał Lagardere z podniesioną głową — już czas. Proszę otworzyć kopertę. Dlaczego pan drży? Jest tam tylko kartka pergaminu: metryka urodzenia panny dr Nevers.

— Złamać pieczęcie! — rozkazał regent.

Ręce Gonzagi drżały obezwładnione strachem. Lagardere postąpił jeszcze krok, jego oczy lśniły jak stalowe ostrza.

— Pan zgaduje, że jest tam coś jeszcze, prawda? — rzekł cicho, a wszystkie głowy pochyliły się, by lepiej słyszeć. — Powiem panu, co tam jest: na odwrocie pergaminu kilka słów napisanych krwią. Tak mówią ci, co są w grobie.

Gonzaga zadygotał, a piana wystąpiła mu na wargi.

— Bóg czekał dwadzieścia lat na wymiar sprawiedliwości i nie dozwolił, by głos mściciela rozległ się na pustkowiu. Dlatego zebrał was

tu, panowie, wraz z Jego Królewską Wysokością. Byłem obok księcia de Nevers w noc zbrodni. Na chwilę przed bitwą, gdy w mroku połyskiwały szpady czołgających się ku nam zbirów, Nevers napisał krwią imię mordercy, gdyż spodziewał się napaści i wiedział, kim jest zabójca.

Zęby Gonzagi uderzyły o siebie. Cofnął się, jak mógł najdalej, chwycił świecznik, podniósł go i opuścił trzy razy. Był to umówiony sygnał. Wszyscy obecni na sali powstrzymali oddech.

— Tam jest nazwisko mordercy — związane ręce skazańca uniosły się wskazując kopertę — proszę złamać pieczęcie, umarły przemówi.

Gonzaga, zlany zimnym potem, z najeżonym włosom, usunął się w najdalszy kąt estrady i znalazł się za plecami straży. Chwycił kopertę i przyłożył do płomienia świecy. Widział to Lagardere, który nie przestawał powtarzać:

— Proszę odczytać głośno to nazwisko. Niech wszyscy się dowiedzą, czy jest tam nazwisko moje czy pana!

— Pali kopertę! — krzyknął pan de Villeroy usłyszawszy skwierczenie pergaminu.

Powstało niewypowiedziane zamieszanie. Obecni zerwali się z miejsc.

— Spalił kopertę z nazwiskiem mordercy!

— Umarły przemówił, panowie — Lagardere wskazał dopalające się na posadzce resztki pergaminu.

— Co tam było napisane? — spytał regent nie mogąc ukryć wzruszenia. — Mów, wierzę ci, gdyż człowiek ten zgubił sam siebie.

— Nic nie było — odparł Lagardere. — Nic — powtórzył głośniej. — Słyszysz pan, książę? Użyłem podstępu, a nieczyste sumienie wtrąciło pana w pułapkę. Spalił pan pergamin, na którym nie było pańskiego nazwiska. Sam pan je tam napisał. Był to głos umarłego, który przemówił.

— Umarły przemówił — powtórzyli zgromadzeni.

— Niszcząc dowód, zabójca zdradził się — powiedział pan de Villeroy.

— Jest przyznanie się winnego — rzekł przewodniczący — wyrok trybunału można unieważnić.

Regenta dławilo oburzenie i nie mógł przemówić.

Nagle zawołał:

— Morderca, morderca, zatrzymać mordercę!

Gonzaga szybki jak myśl, dobył szpady. Jednym skokiem minął regenta i wściekłym ciosem zamierzył się na Lagardere'a. Więzień krzyknął i zachwiał się, księżna podtrzymała go obu ramionami.

— Nie będziesz się cieszył zwycięstwem! — ryknął Gonzaga jak rozjuszony byk.

Następnie powalił dowódcę straży i choć dziesięć szpad wyciągnęło się przeciwko niemu, odstępował broniąc się zaciekle.

Gdy straże były pewne ujęcia mordercy, Gonzaga rozsunał fałdy draperii i znikł; posłyszano tylko zgrzyt klucza w zamku. Uciekł przez tajemne drzwiczki zasłonięte kotarą, które znajdowały się za jego fotelem. Pierwszy Lagardere rzucił się w znajome sobie przejście. Miał wolne ręce, gdyż szpada Gonzagi przecięła więzy, raniąc go lekko.

W chwili gdy uwagę zebranych przykuły tajemne drzwiczki, głos pełen rozpacz rozległ się u wejścia i donia Cruz z rozwianym włosiem wpadła wołając:

— Na pomoc! Na pomoc!

— Moja córka! — krzyknęła księżna.

— Zbrojni ludzie... na cmentarzu... — Cyganka nie mogła złapać tchu — dobijają się do drzwi kościoła, chcą ją porwać.

W sali zakotłowało się, ale jeden głos uciszył panujący zgiełk.

— Szpadę, na Boga, dajcie mi szpadę — wołał Lagardere.

Regent wyciągnął z pochwy własną broń i podał Henrykowi

— Dziękuję, Wasza Królewska Wysokość! — powiedział Lagardere.

— A teraz proszę otworzyć okno i krzyknąć ludziom, by mnie nie zatrzymywali. Morderca wyprzedził nas, biada temu, kto mi stanie na drodze!

Ucałował szpadę, podniósł ją wysoko i jak piorun wypadł z sali.

VIII. PUBLICZNA POKUTA

Nocne egzekucje za murami Bastylji nie należały do sekretnych, ale też nie były publiczne. Zamknięty ze wszystkich stron dziedzińiec więzienia był, równie jak plac de Greve, legalnym miejscem egzekucji i jedynie kat miasta Paryża miał prawo ścinać tam głowy. Gawieź paryska nie mogła darować, że wysokie mury Bastylji zasłonią widok szafotu. Jeszcze tej nocy więzienie miało być świadkiem śmierci zabójcy księcia de Nevers, skazanego wyrokiem Trybunału do Spraw Kryminalnych. Nie wszystko jednak było stracone: nie ominie paryżan widok publicznej pokuty skazańca u grobu ofiary oraz obcięcia ręki katowskim mieczem. Żałobny dzwon Sainte-Chapelle postawił na nogi całą dzielnicę i w mgnieniu oka okolice Chatelet zapełniły się tłumem żądnym sensacji. Gdy orszak wiodący skazanego wyszedł z bram więzienia, dziesięć tysięcy ciekawych tworzyło gęsty szpaler.

Nikt nie znał kawalera de Lagardere. Zazwyczaj ktoś z tłumu rzucał nazwisko skazańca, tym razem jednak osoba więźnia była nie znana, toteż tysiąc przypuszczeń zaczęło krążyć wśród obecnych. Najpotworniejszymi zbrodniami obciążano nieznajomego, który szedł ze związanymi rękami, wysoko podnosząc piękną głowę. Obok kroczył dominikanin z krzyżem w ręku. Otaczała ich straż więzienna z obnażonymi rapierami oraz konni żołnierze.

Gdy orszak mijał ulicę de la Ferronnerie, usłyszano krzyki kobiet. Zebrały się tam wszystkie kumoszki z ulicy du Chantre i w skazańcu poznały tajemniczego mistrza Ludwika.

— A co, nie mówiłam, że to się źle skończy?! — wykrzykiwała matka Balahaut.

— Należało dawno go zadenuncjować — dodała pani Guichard. — Nikt nie wiedział, co się u niego dzieje.

— Jaka bezczelna mina! — zauważyła pani Durand.

— Proszę spojrzeć, pani Dudouit, piękna peruka wyszłaby z tych jasnych włosów!

Nikt z obecnych nie wiedział, dokąd prowadzono skazańca. Żałobny pochód posuwał się ulicą Świętego i Dionizego i skręcił w małą uliczkę Saint-Magloire. U bramy cmentarnej paliły się pochodnie, jednakże ciekawość gawiedzi została zawiedziona, gdyż rozkaz regenta powiódł więźnia do pałacu książąt de Nevers. Tłum wypełnił ciasną uliczkę Saint-Magloire i okolice i czekał w napięciu na publiczną egzekucję.

Kościół Saint-Magloire, dawniej klasztorna kaplica, był niewielki i stał pośród największego w Paryżu cmentarza. Wysoki mur, w którym znajdowały się trzy bramy, opasywał cmentarz. Kościół był biedny i mało uczęszczany; od kilku lat nikogo nie chowano na cmentarzu, z wyjątkiem członków kilku możnych rodzin, utrzymujących nadal grobowce rodzinne w samym sercu Paryża. Wśród nich znajdował się grobowiec rodziny książąt de Nevers wraz z kaplicą, stojącą nieco na uboczu.

Gdy skazańca prowadzono przed oblicze regenta i rady familijnej, cmentarz tonął w ciemnościach. Jasno natomiast świeciły okna wielkiej sali pałacu Gonzagi, a słabe światełko pełgało po kościelnych witrażach. Po prawej stronie grobowej kaplicy księcia de Nevers rosły stare drzewa, tworząc jak gdyby zakątek zaniedbanego ogrodu; tu skupili się popiecznicy Gonzagi. W sąsiednim zaułku czekały osiodłane konie.

Navailles ukrył twarz w dłoniach; Noce i Choisy, oparci o pień cyprysu, pogrążeni byli w ponurej zadumie; Oriol wzdychał głośno; Peyrolles, Montaubert i Taranne rozmawiali szeptem. Każdy z nich miał jedno tylko życzenie: uciec jak najprędzej, ale strach trzymał ich na miejscu. W razie zwycięstwa obawiali się zemsty Gonzagi, a poza tym

mieli jeszcze nadzieję na jego poparcie, w razie zdrady książę okazałby się bezlitosny. Gdyby wiedzieli, że Gonzaga zgubiony, nie czekali na cmentarzu na rozkazy. Nie rozumieli, co znaczyła obecność Lagardere'a w pałacu.

Zegar kościelny wydzwonił trzy kwadranse po ósmej; o dziewiątej głowa skazańca miała spaść na dziedzińcu Bastylli. Peyrolles, Montaubert i Taranne nie spuszczały z oczu okien pałacowej sali, szczególnie jednego, za którym rysowała się chwilami wysoka sylwetka księcia.

O kilka kroków dalej, w kościele, czekała inna grupa, złożona z sześciu osób: przy ołtarzu stał spowiednik księżnej, Aurora klęczała zatopiona w modlitwie, Cocardasse i Passepoil, z obnażonymi rapierami w ręku, trzymali straż po obu stronach drzwi, Chaverny i donia Cruz rozmawiali półgłosem. Cocardasse i Passepoil przez małe zakratowane okienko śledzili wzrokiem najbliższą część cmentarza, nie widzieli jednak nic podejrzanego, gdyż ciemności skryły obecność bandy Gonzagi. Nagle drgnęli, a Chaverny i donia Cruz zamilkli nasłuchując.

Dziwny ruch zapanował wśród kępy drzew i zwrócił uwagę zamkniętych w kościele osób. Peyrolles, nie spuszczając wzroku z fasady pałacu, powiedział w pewnej chwili:

— Uwaga, panowie!

Wszyscy ujrzeni, jak w jednym z okien świecznik trzy razy podniósł się do góry. Był to umówiony sygnał ataku na drzwi kościoła. Nie było już wątpliwości: Gonzaga przegrał. Obecnych ogarnął lęk i niepokój, jak gdyby nie mogli uwierzyć w konieczność szybkiego działania.

— To tylko porwanie — Navailles przerwał ciszę pragnąc uspokoić towarzyszy.

— Konie czekają obok — dodał Noce.

— Naprzód! — krzyknął Taranne. — Gdy księżę nadejdzie, rozkaz musi być wykonany.

W tym momencie donia Cruz bocznymi drzwiami pobiegła wezwać pomocy. Montaubert i Taranne zaopatrzyli się w żelazne łomy do wyważenia drzwi i na dany znak rzucili się do ataku. Drzwi ustąpiły bez trudności, jednakże dalej stał żywy szaniec i błyskały trzy obnażone szpady.

Od strony pałacu usłyszano hałas, tłum stłoczony w uliczce zakołysał się. Navailles ciął szpadą markiza de Chaverny, który wysunął się nieostrożnie naprzód. Młody człowiek upadł na kolano; poznawszy przyjaciela, przerażony Navailles cofnął się i odrzucił broń.

— Chodźcie bliżej, łajdaki! — zawołał Cocardasse. — Pokażcie choć koniec szpady!

Na trawniku rozległy się szybkie kroki, jak gdyby piorun spadł na tłoczących się u wejścia do kościoła popleczników Gonzagi. Peyrolles zdążył wydać okrzyk agonii; z piersi Montauberta dobyło się rżężenie; Taranne rozkrzyżował ramiona i padł na wznak, wypuszczając broń. Sprawiał to jeden tylko człowiek, z obnażoną głową i lśniącą szpadą w ręku. Głos jego zabrzmiał jak trąba w nagłej ciszy, jaka zapadła po dokonaniu dzieła zniszczenia.

— Niech odejdą wszyscy, którzy nie byli współnikami mordercy, Filipa Gonzagi.

Niewyraźne cienie wsiąkły w mrok nocy. Nie usłyszano żadnej odpowiedzi i tylko galop kilku koni, których kopyta zadźwięczały na bruku sąsiedniej uliczki, zwiastował odwrót napastników i Lagardere, wchodząc do kościoła, potknął się o leżącego markiza de Chaverny.

— Czy martwy?! — wykrzyknął z niepokojem.

— Jeszcze nie — odparł Chaverny. — Do licha, kawalerze, nigdy nie widziałem spadającego piorunu. Dostaję gęsiej skórki na myśl, że wówczas w Madrycie... Cóż z pana za człowiek!

Lagardere uścisnął go i uścisnął ręce dwóch wiernych towarzyszy. W chwilę później Aurora była w ramionach ukochanego.

— Do ołtarza — powiedział Lagardere — nie wszystko skończone. Zapalić pochodnie. Wybiła godzina, na którą czekano dwadzieścia lat. Przyjacielu de Nevers, patrz na twego mściciela!

Wypadłszy z pałacu Gonzaga natknął się na nieprzenikniony mur tłumu stojącego głowa przy głowie. Lagardere, jak dzik, przebił się przez zwartą masę ludzką. Gonzaga musiał obejść dokoła bocznymi uliczkami, i dzięki temu Lagardere, choć później wybiegł z pałacu, pierwszy znalazł się na cmentarzu. Gonzaga wszedł w obręb kościoła szparą w murze; noc była tak ciemna, że z trudem odnalazł drogę do grobowej kaplicy. Stanąwszy blisko kępy drzew, wśród których mieli oczekiwać przyjaciele, spojrział raz jeszcze w okna pałacu, jasno jarzące się w ciemnościach. Sala była pusta, kto żyw, wyległ na ulicę. Gdy oczy przywykły nieco do ciemności, wydało mu się, że towarzysze są przy nim: każdy pień drzewa przybierał postać ludzką.

— Halo, Peyrolles! — zawołał szeptem. — Czy już po wszystkim?

Odpowiedziało mu milczenie. Uderzył głownią szpady w ciemny kształt i napotkał zmurszałe drewno starego cyprysa. Rzucił się więc w stronę kościoła, ale nagle wyrosła przed nim ciemna postać, tym razem nie drzewo. W ręku zabłysła obnażona szpada.

— Gdzie reszta? Gdzie Peyrolles? — spytał Gonzaga..

Szpada nieznajomego opuściła się wskazując mur kapliczny, przed którym leżało ciało intendenta. Książę schylił się i krzyknął, palce jego dotknęły ciepłej jeszcze krwi.

— Tam jest Montaubert — nieznajomy wskazał grupkę cyprysów.

— Nie żyje? — wycharczał Gonzaga.

— Nie żyje. — A wskazując nogą bezwładne ciało leżące obok, nieznajomy dodał: — Tu Taranne, też nie żyje.

Hałas rósł, słyhać było zbliżające się kroki i spomiędzy drzew błyskały światła pochodni.

— Czyżby Lagardere mnie wyprzedził? — spytał Gonzaga przez zaciśnięte zęby, żując przekleństwo.

W tej chwili czerwony blask pochodni oświetlił twarz Lagardere'a; to Cocardasse i Passepoil nadchodzili z pochodniami w ręku. Od strony kościoła zbliżały się i inne światła. Gonzaga poznał regenta, za którym postępowali dygnitarze i urzędnicy, niedawno tworzący radę familijną. Usłyszano głos księcia:

— Nikomu nie wolno przekroczyć murów cmentarza! Rozstawić strażę!

— Na Boga ! — zawołał Gonzaga z szatańskim śmiechem. — Jak za rycerskich czasów przygotowano nam pole do walki. Filip Orleański przypomniał sobie, że jest potomkiem dawnych bohaterów. Dobrze, czekajmy na sędziów!

To mówiąc zamierzył się zdradziecko i gdy Lagardere odpowiedział: „Dobrze, czekajmy”, Gonzaga uderzył przeciwnika prosto w brzuch. Jednakże w niektórych rękach szpada potrafi zachować się jak żywa istota, obdarzona instynktem samoobrony. Tak postąpiła szpada Lagardere'a; podniósłszy się prawie bezwiednie, odparowała cios i ripostowała. Pierś Gonzagi wydała metaliczny odgłos, stalowa koszulka spełniła zadanie. Szpada Henryka rozprysła się w drzazgi. Z wielką przytomnością umysłu, nie ustąpiwszy ani na krok, Lagardere uchylił się zwinnie od ciosu wroga, a w tej samej chwili podskoczył Cocardasse i podał mu swój rapier.

Lagardere miał teraz za plecami dwóch fechtmisfrzów, Gonzaga zaś znalazł się prawie naprzeciwko wejścia do grobowej kaplicy, tyłem do nadchodzącego regenta i jego świty. Gonzaga doskonale władał szpadą, ale wydawało się, że Lagardere igra z przeciwnikiem. Przy drugim wypadzie wytrącił broń z ręki Gonzagi. Gdy książę schylał się, by podnieść szpadę, Lagardere postawił na niej stopę.

— Kawalerze — powiedział regent.

— Panie — odparł Lagardere — nasi przodkowie nazywali to sądem bożym. Nie mamy już tej wiary co oni, jednakże jak ślepotą nie gasi słońca, tak i niewiara nie może zabić Boga.

— Niedobrze, by ta książęca głowa spadła na szafocie — zauważył pan de Lamoignon.

— Oto grobowiec Neversa — podjął Lagardere — nie minie ofiarę publiczną pokuta. Ręka moja lepiej do tego się przyczyni niż katowski topór. — To mówiąc podniósł szpadę Gonzagi.

— Co pan robi? — spytał regent.

— Panie, ta szpada zabiła księcia de Nevers, poznaję ją: ta sama szpada ukarze zabójcę. — Po czym rzucił pod stopy Gonzagi rapier Cocardasse'a.

Książę schylił się dygocząc z furii i pochwycił broń.

Rada familijna w komplecie otoczyła półkołem przeciwników. Regent, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, wziął pochodnię z rąk Passepoila i trzymał ją wysoko nad głowami walczących.

Lagardere'a trudno było poznać. Wiatr rozwiewał piękne jasne włosy, oczy rzucały błyskawice. Przyparł już Gonzagę do drzwi kaplicy, szpada jego załśniła zatoczywszy koło, jak tego wymaga riposta na primę.

— Pchnięcie księcia de Nevers — wyszeptali obaj fechtmiestrze.

Gonzaga padł martwy, z krwawą dziurą pośrodku czoła i potoczył się do stóp posągu Filipa de Nevers.

— Do licha! — zaklął Cocardasse, który podszedł do trupa, by zabrać swą szpadę — po raz pierwszy moja Petronela znalazła się w rękach łajdaka.

Na stopniach kościoła księżna Gonzaga i donia Cruz podtrzymywały słaniającą się Aurorę. Kilka kroków dalej przywołany lekarz opatrywał ranę markiza de Chaverny. Regent wraz ze świtą zbliżał się do drzwi.

U stóp schodów stał Lagardere.

— Panie — księżna zwróciła się do regenta — oto dziedziczka księcia de Nevers, moja córka, która jutro, za zezwoleniem Waszej Królewskiej Wysokości, zostanie panią de Lagardere.

Regent wziął rękę Aurory i ucałowawszy włożył w dłoń Lagardere'a.

— Dziękuję — szepnął do Henryka, wybiegając spojrzeniem w stronę grobowca towarzysza młodości. Następnie głosem, który lekko drżał po przebytych wzruszeniach dodał prostując się:

— Hrabio de Lagardere, tylko król, gdy dojdzie do pełnoletności, może uczynić pana księciem de Nevers.

Koniec